BIBLJOTEKA i MUZEUM Z.N.P.

1514-1520 W. DIVISION STREET

WAŻNA UWAGA:

10 PRÓŚB KSIĄŻKI DO CZYTELNIKA

I. Nim zaczniesz czytać — obłóż mnie w papier!

II. Nie dotykaj mnie brudnemi rękami.

III. Nie czytaj mnie przy jedzeniu!

IV. Nie śliń palców przy przewracaniu kartek.

V. Nie mnij kartek i nie zaginaj rogów.

VI. Nie przeginaj mnie przy czytaniu.

VII. Nie kładź mnie rozłamaną, grzbietem do góry!

VIII. Nie umieszczaj mnie w domu na miejscu nieodpowiedniem!

IX. Nie rób na mnie żadnych znaków i dopisków.

X. Nie wyrywaj i nie niszcz obrazków i kartek.

Wymaga się od każdego wypożyczającego książki
z Bibljoteki Związku Nar. Pol., aby si
ściśle do powyższych prośb i wogóle r
książkę w takim stanie, w jakim ją w
w przeciwnym razie osoba wypożycza
zmuszona do zapłacenia wartości ks

DY

Należałoby uzupełnić z tej
książki drugą kartę do
klasy „F"

PISMA POŚMIERTNE

JULIUSZA SŁOWACKIEGO.

Tom III.

PISMA POŚMIERTNE

JULIUSZA SŁOWACKIEGO.

TOM TRZECI.

LWÓW.
STARANIEM A. MAŁECKIEGO.
Z DRUKARNI ZAKŁADU NAROD. IM. OSSOLIŃSKICH.
1866.

BEATRYX CENCI.

TRAGEDYA

W PIĘCIU AKTACH.

OSOBY:

Orsini, wielki dygnitarz państwa.
Beatryx Cenci.
Tomaso Cenci
Azo Cenci } jéj bracia.
Francesco Cenci, jéj ojciec.
Lucrezia Cenci, jéj macocha.
Pietro Negri, domownik rodziny Cencich.
Giano Giani, malarz.
Cesario, przyjaciel Gianiego.
Padre Anselmo, zakonnik.
Don Lucenzio, prawnik.
Barygiel, dozorca więzienia.
Dolorida, jego córka.
Inkwizytor.
Signor Pamfilio, mieszczanin.
Trasteweryna, przekupka.
Oddźwierny więzienia.
Trzy Furye.

Penitenci. Sędziowie. Mieszczanie itd.

Rzecz dzieje się w Rzymie, w roku 1599.

AKT PIERWSZY.

SCENA I.

(W pałacu Cencich).
(OJCIEC CENCI i BEATRYX).

BEATRYX

Puszczaj mnie ojcze!

OJCIEC.

Ha! kąsasz mnie wężu!
(Wchodzi MATKA CENCI).

MATKA.

Puść ją! Beatryx odejdź! Cóż człowieku?

OJCIEC.

Cóż jędzo?

MATKA.

W porę nadeszłam —

OJCIEC.

Za wcześnie!

MATKA.

Ja córkę moję oddam do klasztoru —

OJCIEC.

Ja córkę moję kocham...

MATKA.

Wężu!...

OJCIEC.

Wiedźmo!

MATKA.

Wężu!...

OJCIEC.

Syreno!

MATKA.

Idź spać, jesteś pijany!..
Gadając toczysz pianę z ust — idź zaśnij...

OJCIEC.

Ohydna strega — ona nigdy nie śpi.
(wychodzi).

MATKA.

Idź do alkowy, idź! — O Eumenidy!
Dajcie mi wężów garść — niech mu je cisnę
Do jego łoża! dajcie mi tę straszną
Pochodnię, która w waszych bladych rękach
Płonie błękitno: niechaj tem piekielnem
Światłem zapalę dom, gdzie takie rzeczy
Ohydne dzieją się między ścianami!
(do Beatryczy)
Cyt, córko! Chodź tu...

BEATRYX.

Matko! ja nieszczęsna!

MATKA.

Chodź do pokoju mego — noc głęboka —
Nie drżyj! zachowaj strach na inną porę.
(wychodzą).

SCENA II.

Trzy WIEDŹMY.

I.

Wołała nas — jesteśmy trzy —

II.

Spokojna noc, ale dom drży —

III.

Poszedł do krwawego łoża
I śpi —

I.

I śpi —

II.

I śpi —

III.

Daj noża!

I.

Czy sama myślisz robić czyn?
Jest matka, jest córka, jest syn...

II.

Żegnajmy wężami drzwi —
To nasz dom, to pałac krwi —
Potępione całe plemię. —
Szach pod ziemię — pod ziemię — pod ziemię!

SCENA III.

MATKA CENCI i BEATRYX wracają.

MATKA.

Co to za szelest? Ten dom pełny szmerów
Nieodgadnionych...

BEATRYX.

Słyszałaś co, matko?

MATKA.

Gdym odemknęła drzwi, jakby gasnącą
Widziałam tutaj błyskawicę — Ave!
Idź spać, idź blada spać! Nie myśl o niczem.
(Beatryx wychodzi).
Władze piekielne! jeśli wy jesteście
Duchami wszystko wiedzącymi: jeśli
Można śmiertelnej wyzwać was i nagiąć
Do posłuszeństwa; jeśli to wy, duchy,
Trzęsiecie domem tym jak wicher burzy,
Wtenczas gdy parne powietrze bez ruchu
Cięży na myślach ludzkich... ciemne władze,
Eumenidami nazwane przed wieki,
Wzywam was!...
(Wiedźmy się zjawiają).

I WIEDŹMA.

Jestem!

II.

Jestem!

III.

Jestem! Czego?

MATKA.

Okropne!.. czy to wasz głos, czy gwizdanie
Waszych warkoczy słyszę, okropnice?
Od was śmiertelny chłód na twarz mi wieje —
Pochodnie wasze cuchną...

TRZY WIEDŹMY.

Czego żądasz?

MATKA.

Wy dobrze wiecie... Ja nieszczęsna matka
Na rzecz okropną ważę się — straszniejszą
Rzeczą przed wami usprawiedliwiona.
Warkocze moje pobielały — oczy
Wpadły do sinych dołów, wykopanych
Zgryzotą, strachem, zgrozą i cierpieniem...
Mary, pomóżcie mi w robocie strasznej!
Lękam się w sercach dzieci, że tam znajdę
Niepewność — wstręty i myśl świętą grzechu...
Zróbcie z nich Rzymian!..

WIEDŹMY.

Rzymian? Rzymian? Rzymian?

MATKA.

Co znaczy wasze skomlenie, ohydne?..

WIEDŹMY.

Cha! cha! cha!

II.

Cha! cha! cha!

III.

Cha! cha! cha! (znikają).

MATKA.

Zniknęły!
Takaż jest pomoc z was, ohydne kruki,
Duszy człowieczej? Dobrze — zobaczymy —
Ja was przelęknę wszystkie... Kto to stuka?..

SCENA IV.

(Wchodzi TOMASO).

TOMASO.

Cóż to, ty nie śpisz matko?

MATKA.

Jeszcze nie śpię.

TOMASO.

Bez światła, sama?

MATKA.

Skąd powracasz?

TOMASO.

Z boju.

MATKA.

Czy odebrałeś mój list?

TOMASO.

Nie, żadnego.

MATKA.

Pisałam wczoraj, byś powracał spiesznie.
Więc ty nic nie wiesz?

TOMASO.

Nic...

MATKA.

O wydarzenie!
Więc muszę wszystko mówić ustnie —

TOMASO.

Matko!

Najokropniejsze miałem wydarzenie
Tej nocy, kiedym powracał tu krwawy;
Bowiem zdobyliśmy dzisiaj Petrelę
Ze starym dyablem Kolonną, a teraz
Wiesza burmistrza na dzwonach, a z ognia
Porobił więźniom jako czarownicom
Straszne warkocze. Więc kiedy wracałem
Przez głuche stepy Kampanii — ścigany
Hukiem pożaru i wyjącym głosem
Rzniętego miasta — na odludnym stepie

Koniowi memu zaszły drogę mary.
Marami bowiem być muszą bez ciała
Te trzy okropne kształty... a może też
Krew moja, walką rozdąsana w żyłach,
Zalała moje oczy i te mary
Ubrała w czerwień straszną. Ja sam nie wiem,
Kto one były... lecz ile pamiętam,
Włos każda miała ruchomy i jakby
Niezależący od poruszeń ciała
Dziwnego bardzo połysku, a w rękach
Niosły pochodnie. — Matko, te trzy mary
Koniowi memu zdębionemu stały
Na drodze — a koń ostrogami rznięty
Jęczał jak człowiek.

MATKA.

Cóż się stało? czy co
Rzekły?

TOMASO.

Zaczęły się śmiać okropnice
Trzęsąc blademi pochodniami... potem
Wrzasnęły wszystkie: spiesz się, spiesz się, spiesz się —
Siostrę ci gwałcą!.. Na te słowa czułem,
Że krew, z oblicza mego odegnana
Trwogą, wróciła z szumem wodotrysku
I mózg pod czaszką rozpierała, jako
Kościoł gotowy runąć. Gdym się ocknął,
Mary zniknęły...

MATKA.

I-cóż myślisz?

TOMASO.

Mary
Zniknęły. — Wtenczas na koniu drgającym
Siedząc dobyłem matko puginału,
I oglądając się w ciemne powietrze
Cicho, jak miejsca przenikniony zgrozą,
Rzekłem: przysięgam śmierć gwałcicielowi!
Na te wyrazy okropniejsze jeszcze
Wrzaski powstały w powietrzu — jak gdyby

Ta ciemność miała atomami cienia
Człowiecze usta... Matko, i trzy razy
Słyszałem, że mię nazwano po nocy
Strasznem imieniem! —

MATKA.

Mów —

TOMASO.

Matko, nie mogę —

MATKA.

Mów!

TOMASO.

Ty się wzdrygniesz matko — ty się wzdrygniesz!

MATKA.

Więc ja ci powiem sama... powiem cicho:
Nazwały ciebie ojcobójcą —

TOMASO.

A ha!

MATKA.

Te mary były tu...

TOMASO.

Kiedy?

MATKA.

Tej nocy...

TOMASO.

Lecz to piekielne, matko, są zjawiska.

MATKA.

W piekielnym domu są piekielne goście;
Czy masz odwagę...

TOMASO.

Na co?

MATKA.

Na to, o czem
Mówiły te trzy —

TOMASO.

Matko, za godzinę...

MATKA.

Teraz lub nigdy! Idź, obudź na dole
Pietra... on wszystko wie.

(Wychodzi Tomaso).

SCENA V.

MATKA (do wchodzącej właśnie BEATRYX).

Chodź Beatrycze,
Chodź tu w koszuli. Tomaso przyjechał —

BEATRYX.

Pewnie się waha...

MATKA.

Jak człowiek pijany
Krwią i pół tylko mający rozwagi,
Zdaje się miękkim na wszystko, i w gęszczu
Tych okropności najwyraźniej chwyta
Oczyma twoję hańbę, a na resztę
Zdaje się chować senną obojętność...
Trzeba korzystać córko, i dzisiejszą
Noc ofiarować bogom tajemniczym
Ciemnej przyszłości...

BEATRYX.

Matko, matko, mdło mi...

MATKA.

Chowaj krew zimną! Kazałam zawołać
Pietra...

(AZO wbiega na scenę).

Ha! co to? z łóżka wstał maleńki
Azo?

AZO.

O mamo! mamo!

MATKA.

Co?

AZO.

Po domu
Czerwone duchy chodzą!

MATKA.

Czemu nie śpisz?

AZO.

Nie mogę zasnąć... mamo, tak mi strasznie!

MATKA.

Czego się lękasz?

AZO.

Ciągle przed oczyma
Jakieś czerwone latają mi plamy.
Jakby czerwone gołąbki...

MATKA.

Beatryx,
Weź go na ręce! — Że też wszystkie czyny
W powietrzu mają świadków! Cyt! — już idą —

SCENA VI.

TOMASO i PIETRO NEGRI wchodzą.

PIETRO.

Jesteście wszyscy... byłem na modlitwie,
Kiedy ten człowiek, na twarzy zielony,
Wszedł cicho. Cóż to, czy nowa narada?

MATKA.

Dziś, albo nigdy! Pietro, daj sztylety!

PIETRO.

Ręce umywam...

MATKA.

Ty?? O! na Chrystusa,
Ty poradziłeś sam! Czy nie pamiętasz
Téj nocy, kiedy ścigana po gmachu,
Leciałam boso wołając ratunku
Dla mnie i córki — ty sam poradziłeś:
Zabijcie tego węża, bo inaczéj
Mieć nie będziecie pokoju... A teraz
Mówisz inaczéj?

PIETRO.

Czy on śpi?

MATKA.

Nie słyszysz
W tamtym pokoju chrapania?.. cyt Azo!
Śpi jak zabity — Córko, daj sztylety —
Kto pójdzie pierwszy? ha!.. kto ma odwagę?
Ty chodź Tomaso za mną — Cóż ty?.. we śnie?

TOMASO.

Tam w korytarzu, matko, te trzy mary
Stoją i w rękach mają krwawe chusty —
Ja tam nie pójdę — nie — to rzecz piekielna!

MATKA.

Więc zginęliśmy! — ha! ten człowiek stchórzył!
Czy ty się lękasz mar? chodź jako świadek —
Cóż? — twój nam sztylet niepotrzebny — zakrzesz
Ognia sztyletem... patrzaj — tu masz krzemień —
Przy tych czerwonych błyskawicach widzę
Naszę gromadę owczą... Wstyd! skupieni
Jak owce w burzy! — Cóż? czy pójdziesz teraz?
Co robisz? z lampą idziesz? — Beatrycze,
Weź mu z rąk światło, i niosąc nad głową
Wiedź nas w korytarz ciemny!..

AZO.

Mamo, mamo!

MATKA.

Zaduście dziecka krzyk.

(wychodzą).

PIETRO.

Sza! nie krzycz mały!

AZO.

Dla czegoż wszyscy tak gadają cicho?

PIETRO.

Idź zobacz —

(Azo idzie za nimi).

Gadzin rodzino — o! teraz
Mam ciebie w ręku, Hekate — okropna,
Ale piękniejsza, niż wszystkie marmury
Z grobów dobyte!.. Cyt... dziś go spoiłem
Blekotem — musi spać jak martwe drzewo —
Ja ułatwiłem czyn... widząc, że łatwość
Dla kobiet jest zachętą, a najmniejsza
Trudność odstrasza...

SCENA VII.

(MATKA CENCI wraca).

MATKA.

Pietro, rzecz skończona!
Lecz mój syn stchórzył... ja dobrze wiedziałam,
Że mój syn stchórzy.

PIETRO.

I cóż? nie zabity?

MATKA.

Ona zabiła... mój syn starszy stchórzył...
Ja sama nie wiem, co było. — Beatryx...
(BEATRYX wchodzi i rzuca sztylet).

BEATRYX.

Jestem spokojną. —

MATKA.

Ja chciałam już krzyczeć,
Syn mój upuścił sztylet na podłogę...
Wtém ona przyszła z lampą i sztyletem
Skończyła...
(wchodzi TOMASO prowadząc AZA).

TOMASO.

Weźcie to dziecko czerwone,
Pod łóżkiem je znalazłem. Chodźmy Pietro,
Wyniesiem trupa — idźcie spać kobiety!
Spać!.. spać!..

MATKA.

Beatryx, weź dziecko na ręce,
A wy wynieście trupa na ulicę,
Potém zacznijcie lament — i śród płaczu
Mieszajcie imię Orsinich — z przekleństwem.
Rzućcie krew jego na Orsinich głowy!
Tak się ukryje cała rzecz. My chodźmy
I na ulicę wybieżmy w koszuli
Jakby zerwane z łoża przerażeniem.

SCENA VIII.

(Plac przed pałacem Cencich).

WIEDŹMY.

I.

Radość! radość! radość! radość!
Kręgiem, jak przed burzą śmiecie!
Czy widziałaś węży bladość,
Sztylet w pacierzowym grzbiecie?
Ha! ha! ha! ohydna noc!

II.

Cóż teraz robić będziemy?

III.

Z człeka trup — a z trupa kloc!
Przeleciałyśmy gmach niemy
Szach — szach — skrzydłami szach — szach!
Piękność kobieca to szych —
Jéj trzeba kochanka...

II.

A mnich?

I.

Czwarta, czwarta, bije czwarta!
Zlatujmy w dół! zlatujmy w dół! —
Pokażmy ją oczom bękarta —
Zakocha się, będzie truł. —
Czy nie warta?... czy nie warta?
Kss — kss — kss — kss! urodzi czarta,
Będzie ślub uciętych głów. —

III.

Cicho mów — cicho mów!
Słyszysz idzie człowiek nasz,
Cyt — cyt — cyt — cyt — pokażmy twarz!

SCENA IX.

(Nadchodzą GIANI i CESARIO zamaskowani).

GIANI.

Jaka noc parna, pozrzucajmy maski.
Cesario patrzaj — tam, przy obelisku —

Czy widzisz? jakieś trzy straszydła czarne,
Z blademi stoją pochodniami.

CESARIO.

Chodźmy!

GIANI.

Stój! w ich brzydkości jest jakaś wstydliwość.
Widzisz, jak się w cień usuwają?—za mną!
Muszę przemówić do nich. — Moje matki,
Co wy robicie na odludnym placu
We trzy, ze światłem w rękach? Czy wy macie
Jakie poselstwo od mocniejszéj władzy,
Które musicie spełnić uzbrojone
W narzędzia strachu? Czy wasze zjawienie
Ma z moim przyszłym losem jaką styczność?
Czy mi się tylko nasuwacie, jako
Widma potrzebne malarzowi, aby
Ubrał je w kolor i ludziom zdziwionym
Pokazał rzeczy śnione?... Mówcie do mnie!...

WIEDŹMA I.

Patrz!

II.

Patrz!

III.

Patrz! (pokazują mu ściętą głowę Beatryczy).

GIANI.

Co widzę! czyż wy z pod waszych fartuchów
Wydobyłyście tę rzecz straszną? — Patrzaj
Cesario — głowa cudownéj piękności,
Lecz bez podstawy wisi na warkoczach,
Które do sinych rąk tych kobiet lipną:
Dreszcz mię przechodzi — patrzaj, jak ta głowa
Miłosne oczy we mnie utopiła,
Aż tu do serca... Słabo mi, Cesario —
Omdlałość-że to mnie pozbawia wzroku?
Czyli te widma ciemność między siebie
Na niewyraźne kształty rozebrała?

(Wiedźmy nikną).

CESARIO.

Zniknienie tych mar dziwne! Ty powiadasz,
Że coś trzymały w ręku?

GIANI.

O Cesario!
Ty nie widziałeś téj głowy?

CESARIO.

Nie, zgoła!

GIANI.

To rzecz nadludzka. — O! piękna piekielnie
Była ta głowa! A co jest dziwniejsza,
Że tak piekielna rzecz, jak przezroczysta
Anielskiém światłem urna, miała dla mnie
Uśmiech i litość! O! nic nie mów do mnie,
Aż to, czego jest pamięć moja pełna,
Przeleję w płótno i od znikomego
Gaśnienia myśli obronię...

CESARIO.

Dziwaku!

GIANI.

Bądź zdrów Cesario — idę żyć w pustyni. (wychodzi).

CESARIO.

O dziwna głowa! pełna przywidzenia!...
Wychodzą jacyś ludzie, jak złodzieje...
Coś niosą — skryjmy się za obeliskiem.

SCENA X.

(Wchodzą TOMASO i PIETRO niosąc ciało ojca Cenci).

PIETRO.

Połóżmy trupa tu na środku placu.

TOMASO.

Czy nikt nie widzi?

PIETRO.

Nie ma żywéj duszy.

TOMASO.

Ja się oddalę, a ty zacznij wołać.
Wtenczas nadejdę — Matka zbudzi sługi,
Przylecą wszyscy na plac z pochodniami.

(odchodzi).

PIETRO.

O! gwałtu ludzie! gwałtu! gwałtu! ogień!
Pali. się! gwałtu!

OBYWATEL Z OKNA.

Co to za krzyk?

PIETRO.

Gwałtu!

II Z OKNA.

Co to za wrzaski?

PIETRO.

Trup leży na placu!

(wbiega Tomaso).

TOMASO.

Co to za krzyki!? kogo tu zabito?

PIETRO.

Latarni — światła — ratunku — lekarzy!

(wchodzą ludzie z latarniami).

TOMASO.

O! to mój ojciec! mój ojciec — mój ojciec!
Ratunku! w bramę stukajcie do Cencich —
To Cenci leży skrwawiony — mój ojciec!
Stukajcie w bramę do Cencich — ratunku!
Obudźcie moję matkę — o morderstwo!

SCENA XI.

(Wbiega MATKA CENCI, potém BEATRYX i ludzie z pochodniami)..

MATKA.

Słyszę głos mego syna i lamenty,
Ze snu się zrywam...

JEDEN Z MIESZCZAN.

Zabitego żona!
O nie puszczajcie kobiet!

MATKA.

Ach okropność!
Mój mąż zabity — na bruku — o Boże!
Szukajcie zbójcy! — O! tysiąc dukatów,
Kto sprawcę zbrodni wykryje — słyszycie!
O! noc okropna, boleść niespodziana —
O! córko — biedne my, osierocone —
Kto tu jest tylko, niechaj będzie świadkiem
Tego zabójstwa! niech zabójcę ściga!

TOMASO.

Matko, Orsinich to być musi sprawa!

MATKA.

Orsinich mówisz? O! tak! Jeszcze wczora
Kardynałowi mój mąż odpowiedział
Kwaśnemi słowy... O! biedny człowieku,
Za słowa tobie odpłacił sztyletem!
Widzicie wszyscy, jaki czyn haniebny —
Widzicie wszyscy, jak ohydna zbrodnia!

OBYWATEL.

Biedna kobieta, zachrypła od płaczu!

MATKA.

Córko, strętwiałaś! biedna córko moja!

OBYWATEL.

My wam do domu zaniesiemy trupa.
Płacz na ulicach — to śmiechy puszczyka...

MATKA.

O! pozwólcie mi rzucić się na ciało!

TOMASO.

Matko, do komnat idź — wyniosę gwałtem...

OBYWATEL.

Biedna rodzina! zanieśmy im trupa,
Resztę tej nocy niech przelamentują.

(wnoszą trupa do domu Cencich).

SCENA XII.

(CESARIO wychodzi z po za obelisku).

CESARIO.

To dziwna scena — i lament wysoki!
Co się to znaczy, nie wiem i nie zgadnę —
A raczéj myśli czém inném zajęte
Nie chcą wysilić się w poszukiwania
Bezowocowe. Jedna mnie tu tylko
Twarz zadziwiła... ta córka w bieliźnie,
Albowiem matka ją nazwała córką.
Nieporuszona stała i ku ziemi
Trzymając oczy i pochodnię — jakby
Posąg przeszłości, na którego twarzy
To co obecne, nie zostawia śladu,
Ani się może odbić. — Pośród zgrai
Lamentującéj — ona jedna cicha
I z surowemi na ustach uśmiechy
Stała — myślałby kto, że sprawiedliwość
Ważąca trupią krew na swojéj szali...
Ta twarz zostanie mi wiecznie w pamięci!
Resztę wyświecą jutro ludzkie gwary.

AKT DRUGI.

SCENA I.

(Pracownia malarza Giani).

GIANI I CESARIO.

CESARIO.

Gdybyś był został dłużéj na tym placu,
Widziałbyś wszystko.

GIANI.

To dziwnie, Cesario.
Czy ci się furye trzy nie śniły w nocy?

CESARIO.

Nie —

GIANI.

Ja nie spałem, ale patrz, na płótnie
Wymalowałem twarz, którą mi w rękach
Te straszne mary pokazały... patrzaj — —

CESARIO.

Jezus Marya!

GIANI.

Anielskie oblicze!
Lecz to jest tylko sen — filtrum szatańskie
Na obłąkanie moich zmysłów — prawda?
Na ziemi taka piękność nie istnieje.

CESARIO.

Więc to jest głowa mar — czy jesteś pewny?

GIANI.

Jam jéj nie stworzył — wierz mi, jam ją widział.

CESARIO.

I chcesz ją żywą zobaczyć?

GIANI.

Cesario!...

CESARIO.

Nie drżyj tak! Powiédz, chcesz ją widzieć żywą?

GIANI.

Cesario!

CESARIO.

Chodź, chodź! Lecz ubior Orsinich
Zakryj dominem czarném — i mnie pożycz
Nieznaczonego żadną cyfrą płaszcza.

GIANI.

Lecz to nie może być!

CESARIO.

Chodź — a zobaczysz.
(wychodzą).

SCENA II.

(Plac przed kościołem).

TRZY WIEDŹMY.

I.

Śmierć nie cuchnie od nas w dzień —
Co masz zamiast nogi?

II.

Pień!

A ty — a ty?

III.

Kocie trzewy,
Koło kości wiszą jak cholewy.
Daj grosz, panie! daj grosz — daj grosz —

I.

Przyniosłam kosz
Woskowych świec —
Zakrystyan fryc
Trupa gromnicami piecze,
W gromnicach sadło człowiecze
Cuchnie, cuchnie, cuchnie, jak dżuma.

II.

Czy zaczęła się nad trupem suma?

I.

Już dzwon bije — już dzwon bije —
Już na krzesłach kawki siedzą
I kłaniają się, kłaniają — łzy cedzą,
I kłaniają się — i gną szyję,
Godzinę mają szkaradną;
Szyje bolą — głowy spadną —
Cyt — cyt — don don — dzwon uderza.

III.

Szach! — skrzydłami nietoperza
Na cmentarz! już biją dzwony
Po ojcobójcy grosz złocony,
Co się na mogiłach zetrze...
Szach! — na cmentarz — już wicher i parne powietrze.

(znikają).

SCENA III.

(Wchodzą GIANI i CESARIO).

GIANI.

Widziałeś tu ohydne żebraczki w spróchniałych
Szatach? one mi nocne furye odnowiły
W zatartéj już pamięci —

CESARIO.

Stańmy tu na boku. —
Widzisz przygotowane krzesła dla rodziny,
Gdzie zasiędzie pokorne oddawać ukłony
Przyjaciołom zmarłego, idącym za trumną.

GIANI.

O! smutny obowiązek i grzeczność trudząca!
Lecz cóż to ma za związek z tą cudowną twarzą,
Którą mi obiecałeś ukazać na oczy?

CESARIO.

Zaczekaj — lud się kupi — zakryj oczy płaszczem.
Wszyscy wiedzą, że jesteś Orsinich malarzem —
Odkrycie tu być może fatalne — stój cicho....

SCENA IV.

(Wchodzą MATKA, BEATRYX i siadają na krzesłach; przy nich TOMASO z gronem przyjaciół; rozpoczyna się pochód pogrzebny).

GIANI.

Co widzę! — jest że to sen? — O! Cesario,
To ona...

CESARIO.

Płaszcza nie odkrywaj z ramion!

GIANI.

Puść mię! — Na Boga, oczy me znalazły
Cel zapatrzenia się na całą wieczność,
I już z uczuciem zaczęły rozmowę
O niezliczonych wdziękach téj dziewicy...
Odtąd — to będzie mojém zatrudnieniem.
Jak się nazywa? — o! nie mów nażwiska!

Już ją nazwałem sam takiém nazwiskiem,
Jakiego nie ma świat. — Ach! bowiem ona
Nie może tu być przez ludzi nazwana,
Tylko westchnieniem...

CESARIO.

Nie mieszaj się Giani
Z trumny orszakiem.

GIANI.

O patrz! pomyślałem —
I w myśli tylko stworzone pytanie
Posłałem do niej oczyma i na to
Odpowiedziała mi schyleniem głowy,
Choć w inną stronę zapatrzona, jakby
Oczu ją moich głos doleciał i już
Zmusił miłośnie ulec. O! anielska...

CESARIO.

W pochodzie trupa jakieś zamieszanie —
O! nie wyrywaj się Giani — szalony!

I. OBYWATEL.

Co to za zgiełki?.. żona z krzesła spada!

II. OBYWATEL.

Krew się rzuciła z trupa.

I. OBYWATEL.

Cóż to znaczy?

II. OBYWATEL.

Zabójców w tłumie trup sam wyszukuje. —

CESARIO.

Giani! oddalmy się, tu niebezpiecznie.

GIANI.

Tu? — co ty mówisz!.. możeli być jakie
Niebezpieczeństwo przy niej? — Patrzaj na nią —
Od niej strach żaden nie trąca mi duszy
I nie zaraża. Patrzaj teraz na nią:
Spokojna — jako cyprys, nadto smutny,
Aby nim ruszył wiatr... nieporuszona —
A te galonki, co się zowią łzami,
Ze srebra, lekko u szat zaczepione
Ledwo łyskają przy pochodni blasku.

CESARIO.

O Giani! Ty się odsłoniłeś cały —
Syn zabitego ma ciebie na oku...
(Tomaso przystępuje do Gianiego i chwyta go).

GIANI.

Puszczaj mnie!..

TOMASO.

Śmiałku, krew cię oskarzyła!
Patrzcie! to z domu Orsinich młodzieniec —
Na niego to krew wytrysnęła z trupa.

GIANI.

Czego ten człowiek blady chce odemnie?

TOMASO.

Zabiwszy trupa przyszedłeś na pogrzeb?
Przepowiedziałem, że się w tłumie kryje
Jakiś z Orsinich — szpieg, albo zabójca.

GIANI.

Nie jestem jednym ani drugim — a ty?

TOMASO.

Cóż to człowieku? ja syn zabitego...

GIANI.

A więc do pochwy włóż twoje żelazo,
Bo ja nie będę nigdy twoim wrogiem!

CESARIO.

Oszalał! Giani co słyszę? — oszalał!
Cenci, ja także jestem na usługi
Twojej wściekłości — ja także z Orsinich.

TOMASO.

Oba mi za krew ojca zapłacicie...
(bije się z Cesario — Cesario pada).

CESARIO.

Giani! zabity jestem — o! zabity —
Pomścij się za mnie...
(umiera).

GIANI.

O! drogi Cesario!..
Co ja zrobiłem?!.. (do Tomasa) Broń się—ty mój krewny!

TOMASO.

Nie jestem z tobą wcale spokrewniony —

GIANI.

Krewnym nazwałem cię od krwi — broń serca!..

(biją się — wpada BEATRYX).

BEATRYX.

Stójcie!.. już dosyć krwi na mojéj duszy!

TOMASO.

Milcz ty szalona!..

BEATRYX.

Panie! ty nam przebacz
I zabierz z sobą ciało przyjaciela,
A prędzéj progi opuszczaj fatalne!

GIANI.

Te progi?

BEATRYX.

Odejdź!

GIANI.

Te progi?

BEATRYX.

Oddal się!
Trumnie téj strasznéj zastępujesz drogę —

GIANI.

Niech mię oddali trumna, ale nie ty...

BEATRYX.

Nie rozkazują trumny — lecz słuchają —

GIANI.

Lecz posłuszeństwo mnie położy w trumnę.

TOMASO.

Siostro, ja mu dam odpowiedź na szpadzie...

GIANI.

Śmierć moję zostaw siostrze...

BEATRYX.

O! bezwstydna!
W żałobie słucham, czego nawet w bieli
Nie winnam słuchać! Odejdź stąd, młodzieńcze!
Ten dom nieszczęściem przepełniony — odejdź.
Weź tę gałązkę smutnego cyprysu,

Abyś miał ubrać w co — ostygłe ciało
Twego martwego przyjaciela. Bądź zdrów! —
Tomaso, prowadź mię na czarne krzesło.

GIANI.

Jestem bez mowy, bez myśli, bez czucia.
Cesario! ty mi kupiłeś ten cyprys
I zapłaciłeś śmiercią — O nieszczęsny!..
Mieszczanie! trupa mi nieście do domu!
(wychodzi i pogrzeb mija; ciało Cesaria wynoszą).

SCENA V.

(Dom Cencich. PIETRO NEGRI).

PIETRO.

Łzy nastrajają serce do miłości.
Teraz czas! Wróci z pogrzebu płacząca —
Odejmę maskę i pokażę siebie
Takim, jak jestem. — Kiedy miasto całe
Przerażającym hukiem dzwonów wyje:
Użyję mocy podszeptów i miodu,
Nakłaniających rad do tajemniczych
Słodyczy. Jeśli się oprze — zabiję!...
To jednak dziwna rzecz, jak się ta miłość
I ta nadzieja we mnie połączyła
Z wiedzą wewnętrzną mej własnej brzydoty...
Dotychczas wiodłem życie pełne brudu,
Nędzy, pogardy, i niejednę ślinę
Miałem na twarzy; bękart — ...., syn .....,
Wziąłem się kiedyś do pędzla i każda
Z wymalowanych przezemnie piękności
Z płótna mi jak psu urągała, krzycząc:
Masz mnie na płótnie cichą: żywa — plunę!...
Podarłem wszystkie te widma — i teraz
Próbuję ciepłych ciał — a w mych namowach
Jestem malarzem żądzy...
(wchodzi BEATRYX).

BEATRYX.

Cóż się dzieje
Z moją omdlałą matką?

PIETRO.

Ocucona.

BEATRYX.

Pójdę ją cieszyć...

PIETRO.

Widok twój, Signora,

Rozrzewni —

BEATRYX.

Powiédz: przestraszy —

PIETRO.

Signora,

Kogożby twoja postać przeraziła?
Lecz twoja matka jest w okropnym stanie!
Żółta jak drewno — wyjąca jak wicher —
Przeklina wszystko — gnie palcami srebra,
Rzuca z lekarstwem kryształy o ścianę —
Synka małego, gdy zawołał mamo,
Za krtań chwyciła i zaczęła dusić
Krzycząc: przeklęty dzień twoich urodzin!..

BEATRYX.

Powiedz mi, Pietro Negri, czy tak ma być
Aż do skończenia świata w naszym domu?
Czy ciągle w sercach będą rosły bole?

PIETRO.

Jeżeli w serce nie zachwycisz ognia
Od jakiéj innéj żądzy, to sumienie
Krzewić się będzie wiecznie i gryść serce.

BEATRYX.

Jakąż ja żądzą mogę karmić duszę?

PIETRO.

Miłość!..

BEATRYX.

Któż mego serca się nie zlęknie?

PIETRO.

Każdy, kto ciebie Signora zna dobrze,
Kto umie w zbrodni nawet szukać cnoty.
Gdyby nie mój garb — o! gdyby natura

Dała mi ciało odpowiednie duszy —
Albowiem ja wiem, że zwyczajna miłość
Od zmysłów bierze pierwszy popęd, który
Znów przez uczucie traci swą cielesność
I w jedno zmysły i duszę jednoczy.
O! gdyby moje czoło pomarszczone
Było tak gładkie, jak czoło pierwszego
Głupca na świecie, który nigdy nie czuł
Żadnego ognia ani namiętności!
Gdybym był jeszcze nie pewny, że każda
Niewiasta daje się złowić za skrzydła
Przez miłość własną — i wtenczas szczęśliwa,
Kiedy tę bańkę mydlaną obaczy
Swatem pomiędzy nią a jéj kochankiem —
Gdybym nie wiedział, że wszystkie kobiety
Na ubior patrzą, pióra i trzewiki...
Ja, który chodzę ubogo i boso —
Wierzaj mi — śmiej się z tego, co wyrzeknę —
Sądziłbym wtenczas, że cię tylko moja
Miłość zrozumieć może — i ocalić...
Śmiej się! patrz, jestem garbaty — co mówię,
Nie może żadnej mieć wagi zamiaru.

BEATRYX.

O mów! bo moja myśl te słowa chwyta.

PIETRO.

Miłość dziwaczną jest i fantastyczną.
Łączy pomiędzy sobą ludzi w pary —
Nie żąda nawet podobieństwa — owszem
Z przeciwieństw często jedność dziwną tworzy,
Jak owę dziwną platońską istotę
Androginesem nazwaną —

BEATRYX.

O! miłość!

PIETRO.

Wzdychasz!.. I twoje łzy, jak niespokojne
Rosy perełki na trzęsionym kwiecie,
Łyskają w oczach. W ziemię utopiłaś

Oczy rozwarte, błyszczące i chciwe.
O! takie oczy nie widzą, lecz tworzą
Same obrazy — i na utworzone
Patrzą z litością lub zamiłowaniem...
(na stronie)
Dotąd ją ojciec trzymał uwięzioną,
Nikogo nie zna...

BEATRYX.

Czy ty mnie nie zdradzisz?

PIETRO.

Przysięgą tobie dodam zaufania.

BEATRYX.

Pocałuj ten krzyż — tu, gdzie plama — tutaj!
Ten krzyż na piersiach miałam dziś — przysięgnij!

PIETRO.

Na ten krzyż i na piekło...

BEATRYX.

Przysiąż na mnie,
Bo ja straszniejsza, niż piekło —

PIETRO.

Przysięgam
Na wdzięki twoje i na oczy twoje!

BEATRYX.

Ja kocham...

PIETRO.

Nie kończ!..

BEATRYX.

Już wiesz?—Ty widziałeś.
Jak stałam przed nim — byłeś na pogrzebie.
On się zapatrzył we mnie i upuścił
Krwawe żelazo. Idź, szukaj go, Pietro,
Powiedz mu wszystko, tak jakbym ja sama,
Gdyby mię nazwał czystą i niewinną,
Wszystkobym usty drżącemi wyrzekła.
Idź — znajdź go — powiedz, żem ojca zabiła,
I patrz mu w oczy — i zapisz to w sercu,
Co jego oczy czarne odpowiedzą,

Bo to mi będzie sądem, karą, śmiercią!..
Lecz kiedy wierzyć nie zechce: wróć do mnie,
Bo to jest człowiek czysty — i po drodze
Kup mi trucizny. Lecz jeśli zapyta,
Dla czego ojca zabiłam — to powiedz,
Że przeczuciami dawno rozkochana
W nim jednym, jemu broniłam wierności
I ciała mego okupiłam czystość
Straszną ofiarą. — Idź — wszystko to powiedz;
Bo chociaż żadnéj nie karmię nadziei
Zgubiona, krwawa i przerażająca,
Choć bez nadziei: — nie jestem gotowa
Umrzeć, nim on mię potępi... bez serca.

PIETRO.

Któż jest ten człowiek?

BEATRYX.

Raz go zobaczyłam,
Nie wiem nazwiska...

PIETRO.

Jak go poznać, po czém?

BEATRYX.

Pytaj się o dwóch, co dziś na pogrzebie
Mojego ojca szpad dobyli razem.
Jeden z nich martwy — drugiego ja kocham!
Pietro! jeżeli tobie nie uwierzy,
Że jestem krwawą i winną: przyprowadź
Pod moje okno; a ja go przekonam,
Że mnie nie można kochać. (odchodzi).

PIETRO.

O! fatalność!
Miłość straszliwym płomieniem wybucha
Z téj okropnicy... Co robić? — co robić?..
Jéj ciało dla mnie, a jéj dusza piekłu!

SCENA VI.

(TOMASO — PIETRO NEGRI).

TOMASO.

Gdzie są niewiasty?

PIETRO.

W komnatach.

TOMASO.

O Pietro!

Jestże to straszny sen ta noc okropna?
Jaki dom teraz pusty!..

PIETRO.

Tak zwyczajnie.

Przed dziećmi muszą umierać rodzice.

TOMASO.

Stojąc nad grobem, gdy spuszczano trumnę,
Musiałem rzucić garść gliny do grobu.
Ścisnąłem ziemię w ręku, i krew czarna
Wyciekła z garści — jako praczce, kiedy
Czerwone chusty pierze... ha!

PIETRO.

Przesądy!

TOMASO.

Cóż mówisz o tych trzech jędzach?

PIETRO.

Widzenie!

TOMASO.

Przynajmniej siostra spokojna i matka?

PIETRO.

Byle milczały...

TOMASO.

Czy się lękasz o nie?

PIETRO.

Uważaj dobrze, a w siostrze spostrzeżesz
Dziwny fenomen. Ta zbrodnia jéj cięży
I chce ją zrzucić z siebie — niespokojna;
A to uczyni, skoro się narai
Pora — i jaki powiernik. Uważaj,
Ona się brzydzi nie krwią — lecz przymusem
I fałszywością. W pierwszej to rozmowie
Spostrzeżesz.

TOMASO.

Co ty mówisz? —

PIETRO.

Słuchaj!
To jest rzecz ważna. — Ona dziś widziała
Człowieka, który nas zgubi. Uważaj,
Ona ci powie bezwstydnie, że kocha
Tego człowieka; — nazwij to szczerością,
Ale ta szczerość w młodéj i niewinnéj
Jest nadzwyczajną — i źle bardzo wróży...
Jest to jakoby duma grzechu. Rozważ,
Przez zapłonienie miłość się objawia
W zwyczajnych sercach; lecz u niej — przeciwnie
Przez bladą hardość...

TOMASO.

Precz z nią! do klasztoru!

PIETRO.

Dobra myśl! klasztor... klasztor... w saméj rzeczy,
Nie widzę innéj rady. — Na Montorio
Jest jeden klasztor pod moim dozorem.
Tam ją osadzić, a choćby przymusem!..

TOMASO.

Chodź, pogadamy o tém z naszą matką.

(wychodzą).

SCENA VII.

(Dziedziniec w domu Cencich).

TRZY WIEDŹMY.

1.

Skwarno! skwarno! ciemno! skwarno!
Słońce piecze — w bramie czarno.
Tu krew każdy dyabeł zwącha...
Pod fontanną tętni koncha
Din, din, słyszycie? din don —
To jest płacz za ojca zgon,
To płacz za piekielne dusze...
Co robisz?

II.

Gołębia duszę,
Licom cery dobrej doda...

I.

Rubinowych nóżek szkoda!
Biały jak śnieg — biały jak śnieg,
Z ptaszęcia krew — rumieniec stręg —
Na kogo tu czekasz, ty maro?

III.

Przyjdzie tutaj w porę szarą
Bieliznę prać...

II.

Bieliznę prać?
Powiedz, kto? czy córka, czy mać?

I.

Sza! sza! obie... sza! dom pusty,
Przyjdą prać czerwone chusty...
W czarnej bramie — sza! do kąta!
Niech się gospodyni krząta!
Ohydna!.. ohydna!.. ohydna!
Patrzcie, w korytarzu widna,
Idzie tu, chusty rozwinąć
Jęknąć i wrzeszczeć i truchleć i zginąć.
(Giną z jękiem).

SCENA VIII.

(Wchodzą MATKA CENCI i BEATRYX).

MATKA.

Słyszałaś ten jęk, córko?

BEATRYX.

To był plusk fontanny.

MATKA.

Gołąb skrwawiony, patrzaj, w konsze pływa.

BEATRYX.

Idź, matko — umysł ty masz nastrojony
Do strasznych wrażeń...

MATKA.

Daj mi zawinięcie.
Trzeba te rzeczy wyprać — stań przy bramie!
Jeśli usłyszysz kogo, krzycz na Boga,
Żeby nas niezszedł kto...

BEATRYX.

Bojaźń ohydna!..

MATKA.

Czy rusztowania chcesz? Daj mi bieliznę —
A gdzie koszulka dziecka? — — ha!..

BEATRYX.

Brr... zgroza!...

MATKA.

Patrz, ile tu krwi! na rany Chrystusa,
Ten się człek krwawił strasznie... Czy kto idzie?

BEATRYX.

Ulica pusta w upał południowy.

MATKA.

Ja słyszę jakieś... cyt... cyt!.. Ktoś tak syka,
Jakby nakazać chciał święte milczenie...

BEATRYX.

To świerszcze...

MATKA.

Świerszcze?..

BEATRYX.

Cóż dajesz mi chusty?
Ja się nie dotknę tych chust — wolę umrzeć!...

MATKA.

Umrzesz nieszczęsna, umrzesz ty okropnie,
Dumna dziewczyno!

BEATRYX.

I dobrze...

MATKA.

O! dobrze!
Śmierć jest przepaścią czerwoną — ha!

BEATRYX.

Ciemną!

MATKA.

Mocno wlepiwszy oczy w samo łono
Rzeczy pośmiertnych, można widzieć więcej,
Niż ci się zdaje... Rozwieś tę bieliznę,
Niech wyschnie — powieś koszulkę dziecinną
Tam — ot na krzyżu!

BEATRYX.

Zgroza! dom szalonych!..
Matko! nie szukaj córki...
(otwiera bramę i ucieka na ulicę).

MATKA.

Gwałtu — gwałtu!
Tomaso! Pietro! Moja córka! gwałtu!

SCENA IX.

(Wpadają TOMASO i PIETRO).

TOMASO.

I cóż się stało?

MATKA.

Przeklęta! biegajcie!
Brama otwarta — za nią! o przeklęta!..
Tu przyprowadźcie żywą lub umarłą!
Uciekła z domu — krew wyniosła z sobą —

TOMASO.

Już jej nie widać, matko, na ulicy!
Gdzież biec?..

MATKA.

Ach! sen mój wyniosła i ciszę!...
Bieżcie na wszystkie strony i pytajcie,
Czy kto nie widział, gdzie poszła —

TOMASO.

Cóż, Negri?

PIETRO.

Idź! szukaj siostry! Rozsądną ci dałem
Radę, gdym radził zamknąć do klasztoru.

Biegnij i szukaj jej po całym Rzymie,
A ty Signora... idź i módl się...
(wychodzą TOMASO i MATKA CENCI).
Piekło!
Co mam tu ginąć z tą czarną rodziną?..
Wolę ocalić się jako delator. (wychodzi).

SCENA X.

(Ogród klasztorny — OJCIEC ANSELMO kopie — GIANO GIANI).

GIANI.

Ojcze, te furye trzy w rękach skościałych
Trzymały głowę uciętą — a moje
Oczy w téj głowy oczach utonęły
Jako w głębokiém morzu zachwycenia.

ANSELMO.

Słucham, mów daléj. — Chociaż teraz myślę
O tych cebulkach w ziemi pogrzebanych,
W których są dziwne anioły kolorów,
Zmartwychwstające pod promieniem słońca:
Nie jestem wszakże bez ucha dla ciebie,
Młodziku żywy, z ognia — mów więc! Głowa
Była tak piękną, żeś ją zapamiętał
I z mózgu swego przeniosłeś na płótno,
A potém obraz swój postrzegłeś żywy?
Rzecz to jest dziwna, lecz prawdopodobna.
Przynieś mi obraz, przynieś — niech zobaczę.
Bowiem natury każda tajemnica,
Zwłaszcza natura przeczuć, była zawsze
Celem rozwagi mojéj — przynieś obraz!
(wychodzi GIANI).
Nie trzeba sprzeczać się z młodością, ale
Potakiwaniem skłaniać do ufności.
A tym sposobem uzyskawszy władzę
Nad tą ognistą, stopniami ochładzać. —
Starości siła leży w odwlekaniu
Nauk, aż pora sposobna się zdarzy.
Inaczéj czyniąc, stary się rozbraja...

Któżto z ulicy stuka do klasztoru?
Co widzę? jakaś Signora... w żałobie!..
(wchodzi BEATRYX zakryta).

BEATRYX.

Ścigana jestem — dzięki, żeś otworzył!
Chwilę mi tylko pozwól, dobry Ojcze,
W twoim ogrodzie skryć się, tylko chwilę!

ANSELMO.

Signora —

BEATRYX.

Czy tu jesteś sam?

ANSELMO.

W tych murach
Ja tylko jeden, oraz pewien malarz,
Człowiek dyskretny — chociaż bardzo młody.

BEATRYX.

Możesz mię ukryć Ojcze do wieczora
I sam być tylko moim powiernikiem?

ANSELMO.

Signora, malarz ów za chwilę wróci.
Jeżeli nie chcesz, aby cię zobaczył,
W tej bukszpanowej ukryj się alei.
Skoro wyprawię młodzieńca z ogrodu,
Dam ci schronienie; a co jeszcze lepsza,
Radę staruszka... bo jej potrzebujesz
Jak widzę, cała drżąca, niespokojna —
Już słyszę... idzie korytarzem — skryj się!
(BEATRYX wchodzi do alei, która arkadą swoją otwarta jest dla sceny).
Zwolna a zwolna wyprawmy malarza.
(kopie — GIANI wchodzi z obrazem).

GIANI.

Patrz na nią —

ANSELMO.

Boże, co widzę?

GIANI.

Czy znasz ją?..

Czego oglądasz się na wszystkie strony?
Czy teraz ci ją pokazały duchy?
Czy furye były tu?

ANSELMO.

Ciszéj, człowieku!
To jest podobny obraz —

GIANI.

Dla niéj zginąć!..

ANSELMO.

Czyś tu na kogo dziś czekał, mój synu?
Zakryj ten obraz i odnieś do celi;
Sam nie uważaj, że słońce — idź, przejdź się!
Ty masz gorączkę... Odwiedź Orsiniego.
Od czasu lekce ważysz jego względy,
Jego paternum amorem... rozumiesz?
Takie się rzeczy mówią po łacinie,
..ęzyk umarły jest czysty dla ucha...

GIANI.

Ty mię oddalasz?.. Lecz miłośnik hardy,
Jeśli się waży raz zrobić wyznanie,
Jak bluszcz przyczepia się do powiernika
I ssie go listki wszystkimi. — Mój Ojcze,
Ja kocham! jam ją widział — kocham duszą —
Kocham z rozpaczą — kocham ją szalenie —
A jednak mądrze kocham! Bo z tysiąca
Ona najczystszą jest i najpiękniejszą!
Pomyślał o niéj Bóg, gdy tworzył słońce
I z myśli światła ją stworzył — a ona
Dała początek tęczom i kolorom,
Które ze słońca duszy mają duszę!..
Gdy myślę o niéj, braknie mi powietrza —
Jestem jak człowiek, który we śnie lata
I czuje, że mu nie stanie błękitu
Albo odwagi —

ANSELMO.

Czy wie, że ją kochasz?

GIANI.

Jam ją raz tylko widział...

ANSELMO.

Kiedy?

GIANI.

Dzisiaj —

ANSELMO.

Gdzie?

GIANI.

Na pogrzebie jej ojca —

ANSELMO.

Nazwisko?

GIANI.

Cenci —

(wychodzi BEATRYX)

BEATRYX.

Strasznego wywołałeś ducha!

ANSELMO.

Wyście tu starca podeszli oboje!
W ogrodzie schadzka miłosna!..

BEATRYX.

Milcz księżę!..
Ja teraz jestem strasznie zatrudniona
Czytaniem duszy na tej bladej twarzy.
Oddal się księże — zostaw! My się znamy —
Ja jestem jego siostrą. (do GIANIEGO).
Każ mu odejść!

GIANI.

Ojcze! mój dobry! oddal się — na Boga!
Jestem w tej chwili niebezpieczny —

ANSELMO.

Przemoc?!

GIANI.

Idź do szatana, dziwny, głuchy starcze!
(wypycha go do klasztoru).
(Giani przez chwilę w milczeniu spogląda na Beatrycze, którą widzi w rozpaczy).

GIANI.

Pani! dlaczego twoje ręce białe
Dręczą twe włosy... oczy zakrywają?

Czemu twe usta drżą? — Czemu się cofasz,
Jak do ucieczki nimfa obrócona,
I znów niepewnym stąpasz naprzód krokiem?...
O! powiedz...

BEATRYX.

Słuchaj! nie wiem, kto ty jesteś!
Ale przez twoje ręce pragnę skonać!
Ale przez twoje ręce — być zabitą,
A przez twe oczy, tak smutne — płakaną,
A przez twe serce czyste — przebaczoną....
Czy ty masz sztylet? — o daj! o daj!

GIANI.

Sztylet?
O! co ty mówisz? co mówisz? O! patrzaj,
Ja na kolanach proszę, abyś żyła;
Abyś mi dała życie z twojéj ręki;
Abyś mi dała oczu twoich niebo,
A jednèm słowèm twojem — nieśmiertelność!...

BEATRYX.

O! śmierć ja daję, nie zaś nieśmiertelność!

GIANI.

Twoim kochankom?

BEATRYX.

Tak! moim kochankom...

GIANI.

Ja ciebie kocham — chcę umrzeć!...

BEATRYX.

Z daleka!
Z daleka! Czy wiesz? czy wiesz, co się stało?
Cenci zabity.... ja....

GIANI.

Księże Anselmo!

BEATRYX.

Nie wołaj księdza!.. ja zabiłam ojca —
Splamioną byłam — ha!!

GIANI.

Padre Anselmo!
(Wchodzi ANSELMO).

Weź tę umarłą! — Ja pójdę po trumny,
Po dwie — po jednę tylko....lecz szeroką! *)

(zasłona spada).

---

*) Pierwszy rzut zakończenia tego aktu był taki:

BEATRYX.

Powiedz, czy serce twoje tak głębokie,
Jako grobowiec? Chodź, powiem ci straszną
Historyą... słuchaj — jestem czysta cała;
Ale te ręce — patrz, te małe ręce,
O! to rąk białych dwoje... ha! te ręce...
Zbliż się, te ręce były we krwi — — i cóż?

GIANI.

Gołębia?

BEATRYX.

We krwi człowieka!

GIANI.

Nieszczęsna!

BEATRYX.

I były we krwi ojca...

GIANI.

Święty Boże!

BEATRYX.

Lecz mię ten ojciec plamił...

GIANI.

I zabiłaś?!...

Księże! kobietę tę weź, wyspowiadaj!
Ja pójdę i dwie każę zrobić trumny.

AKT TRZECI.

SCENA I.

(Ulica — OBYWATELE).

I. OBYWATEL. Mości Pamfilio, cóż nowego słychać?

PAMFILIO. Ogromna zbrodnia! Cenci zabili ojca. Aresztowano tój nocy matkę i syna i dziecko małe — lecz córka uciekła.

II. OBYWATEL. Rzecz niesłychana! Któż wydał?

PAMFILIO. Abate jakiś, zwie się Pietro Negri.

I. OBYWATEL. Kiedyż będą sądzić?

PAMFILIO. Niewiadomo.

I. OBYWATEL. Ja ci powiadam, że to Orsinich zawiść z Kolonnami, a nie żadna zbrodnia. To pretext. Cenci był prawą ręką dyabła Kolonny.

II. OBYWATEL. Zbrodnia, Panie Pamfilio, zbrodnia! Tryumf nad cnotą! Zbiry znaleźli łóżko krwawe i sztylet pod łóżkiem.

I. OBYWATEL. Doprawdy?...

PAMFILIO. I na ścianie z prawej strony rękę krwawą — jak mi Bóg miły — z pięciu palcami na ścianie...

I. OBYWATEL. Czy być może?

PAMFILIO Któreś z zabójców musiało się zachwiać i oparło się o ścianę. Teraz lud się kupi i nawiedza dom, gdzie ta krwawa ręka jak nietoperz oczy przeraża.

II. OBYWATEL. I lud nie roztargał zabójców?

PAMFILIO. Aresztowano ich w nocy, dziś o ósmej godzinie. Nikt o tem nie wiedział, wszystko odbyło się spokojnie.

I. OBYWATEL. Chodź Waćpan — opowiedz mojej żonie wszystkie szczegóły. Proszę na wieczerzę i na butelkę Kianti. To rzecz ciekawa... Ojca zabili!.. Ja się tylko dziwię, że taka rzecz może przyjść ludziom do głowy...

SCENA II.

(Cela klasztoru. OJCIEC ANSELMO — BEATRYX).

ANSELMO.

Zmęczona jesteś — nie łam się daremnie
Z ociężałością zmysłów! Rzecz zwyczajna,
Że po ogromnéj gorączce — strętwienie.
Oto jest łoże, twarde — lecz spokojne;
Ja na niém miałem ciche sny i dobre.

BEATRYX.

Jak wróci, to mnie obudzisz...

ANSELMO.

Śpij cicho.
Zostawię lampę przy tobie — dobra noc!
(wychodzi).

BEATRYX.

Jestem jak kamień — O Jezu kochany,
Czuwaj nademną! Oczy mi się kleją,
Jakby na rzęsach krew gęstniała lipka. (Usypia).
(Zjawia się cień OJCA CENCI).

CIEŃ.

Piekło mi z ognia dało wyjść, i ciebie
Przerazić śpiącą. Wczora było ciemno —
Nie przypatrzyłaś się memu trupowi
I posiniałéj twarzy! Co? Czy dosyć?...
Muszę ci zimną ręką dotknąć piersi —
Muszę wzdrygniętą widzieć — i posłuszną...
Wstań, i odprowadź mię z lampą do trumny!
(Beatryx wstaje śpiąca i bierze lampę).
Za mną — za mną — pod ziemię śpiąca za mną!
(Wychodzi — Beatryx za nim).

SCENA III.

(Wchodzą OJCIEC ANSELMO i GIANI).

ANSELMO.

Synu mój, ona tu śpi. Chcesz ją zbawić?
Zbudź i wyprowadź przez drzwiczki ogrodu.

Zbiry chcą trupa rewidować ciało —
Muszę z latarnią prowadzić do lochów.

GIANI.

Ojcze! to łóżko próżne...

ANSELMO.

Być nie może!
Te drzwiczki na klucz zamknięte — klucz u mnie!

GIANI.

Ona stąd wyszła...

ANSELMO.

Zbiry już stukają,
Muszę otworzyć...

GIANI.

Chciałem się z nią otruć —
Ja jej katowi nie dam! Księże! zdrajco!
Ty ją gdzieś ukrył...

GŁOSY Z ZEWNĄTRZ.

Otwórzcie! justycya!

GIANI.

Jeśli ją wydasz — patrzaj, śmierć! (grozi sztyletem).

GŁOS.

Otwórzcie!

ANSELMO.

Zgubisz mnie! — święta Inkwizycya czeka...

GIANI.

Na wszystkich dyabłów księże! — pod sztyletem
Wyznaj, gdzie ona? — Wyznaj — bo na Boga
Sztylet uczujesz w sercu!..

ANSELMO.

Gwałtu! gwałtu!

GIANI.

Milcz! na Chrystusa mów! Nim drzwi wyłamią,
Będziesz jak kamień — — —

ANSELMO.

Cóż ja ci odpowiem?
Wyszła — uciekła — skoczyła do Tybru —

GIANI (obalając go).

Dyable!..

ANSELMO.

Zabójstwo!!

(Wywalają drzwi. Wchodzi INKWIZYTOR, PIETRO NEGRI, DON LUCENZIO prawnik i ZBIRY).

SCENA IV.

INKWIZYTOR.

W imię zbawiciela!
Tu się gwałt dzieje! Podnieście go z ziemi! —
Dlaczego księże drzwi nie odemknąłeś — ?
Kto się sprzeciwiał prawu?

ANSELMO.

Moja starość,
Moja zgrzybiała starość, Monsignore.
W nogach rumatyzm siedzi — i musiałem
Wołać na pomoc Signora malarza,
Który tu w bliskiéj celi ma warsztaty.
Nim przybiegł, czekać musieliście trochę...

INKWIZYTOR.

Prowadź nas księże do kościelnych lochów,
Gdzie leży człowiek dzisiaj pochowany.
Obejrzeć przyszliśmy występku lice
I ślady wszystkie porównać z delacyą.

GIANI.

Któż delatorem jest?

INKWIZYTOR.

Pytanie śmiałe!
Oto jest — Pietro Negri...

GIANI.

Co ja widzę?
Mój brat — stracony mój brat — Gino — brat mój!

PIETRO.

Tak — uściskajmy się, Giani...

GIANI.

Nikczemny!

(plwa mu w oczy i wychodzi).

INKWIZYTOR.

Księże, weź klucze i prowadź do lochów.

(wychodzą).

SCENA V.

(Lochy kościelne).

(Wchodzi CIEŃ CENCI, za nim BEATRYX śpiąca).

CIEŃ.

Pościel mi w trumnie, bo nie mogę zasnąć,
Lecz pierwéj ręce obetrzyj! — Tu trumna...
(Beatryx ściele trumnę).
Dobranoc! przykryj mię wiekiem na wieki.
O! jak tu zimno — Córko, dobréj nocy!
Długiéj, ostatniéj, ciemnéj, wiecznéj, dobréj!
(Kładzie się do trumny. Beatryx go wiekiem przykrywa).

BEATRYX (budząc się).

Gdzież jestem? byłże to sen? gdzie ja przyszła?
Ja tu nie sama szłam, lecz prowadzona
Przez jakieś widmo blade. — O! czym we śnie?
Czy mi się śniło, że memi rękami
Słałam skrwawioną pościel trupa w trumnie?..
Jezus Maryja! — ha! — czy pochowana
W letargu — żywom się tu obudziła
I będę jadła z głodu moje ręce,
Skrwawione moje ręce?.. Okropności!
Trumny otwórzcie się jedna po drugiéj,
Bo nie wiem, która moja, pusta trumna,
Tylko przeczuciem jednę z was poznałam —
Tę, z któréj moje oczy... przez szczeliny
Krew wysysają. — O! to drzewo jęczy!..
Ha! kto mnie woła?.. ha!.. ratujcie ducha!..
(Wchodzą ANSELMO, INKWIZYTOR i ZBIRY).

INKWIZYTOR.

Z pochodnią księże, z pochodnią przed nami!

BEATRYX.

Ojcze!..

ANSELMO.

Nieszczęsna, cicho!.. (gasi pochodnię).

INKWIZYTOR.

Co to znaczy?
Kto tu zagasił pochodnię?

ANSELMO.

Wiatr grobów
Buchnął z otwartych drzwi i zgasił światło...
(cicho do Beatryczy)
Signora, skryj się za trumny...

INKWIZYTOR.

Kto szepce?

ANSELMO.

To ja z przestrachu w grobach mówię pacierz –
(do Beatryczy)
Signora, skryj się! — już poszli po światło —
Matka i bracia twoi uwięzieni —
Z nami delator jest — jakiś Don Pietro...

INKWIZYTOR.

Z kim ty rozmawiasz w grobie?

ANSELMO.

Monsignore,
Jest to zwyczajem starości, chorobą,
Starzy do siebie mówią... (do Beatryczy) Nieszczęśliwa!
Biedny mój malarz umrze, jak się dowie...

BEATRYX.

Czy z wami przyszedł?

ANSELMO.

Nie —

BEATRYX.

Więc go pożegnaj!
Drżałam należąc do niego — lecz teraz
Jestem własnością ludu i aktorką.
On wydarł ze mnie więcej, niż ogniste
Wydrą tortury, niż ta blada mara,
Która mnie tutaj prowadziła... Powiedz —
Lecz nie! — najlepiej do serca kochanka
Mówi milczący grób. Ten mnie wyprosi
Od zapomnienia... Przyszli z pochodniami —
Prowadź mnie do nich i powiedz, kto jestem.

ANSELMO.

Tu Monsignore, przez zrządzenie boskie
W grobie znalazła się Signora Cenci,
Która się sama dla uniewinnienia
W sprawiedliwości oto daje ręce...

INKWIZYTOR.

Gdzie jest delator? niech ją pozna!

PIETRO.

Boże!

BEATRYX.

Od wczoraj tyle rzeczy szlachetniejszych
Wygluzowało tę twarz z mego serca,
Żem go na wieki zapomniała. — Bądź zdrów!..
Widać, że garb twój był tylko tłomokiem,
W którym nosiłeś podłość. — Bądź szczęśliwy!
Więcej nie powiem nawet na torturach —
Jesteś kamieniem dla mnie — żyj spokojny!

INKWIZYTOR.

Otwórzcie trumnę —

BEATRYX.

Ten trup przed minutą
Zasnął, a wy go znowu turbujecie.
We mnie jest także pierś z krwawemi usty,
Która wygada więcej, niż ten człowiek,
Jeśli mię wasze tortury przymuszą...
(Trumnę otwierają).

INKWIZYTOR.

Zapisać! piersi rozdarte sztyletem —
Sztylet do rany przypada. — Signora,
Teraz cię będę konsygnował ja sam
Barygielowi świętego Anioła.
(wychodzą).

ANSELMO.

Bogdaj ją Anioł zbawił!..biedna ona! —
Lecz cóż?—Skończona rzecz! nic nie pomogę.
Już zorza — pójdę sadzić moje kwaty.
(wychodzi).

SCENA VI.

(Pałac Orsinich).

(ORSINI — i komisarz sprawiedliwości DON LUCENZIO).

ORSINI. Ciemna zbrodnia — straszna zbrodnia! Papież przerażony, nakazał post. Don Lucenzio, czy zdjąłeś pierwszą interrogacyą?

DON LUCENZIO. Oto jest, Monsignore —

ORSINI. Zaparli się. Czy widzisz Acan w tej interrogacyi jaką sprzeczność, z którejby można wyciągnąć dowód ad confusionem?..

DON LUCENZIO. Żadnego, Monsignore.

ORSINI. To znów Kolonna będzie szczekał po Rzymie, będzie obgadywał moję sprawiedliwość—sprawiedliwość, Don Lucenzio, która jest siostrą Ukrzyżowanego, a matką prawa.

(Wchodzi Przełożony Zbirów).

ZBIR. Rzecz dziwna, prawdziwe boskie zrządzenie! W grobie Cencego znaleziono córkę Cencego. Podinkwizytor ją aresztował

ORSINI. Don Lucenzio, zdjąć z niej interrogacyą, lecz łagodnie, bez przymusu—ale zręcznie! Okropna zbrodnia— ludzie zamieniają się w Etyopów. Przysłać mi tu Pietra Negri! Ja go sam wypytam, wyssę, wycisnę, wymyję go mydłem, pod którem puści, jeżeli źle farbowany —

(Wychodzą Zbir i Lucenzio).

Jakże to smutnie wykrywać z urzędu
Błędy ludzkości i szaleństwa krwawe!
Każdy dzień, w którym sądzę drugich ludzi,
Ciągnie bezsenną noc — a co jest gorsza,
Dukata ciągnie dla Eskulapiego,
Który mię potém z bezsenności leczy.—
Ta krwawa zbrodnia nie ujdzie bezkarnie...

(Wchodzi PIETRO NEGRI).

Ten mię garbaty człowiek we śnie ściga.—
Przystąp tu Acan — podnieś Acan oczy!
Muszę Wacpanu tu rzec bez ogródek,

Że jego sprawa zły bierze kierunek,
A brak dowodów oczywisty... Primo:
Mieszczanie świadczą, że Wacpan najpierwszy
Zbudziłeś miasto, wołając ratunku
Owéj to nocy, kiedy Cenci zginął.
Nie mogę tego Wacpanu zataić,
Że się zabójca odkrył sam, i równie
Jest uwięziony. Delacya Wacpana
Może mieć bardzo złe, bardzo złe skutki!..
Wreszcie zostaje jeszcze jakaś ciemność
Circa Wacpana samego. — Kto jesteś?
Nikt ciebie nie zna — nikt się nie przyznaje
Do znajomości z tobą, szary człeku!

PIETRO.

Jeżeli o to chodzi, Monsignore,
Znalazłem w Rzymie rodzonego brata;
Ten może o mnie poświadczyć.

ORSINI. *)

Ja w Rzymie
O żadnym drugim Negri nie słyszałem —

PIETRO.

(nieśmiało — ale z poufałością).

Okoliczności nieraz przymuszają
Zmienić nazwisko...

ORSINI.

Daléj! szczerze ze mną!

PIETRO.

Mój brat malarzem jest, i Monsignore
Znasz go zapewne... Jesteśmy obadwa
Dziećmi miłości i grzechu — bliźnięta...

ORSINI.

Czy imię Negri masz z matki?

---

*) Wkładam tu ustęp ze sceny dłuższéj, którą autor w rękopiśmie przemazał. Zdawało mi się, że bez tego ustępu zbyt niejasną byłaby dla czytelnika cała tajemnica rodu i pokrewieństwa Negrego z osobami, których się to dotyczy.

Przypisek Wydawcy.

PIETRO.

Nie, wcale!
Imię to wziąłem z malarstwa, od czerni...
Przedtém nosiłem imię nieco bielsze,
Które mój dotąd nosi brat...

ORSINI (zagadując).

To dobrze!
Wacpan się staraj o świadectwo, dobrze!
Ale to jeszcze nie koniec, mój Mości!
Ta zbrodnia, to jest ta delacya, pachnie
Sznurem dla niego samego! Minimum,
Że na torturze skończy się — jeżeli
Nie zdołasz prawnie dowieść zaskarżenia...

PIETRO.

Dowody jasne są —

ORSINI.

Niedostateczne!

PIETRO.

Tortury srogie są —

ORSINI.

Boleść się znosi.

PIETRO.

Sumienie gada —

ORSINI.

Nie przed ludźmi!

PIETRO.

Panie!..

ORSINI.

Cóż mówisz?..

PIETRO.

Dawniej trudniłem się sztuką — —

ORSINI.

Jaką?

PIETRO.

Malarstwem.

ORSINI.

Szkoda, wielka szkoda,

Żeś nie mógł sobie wymalować ciała,
I dać na model Bogu, nim cię stworzył...

PIETRO.

Mogęż otwarcie mówić, Monsignore?

ORSINI.

Mów —

PIETRO.

Zbrodnia taka nawet i w sądzeniu
Wymaga pewnej sztuki, a justycya
Stawszy się Muzą, poddanką Eschyla,
Winna zdjąć z czoła chustę — a przywołać
Z gwiazdami inne siostry ku pomocy.
Jeżeli moja delacya upadnie
I swym upadkiem zgniecie delatora,
Co za zysk, co za chwała, Monsignore?
Jedni powiedzą: kalumniator periit,
A ten głos znajdzie echo wyszydzenia
W pałacu Dyabła Kolonny! Lecz drudzy
Przypiszą moję śmierć Temidzie ślepej
Lub przerażonej liczbą obwinionych...
Twe Jowiszowe brwi, o Monsignore,
Próżno mi grożą, siwe kładąc chmury
Na błyskawicach. Jestem w mojem prawie
I mogę mówić wszystko na obronę.
Więc Monsignore, powtarzam, że Cenci
Winni są zbrodni, winni ojcobójstwa;
Że jeśli będzie wolno mnie samemu
(A nie przez bojaźń to mówię, lecz w chęci
Odkrycia prawdy) jeśli będzie wolno
Podać sposoby, którymi być może
Zeznanie zbrodni ze zbrodniarzów miane:
Ja się podejmę! Choć wiem, że rzecz taka
Do trybunału należy, do sędziów.

ORSINI.

Miałżebyś jaki dowód pod kapturem?

PIETRO.

Nie, Monsignore! Lecz jestem artystą,
Malarzem jestem. Spróbuj, Monsignore,

Pytań, podstępów, głodu, kajdan, tortur;
A jeśli wszystko moc ludzi pokona:
Wystąpię z moją torturą — ostatnią,
Z torturą duszy, nie ciała... z torturą
Łagodną — ale okropną i pewną!..
Upraszam tylko, abyś Monsignore
Kazał mi warsztat postawić malarski
W miejscu dogodném — i czekał cierpliwie,
Aż tajemnica milczenia dojrzeje...

ORSINI.

Chodź — a w odległém pałacowém skrzydle
Każę urządzić wszystko, jako żądasz.

SCENA VII.

(W klasztorze Ojca Anselma. OJCIEC ANSELMO — GIANI).

GIANI.

Nie patrz tak na mnie, księże! Ja spokojny...
Weź rydel i kop tulipany —

ANSELMO.

Giani!
Wszystko najlepiéj Bóg wielki układa.
Gdyby się miłość ta zajęła w tobie
Karmiona dłuższą nieuwagą... — A tak
Dobrze, to będzie na przyszłość nauka —
Prędko zajęty ogień prędko gaśnie...

GIANI.

Piękny dziś ranek! słońce wybuchnęło
Gwałtownie po nad cyprysami Rzymu...

ANSELMO.

Spokojny ranek, lecz będzie gorąco,
Bo już bukszpany pachną mocno...

GIANI.

Ojcze,
Jak ty przepędzisz cały dzień?

ANSELMO.

Jak zawsze.

GIANI.

Nie czekaj na mnie z wieczerzą, mój Ojcze,
Bo noc przepędzę dzisiaj z przyjacioły —

ANSELMO.

Niech cię Bóg strzeże! — A ostrożnie, Giani,
Bo zabijają w nocy po ulicach...
Ostrożnie! Ale szukaj roztargnienia.
(wyprowadza go).

SCENA VIII.

(W więzieniu Śgo Anioła. BEATRYX — BARIGIEL).

BEATRYX.

Gdzie moja matka?

BARIGIEL.

Czekaj tu Signora.
Matka i bracia teraz na torturach —

BEATRYX.

I dziecko?!

BARIGIEL.

Dziecko tylko patrzy.

BEATRYX.

Zgroza!!
Ohydny Rzymie — o! krwawa jaskinio! —
Wy nazywacie to zamkiem Anioła?!

BARIGIEL.

Anioł brązowy na tym zamku stoi —

BEATRYX.

O! niechaj boskie strącą go pioruny!
(Wnoszą omdlałą MATKĘ. Wchodzą TOMASO i AZO).

BEATRYX.

Omdlała?

TOMASO.

Widzisz —

BARIGIEL (do straży).

Precz stąd zbiry — precz stąd!
(Wychodzi ze zbirami).

BEATRYX. Czarna godzina — módlmy się!..

AZO. Czy mama umarła?

BEATRYX. Umrze, jeżeli będziesz płakał. Powiedziała co?

TOMASO. Nic.

BEATRYX. A ty?

TOMASO. Usta moje słone — krwi pełne. Język pokąsałem z bolu, ale głowa moja do mnie należy. Skronie matce nacieraj, bo moje ręce jak rozpalone żelazo, gorące i suche. Ją posadzono na żelaznem krześle — a jam wisiał na wyłamanej ręce — w powietrzu. I targano mię, i kości moje krzyczały w ciele o pomoc; ale moja dusza zagłuszyła wołanie kości i wrzask podły cielesnych władz, zbuntowanych przeciwko językowi — łkającemu...

BEATRYX. Cicho, matka się budzi...

MATKA. Beatryx...

BEATRYX. Matko...

MATKA. Czy ja nic nie powiedziałam?..

BEATRYX. Nic.

MATKA. A wy?

TOMASO. Nic.

MATKA. Jeżeli nas Chrystus wyratuje, oddam mu część mego światła na ziemi: każę sobie wydrzeć oczy — przysięgam. A ciebie, córko, kto wydał w ręce katów?

BEATRYX. Ojciec...

MATKA. Ha!!

BEATRYX. To był sen okropny!...

MATKA. Każde z nas ma tu filar — i kamień. Jak tu straszno!... Terazby mogły wyjść te furye czerwone, gdy smutni siedzimy po kątach, i przepowiedzieć nam jutro...

TOMASO. Te okropne?...

AZO. Mamo, ja senny.

MATKA. Tu, psiątko, przy nogach, na kamieniu...

TOMASO. Głowa mi cięży, nie mogę się oprzeć snowi —

MATKA. Ha!! kto tu gadał?

BEATRYX. Poddaj się matko zmysłom, twoje myśli błądzą senne i ciężkie...

MATKA. Jezu!...

(Wszyscy zasypiają oprócz Beatryczy).

BEATRYX.

Śpią umęczeni, straszni i spokojni
W kątach — żałobne posągi nieszczęścia!..
A słońca smutny snop — jako czerwony
Piorun bez huku, ze sklepień upada
I trwa w powietrzu ciemnem nieruchomy,
Krwawiąc ciemności środek... O! tu... tu... tu...
Jestże to morze ze krwi promienistej,
W której się będę kąpała wzdrygnięta?
Czy z tego światła czerwonego wyjdą
Mary ohydne, co nieszczęścia szmerem
Dom napełniały przed czynem rąk naszych,
Zawsze przytomne, bliskie, niewidzialne...

TOMASO (przez sen).

Do mnie, Kolonna!

BEATRYX.

Mój brat przez sen gada.

TOMASO.

Mieczami kata!.. ho! tu, tu, tu lancą!...

BEATRYX.

Na swych rycerzy krzyczy — z rusztowania...
O! sen straszliwy i spełnienia bliski.

MATKA (przez sen).

Z Chrystusa płynie krew, a w piersiach słońce —
O! o! ratuj nas!

BEATRYX.

Sumienia bezsenne!..

AZO (przez sen).

O! mamo, główka moja...

BEATRYX.

I ten ptaszek?..
Władze dręczące, precz od śpiących ludzi!
Podłe szatany, precz od niebronionych! —
Ha! drzwi więzienia skrzypią. Kto to? cicho!
(Wchodzi Dolorida).
Piękne dziewczątko jakieś. Czegoś przyszła?

DOLORIDA.

Jestem, Signora, Barigiela córką.

BEATRYX.

Jak się nazywasz, miła?

DOLORIDA.

Dolorida.

BEATRYX.

O! dobre imię, stworzone dla świata!
Dlaczego patrzysz na mnie tak ciekawie?

DOLORIDA.

Signora...

BEATRYX.

Nie drżyj — nie mięszaj się, ładna.
Jestem łagodną i cichą — chodź bliżej!
Jeżeli jakie wypełniasz poselstwo,
Mów, moje dziewczę...

DOLORIDA.

Mam listek od kogoś...

BEATRYX.

Daj! daj, daj, gdzie go ukryłaś?

DOLORIDA.

We włosach.

BEATRYX.

Chodź tu pod słońce i klęknij — ja sama
Będę dziś twoją pokojówką...

(wyjmuje strzałę srebrną z włosów Doloridy, rozpuszcza jéj warkocze i wyjmuje list).

Czerwone słońce więzień, teraz nie zagaśnij,
Aż ten list we mnie zagasi nadzieje!
Dzieweczko! ten list — ten list pachnie sercem,
A jednak nie śmiem zajrzeć w jego serce.
Kto ci dał ten list?..

DOLORIDA.

Młody, piękny panicz.

BEATRYX.

Spokojny jaki człowiek?

DOLORIDA.

Hojny panicz,
Bo mi dał listek i ten sznur korali

I... pocałunek — ale taki zimny,
Że go nie można nazwać pocałunkiem.

BEATRYX.

Zimne są usta, gdy się pali serce.
Błogosławiona bądź, dzieweczko moja,
Bo w twoich kruczych przyniosłaś warkoczach
List od kochanka i śmierci narzędzie...
Jeśli zrani list — to strzała zabije.

DOLORIDA.

Pani, ty ojca mojego zabijesz!..

BEATRYX.

Twojego ojca? — ja?

DOLORIDA.

Tak, twoją śmiercią.

BEATRYX.

Więc weź odemnie to. O! do mnie, do mnie,
Myśli rozpierzchłe — do mnie, jak gołębie
W upał źródlanej wody upragnione!
Tu jest fontanna łez... tu w tym listeczku
Najada płaczu jęczy w upał słońca
I rozognione moje myśli wabi —
A jednak może tu jest śmierć w tym liście —

(czyta).

Patrz — pisze do mnie Giani, że mnie kocha...
Czy ty nie wierzysz? Patrz, pisze że kocha!
Więc ja nie mogę wydrzeć mu osoby,
Którą on kocha — prawda? Ja nie swoja,
Ale kochanka jestem służebnicą. —
Gdyby cię kochał tak piękny kochanek,
Chciałażbyś umrzeć? powiedz Dolorido! —
Czy taki dziki list nie uniewinnia,
A takie wielkie łzy nie myją duszy?
O Boże! Boże! — Chodź tu, Dolorido!
Daj mi tę srebrną strzałę bez bojaźni:
Ona mi będzie niczem — tylko piórem,
Które miłości Bóg wyrwał ze skrzydeł
I dał mi w ręce drżące; a ta chustka,
Jeszcze wilgotna od łez, będzie kartą,

Na której miłość wypisze sztyletem
Całą historyą skruchy i żałości...
Ale czém pisać? — Czy w ciemne powietrze
Więzienia tego pióro me umoczę?
Czy w tę czerwoną promienistą jasność?
Czy w moje serce teraz rozjaśnione?...
O! gdybym mogła w serce... lecz nie, lecz nie!
Pocóż zabijać serce już nie moje?
Pocóż tę miłość pisać krwi rubinem?
Pocóż tę chustkę oczerniać słowami?..
Zanieś mu chustkę i powiedz, że na niéj
Są łzy, przysięgi, skargi, pożegnania...
Powiedz, że mnie tu widziałaś spokojną,
O nim myślącą i pełną radości...
Powiedz, że kocham go — jemu posłuszna;
Że czekam śmierci — ale z jego woli,
Z jego rozkazu, z jego osądzenia,
Z jego wyroku; i to mię uczyni
Dla katów rzeczą cudzą, nietykalną,
I nieśmiertelną, tak jak miłość moja...

DOLORIDA.

Będzież on płakał — biedny, biedny człowiek!

BEATRYX.

Gdzież ty go dzisiaj obaczysz dziewczyno?

DOLORIDA.

Czekać mię będzie na małym cmentarzu,
Koło świętego Piotra —

BEATRYX.

Znam ten cmentarz.

DOLORIDA.

Bądź zdrowa — młoda, piękna moja pani!

(wychodzi).

BEATRYX

Wejście téj czystéj sen przyniosło cichy
Tym ciemnym, śpiącym; a mnie — żądzę życia.

AKT CZWARTY.

SCENA I.

(Na cmentarzu. GIANI sam).

GIANI.

Na tym cmentarzu leży Cesario mój drogi.
Oto jego mogiła — jeszcze biała... o! o!
Jak mi teraz potrzebny przyjaciel Cesario!
Czy ty mnie słyszysz? czy się litujesz nademną?..
Czuję, że teraz, mocno natężywszy pamięć,
Mógłbym cię wydrzeć z ziemi. Ale pamięć moja
Jest jak zbite zwierciadło... Egoizm, egoizm!
Dla siebie chciałbym z grobu obudzić człowieka
I uczynić go żywym. Okropna nieprzyjaźń! —
O! tę mi chustkę białą przysłała... Cesario,
Co ty o tej kobiety łzach myślisz i sercu?
Cóż?— żadnej odpowiedzi?... i tylko cyprysy,
Sługi grobów, ruszyły się czarne przy ścianach,
Jakby tu zejść się chciały, otoczyć mnie w koło,
I zacząć ze mną o mej miłości rozmowę...
Cóż?— nikogo w powietrzu cmentarzowem? ha! ha!
Swiat się stał ciałem, z duchów wyludniał... A jednak
Czuję w powietrzu, że sam nie jestem, lecz blisko
Niewyjawione twarzą kupią się straszydła
I dotykając ręką zimną moich włosów,
Szczepią w nie jakieś straszne myśli, przerażenia...
Gotowy jestem — na co? sam nie wiem, a jednak
Czuję, że mam przed sobą coś niewyraźnego,
A to coś — będzie rzeczą spełnioną, nim słońce
Ten blady księżyc zetrze...

GŁOS WIEDŹMY.

Spiesz się! spiesz się! spiesz się!

GIANI.

Na Boga! To wasz jęk, trzy piekielnice!
Do głosu tego braknie waszych twarzy...

Myślą dorobię wam, co braknie, mary,
Przygotowany jestem, widma — do mnie!

GŁOS.

Mamy nad tobą litość, mamy litość —

GIANI.

O! O! nieprawdaż, że ja nieszczęśliwy,
Że mi czas tu być pod tą cichą ziemią?
Wy same smętne, patrząc na mnie! i wasz
Głos stał się więcej kobiecym, niewiasty...
Przez kogokolwiek przysłane jesteście,
Skoro moc macie nad mymi zmysłami:
Jestem gotowy prawie wam się cały
Oddać i waszym radom się powierzyć.
Byleście były ze mną aż do końca
I nie rzuciły z samym sobą, nim się
Ta rzecz rozwiąże...

GŁOSY.

Zbaw ją!
Zbaw ją!
Zbaw ją!

GIANI.

Czy mogę zbawić? Powiedzcie, czy mogę?
Wytężcie oczy skrawe w ciemną przyszłość
I tam zobaczcie, czy mi przeznaczono
Wybawicielem jej być i obrońcą....
Błagam was, mówcie! mówcie! ja was błagam...

GŁOS.

Od brata twego ją broń, broń od brata!

GIANI.

Co słyszę? miałżeby ten wąż na plecach wzdęty
Do końca ścigać ją?...

GŁOS.

Twój brat ją kocha.

GIANI.

Co? w jego myśli ta piękna już była
Z szat rozebrana? On — ten człowiek sprosny!...
O mary, widzę, że mnie opuszczacie,
Uległe władzy silniejszej zniknienia,

Niż moja władza zaklęć. — Jeszcze słowo!
Mój brat... co słyszę? cmentarzowe echo
Odpowiedziało: kat!.. ha!.. drżą mi nogi...
Tu straszne myśli są w powietrzu... brat mój...
Brat mój... okropny wiatr mnie stąd wypycha.
(wychodzi).

SCENA II.

(Pracownia malarska. PIETRO NEGRI — ORSINI).

ORSINI.

Opowiedziałem już Trybunałowi
Wacpana zamiar, i uznał go zmyślnym,
Zwłaszcza że sztuka malarska raz pierwszy
Użyta jako tortura w procesie,
Oprócz piękności duchowego celu
Osiągnie drugi cel — użyteczności.
Wacpana pierwszy charakter uzyskał
Niby pozłotę od pochwał i wagę...
Kończ obraz — jutro uczynimy próbę.
(wychodzi).

PIETRO.

A więc do pędzla! — kończmy dzieło piekła.
Ta lampa płonie blado — niespokojnie,
A obrzydliwy gość, nietoperz szary,
W powietrzu kreśli koła tajemnicze
I miga czarnym błyskiem. Cyt — ktoś idzie...
To z halabardą strażnik pałacowy
Po korytarzu przechadza się — Dobrze!
Jest bezpieczeństwo. Do pędzla, do pędzla!...
Nie mogę — jakaś nadzwyczajna trwoga
Mrozi mi w żyłach krew.—Ten obraz straszny,
Wystawiający człowieka zarznięcie,
Strasznym jest w nocy towarzyszem. Wszystkie
Osoby — oprócz trupa, poruszone
Lampy miganiem, żyją, drżą i szepcą
Straszne wyrazy.—Cyt!.. co to?.. stuknięcie...
Ktoś w korytarzu upadł... ha!.. co widzę?

(Wchodzi GIANO GIANI).
Co widzę? brat mój — rozczochrany — blady!
Co ci jest? czego przychodzisz tak późno?
Kto cię tu puścił? jesteś cały we krwi...
Puszczaj — zawołam ludzi!

GIANI.

Stój, piekielny!

PIETRO

Gwałtu, zabójstwo! (lampa gaśnie).

GIANI.

Trup jest w korytarzu,
Ale nie słyszy. Sza! jesteś zgubiony...
Mary, co robić? kto zagasił lampę?
Zieloność twojej twarzy jest mi lampą,
Twarz obrzydliwa twoja jest mi słońcem — —

PIETRO.

O! bracie!...

GŁOS.

W serce!

GIANI.

Ha! jesteście ze mną?
Zdejmcie więc ze mnie braterstwo...

PIETRO.

O matko!

GIANI.

Matki na pomoc wołasz?... tyś ją zabił!...
Zbójco, na pomoc wołasz matki? ha! ha!
Czy wy słyszycie, furye? Ten morderca
Woła na pomoc tu — zamordowanych
I mnie tu robi sprawiedliwym...

PIETRO.

Puść mnie!..

GIANI.

Do piekła puszczę z rąk, morderco czarny!
Zmów pacierz!

PIETRO.

Pozwól, niechaj złożę ręce,
Niechaj krzyż wezmę...

GIANI.

Twój krzyż ostry, i rznie...

(Chwyta sztylet Negrego).

Tym samym krzyżem giń! giń! giń!

PIETRO.

O Boże!

Sztyletem Cencich zabijasz... ratunku!
Konam — ratunku!.. Zimno mi... o! zimno —
W oczach mi stoi bratobójca... o! tu...
Za nim osoby straszne z pochodniami —
Piekło otwarte — o! pożar i węże —
Krew, krew na brata — ziębnę — jestem trupem....

(kona).

GIANI.

Ja nie wołałem was, lecz teraz czuję,
Że wy jesteście z piekła. O! jak prędko
Myśl zaszczepiona przez was krwią się stała,
Matki rozpaczy! O! wy jako matki
Targacie włosy z okropności, bledsze
Niż przed godziną.... ha!...

I. WIEDŹMA.

Uciekaj z nożem!

GIANI.

Nie przerażajcie mnie, bo ja się gotów
Rzucić pomiędzy was z sztyletem — wściekły
Przeciwko waszej naturze, i szukać
Śmierci pomiędzy wami, jak śród wichru
Piorunowego...

WIEDŹMY.

Zbliż się! zbliż się! zbliż się!

GIANI.

Gdzie drzwi?.. To trupy są. z żywymi włosy,
Które podniosła im na czołach trwoga,
Jak garść płomieni... Gdzie drzwi? to są trupy!
Ja stąd nie mogę wyjść — przed moją ręką
Ucieka w ciemność mur...

WIEDŹMY.

Uciekaj z nożem!

GIANI.

Bladość mi własna świeci... tu... niech trupy
Gonią mię — ha! ha! — lampa w korytarzu...
(wychodzi).

WIEDŹMA I.

Widzisz! widzisz! widzisz — trup!
Krwawa szata — oczy w słup...
Złożyć jemu ręce w krzyż...

II.

Czemu ty blada?

III.

A ty czemu drżysz?

I.

Na jutrznię usłyszałam dzwon,
Zebrałyśmy zbrodni plon,
Reszta jest dziełem dla katów i wron.
Wężami sądową zamiotłyśmy kuryę,
Trzy głowy, trzech katów, trzy piekła, trzy furye.
(znikają).

SCENA III.

(Sala sądowa).

DON LUCENZIO — ODDŹWIERNY.

DON LUCENZIO.

Która godzina?

ODDŹWIERNY.

Piąta.

DON LUCENZIO.

Czy już biła?

ODDŹWIERNY.

O! właśnie teraz bije na zegarze.

DON LUCENZIO.

Bogdajby prędzéj zeszli się sędziowie!
Ciekawy proces —

ODDŹWIERNY.

Tak, ciekawy proces!
Żona dziś moja w nocy poroniła,
Słysząc od staréj wiedźmy rozczochranéj

Wszystkie szczegóły zbrodni, Don Lucenzio.
Ale ja sądzę, że nie z przerażenia,
Lecz z ciekawości zroniła mi żona.
Kobiety — to gotowe zawsze zbyć się płodu
Przed karnawałem albo exekucyą.

DON LUCENZIO.

Tą razą, Mości Kustode, być może,
Że exekucyi nie będzie —

ODDŹWIERNY.

Na Boga?!

(Wchodzi GIANI i siada na ławie).

DON LUCENZIO.

Cóż to za człowiek tam w kącie usiada
Płaszczem okryty?

ODDŹWIERNY.

Jakiś Avocato —

GIANI.

Jeszcze raz ujrzę ją — po raz ostatni...

(Wchodzi OJCIEC ANSELMO).

ANSELMO.

Tu pewnie znajdę mojego malarza —
W nocy nie wrócił...

DON LUCENZIO.

Dobry dzień, mój Ojcze!
Ha, ha?.. ogródek opuściłeś cichy
I tu przywiodła ciekawość?

ANSELMO.

Mój Boże!
Jak to wy prędko potępiacie ludzi...
Ha! otóż widzę tam mojego ptaszka...
O! dzięki Bogu, Giani, że cię widzę,
Bom był o ciebie mocno niespokojny.

GIANI.

Ojcze! nie siadaj przy mnie...

ANSELMO.

Cóż takiego?
Ja zmordowany. Cóż? coś robił w nocy?
A raczej spytam ciebie, co tu robisz?

Jestże to miejsce dla ciebie — szalony,
Słuchać o krwawych rzeczach, o zabójstwach,
O rusztowaniach? Giani! chodź do domu!

GIANI.

O starcze, będziesz ty mnie dręczył?

ANSELMO.

Synu!
To mi przynajmniej przyrzecz, że w tym kącie
Będziesz spokojny i nieporuszony.

GIANI.

Będę spokojny —

ANSELMO.

Daj mi na to rękę!

GIANI

Rękę?..

ANSELMO.

Jakiż ty jesteś dzisiaj trudny!
Widzę, że trzeba mi być twoim stróżem.
(Wchodzą sędziowie i siadają).
Pamiętaj Giani, że sądu prezesem
Orsini, ojciec twój. Nie zrób mu wstydu!
Ty jeszcze może tę ohydną kochasz,
Nie sercem, ale głową?

GIANI.

Kocham głową...
Głowa ta, co ją kocha, ojcze, spadnie!

ANSELMO.

Co?

GIANI.

Spadnie mi na serce — jestem senny...
Pozwól mi nieco spocząć tu, przy ścianie.

ANSELMO.

Śpij, śpij... Nie wiedzieć, po co tu przyszedłem.
(Orsini dzwoni).

ORSINI. Wprowadzić obwinionych! Nie puszczać tu więcej ludu. Niech halabardniki strzegą drzwi od pospólstwa.

ANSELMO. Nie wiedzieć, po co tu przyszedłem. Swięty Boże! Takasama cisza będzie przed sądem ostatecznym... Jezu drogi!

(Wchodzą obwinieni: MATKA CENCI, TOMASO, AZO, BEATRYX).

ORSINI. Jak się nazywasz?

MATKA. Matka Cencich.

ORSINI. A ty?

TOMASO. Tomaso Cenci, kapitan w kompanii Kolonny.

ORSINI. A ty?

AZO. Azo Cenci.

ORSINI. A ty obwiniona?

BEATRYX. Beatryx. —

ORSINI. Oskarżeni jesteście o zabójstwo ojca waszego.

MATKA. Kto skarży?

ORSINI. Pietro Negri.

MATKA.

Więc zawołajcie — niechaj powie w oczy,
Niechaj mi spojrzy w oczy i powtórzy!
Bo ja w tej chwili mam zabójcze oczy;
Bo jeśli kogo w życiu chciałam zabić,
A na czyn taki miałam dosyć mocy,
To teraz zabić go chcę w oczach waszych
Memi oczyma... Gdzie jest ten ohydny?
Czy już go chęcią zabicia zabiłam?
A więc mnie sądzcie, bo chciałam go zabić...
Chęć moja była sztyletem, piorunem,
I wypełniła się, jak słowo boże.

ORSINI.

Żywy jest człowiek, o którym ty mówisz,
I wprowadzony będzie na czas —

MATKA.

Synu!
Powiedz tym sędziom, że są zabójcami...

TOMASO.

Orsini sądzi, to dosyć!.. Orsini...
Więc się nie dziwię, że chce sądzić na śmierć.
Przed trzema dniami koń mój kopytami
Druzgotał herby niedźwiedzie i kości:
Ręka paliła Orsyńczyków wieże,
Miecz rąbał bramy. Cóż? nie ma tu w sali
Jednego nawet z Kolonnów — choćby psa,
Coby wył, widząc mnie oskarżonego

Tak niegodziwie przez tego szatana?
Lecz i ten szatan nie pokazał twarzy
W całym procesie — tylko swoję duszę
Przelał w tortury, które nas dręczyły...
O! więc nie on mię skarży, lecz tortury...

MATKA.

Nie sprawiedliwość sądzi, lecz Orsini...

TOMASO.

Nie prawdę z nas chcą wycisnąć, lecz krew!..

MATKA.

Azo, o dziecko moje, rośnij ty na zemstę!
Ciebie przynajmniej katy nie zabiją...
Pamiętaj o mnie, małe dziecko moje!..
Niechaj przekleństwa moje rosną z tobą
I rosną w tobie!.. i rośnij na zemstę!

BEATRYX.

Orsini! Sądu i sprawiedliwości...

GIANI.

Mówi!..

ANSELMO.

Mój synu, nie wstawaj, zaklinam!
Widzisz — im teraz potrzebna przytomność,
A twarz znajoma, nagle ukazana,
Pomięsza myśli...

GIANI.

Boże, czuwaj nad nią!

ORSINI.

Akuzatora postawić im w oczy!

GIANI.

Anselmo, słabo mi...

ANSELMO.

Oprzyj się na mnie...
Co widzę? ręka twoja krwią zwalana?

GIANI.

Trup gotów powstać...

ANSELMO.

Jaki trup? na Boga!
O czém ty gadasz z twarzą tak okropną?

GIANI.

Anselmo!

ANSELMO.

Usiądź, uf! jak tu gorąco...

(wchodzi Zbir).

ORSINI. Gdzież Pietro Negri, oskarżyciel?

ZBIR. Monsignore, Pietro Negri zabity —

ORSINI. Co???

ZBIR. Zamordowany.

ORSINI. Przez kogo?

ZBIR. Nie wiadomo. Strażnik, który stał na korytarzu, nie żyje. Negri leży we krwi na podłodze, a od trupa aż do drzwi znaleźliśmy ślad krwawy zabójcy i ten sztylet—

ORSINI. Ten sztylet należał do procesu. Cenci, to wasz sztylet?

BEATRYX. Mój! (wyciąga rękę po niego).

ORSINI. Signora, nie dam ci do rąk żelaza. Życie twoje należy do sądu —

ANSELMO. Sąd przerażony wieścią o zabiciu delatora, waha się. To dobrze dla Cencich!

GIANI. Dobrze?

ANSELMO. Orsini wydaje cicho jakieś rozkazy —

MATKA.

Ha! gdzież delator wasz?.. gdzie wasz delator?
Trupy z sądzących! — ha!

ORSINI.

Tryumfujecie!
Kolonna znalazł zabójcę — to dobrze!
W Kolonny fakcyi jest wielu zabójców,
Wielu zabójców, przyjaciół zabójców —

BEATRYX.

O Monsignore, ty nam nie urągaj!
A ty, o matko, oddaj się modlitwie,
Bo wola twoja straszną jest i rządzi
Mocą tajemnych władz...

MATKA.

Więc jestem silna!
O! jestem silna. I chcecież wy teraz,

To wam wywołam delatora z grobu
I tu postawię za twem, Monsignore,
Krzesłem... Ja śmierci tej się nie zapieram —
Jam go zabiła przez mury... przez ziemię!
Bo ja pod ziemią byłam uwięziona,
Ale przegryzłam się myślą przez ziemię
I w samo łotra serce ukąsiłam —
Czuję na zębach krew... Cóż, Monsignore?
Czy chcesz mię zamknąć pod ziemię — i zaśniesz?

TOMASO.

Czy zaśniesz, póki jest w Rzymie Kolonna?

ORSINI (do sędziów).

Cóż wy mówicie?

SĘDZIA.

Wielki brak dowodów...

GIANI.

Książę, o! widzisz ją? uniewinniona!

ANSELMO.

Jezus Maryja! ręka twoja we krwi...
Krew masz na ręce suchą — kto cię ranił? —
Ty pokazałeś na nią palcem krwawym...

GIANI.

Ją uniewinnią...

ANSELMO.

Słuchaj — sędzia mówi.

GIANI.

Ojcze, niewinna! powiedz ojcze —

ANSELMO.

Nie krzycz!..

GIANI.

Jabym chciał w ustach jego być wyrazem,
Jednym wyrazem: niewinna!.. Cóż to jest?
Wnoszą zakryty obraz. Księże, co to?

ORSINI.

Winnych niech własne potępi sumienie.
Bracia, uważnie patrzcie na ich twarze,
Bo porównani będą z delatorem...

GIANI.

Nie widzę — co to jest?..

ORSINI.

Odkryć zasłonę!

Sumienia ludzi — gadajcie!

GIANI.

O! bladną!..

AZO.

Mamo! papa we krwi —

MATKA.

Ha!..

GIANI.

Jak się im twarze mienią!

MATKA.

Ha! to tak — to tak — o! krew — my zbrodniarze!
O Jezu! kto to wymalował? — Jezu!
Dzieci, nie patrzcie — Jezu! łóżko z trupem —
Strwożony mój syn, biały jak trup — patrzy
W ciemność, a córka moja... ha! — czy już?
Czy już?.. już... już? ha!!! czy już umarły?
Dajcie mi lampę... sza!.. Tomaso stchórzył...
Zobaczę z lampą trupa... jaki krwawy!..
Jaki okropny... o!!

(mdleje).

TOMASO.

Zabójstwo żyje!

AZO.

Mama umarła!..

BEATRYX.

Dosyć tej tortury!
Czy wy czekacie, aż z nas będą trupy
Pozabijane własnemi oczyma?..
Zasłońcie obraz ten rozdzierający!
Mnie samę zimny zlał pot i rozstroił
Tak, że nie słowa mam w ustach, lecz jęki...
Więc mnie potępcie — bo choć jestem biała,
To jestem jako najbielsza z gołębic,
Co się w kałuży krwawej chciała kąpać

I opryskała krwią całą rodzinę....
Oni niewinni! Ja jedna znalazłam
Sztyletem serce ojca. Oni wszyscy
Niewinni. Trup miał jedno tylko serce,
I jednę córkę, i jednę miał ranę...
To rzecz okropna — i straszne wyznanie!
Lecz gdybym miała zasłonę na twarzy
I mogła mówić z twarzą niewidzialną:
Opowiedziałabym straszną historyą,
Któraby wstrzęsła was, a mnie spłoniła...
Na miejscu. gdzie krew moję rozlejecie,
Postawcie ołtarz białemu wstydowi
I z alabastru posąg przezroczysty;
A szyję jego krwią oczerwieniwszy
Zakryjcie perły albo lilijami;
A będzie to Bóg nowy — w nowym Rzymie!...
I to jest całą obroną — Rzymianki.

ORSINI.

Rzucić welony czarne na tych ludzi
I odprowadzić ich w ciemne więzienia! —

GIANI.

Ha! ha! ha! ojcze —

ANSELMO.

Płaszcz mi został w ręku.
Gdzie ten szalony leci?

GIANI.

Beatrycze!

ORSINI.

Zbiry, młodzieńca tego wyprowadzić!
Precz, do więzienia iść z potępionymi!

(Wyprowadzają Cencich — Beatryx wychodząc ogląda się w stronę, gdzie Zbiry chwytają za ręce pasującego się ze sztyletem Giani).

GIANI.

Precz — precz odemnie! Czy wy nie widzicie,
Żem cały we krwi i na swojem miejscu?..
Orsini dzisiaj pracuje dla kata —
Ja pracowałem dziś dla Orsiniego.

O! usta pełne śmierci otwórz starcze,
Otwórz raz jeszcze i potęp zbrodniarza!
Tu brakowało jeszcze delatora
I brakowało zabójcy z sztyletem: —
Oto więc macie sztylet i zabójcę,
Który zostawił krwawy ślad przy trupie
I ścigającym furyom pokazywał,
Krwią zczerwienione podeszwy. O sędzio!
Jeśli nie dosyć, żem zabił człowieka —
Jeżeli moja zbrodnia przy promieniach
Krwawego słońca ojcobójców blednie:
Ja rozczerwienię ją nowem wyznaniem
I śmierć kryjącą się pod waszym stołem
Wywołam — żółtą, cichą — ale wściekłą...
O! śmierci — wystąp — i bądź urodzona
Słowami sądu! Śmierci, ja cię pragnę,
A ty mnie zimną twoją zetnij kosą
Tu przed Orsinim — u nóg tego starca,
Który dziś swoję własną krew potępi
Za to, że jego krew... rozlała własną —
On nie wie... żem jest bratobójcą!

I. SĘDZIA.

Nieba!
Monsignor mdłeje — wody — octu — mdleje!..

ANSELMO.

O! wielki Boże, jak twe sądy straszne!..

AKT PIĄTY.

SCENA I.

(Mieszkanie Barygiela. BARYGIEL — DOLORIDA.

BARYGIEL.

Czego ty płaczesz, głupia? — Za godzinę
Exekwowani będą nasi ludzie.
Dobry dla kata dzień!.. za cztery głowy —
Każda po dziesięć dukatów — czterdzieści.
Czego ty płaczesz, księżniczko zaklęta?

DOLORIDA.

Ten młody biedny człowiek pozawczora
Przyszedł tu do mnie, gdy grałam na harfie
Jakąś zabawną piosneczkę śpiewając...
Taki spokojny zdawał mi się człowiek,
Taki łagodny — tak miły w rozmowie...
Jabym przysięgła była, że to święty
I dobry człowiek, nie żaden zabójca...
Oczy miał takie smutne!..

BARYGIEL.

Cyt... ktoś stuka —

DOLORIDA.

Czy już ich przyszli brać? — o! ja omdleję...
(Barygiel otwiera, wchodzi OJCIEC ANSELMO).

ANSELMO.

Niech będzie Jezus Chrystus pochwalony —

BARYGIEL.

Na wieki wieków.— Czy spowiednik?

ANSELMO.

Czytaj!

BARYGIEL.

Najwyższej Władzy rozkaz...

ANSELMO.

Czytaj cicho!
To jest tajemna rzecz... rozumiesz Wacpan!
Monsignor tu Orsini przyśle ludzi
Z pomiędzy szarych penitentów — i tak,
Jak tutaj stoi w papierze, stanie się.
Wmięszasz to Wacpan zgrabnie do napoju...
(daje mu proszek w pakieciku).
Rozumiesz? —

BARYGIEL.

Córko, chodź — dam ci rozkazy.

ANSELMO.

O! moje kości — com ja się nalatał!
Co na tym świecie trudów i żałości —
Ledwie ułożysz rzecz z rozwagą starca,
Młodość wnet wpadnie i pomięsza wszystko...

Panie Barygiel, chodź tu Wacpan do mnie...
Jak dziś spał więzień twój, Signore Giani?...

BARIGIEL.

Spokojnie...

ANSELMO.

To to jest młodość, mospanie!
Przed śmiercią śpi, jak zabity. — A powiedz:
Gdy zapytano go dawnym zwyczajem,
Czegoby pragnął przed śmierci godziną —
Ten młokos dumne miał zawsze fantazye —
Ciekawy jestem, o co prosił?

BARIGIEL.

Córko,
O co maestro prosił?

DOLORIDA.

Ojcze drogi,
O półgodziny rozmowy samotnej
Z Signorą Cenci...

ANSELMO.

Nie pozwalać!...

DOLORIDA.

Czemu?

ANSELMO.

Oni gotowi zapłakać się na śmierć...
A ta panienka o co was prosiła?

DOLORIDA.

Gdyby wiedziała, że kochanek blisko,
Pewnie prosiłaby mnie o kochanka.
Ale nie wiedząc, że Signore Giani
Przez mur więzienia tylko... biedny człowiek
Na rusztowanie skazany... Bo ona
Nic nie wie, ojcze, o swoim kochanku
I myśli, że Signore Giani, jak zwyczajnie,
Już się pocieszył i wyjechał z Rzymu...
Więc gdy spytałam ją dziś, czego żąda?
Biedaczka z takim żałosnym uśmiechem
Rzekła: przynieś mi koszyk napełniony
Różami — aż mi łzy stanęły w oczach —

Przynieś mi, rzekła, koszyk róż... biedaczka!
Patrz ojcze, róże stoją; o! czy widzisz,
Jaka biedaczka?

ANSELMO.

Bu!... ja stary płaksa!
To dobrze, córko — zanieś biednej róże!...
A wreszcie... to jej zaprowadź kochanka!
Niech płaczą. — Ja to wszystko znów naprawię...
(odchodzi).

BARIGIEL.

Addio księże!..

ANSELMO (we drzwiach).

Wrócę niezabawem,
A Wacpan wszystko zrób, jak rozkazano.

BARIGIEL.

Córko, zanieś jej róże — a ja pójdę
I drzwi otworzę do niej malarzowi.

SCENA II.

(Więzienie. MATKA CENCI, TOMASO, AZO i BEATRYX).

MATKA.

Pobłogosławię was po raz ostatni.
Już za więzieniem słychać straszne gwary
Ludzi ciekawych. — O dzieci, odwagi!...
Ja was zgubiłam, przebaczcie mi dzieci!
Jam się oddała czarnym duchom, które
Czyhały na krew naszę. (do Tomasa) Cóż, człowieku?
Nie stchórz — i nie bądź blady! — A ty Azo,
Ty jeden, naszą krwią okryty, rośnij,
A ja do ciebie będę przychodziła
We śnie... i uczyć będę rzeczy strasznych,
O których wiedzieć trzeba człowiekowi
Krwią oblanemu matczyną w dzieciństwie.
Furye! oddaję wam dziecko w opiekę!...

BEATRYX.

Matko! ja znajdę dziecku opiekuna,
Który przez pamięć i litość nademną
Będzie mu starszym bratem...

TOMASO.

Moja siostro,
Nie śmiem cię w czoło pocałować — siostro,
Módl się i za mnie...

MATKA (do Tomasa).

Chodź, spowiednik czeka.

AZO.

Mamo, ja pójdę z tobą...

MATKA.

Chodź kurczątko... (wychodzą).

BEATRYX.

Jam nie wybrała jeszcze spowiednika
I wszystko mi się snem wydaje strasznym.

(Wchodzi DOLORIDA).

DOLORIDA.

Signora, róże przyniosłam...

BEATRYX.

Kochanko,
Postaw tu koszyk pod memi nogami...
Niech się zapatrzę na kwiaty spokojne. —
Która godzina?

DOLORIDA.

Jeszcze do zachodu
Długie godziny pół, długie... o długie!

BEATRYX.

Słońce zajść musi —

DOLORIDA.

Gdybym była, Pani,
Panną Najświętszą, nie zaszłoby słońce...

BEATRYX.

Moja dziewczynko, czy ty masz kochanka?

DOLORIDA.

Lat jedenaście mam — to jeszcze nie czas...

BEATRYX.

Spiesz się i kochaj — lecz wybierz człowieka,
Który ma pamięć dobrą... dobrą pamięć
I dobre serce...

(Wchodzi GIANI, bez szpady — i BARIGIEL. Barigiel daje znak ręką córce, aby odeszła).

DOLORIDA (do Gianiego).

Nie mów jej, że umrzesz...,

BEATRYX (do wychodzącej).

Kochaj — i bądź zbawioną — i żyj długo!...

(Dolorida z Ojcem wychodzą).

O! żyj tak cicho, jak te róże łzawe,
Jak te ucięte głowy róż... te głowy,
Które są piękne i świeże... ucięte
I rozsypane, o tak, po więzieniu,
Jak prześcieradło śmiertelne—(spostrzega Gianiego) Ach Giani!

GIANI.

Beatryx!

(roztwiera ręce, Beatryx rzuca się w jego objęcia).

BEATRYX.

Usta twoje!

GIANI.

Twoje usta!

BEATRYX.

Czy ty mój jesteś kochanek?...

GIANI.

Beatryx!

BEATRYX.

Ziemio, pochłoń nas!..

GIANI.

Śmierci! teraz śmierci!
Jaki to nagły dreszcz? — czemuś wzdrygnięta?

BEATRYX.

Jak ty przyszedłeś tu? Prócz spowiednika
I Barigiela, tu nikt nie przychodzi;
A kto przychodzi — śmierć go wyprowadza...
O! mów, mów — mów mi, kto cię tutaj wpuścił?

GIANI.

Kto?

BEATRYX.

Wychodź, blady mój kochanku — wychodź!
Ja tu zostanę sama. Kto cię wpuścił?

GIANI.

O bądź spokojna! miłość mię przywiodła.

BEATRYX.

Ty spokojniejszy, niżli mój kochanek —

GIANI.

Ja cię spokojnie kocham — ale wiecznie...

BEATRYX.

Jeśli mnie kochasz, uciekaj na słońce!

GIANI.

Słońce... ty moje słońce — ja cię kocham —
Dlaczego ty mnie odsyłasz do ludzi?
O! zapomnijmy o nich, duszo moja!...

BEATRYX.

O! zapomnijmy o nich. — Siądź tu, Giani,
A ja upadnę na drżące kolana
Tutaj na różach — i będę mówiła,
Jak ty masz o mnie pamiętać... O Giani!
Jestem spokojną teraz i szczęśliwą...
Pamiętaj o mnie — pamiętaj ty o mnie
Inaczej, niż lud, który się lituje;
Inaczej, niż Bóg, co patrzy bez żalu.
Pamiętaj o mnie — jako o Rzymiance
Nieskazitelnej, strasznej, nieszczęśliwej,
Którą... splamioną... miłość oczyściła
Ze wszelkiej zmazy. — Ja się czuję czystą!
Lecz miłość przyszła późno... Słuchaj, Giani!
Ty weźmiesz mego małego braciszka
I będziesz kochał — co? będziesz go kochał?
A jeśli przyjdzie do ciebie spłakany,
Że go odepchnął jaki człek zwyczajny
Przejęty zgrozą... weźmiesz go na ręce
I będziesz mu łzy ocierał — ustami...
To mój braciszek. — Cóż?.. będziesz go kochał?
Dzisiaj go tobie przywiodą wieczorem —
Sam umyjesz mu rączki — sam — i uśpisz,
Bo on się będzie lękał... Przebacz, Giani —
Ja ci rozdzieram serce, ale muszę. —
Dzisiaj wieczorem — ty będziesz... Nie mogę

Wystawić sobie — dziś — tam — w twojéj celi
Ciebie — bezemnie — ha! Lecz bądź spokojny,
Zaklinam ciebie — dziwnie rozczulona;
Bo nie myślałam nawet, żem ja zdolna
Tak miękko i tak łzawo mówić z tobą.
Lecz ta godzina jest bez drugiéj dla mnie,
I ty nareszcie znikniesz mi z przed oczu...
I Bóg mnie weźmie... o! tak rozpłakaną...

(Słychać głos dzwonów i hałas głuchy).

GIANI.

Co to za dzwony są? co to za głosy?

BEATRYX.

Straszne zbudzenie — to czytają wyrok.

GIANI.

Komu czytają?...

BEATRYX.

Tutaj. przed więzieniem.

GIANI.

Słuchajmy, moja kochanko.

BEATRYX.

Słuchajmy...

GŁOS. Obwinieni i przekonani mają być nakryci czarną zasłoną ojcobójców, prowadzeni na rusztowanie i ścięci przez kata: Lukrecya Cenci, żona—Tomaso Cenci, syn—i Beatryx Cenci, córka zabitego. Niech Bóg odpuści duszom zmarłych!

BEATRYX.

Amen! odpowiedz, Giani: Amen...

GIANI.

Amen...

GŁOS. Ma być zaprowadzony pod rusztowanie Azo Cenci, syn zabitego, który patrzał oczyma swemi na czyn zbrodni, aby oblany był krwią zbrodniarzy. Niech Bóg oczyści duszę dziecka! Amen.

BEATRYX.

Słyszałeś?...

GIANI.

Słuchaj!

BEATRYX.

Co?... wyrok skończony!
O Boże, tensam głos pod oknem wyje.

GŁOS. Obwiniony i przekonany o zabójstwo Pietra Negri, powszechnie nazwanego Gino, zaprowadzony ma być na rusztowanie, okryty zasłoną bratobójców i ścięty przez kata brat zabitego, Giano Giani. Boże, świeć nad jego duszą.

GIANI.

Beatryx!

BEATRYX.

Ścięty — ścięty — ścięty!..

GIANI.

Amen.

BEATRYX.

Ty?

GIANI.

O Beatryx — ja! — idziemy razem!

BEATRYX.

I nie przeczułam, że on zabił Pietra!
O! jak okropne nas związały losy!
O! jak mi będzie strasznie skonać...

(Wchodzi OJCIEC ANSELMO i drugi kapłan).

ANSELMO.

Dzieci,
Przyszła godzina — trzeba się rozłączyć.

BEATRYX.

O! o! tu Giani, na serce...

GIANI.

Beatryx!..

ANSELMO.

Przyszła godzina, trzeba się rozłączyć...

GIANI.

Do zobaczenia!... Anselmo — ty ją weź...
A ty, chodź ojcze nieznajomy ze mną
I porusz słońce, niech prędzej zachodzi! (wychodzą).

ANSELMO.

Chodź, moja córko, odwagi, odwagi!

BEATRYX.

Czy on ma umrzeć? — czy on skonać musi?

ANSELMO.

Córko — ja ciebie pocieszę... Orsini
Wyprosił życie syna u Papieża;
I oto zaraz mu dadzą w napoju
Usypiający napój Penitenci
I do méj celi zaniosą śpiącego...

BEATRYX.

O dzięki tobie! bo mi dałeś życie...

ANSELMO.

Biedna — ja tobie życia dać nie mogę!
Ty nie masz żadnéj nadziei, prócz w Bogu —
A Boga zyskaj skruchą i spowiedzią...

SCENA III.

(Plac Ponte Sant' Angelo).

TŁUM LUDU.

I. Z LUDU.

Nudzą nas, mówię — nudzą nielitośnie!

II.

Co jeszcze gorsza, powiadam, co gorsza,
Że pewnie wszystkich głów nie zobaczymy!
Powiadam, czterech głów. Panie Pamfilio,
Powiadam, że nam czterech głów nie dadzą.

I.

Parno, jak w piecu! — Hej! Trastewerina!
Z pomarańczami tu! — hej! moja Juno —

TRASTEWERINA.

Cóż, mój signore Babuino?

PAMFILIO.

Eheu,
Tu, Atalante z hesperyd owocem!..

III.

Ephemerido, wiele za bajoka?

TRASTEWERINA.

Trzy, signor Bacco!

PAMFILIO.

Per Bacco! daj quatro!

II.

Cztery pomarańcz, głowa w głowę cztery!..
A ta maleńka, powiadam w przydatku —
Za główkę dziecka daj w przydatku piątą.

TRASTEWERINA.

Piąta na drzewie wisi — idź pod drzewo
I urwij sobie piątą z szubienicy...

PAMFILIO.

Cyt — cyt — więzienie się otwiera czarne,
Pochodnie blade wychodzą na słońce.

PANTALON.

Ta pierwsza — matka...

PAMFILIO.

Mości Secretario,
Co na welonach napisano białem?

PANTALON.

Biało na czarnem stoi: parricida.

PAMFILIO.

Po grecku? — to ja rozumiem — po grecku!

TRASTEWERINA.

Ha! ojcobójce — dobrze wam tak, dobrze!
Chcecie pomarańcz? hej hej! paricidi!
Chcecie pomarańcz, co pod zębem ciekną
Czerwoną śliną?... ho! ho! apelcyny
Czerwone wszystkie głowa w głowę.

PAMFILIO.

Furyo!

TRASTEWERINA.

Socrate!

PAMFILIO.

Wiedźmo, czego krzyczysz?..

TRASTEWERINA.

Krzyczę,
Bo to zabójce... to zabójce... słyszysz?...

I. Z LUDU.

Idzie ostatnia pod czarnym fartuchem,
Idzie, jak jaka królowa, z dzieciątkiem
I białą świecą — ona najwinniejsza!

KOBIETA.

Niesprawiedliwość, że idzie ostatnia!
Powinnaby iść pierwsza — Santo Padre,
Powinnaby iść pierwsza!

(PENITENCI i DOLORIDA wchodzą).

DOLORIDA.

Penitenci!
Bierzcie z tej tacy, dawajcie ubogim,
Niech proszą za nich!

(Penitenci rozdają pieniądze).

I PENITENT.

Starcze! weź bajocco,
Módl się za dusze Cencich.

ŻEBRACZKA.

Kaleka, uboga...

II. PENITENT.

Módl się za dusze Cencich.

ŻEBRAK.

Un bajocco!...

III. PENITENT.

Módl się za dusze Cencich.

GŁOS W TŁUMIE.

Zdrowaś Marya —

I. PENITENT.

Módlcie się za nich, za matkę i syna,
I za panienkę...

I. Z LUDU.

O widok okropny!
Rozpłakała się, gdy kat uciął włosy.

DOLORIDA.

Płakała...

I. Z LUDU.

A z nią i lud zaczął płakać,
Jak małe dziecko...

DOLORIDA.

Gracya! gracya! gracya!
Wszyscy wy idźcie za mną na Watykan!
Chodźmy do Ojca Świętego po łaskę!..

Ucięto włosy — czyż nie dosyć? — gracya!

ŻEBRACY.

Na kulach za nią! — gracya, Santo padre!

(Wchodzi PANTALON i PAMFILIO).

PANTALON.

Signor Pamfilio, widok był okropny!
Czego ci ludzie krzyczą?

PAMFILIO.

At! jak zawsze.
Krzyczą za późno i chcą zmartwychwstania!
Jakby prosili, aby zachodzące
Słońce wróciło. Idźmy spać do domu.

SCENA IV.

(Cela Giano Giani).

(Penitenci wnoszą na noszach śpiącego GIANI i mówią po łacinie na dwa głosy Ave Maria).

I. PENITENT.

Tu go połóżmy śpiącego na łożu.
Trzeba opatrzyć, czy gdzie nie ma broni
I zabrać noże — to rozpaczny człowiek...

II. PENITENT.

Niech śpi! Za chwilę wróci Don Anselmo.

(Zdejmują broń ze ściany i wychodzą).

WIEDŹMY.

I. WIEDŹMA.

W oczy jego blaskiem rzuć!
Dotknij go wężem i zbudź —

II.

Poco?

III.

Niech zobaczy życie!

I.

Sza! zawieśmy na suficie
Głowę ściętą — on widzi śpiąc...

II.

Dajcie mu pokój — zabije go ksiądz.

I. i III.

Czém? czém? czém? czém?

II.

Ha! siostrzyce,
Rzućmy tu trzy błyskawice,
Rzućmy ciche ognie trzy!
Niech się jemu w oczach skrzy,
Niech okropność w oczach błyśnie,
Aż serce się skurczy, i zadrży i pryśnie.

WSZYSTKIE.

Dyabeł tutaj księdza śle.
W powietrze! znikajmy w mgle... (Znikają).

GIANI.

Oh!.. gdzie ja jestem? — żywy to ja, Jezu?
Czy ta noc śmiercią jest? — gdzie Beatrycze?
A ha! to księdza mieszkanie — o! widzę
Całą okropność rzeczy. Gdzie sztylety?
(rzuca się na ścianę, skąd penitenci zabrali broń).
Tu była moja broń — zabrano — żywy!
Wszak słońce zaszło już — okropne słońce,
Które widziałem za krwawemi plamy.
Kiedy? — dziś, we śnie... Ha! więcem ja zasnął! —
O! morze ciemnéj okropności... czarne,
Rozwidniające się teraz stopniami,
Gdy tonę w strasznéj pamięci oczyma —
Morze krwi! pochłoń mnie... pochłoń mię ziemio!
(Wchodzi ANSELMO z latarnią, prowadząc AZA za rękę).

ANSELMO.

Gdzie tu mój Giani, mój syn ukochany?
Cóż to? na ziemi leży mój syn twarzą?
Jestże to człowiek? rozumne stworzenie? —
O! wstań mój synu — i odgoń od siebie
Rozpacz bez celu... smutek bez nadziei!

GIANI.

Więc już umarły?

ANSELMO.

Co te jęki znaczą,
Które do ucha mówisz téj podłodze?..
Wstań! tu jest ciepłe łono przyjaciela...

GIANI.

Ziemia mnie woła...

ANSELMO.

Wstań i obacz. Giani,
Z kim ja przyszedłem... Wstań, bo mnie przerażasz!
(podnosi go).
O! wstań — ja ciebie nie udźwignę, martwy!
Mamże na ziemię paść synu przy tobie?

GIANI.

Czegoż odemnie ty chcesz, starcze? — wstałem.

ANSELMO.

Bogdajby w tobie tak powstała dusza! —
Maleńki! — przystąp do tego człowieka
I zaszczebiotaj mu, jak cię uczono...

AZO.

Panie! kazała prosić cię siostrzyczka,
Abyś mnie kochał...

GIANI.

Nie tul się ty do mnie!

ANSELMO.

I cóż? odpychasz go?

GIANI.

To jest... ostatni?..

ANSELMO.

Tak...

GIANI.

Jeśli głodny, daj mu jeść —

ANSELMO.

Mój synu,
Ja nie poznaję ciebie — twarde serce
I twarda jakaś obojętność dla mnie!..
Ja niepoznaję ciebie.

GIANI.

Czy mam płakać?

ANSELMO.

Płakać?.. O! mógłbyś ty płakać nad sobą!
Teraz godzina, że serce zmiękczone
Winnoby płakać przestępstwa. — O Giani!

Jestto okropna nauka i krwawa,
Ale na całe życie pozostanie. —
Tak! kto bez Boga, lecz z ciemnymi duchy
Chce porządkować świat, często go łamie
Bóg, tak jak ciebie, i myli go w drodze.
Tyś ją chciał zbawić — jak? — okropną zbrodnią!
A zbrodnia ta się nagle obróciła
Przeciwko właśnie téj drogiéj osobie,
Którą ty chciałeś zbawić. — Sam się dowiesz,
Że Ojciec święty, poruszony wdziękiem
Téj biednéj panny — już umoczył pióro
I chciał podpisać już ułaskawienie:
Gdy oto nagle... druga w Rzymie zbrodnia,
Jakby świadcząca o strasznéj zarazie
Upadającéj na Rzymianów ducha,
Z rąk Papieżowi wytrąciła pióro —
A zaś tę drugą tyś popełnił zbrodnię. —

GIANI.

Ha! okropności! —

ANSELMO.

Boleścią się zrywa —
Co ja wyrzekłem!!..

GIANI.

Nic — tylko rzuciłeś
Do mego serca wianek gadzin. Starcze,
Ona by żyła, gdyby nie ja... Starcze,
O! tu mi serce boli — ha — tu, starcze!
Zrobiłeś ze mnie zabójcę i kata...
To jest rzecz... onaby żyła, bo papież
Chciał ułaskawić...

(tłucze szybę i szkło połyka).

ANSELMO.

Boże! szkłem się truje —
Matko najświętsza! szkłem!..

GIANI.

Cicho! daj rękę!
Bo tam — w ciemności furye widzę ciemne.
Przyszły po ducha. — Precz! ohydne mary —

Krwią plwam na wasze węże — precz! precz, matki!
Widzisz — zniknęły. Patrz, ja na tej szybie
Najświętszą Pannę sam wymalowałem,
A teraz zbita — w tęczę blasków — o! tu —
Pod sercem tu już!..

(upada).

ANSELMO.

Ociężał i skonał...
Skonał — mój drogi syn — mój słodki chłopiec!
A ja z tém dzieckiem sam — w cichym klasztorze...
Dobra noc, Giani! — Niewdzięczni są ludzie
I to im powiem na ostatnim sądzie.
Ja go kochałem jak mojego syna:
Tyle nadziei moich.. leży w grobie! —

NIEPOPRAWNI.

DRAMAT

W PIĘCIU AKTACH.

OSOBY:

Hrabia Respekt, były marszałek powiatowy.
Hrabina Respektowa, jego żona.
Dyana, Stella — ich córki.
Hrabia Fantazy Dafnicki.
Rzecznicki, marszałek powiatowy, jego przyjaciel.
Hrabina Idalia, rozwódka, sąsiadka Respektów.
Ksiądz Loga, kapelan.
Wołdemar Hawryłowicz, rodem Czerkies, stary Major rosyjski.
Jan, zasłany na Sybir w sołdaty.
Kajetan, kamerdyner hr. Respektów.
Helenka, pokojowa Idalii.
Kałmuk, sługa majora.

Rzecz dzieje się na Podolu, około r. 1841 — w trzech pierwszych aktach w domu hr. Respektów, w obu ostatnich w majętności hr. Idalii.

AKT PIERWSZY.

SCENA I.

(W domu hr. Respektów.)

(FANTAZY i RZECZNICKI. Później HR. RESPEKT).

FANTAZY.

Widziałeś Wasan, jakie w przedpokoju
Hamadryjady, Laokonty, Psylle
W ojca Adama przenajświętszym stroju
Stoją, z lokajstwem w zgodzie? — A nie tyle
Lokajów, ile posągów! — a wszyscy
Postaci większéj, niźli chce natura:
Bo ci lokaje są sufitów bliscy
Głowami, a ich olbrzymia struktura
Herkulesowe przypomina członki.
Sądzę więc, że i panny tu znajdziemy
Jako Dryjady albo Amazonki,
Nadludzkie. — Ślepy więc będę lub niemy,
A ty, rozsądny, patrz za mnie i gadaj;
Co człowieczego znajdziesz pod boskością
Kształtu, wydobądź, ojca wyspowiadaj
Z politycznego sumienia, z Jejmością
Wejdź w jak najbliższe stosunki, aż ci się
Przyzna, pod jakie jarzmo zegnie zięcia; —
Słowem: jak gdybyś zjechał na komisyę,
Gadaj, rób i patrz; a ja się w dziecięcia
Roli dam wszystkim, gdzie chcą, za nos wodzić.

RZECZNICKI.

Lecz ciebie znają.

FANTAZY.

Cóż? Że kilka listów,
Które w gorączce można było spłodzić,
Przepisać nawet przez płatnych kopistów,
Samemu nawet pisać nie umiejąc —
Że kilka listów, które na Podolu
Panny czytały wyuczone, mdlejąc
I krzycząc: — ach! ten list na Kapitolu
Był napisany! a ten z Wezuwiusza
Leciał jak gołąb aż na Ukrainę!
Że wykrzykniki te: ach! co za dusza!
Ach! co za ogień! . . . . *)
Brzmiały tu stokroć razy: — to ja, hrabia
Fantazyusz, głupim być już nie mam prawa?
A cóż to, powiedz, jest opinia babia?
Czy to szacunku godna rzecz? czy strawa,
Na której serce tyje? czy poduszka,
Na której głowa leży? — Mój Rzecznicki,
Ty mój swat, ty mój — raczej moja drużka,
Bo się jak panna spłonię, w jezuicki
Talerz wlepiwszy me panieńskie wzroki...
Ty mnie zachwalaj, wynoś pod lazury,
Po nad Wezuwiusz, nad Alpy, obłoki!
Mów, żem napisał poemat ponury
O czterech wiatrach; złoć mię jak barana!
A mnie pozwól się troszeczkę zagapić
I z siebie lakier byroński szatana
Zrzucić...

RZECZNICKI.

Fantazy! możesz się poszkapić
I źle wyjść —

FANTAZY.

Jakto?

RZECZNICKI.

Pierwsze złe wrażenie
Trudno się ściera...

---

*) Tu koniec karty w rękopisie wydarty.

FANTAZY (przerywając niecierpliwie).
Nie dbaj, nie dbaj o to!
Jeśli zakocham się, to się odmienię;
Jeśli nie... (widząc wchodzącego HR. RESPEKTA).
Hrabia Respekt...

HR. RESPEKT.
Jak to? co to?
Sami? nikogo na wasze przyjęcie?
Sami?... Przepraszam was za moje baby.
Przynajmniej tu was...

RZECZNICKI (na stronie do Fantazego).
Nie chodź mi po pięcie!

HR. RESPEKT.
Przynajmniej tu was moje główne sztaby
Przedpokojowe...

FANTAZY (do Rzecznickiego).
Rekomendujże mię!

RZECZNICKI.
Hrabia Fantazy, mój przyjaciel.

HR. RESPEKT.
Miły
Będzie mi w domu gość: ziemia o ziemię
Nasze dwa dwory, a bogdajby były
Serce o serce nasze dwa stosunki!
Lecz gdzież to moja żona i figlarne
Córki? gdzie moje kobiety? Korónki
Mówią, czy jakie gdzie romanse czarne
Gryzą po kątach i żółć w sobie płodzą?
(do lokaja).
Kajetan! gości zaanonsuj paniom!
Ha! otóż przecie i są — otóż wchodzą.

SCENA II.

(Wchodzą HRABINA RESPEKTOWA, DYANA i STELLA).

HR. RESPEKT.
Hrabia Dafnicki —

HRABINA.
Pana opisaniom

Rzymu winniśmy bardzo miłe chwile!
Znamy go dobrze: taki ogień w piórze
I tyle serca, entuzyazmu tylo!
Ach! listy Pana... to są na marmurze
Pisane lawą! czy prawda Dyjanno?
Te dwie fontanny, co przed Watykanem
Jak duchy, tęczą opasane ranną —
Ten krzyż drewniany w Cyrku — ach! my z Panem
Dawno się znamy, dawno!

FANTAZY.

To być może,
Żeśmy się znali przed śmiercią...

HRABINA.

Słyszałam,
Że Pan jest mistyk — teraz się założę,
Że Pan jest mistyk. — Ach! jak ja się bałam,
Że Pana znajdę mistycznym.

HR. RESPEKT.

Maryanno,
Nie zaczynajże zaraz z gościem kłótni!
Proszę was za mną, proszę. Ty Dyjanno
Zagrasz nam; a was ostrzegam, że smutni
Ludzie są w mojém sercu podejrzani
O brak szczérości!

(Wychodzą wszyscy oprócz Hrabiny).

SCENA III.

HRABINA.

Kajetanie!

(LOKAJ wchodzi).

LOKAJ.

Pani,
Co Pani każe?

HRABINA.

Każ zapędzić trzody
Na małą łąkę w ogrodzie! Niech stary
Anton zapuści swoje sieć do wody
I sam pod wierzbą siądzie obok pary

Chłopiąt plotących koszyki — jak w Tassie.
Opodal żeńców postawić gromadę
I niech śpiewają! Anna niechaj pasie
Kozy na skałach... Ach! puścić kaskadę!
Pamiętaj, puścić kaskadę wieczorem
Wprzód nim wstaniemy od stołu... Ach, jeszcze
Powiedz Dubynio, niech stanie za dworem
I pieśń Padury śpiewa!

LOKAJ.

Ale deszcze
Popsuły rurę w kaskadzie — —

HRABINA.

Nowina!
No, to nie puszczać wody...

LOKAJ.

Ale, Pani...

HRABINA.

Ale! co ale?!

LOKAJ.

Ale dziś Dubyna
Pojechał kupić cukru i araku
Do Berdyczowa —

HRABINA.

No, to się bez dumy
Obejdzie; ale pomnij o rybaku —
Pomnij o trzodach i...

LOKAJ.

Summa do summy:
Rybak i trzody.

HRABINA.

I małe chłopięta,
Które koszyki plotą.

LOKAJ.

I koszyki.

HRABINA.

I żeńce!

LOKAJ.

Ale pszenica pożęta!

HRABINA.

Mój Kajetanie, rób co chcesz. Ten dziki
Ogród angielski, to kłopot prawdziwy!

LOKAJ.

Zawsze w nim czegoś brak: to się altana
Załamie, burza krzyż umyślnie krzywy
Zwali — o mało co nie zabił Pana. (odchodzi).

HRABINA.

Ach, jaka, jaka z tym ogrodem biada!
Stelko!

SCENA IV.

STELLA (za sceną).

Co?

HRABINA.

Stelko, chodź tutaj!

STELLA (wchodzi).

Co mamo?

HRABINA.

Czy pan Fantazy już z Dyjanką gada?

STELLA.

Nie.

HRABINA.

Zostaw, Stelko, ją w salonie samą,
A ty idź dziadka odwiedź, potem biało
Ubierz się cała, i wiesz — tam nad stawem,
Pod brzozą naszą płaczką — stań pod skałą
I wab łabędzie; bo my niezabawem
Wyjdziemy z gośćmi pod dąb Wernyhory
Pić kawę...

STELLA.

Dobrze mamo; ale potem
Pozwolisz mi pójść z Hanką na nieszpory?

HRABINA.

Dobrze... Lecz cóż to widzę? Ach, pod płotem
Kibitka jakaś i konne Baszkiry! —
(Do wchodzącego LOKAJA).
Co to?

LOKAJ.

Oficer moskiewski, gwardzista.

HRABINA.

Proś! — ach! drżę cała... Nie wiesz, czy kwatery
Żąda?

LOKAJ.

Nic nie wiem.

HRABINA.

Proś!.. Matko przeczysta!
Jeśli to jaki feldjegier... drżę cała...
Idź, ostrzeż ojca, Stelko! (Stella wybiega).

SCENA V.

(Wchodzi MAJOR).

HRABINA.

Witam Pana...
Kogoż mam honor?...

MAJOR.

Pani nie poznała?

HRABINA.

Ach! Pan Wołdemar! Ach! cóż za kochana
Siurpryza! — Mężu! Steluniu! Dyjanko!
(Wbiegają wołani, a z nimi FANTAZY i RZECZNICKI).

HR. RESPEKT.

Co to jest?

HRABINA.

Patrzcie! nasz dawny znajomy!

HR. RESPEKT.

Ach Major! przyjąćże go pełną szklanką!
Illuminowaćże mój dach poziomy!
Cukrem wysypać srebrnym mój dziedziniec
I zamienić mu w Sybir! — Mój ty drogi! (ściska go).
Terazże widzisz: ot ja, Ukrainiec,
Już nie twój więzień! już tobie bez trwogi
Patrzę za mundur, czy zeń nie wyziera
Jaki róg biały carskiego ukazu...
Panowie! w rękach tego oficera
Był mój los; a on — mówię, ani razu

Nie dał mi uczuć niewoli! i owszem —
Gdym z żoną, z dziećmi, w pobliżu Tobolska
Siedział, zasłany tam jakoby w zdrowszém
Dla mnie powietrzu, aby dżuma polska
Nie zaraziła méj skóry (bo wiecie,
Żem takiéj rządu pieczołowitości
O moje zdrowie, jako tu w powiecie
Pierwszy urzędnik, doznał): — on, litości
Pełny, widząc mię z córkami i z żoną
W małéj wioszczynie, w dziurawéj stodole,
Był nam pomocą wtenczas i obroną,
Tak, że nas wściekłe sybirskie Eole
Nie rozdmuchały.

MAJOR.

Szczęsny, żeście w zdrowiu.

HRABINA.

A jak się ma pop Osip?

MAJOR.

Pijany z duszą!

STELLA.

A moje gile czerwone?

MAJOR.

W pustkowiu
Świszczą po drzewach i w róże się puszą,
Smutne, że nie ma Panny na Sybirze!

STELLA.

A oswojone szczygiełki?

MAJOR.

Jak w raju
U Kaznaczeja...

DYANA.

A trzy polskie krzyże?

MAJOR.

Stoją.

HRABINA.

A Pani Potopof?

MAJOR.

Przy czaju —
W zielonéj sukni.

HRABINA.

I zawsze w zielonéj?

MAJOR.

I w kokoszniku —

STELLA.

Z którego ja chciałam
Zrobić gniazdeczko suczce oszczenionéj!
Ach, jak tam zimno być musi! zadrżałam
Myśląc, jak zimno tam Pani Potopof!
Dyjanko, a nasz?..

DYANA.

Kto nasz?

STELLA.

Kto? — nasz drogi,
Nasz biedny Pan Jan, co na czele chłopów
Z kosą wzięty był. On taki ubogi,
A taki dobry! aresztant — i taki
Piękny, jak Michał Anioł na obrazie.

MAJOR.

Ten wasz przyjaciel dał nam się we znaki:
Buntował nam lud — a dziś na Kaukazie
Bije się, w proste posłany sołdaty.

STELLA.

Patrzaj Dyjanko!

HRABINA.

Dość, Steluniu! prowadź
Pana Majora do polskiej herbaty,
Którą przyrzekłaś jego uczęstować
Za kwas sybirski.

(wychodzą wszyscy oprócz Fantazego i Rzecznickiego).

SCENA VI.

(FANTAZY i RZECZNICKI, przy końcu STELLA).

FANTAZY.

O nas zapomnieli!

RZECZNICKI.

Gniewasz się?

FANTAZY.

O! nie.

RZECZNICKI.

Lecz trochę zazdrościsz.

FANTAZY.

Czego?

RZECZNICKI.

Dyjanny spojrzeń i łez Stelli.

FANTAZY.

Jeszcze nie kocham.

RZECZNICKI.

Ale już się złościsz.

FANTAZY.

Wcale nie! — Ale powiedz mi, Rzecznicki,
Kto to jest ów to pan Jan, wzięty z kosą?

RZECZNICKI.

Jakiś kosynier...

FANTAZY.

Jesteś jak delficki
Posąg: — wyrocznie twoje prosto niosą
W sam cel i w samo serce prawdy; ale
Radbym dowiedzieć cię, jaki to smutny
Upior nad srebrne gdzieś sybirskie fale
Pierś pokazuje i łańcuch okrutny
Wstrząsa, i w panien tych ładnej pamięci
Staje z ranioną piersią i z brylantem
Tej łzy, co mu się w oczach mglistych kręci,
Próżno roniona. Z takim aresztantem
Adonis nie mógłby walczyć o miłość
Szlachetnej Polki!..

RZECZNICKI.

Przecudna tyrada:
Peryody długie...

FANTAZY.

Ta dawna zażyłość
Sybirska — chmura ta błękitno-blada
Szronu złotego, która go obwiewa —
Te pod nim jary, pełne wilczych kości —

Te nad nim czarne sosny, straszne drzewa,
I to nieszczęście czarne...

RZECZNICKI.

I w czarności
Kominie białą napisane kredą
Imię Dyjanny...

FANTAZY.

Przeklęty człowieku,
Któremu jeszcze dziś świątynie w Knido
Dostarczą wody kastalskiej! O! ćwieku
Z byronowego krzyża! O baranie,
O którym niegdyś w mistycznem widzeniu
Śnił Sanczo Pansa, w niebie niespodzianie
Ujrzawszy bydło! O ty, co w płomieniu
Wiekowym głupstwa jesteś Salamandrą
I w ogniu będąc tyjesz, o Rzecznicki!

RZECZNICKI.

O nieszczęśliwy wieszczu!

FANTAZY.

O Kasandro
Przedkontraktowa!

RZECZNICKI.

O ty, potrzebnicki
Zdrowego sensu!

FANTAZY.

O ty, sekaturo!
Patrz — poszli wszyscy na ogród, a o nas
Ani kto wspomniał!

RZECZNICKI.

Bo ty jesteś pióro,
Które sonety pisze... et andronas
Scribit — i bawisz ludzi, gdy się nudzą,
A nudzisz, gdy się bawią.

FANTAZY.

To być może...

RZECZNICKI.

Abyś się widział sam, weź głowę cudzą
I włóż na swój kark.

FANTAZY.

A moję położę

Na twoim?

RZECZNICKI.

W karty przegraj twoję głowę,
Jeśli na stawkę szulery pozwolą
Stawić wiatr, a nie pieniądze gotowe.
Lecz pierwej złap ją tak, jak wróbla — solą
Na ogon, bo ci z rąk samych wyleci!

FANTAZY.

Prawdę ty mówisz: same jakieś światła
Chodzą po mojéj głowie — jak u dzieci —
Zielone, jasne, czerwone — jak na tła
Złote rzucone przez Wenecyanina
Świętych postaci; różne jakieś tony,
Z których ton każdy mi coś przypomina
Smutnego, a ma niewytłómaczony
Urok dla ducha. W powietrzu mi dzwonią
Różne pamiątki miejsc; koło mnie chodzą,
Każda ze swoją twarzą, swoją wonią,
Zmieniona w Nimfę, w postać... Ach! jak szkodzą
Uczuciom myśli nadto rozwinięte!
Zda się upiory piękniejsze, że smętne —
Zdaje się kwiaty smętniejsze, że ścięte —
Zda się, że bóstwa — tak, krwią nie namiętne,
Ale grzejące słonecznością lica —
W wieńcach, w kameliach z gwiazd, których kolory
Niepewne jako półtęcze księżyca
Srebrzeją... Myśli me — już pół-upiory,
A jeszcze myśli...

RZECZNICKI.

Bądź zdrów, bałaguło,
Który handlujesz końmi Apollina!

FANTAZY.

Stój!

RZECZNICKI.

A co?

FANTAZY

Serce moje coś uczuło.

RZECZNICKI.

Fenomen!

FANTAZY.

Słuchaj: — ta w czerni dziewczyna,
Ta wybielona wiatrem na Sybirze
Dyjana, która czarnemi oczyma
Widzi tam jakieś mogiły i krzyże,
Słyszy tam jakieś łańcuchy, i trzyma
Ręce na piersiach, jak posąg słuchania
I bolu — słuchaj! — ta Dyjana dumna,
Co pod piorunem tu zatradowania,
Pod ruinami gmachu, jak kolumna
Ostatnia trzyma wysoko swe czoło —
Ta, która patrząc na matki aktorstwo
I na twarz ojca — zbladłą, a wesołą
Dla ludzi... czuje całe gladyatorstwo
Nędzy domowéj, ze światem walczącéj —
Ona, co na mnie jako narzeczona
Patrzeć tu musi, a w duszy gorącéj
Czuje, że będzie majątkiem kupiona,
A cierpliwością wypłacić się musi —
Ta panna — czuję, że to podłość we mnie!
Ale mnie jakiś szatan wnętrzny kusi
Popełnić taką podłość i nikczemnie
Kupić ją złotych polskich pół-milionem!

RZECZNICKI.

Rzecz ułożona.

FANTAZY.

Tak — lecz jakim tonem
Mówić z nią?

RZECZNICKI.

Tonem kupca trzeciéj gildy.

(Przychodzi STELLA).

STELLA

Mama przysyła mię zaprosić Panów
Pod dąb, na małą wysepkę Matyldy.

FANTAZY.

Z romansu Cottin...

STELLA.

Bo do trzech kurhanów
Pójdziemy potém na spacer.

FANTAZY.

Cudownie!

(Fantazy i Rzecznicki wychodzą).

SCENA VII.

STELLA (sama).

Smutni dziś wszyscy! Dyjanka — tak blada,
Jakby opłatek, wzdryga się gwałtownie
I drży jak w febrze i z nóg zda się pada;
Papa nie mówi anekdot, a mama —
Kiedy spojrzałam na nią: tom się zlękła!
Taka przy oczach szafirowa plama
I taka wielka łza w jej oczach pękła
I taka twarz się wydaje stroskana!..

(Wbiega do pokoju JAN).

Ach! jakiś Baszkir! Baszkir! ach, w drzwi wpada!
Baszkir!,. Czego Pan chce?!.. Ach! proszę Pana,
Ja jestem sama...

JAN.

Stelka mi nie rada?

STELLA.

Ach! Pan Jan?!

JAN.

Cyt! cyt!

STELLA.

Ach! Pan Jan przebrany?

JAN.

Moja Steluniu, cicho!.. Jak urosła!
Jaki z niej kwiatek biały i różany!

STELLA.

Puść mię, ażebym Dyjance doniosła,
Że tutaj jesteś...

JAN.

Moja dobrodziejko,
Mój aniołeczku, o tem ani słowa!
Pamiętaj, że mnie prosiłaś na mleko
I miód z pasieki twojej, jak królowa
Rusałek, kwiatów podolskich caryna.
Bądźże mi teraz wierną i zaklętą,
Jak czar — bo dla mnie ta cała kraina
Musi być tylko snem i wizyą świętą,
Na którą muszę patrzeć tak jak we śnie —
Z uśmiechem, ale w milczeniu... O! biada
Tym, co stracili Ojczyznę!..

STELLA.

Boleśnie
Gadasz — i słyszę, jak za ciebie gada
Głuchy sybirski wiatr, co tak okropnie
Wył, w szyby bijąc brzęczące...

JAN.

Milutka!
Proszę cię — teraz postępuj roztropnie
Widząc mię tutaj: jedna bowiem krótka
Radość mogłaby mnie i dom wasz cały
Strącić w nieszczęście...

STELLA.

Pan zawsze w niewoli?

JAN.

Zawsze —

STELLA.

I wraca znów na Sybir biały?

JAN

Wracam.

STELLA.

I Pan mi mówić nie pozwoli,
Że Pan przyjechał?

JAN.

Zgubiłabyś obu,
Mnie i Majora!

STELLA.

Cóż mam robić?

JAN.

Oto
Ja, Stello, szukam jakiego sposobu,
Abym Dyjanie tę obrączkę złotą,
Zgubioną... dawno w śniegu, dziś wieczorem
Oddał. — O wschodzie słońca wyjeżdżamy!

STELLA.

Jakże to zrobić? — Ach! oto za dworem
Jest staw i łódka, którą my pływamy —
Niekiedy same nawet tylko panny —
Na drugą stronę, do ładnej pasieki.
Lasek należy cały do Dyjanny;
Lecz teraz, jak nam tutaj mnichy Greki
Wzięli kościołek i parafią, w dworku
Pasiecznym mieszka nasz ksiądz, ojciec Loga. —
Otóż w tym — jak dziś zwiemy go — klasztorku
Często z Dyjanką prosiłyśmy Boga
Za ciebie, biedny Panie Janie: często
Wieczorem, kiedy w łąkach derkacz krzyczy,
A staw nakryty mgłą srebrną i gęstą,
Pełny różowych smug, a głos słowiczy
Po czarnym lasku girlandami spada
Z dębów aż na staw, i za stawem jęczy:
Często Dyjanka księdzu Lodze gada
O tobie, o tej śnieżno złotej tęczy,
Która świeciła, gdyście wy Cyganki
Na Sybirze się o wasz los pytali. —
Nie wiem, czy równie ty nas, dwie wygnanki,
Pamiętał? — Jak ty westchnąłeś! — Cóż dalej?..
Cóż ja mówiłam? Ha!.. więc do tej chaty,
Jeśli chcesz, siostrę moję zaprowadzę.

JAN.

Ale nic nie mów!

STELLA.

Nic...

JAN.

Ptaszku skrzydlaty!

Zawsze, jak widzę, masz rusałki władzę
Nad twoją siostrą.

STELLA.

O! zawsze mnie slucha!

JAN.

Więc dobrze: będę wieczorem w pasiece. (wychodzi).

STELLA.

Powiem Dyjance, że zobaczy ducha.

(żywo).

Ducha zobaczy! ach! zaraz polecę
I powiem Dyani, że ducha zobaczy.

(Chce wychodzić — wchodzi HRABINA IDALIA).

SCENA VIII.

(STELLA i HRABINA IDALIA).

IDALIA.

Stelko!

STELLA.

Ach! Pani hrabina —

IDALIA.

Gdzie mama?

STELLA.

Niech Pani chwilę tu zaczekać raczy!
Pobiegnę, powiem...

IDALIA.

Stój! — ja pójdę sama;
Powiedz mi...

STELLA.

Pani jesteś cała drżąca.

IDALIA.

To nic... serce mi bije... jestem chora:
Z podróży jestem... z wielkiego gorąca...
Prędko jechałam pomimo doktora
Rad... mimo własne stokrotne zakazy.

(na stronie).

O nieszczęśliwa ja!.. ach, i szalona! —

(głośno).

Czy są tu goście?

STELLA.

Jest hrabia Fantazy
Z panem Rzecznickim.

IDALIA.

Czy niepostrzeżona
Mogłabym, powiedz, podejść tam, gdzie oni
Są teraz wszyscy?

STELLA.

Wszyscy są nad wodą...

IDALIA.

Czy mię tam jakie ukrycie zasłoni?
Powiedz — czy jakie drzewa tam dowiodą
Aż do nich — blisko — abym niewidziana
Mogła dać jaki znak twej mamie? Stello!
Patrzaj ty, jak drżą podemną kolana
Jak moje oczy... (na stronie) Ach! piorunem strzelą
Na czoło tego zmiennika! sztyletem
Przebiją serce jego! —

STELLA.

Chodźmy, Pani!
Staniemy za drzew tych oto bukietem
W kłąbach georgin —

(Wychodzą).

SCENA IX.

(Pod dębem w ogrodzie).

(HRABIA i HRABINA RESPEKTOWIE, DYANA, MAJOR, FANTAZY RZECZNICKI).

DYANA (nalewając w filiżanki).

Pan Major herbaty?

MAJOR.

Dawno ja takie widział jasne kwiaty
I takie drzewa!

HRABINA.

Bez kultury rosną.

MAJOR.

Wasz kraj ogrodem zdaje się i wiosną

Temu, kto stoi w śniegach garnizonem.
Nie dziw, że tęskno wam do waszéj ziemi,
Że wy wzdychali do niej pełnem łonem.
Ja to czuł dobrze!

HRABINA (do Fantazego będącego w zamyśleniu).

Z uszkami złotemi
Ta filiżanka grotesque się należy
Panu Hrabiemu. Panie Hrabio, proszę —

RZECZNICKI.

Fantazy!

FANTAZY.

Niechaj piorun mię uderzy!
Chociaż amulet koralowy noszę
Od złego oka, słyszałem za sobą
Szelest... i znany krok... czyscowéj duszy!

HRABINA.

Ta dusza miłą być musi osobą,
Że tak w Hrabiego sercu wszystko głuszy
I tak daleko od nas odprowadza
Myśli... i w taką nieprzytomność wtrąca!

FANTAZY.

Przepraszam Panią — to mi nie przeszkadza
Być tu — jak światło bladego miesiąca
Nie szkodzi lampom.

HRABINA.

Więc Pan Hrabia z nami?

FANTAZY.

Duszą i ciałem, sercem i oczyma!

HRABINA.

I nie zostało nic teraz z duchami?

FANTAZY.

Ani włos jeden!

DYANA (podając filiżankę nieprzytomnemu Fantazemu).

Ale czy Pan trzyma?
Niechże Pan trzyma! Ach! Pan puszcza z ręki!
(filiżanka pada i tłucze się).

HRABINA.

To nic! Dyjanko, nalćj Panu drugą!

FANTAZY.

Na Chrystusowe zaklinam się męki,
Że nie umyślnie! — Jestem Pani sługą
Najpokorniejszym — przepraszam Ją za to;
Ale w tej chwili... gdybyś była Pani
W oczy mi lała gorącą herbatą:
Byłbym nie poczuł. (na stronie) Sami tu szatani
Grają komedyą ze mną najsmutniejszą.

HRABINA.

Dyjanko, naléjże Panu Hrabiemu,
Ale herbatę daj mu jak najlżejszą,
Daj cień herbaty.

FANTAZY.

Cień jéj? a to czemu?

HRABINA.

Szanuję nerwy Pana...
(widać za plecami Fantazego stojącą śród zarośli Idalią).
Co ja widzę? (kłania głową).

FANTAZY.

Co to jest? komuż ukłon ten Hrabino?

HRABINA.

Nic... Stelka widząc na jednej łodydze
Kwiat rzadki — za tą w gwiazdach georginą —
Gestem pytała, czy zerwać pozwolę,
A jam jéj na to odkłoniła głową...
Dawno Pan z Rzymu przybył na Podole?

FANTAZY.

Pół roku —

HRABINA.

Któż tam z naszych?

FANTAZY.

Daję słowo,
Że oprócz kilku wielkich dziwolągów
Suchych, co jeden za drugim się wleką,
Powysychani nakształt wodociągów
I wydają się ruinom opieką,
Jak mech i chwasty: nie ma w całym Rzymie,
Kogobym wspomniał.

HRABINA.

Przecież dla nas sielan
Wszystko ciekawe.

FANTAZY.

Przy ruinach drzymie
Jeden katolik Polak — i szambelan
Cesarskiéj Mości, wielki filharmonik;
Rogaty złotą lirą Apolina,
Śpiewa, ale tak, jak Egeryi ponik
Mrucząc: niteczka głosu tylko sina
Z ust mu wypływa, młynów nie obróci,
A jednak ciurka wciąż włoską ruladą;
Milczenia anioł w nim siedzi i nuci;
Pitagor z całą swych uczni gromadą
Milczącą siedzi w nim; a rzecby można,
Że swojéj szkolnéj zasady nie łamie. —

HRABINA.

Któż więcéj?

FANTAZY.

Jedna hrabina pobożna,
Któréj spadają loki aż na ramię,
A w każdym włosa pierścieniu ukryty
Albo kanonik, albo Monsignore.

HRABINA.

Dewotka. — Jakież są więcéj kobiety?

FANTAZY.

Najwięcéj blade są i bardzo chore,
Ruiny kobiet, resztki Karlisbadu,
Wód stalaktyty, zgasłe Wezuwiusze.

HRABINA.

Zacytuj mi Pan jednę dla przykładu!

FANTAZY.

Ach! jest tam, chora do głębi na duszę,
Znajoma Pani — Hrabina Idalia,
Rodzaj Pani Staël — machina parowa
Pisząca listy...

HRABINA.

Czy ładna?

FANTAZY.

Jéj talia
Jest do połowy z mgły, druga połowa
Bez kości, sprężyn, samą siłą skrętu
Idąca naprzód — zresztą w oczach cała....

RABINA.

Piękne?

FANTAZY.

Dwie czarne plamy atramentu
Na prześcieradle białém...

HRABINA.

Taka biała?!

FANTAZY.

Jak prześcieradło.

HRABINA.

I takie ma oczy?

FANTAZY.

Jakby atrament.

HRABINA.

Widzę ją przed sobą!

FANTAZY.

Kto prześcieradło to sztyletem zbroczy:
Popełni — wielką poezyą... z osobą,
Któraby dała dziś dziesięć lat życia
a jaką scenę głośną i tragiczną. —
Jéj trzeba rany, usta ma do picia
Trucizny; — byłaby osobą śliczną
Mając rozdarte serce lub sumienie,
Do miesięcznego modląca się blasku.
Nieszczęściem — takie biednej przeznaczenie —
Że jako okręt rozbity na piasku
Siedzi i czeka; lecz żądane burze
Nigdy ją z ziemi zabrać nie przychodzą.
Gdym przybył, chciała mnie poznać: ja służę
Chętnie kobietom, ale się nie godzę
Być Danaidy beczką, w którą leją
Wszystkie serc swoich rdzawych niedokwasy. —
Przychodzę: — była zajęta ideją

Że miłość wszędy i po wszystkie czasy
Była święconą, bo w treści jest wiarą
I jedynie się zasadza na wierze. —
Na to krzyknąłem bardzo wielkie „haro!“
I powiedziałem mojéj Pani szczerze,
Że miłość nie jest taką narkotyczną
Niedowiedzioną istotą; — że trzeba,
Aby tę gwiazdę zobaczyła śliczną
Przez alabastry płci jakiego Feba
Świecącą, w oczu skrze i na koralu
Ust gorączkowych... Gdym to rzekł, westchnienie
Z burnusowego wyrwało się szalu,
A ten szal — amiant — owinął płomienie
I przepalony, srebrniał w moich oczach,
Amiant prawdziwy! — Tu rzekłem, że widzę
Na jéj błękitno kruczanych warkoczach
Gwiazdę nieszczęścia. — Myślała że szydzę
Z początku; ale widząc, że ja na tém
Stanąłem, jako okręt na kotwicy,
Rzekła: — Ach! Pan mi będziesz duszą bratem!
Pan jeden — w jednéj czucia błyskawicy
Pojąłeś, co ja cierpię, co ja czuję,
Na jaką jestem samotność wskazana...
Rzekłem, że sercem się nad nią lituję,
Że mi potrzebna jest dusza siostrzana,
Jak rękawiczce nieparzystéj druga
Z téj saméj pary i z tego numeru.

HRABINA.

Przepraszam Pana — Stelka na mnie mruga.

(wychodzi ku Idalii i odchodzi z nią razem).

(Respekt bierze Majora pod ramię i odchodzą w inną stronę ogrodu).

RZECZNICKI (na stronie do Fantazego).

Teraz, Fantazy, z drugiego krateru
Sypnij Dyjanie w oczy!

FANTAZY.

Idź do dyabła!..

RZECZNICKI (do Dyany).

Zapewne Mamie Pani co się stało —
Może tam w domu Stelunia zasłabła:
Pójdę zobaczę. (do Fantazego) Przypuść szturm, a śmiało!
(odchodzi).

SCENA X.

(FANTAZY i DYANA sami).

DYANA.

Chce Pan herbaty?

FANTAZY.

Nie.

DYANA.

Chce Pan odwiedzić
Moję ptaszkarnię?

FANTAZY.

Nie — pozwól mi Pani
Przy samowarze tym, co zaczął cedzić
Ukrop — pozwól mi z Plutona otchłani
Wydobyć słowo, które na cmentarzu
Żywych jest, jako trupia głowa w kwiatach.

DYANA.

Pan mówi?

FANTAZY.

Prosto mówię — o maryażu.

DYANA.

Ha!

FANTAZY.

Czy mam klęknąć?

DYANA.

W tych namiętnych światach,
W których Pan żyjesz, klękanie nie w modzie.

FANTAZY.

Zaprawdę — trochę już się zestarzało.

DYANA.

Więc...

FANTAZY.

Więc hrabianko?..

DYANA.

W słowach tych na spodzie
Jest oświadczenie...

FANTAZY.

Cukier...

DYANA.

To za śmiało,
Mój Panie Hrabio! Wcale po kupiecku
Zbliżyłeś się Pan po towar. Gdzież łokieć?
I gdzie są szalki? — Szlacheckiemu dziecku
Bóg dał — patrz hrabio — nawet ten paznokieć
U palca, jako rubin gdzieś obmyty
Krwią przodków, a gdzieś wzięty na Wezyrze!
Me łzy — patrz, są jak perły Amfitryty,
Bom obrażona we łzach. — W tym szafirze
Oka mojego znajdziesz niby mętne
Łzami rodowych myśli zdrojowisko.
Wszystko, co mogło w spadku dziecko smętne
Wziąć po umarłych: całe serc ognisko,
Z szlachetnościami wszystkiemi — i całą
Myśli ich piękność — ja mam po nich w spadku;
A ten mój posag ich — to moje ciało!
Gdybym więc nawet kładła na ostatku
Duszę, i o niej nie mówiła wcale
Traktując z tobą o siebie na funty: —
To jeszczeby mi ust jasne korale,
To jeszcze oczy te, co straszne bunty
Podnoszą, ogniem i łzami ciskając,
Kazały dumną być w targu i trudną. —
Jakto? — więc chciałeś hrabio, nie klękając
Jak przed Madonną na stepie odludną
Rafaelową, zrumienić jéj lice
I grubijaństwem cud otrzymać święty,
Że się łzami jej napełnią źrenice
Lub z płótna tryśnie krew? — Więc żeś ty wzięty,
Żeś w okolicy sławny, że się ludzka
Miłość za tobą goni, żeś pomięty
Jak dziwna jaka perła kałakucka,

Tém droższa, że ma kształt nieodgadnięty
I do perły jest niepodobna wcale,
Ale jest jako monstrum dziwne, drogie: —
To już myślałeś, że ja się zapalę
Do tego dziwu, jak dziecko ubogie
Pierwszy raz brylant słoneczny widzące
Na twéj koszuli?... Bo wyznasz mi, Hrabio,
Że Endymiona mirty i miesiące
Niepotrzebne ci były tu, gdzie grabią
Siano tak podłych, jak ja, pełne kwiatków!...
Dobrze więc! oto odpowiem ci szczerze,
Tém szczeréj, że tu jesteśmy bez świadków:
Ojciec mój daje mnie tobie, a bierze
Twoje pieniądze. Przebacz, że wyraźnie
Mówię... Mój ojciec ma ojcowskie długi,
A sam jest winien pół miliona w kaźnie,
A jutro wszystkim chłopom biorą pługi
I w każdéj chacie stawiają żołnierza.
Więc jeśli chaty te jutro posłyszę,
Że krzyczą: Boże! a Bóg nie uderza
Piorunem; jeśli duch, co we mnie dysze,
Modlitwą o! téj wioski nie obroni;
Jeśli mnie chłopki okrążą i padną
Do nóg, jak gdybym z gwiazdami na skroni
Stała w niebiosach, a ja męką żadną
Nie będę mogła wyratować ludu;
Jeśli Bóg z mego jedynie nieszczęścia
Chce siły, która podobna do cudu
Ten lud obroni: — to się do zamęścia
Z Panem... przychylę.

(wychodzi).

FANTAZY.

Co za duch! o Jezu!

RZECZNICKI (wychodząc z za drzéw).

A cóż? — za drzewem stałem...

FANTAZY.

Wichry! burze!

Jestem szalony!

RZECZNICKI.

Napij się Xerezu.

FANTAZY.

Rzecznicki! w mojéj duchowéj naturze
Wielka się stała, ogromna przemiana!

RZECZNICKI.

Wiwat! — A cóż? rzecz czy do skutku doszła?
Czy panna w tobie szczerze zakochana?

FANTAZY.

Duchowi memu dała w pysk i poszła!

RZECZNICKI.

Wiwat!...

FANTAZY.

Lecz partya ta nierozegrana! (wybiega).

RZECZNICKI.

Poleciał; — dziwnie ten Fantazyusz żyje:
Z babami się jak na pałasze bije.

AKT DRUGI.

SCENA I.

(Z jednéj strony widać domek księdza Logi, z drugiéj sztuczną grotę otwartą; środek sceny zajmuje ogród, pełny w głębi skał połamanych, mostków wiszących i kwiatów).

IDALIA (sama).

Nie! nie! Ja w domu tym, gdzie oni żyją,
Nie będę... tylko wytchnę sobie z drogi
I tu, gdzie różne powoje się wiją
Około sosen, w domku księdza Logi
Pomieszkam. — Niech te źródła. gdzie Dyjanna
Widziała swą twarz, widzą me oblicze;
Niech widzą, że ja chociaż w serce ranna,
Bez trucizn jestem... Nie! — ja jéj nie życzę
Żadnéj tortury! Ja exaltowana,

Mówią: — dlatego właśnie przebaczyłam
I w osty moje kolące ubrana —
W osty, które ja łzami uiskrzyłam —
Podobna jestem... do jakiéj Rzymianki
Lub Florentynki, co poety słucha
I ma kolczate na warkoczach wianki,
Jak gdyby burza, powstająca z ducha,
Tłómaczyła się wieńca rozczochraniem
I kolcem liści zjeżonych na głowie. —
Poetą moim jest przeszłość: śpiewaniem
Mego poety, jestem tu w połowie
Smutna i razem na poły radosna
Jestem, że mnie ta pieśń nad nich podnosi.—
Widzę, że trzeba mi będzie wziąć krosna,
Jak dawnéj Polce: i ten duch, co prosi
O piękność, a chciał niegdyś miesiąc złoty
Uczynić swoim zwykłym domownikiem —
Trzeba go widzę pięknością prostoty
Upoić: i mieć nad moim stolikiem
Zamiast miesiąca — twarz prababki białą,
Groźną — świętości lampę, twarz umarłą...
Tak, tak! — wrzeciono będzie mi burczało
I tańcząc złote me dywany darło,
A ja pomyślę patrząc: tak się kręci
Świat — tak tańcuje każdy modniś młody!
Taką niteczkę z jedwabnéj pamięci
Snuje za sobą! tak się w jedwab mody
Obwija, i tak — ot z rąk mi wylata
I już... odemnie wziął ruch, a mnie nie zna!...
Zaprawdę, że tąk będę drwić ze świata,
Przędąc jedwabie —

SCENA II.

(STELLA i JAN wchodzą z przeciwnych stron, nie widząc Idalii).

JAN.

Stelleczko lubiezna!

A cóż?..

IDALIA.
Ktoś idzie! — skryjmy się do groty.
(wchodzi do groty).

STELLA.
Niech Pan Jan do mnie po rusku nie gada.

JAN.
Słuchaj — to język jest mojej tęsknoty,
Język, który mi z piersi tak wypada,
Jak pies, i wyje — wyje, jak przy trumnie,
A czasem w ustach jak karabin szczęknie...

STELLA.
Dobrze — lecz Pan tu na gościnie u mnie,
W mojej pasiece; a więc to niepięknie
W mojém królestwie i przy moim piesku,
Który jest moim ministrem policyi,
Niepięknie, że Pan mówi po moskiewsku.

JAN.
Dowcipny ptaszku!

STELLA.
Pies mój ciebie chwyci
Za piętę, jak cię poczuje Moskalem,
Bo nauczony tak — wziął edukacyą...

JAN.
Gdzież jest Dyjana?

STELLA.
Z bardzo wielkim żalem
Nie mogła tu przyjść.

JAN.
Ha!

STELLA.
Humla waryacyą
Na fortepianie gra...

JAN.
I tu nie przyjdzie?

STELLA.
Nie wiem; jak skończy, to może spacerem...
Bo wiesz, że ona jutro za mąż idzie.

JAN.

Jutro?!..

STELLA.

Cóż ci to?

JAN.

Prawda! -- to jest zerem
W moim rachunku.... Jutro więc — drżę cały —
Dyjana za mąż idzie... a za kogo?

STELLA.

Ach! jak szczęknęły dziwnie twoje strzały
W kołczanie! — Słuchaj — teraz z wielką trwogą
Patrzę na ciebie — teraz ty zupełny
Baszkir — ach czarny teraz Baszkir z ciebie!
Czemu ty patrzysz tak na księżyc pełny?

JAN.

To nic, Steluniu; szukałem na niebie
Tych gwiazd — tych siedmiu gwiazd, związanych razem,
Które ty niegdyś, astronomka złota,
Pokazałaś mi nad strasznym obrazem
Zmrożonéj nędzy, zgasłego żywota,
Śnieżnego piekła. — Tutaj być powinny,
W téj stronie niebios — te skrzypce z gwiazd — skrzypce,
Po których ty jak aniołek niewinny
Wodziłaś smyczkiem. Twéj pasieki lipce
Nie są tak słodkie, jako ta muzyka,
Która na gwiazdach po tobie została;
I kiedym siadał pośród mogilnika,
To na Sybirze mi tam grała — grała —
Grała—jak wasz głos, panny... (na stronie) Czy w łeb strzelę
Sobie? — czy pójdę po żołniersku spić się? —

STELLA.

Skrzypeczka ta z gwiazd?..

JAN.

Na siostry wesele
Sprowadź ją z nieba!

STELLA.

Więc ty musisz kryć się?
Więc ty nie przyjdziesz jutro do kościoła?
Więc ty...

JAN.

O! biedny! biedny! biedny! biedny,
Który ojczyznę straci!

STELLA.

Nie kryj czoła!
My z Dyanią pacierz kończyły powszedny
Twojém imieniem; ty byłeś tu z nami
Każdej niedzieli i każdego piątku;
Dyanka twojemi gadała słowami,
Na chrzcinach chłopskich każdemu dzieciątku
Dawała imię Jan... Dyanka dziś szlocha,
Dyanka dziś blada, Dyanka dzisiaj chora:
O! ty wiesz, ty wiesz, że cię Dyanka kocha! —

JAN.

Ha!

STELLA.

Ale mama z papą przyszli wczora
Na łóżku siedli, mnie kazali iść precz,
Zamknęli na klucz drzwi — i coś tam siostrze
Gadali. Ona krzyczała: — To miecz!
Trucizny dajcie! Sama nóż wyostrzę
I sobie gardło poderznę po ślubie! —
A mama z papą do niéj: Jesteś głupia!
Gadasz, jak gdybyś żyła w jakiéj grubie
Albo w romansach! — A tu nędza trupia!
A tu rodziny naszéj honor trzeba
Ratować! — A ty głupia fircynelo
Myślisz co? — z torbą po kawałek chleba
Naprzód, a starych nas dwoje ze Stellą
Za tobą, grać po kawiarniach w Kijowie
Na starych harfach? — Tu zaczęła mama
Mdleć — i mój papa załamał na głowie
Ręce — i nie wiem, co... Ale ja sama
Pod drzwiami płakać zaczęłam i ryczeć,
Aż po mnie biedna Dyjanka wybiegła,
Wzięła na ręce i zaczęła krzyczeć:
— Wezmę krzyż! wezmę krzyż! — i prześcieradła
Wlokąc, na ręku mię w ogród wyniosła,

Jak obłąkana krzycząc: — Wezmę krzyża,
Bo widzę, żem tu w domu na to rosła!

JAN.

To tak?.. Więc niechaj do mnie się nie zbliża
Ta męczennica! — Stelko, daj mi rączkę —
Proszę cię... teraz... na wszystko zaklinam,
Weź... oto widzisz tę złotą obrączkę!
Czekaj — bo jeszcze czegoś zapominam —
Weź... i ten suchy pierwiosnek, urwany
W dalekiej ziemi łez, do której wrócę
Kończyć mój straszny czas... dźwigać kajdany.
Cóż mi więc z tego, że tu w piersi rzucę
Więcéj boleści i otworzę rany,
Zamiast... o! Stelko, dokończ tych wyrazów!...
I te — oto masz — drogie dla mnie dary
Schowaj!.. I kiedyś, później — gdy z obrazów
Przeszłości żołdak, wasz przyjaciel stary,
Na umilenie jakiego wieczora
Wtrąci się nagle do waszéj rozmowy;
Gdy ten dom czarny z postacią upiora,
Cały sybirską zorzą purpurowy,
W oczach wam stanie; gdy to wszystko dawne,
Co kiedyś serca nam biedne dręczyło,
Stanie się marą: — ty wtenczas te jawne
Ślady przeszłości — z twarzą taką miłą,
Jak anioł, który w niebie przypomina
Boleści nasze, już dawno przebyte —
Rzucisz przed siostrą twoją do komina
I w skrach pokażesz — czarne — łez już syte
I obrócone w popiół...

STELLA.

Więc już z tobą — —

JAN.

Więcéj już ze mną nic...

STELLA.

Lecz cię zobaczę?

JAN.

W tym domu żadną nie jestem osobą,
Ale mundurem! Mniéj niż człowiek znaczę,

A więcej żądałbym, niż król niebieski!
Więc wolę nie mieć nic — niż mieć pod miarą.
Nawet już, Stelko, te perłowe łezki,
Które ty, co mi serduszkiem i wiarą
Dotrwałaś, sączysz odwrócona bokiem —
Że są litością, to mi są obrazą! —
Idź, Stelko — ja tu sobie nad potokiem
Legnę i strzałek mych będę żelazo
Ostrzył, bo w biedzie przywykłem do pracy —
Jest mi kochanką! — mam także piosenki,
Które śpiewamy sobie my żołdacy,
A w których jest — brud śmiechu i są jęki...
Bądź zdrowa! —

(Stella odchodzi).

SCENA III.

(JAN, IDALIA.)

IDALIA.

Poszła!.. O! cudowna scena!

JAN (kładzie się i śpiewa, Idalia słucha, postępując zwolna i cicho naprzód).

Hej! hej! — Kaukaz nasz!
Hej! hej! — kopalnia cyn!
Hej! matka gorzałka!
Hej! kochanka mi pałka!
Hej ojczyzny ja syn!
Kto idiot? — Swoj! — Ty mój? ja nie wasz! —

— Dobrze ta' straszna pieśń tu z echem wyje.—
Jeszcze raz niechaj mi jaka Kamena
Da głos i schwyci mię razem za szyję,
Abym zacharkał i wył jak hyjena. —
Hej! hej! trzymaj straż!
Hej! hej! zabębnił grzmot!
Hej! hej! siostra gorzałka!
A śmierć generałka!
Hej na konia, taj w lot!
Kto idiot? — Swoj! — Ty mój? ja nie wasz!

Jaka cudowna pieśń! — szczekają skały,
Jakby stu wilków otworzyło paszcze
I razem z głosem czarną krwią rzygały.
Po pieśni jęczy powietrze i klaszcze,
Jak czarownica...

IDALIA (niepostrzeżona przez Jana).

A on u strumienia
Niby cudowny rycerz z Ariosta:
Głowę mu srebrny kołczan opromienia,
I zda się, ciepło to powietrze chłosta
Energią głosu. Sylaby ostatnie
Jeszcze grzmią. — Ach! to jedna z dusz ranionych,
Jedna z dusz, które są mi dawno bratnie...
Znam go — ach! i tych wyłogów czerwonych
Dotknę się — nie tak, jak ten świat francuski,
Ale się dotknę, jak relikwii świętych...
(podchodzi ku niemu).

JAN.

Kto takoj?

IDALIA.

Polka!

JAN.

Nu tak szto?! ja Ruskij!

IDALIA.

Czy wielu takich jest na Sybir wziętych,
Jak ty? — Przebacz mi, że cię prosto tykam,
A nie obrzucam cię światowym „Panem“.
Wtém „ty“ ja wiele — ja wiele zamykam!
I więcej daję ci nad ludzi stanem
Wyższości. niż świat da Jaśnie Wielmożnym.

JAN.

Nu — ja nie znaju szto't... ja z moim Chanem
Z majorem... tak my tu za podorożnem
Zjechali201 pocztą.

IDALIA.

Biedny ty, człowieku,
Że się wystrzegać musisz własnej mowy!
I ciągle być za serce — na tym ćwieku

Twojego krzyża! Jam mniejszéj połowy
Historyi twojéj wysłuchała. w grocie
Ukrytą będąc: — domyślam się reszty.

JAN.

Jeśli tak, powiem Pani, że w istocie
Śpiewałem z bolu i z męki.

IDALIA.

A wiesz ty,
Że ja słuchając przysięgłam na ciernie
Chrystusa, że téj boleści pól biorę,
I będę tobie tutaj służyć wiernie
Sercem, co we mnie także bolem gore,
Także ranione. — Nie pytaj o więcéj,
Ale wiedz, że tu jedne mamy cele:
Ty ustępujesz — bo kochasz goręcéj,
Boś jest męszczyzną, bo masz mocy wiele
I szlachetność ci męska nie pozwala
Za prawo serca przeciw prawom ziemi
Bunt podnieść. Lecz ja — ja — mnie tu krwi fala
Na brzég rzuciła. żaglami złotymi
Płynącą; tu ja próchnieję — ja, dawniéj
Różanym gwiazdom i kwiatom kochanka,
Ja, rozgłoszona już miłością sławniéj,
Niżli niejedna Neapolitanka
Sztyletem romans kończąca — a przecie
Tak porzucona, jak Basia lub Rózia,
W któréj się cała palestra w powiecie
Kocha i wierszem dzwoni, że jéj buzia
Jest pełna cukru!.. Horor! mówię tobie.
Bo że ojczyzna ta mrze, to się zdaje,
Że wszystkie kwiaty więdną na tym grobie
I wszystko państwo ginie — a lokaje
W panów ubrawszy się, wiodą romanse,
Serca zdobyte czepiąc u zegarka;
Potém poezye piszą i bilanse
Handlowe... Taka wielka gospodarka
W głowie tych ludzi teraz, że na wszystko
Jest czas i miejsce: to też wszystko blade;

Każdy jest panem, paniczem i chłystką,
Każdy od kuchty swego bierze radę,
A gdy co czyni, to siebie się pyta,
Czy kamerdyner się tam gdzie na boku
Nie śmieje. — Słuchaj! ja jestem kobieta:
To co mam w sercu, to widzisz i w oku —
Wzgardę, ogromną wzgardę, błyskawicę!
Otóż tą wzgardą... z tą wzgardą, o Boże!
Z tą wzgardą ja tu wpadłam w nawałnicę
Nieszczęścia — i coś rzucam w mgłę — coś tworzę —
Coś — sama nie wiem; ale jestem pewna,
Że przyjdzie jaki wypadek, zdarzenie,
Które tonącej mi jak kawał drewna
Pomoże. A nie? — ha! to mam schronienie
Nie między ludźmi!..

JAN.

Darujesz mi Pani.
Lecz jeśli tutaj jest jaka kobieca
Zemsta...

IDALIA (z śmiechem szydersko - bolesnym).

To ona się nie ukołczani! —
Co?! — to ty, rycerz, nie spadniesz z księżyca
Na Ariostowym koniu, i kochanki
Jak sokół sobie nie weźmiesz z dziedzińca?
To za mnie bić się ty nie pójdziesz w szranki?
Cha! cha! cha! — ludzie myślą, że prócz sińca
Nic ofiarować nie można kobiecie!
Jeżeli nie dasz ręki — daj modlitwę,
Daj serce, sercem mi pomagaj skrycie!
Myśl twoję zawieś tak jako rybitwę
Nademną — sercem bijącą, krzykliwą!
Niechaj mię broni, niech wiem, że nademną
Jest kto mój — z parą skrzydeł sprawiedliwą,
Z szalą, która tu przez rękę nikczemną
Pofałszowaną nie była. I więcej,
Więcej żądałabym jeszcze od ciebie —
Ale to ledwo za kilka tysięcy
Lat człowiek będzie mógł dać zaraz z siebie

Na pierwszą prośbę, anielską a szczerą...

JAN.

Cóż to za taka prośba?

IDALIA.

O pokorę...

JAN.

A! to jest dla mnie, Pani, wielkie zero!
Ja, który teraz z kazny co rok biorę
Na żołd pół rubla, a resztę u chłopa
Muszę wyżebrać, mam pokory tyle...

IDALIA.

Nie masz jéj dosyć!

JAN.

Patrzaj: moja stopa
Wygląda z bóta...

IDALIA.

Słuchaj: ja się schylę
I pocałuję tę krzyczącą ranę
Twojego bóta — jeśli mi dasz słowo...

JAN.

Że...?

IDALIA.

Słuchaj! — wioski te są zrujnowane,
Połową jedną szlachcie, a połową
Skarbowi dłużne; — słuchaj! ślub Dyjanny
Jest oto takiém bóta załataniem.

JAN.

A więc jest święty!

IDALIA.

Towar z niej nie tanny
Zrobiono długiém bardzo targowaniem!
Na pół miliona zbito panny cenę
I teraz idzie z domu w pół-milionie!

JAN.

Nie drogo!

IDALIA.

Prosto idź na targu scenę
I mów, że siostra ci jedna po zgonie

Na zagranicznym banku zostawiła
Tyle, ile ci ludzie chcą za córkę...
Ja jestem twoją siostrą!

JAN.

Pani miła!
To przypomina mi „Z gorki na gorkę“,
Piosenkę ruską...

IDALIA.

Oko moje śledzi
Twe czoło — i twarz zda się nie człowiecza.

JAN.

Nie, nie! — Coś w sercu tu polskiego siedzi,
Coś w sercu siedzi tutaj i zaprzecza
Takiego czynu — jakieś straszne „veto“,
Przeciw któremu nic — świat cały! — Nawet
Gdybyś nie była, o Pani, kobietą:
Czuję, że musiałbym zaraz wet-za-wet
Na twoję złotą kulę odpowiedzieć
Ciężką, żebracką kulą — ołowianą...
Co to los! — Można nad strumieniem siedzieć
I kwiatów wonią oddychać różaną
I mieć w boleści ulgę od natury,
Co wszystkie, zda się, części zna bolące
I wie, gdzie dotknąć kości, a gdzie skóry.
Lecz człowiek, choćby wyższy nad tysiące
Ludzi, choć z chęcią najlepszą się zbliży,
Choć, jak ty, Pani, od róż weźmie woni
W słowach: — to zaraz czémś albo poniży
Albo łzę taką nad człekiem uroni,
Że ona jemu pali na wskróś czoło
I czerni wstydem.

IDALIA.

Ha! widzisz, jak trudno
Wejść w czarodziejskie tych aniołów koło,
Dla których taki czyn nie byłby trudną
Pokorą brata...

JAN.

Na Boga! na Boga!
Opuść mię, Pani — to jest dar szalonej!...

IDALIA.

Bo ja szaloną jestem; bo złowroga
Gwiazda świeciła wcześnie urodzonéj
Pomiędzy ludźmi, którzy jeszcze rosną
Nie śmiejąc kroku zstąpić z bitéj drogi.
Tak! — twa szlachetność jest cudowną wiosną
Dojrzalszych twych lat: każdy dziś ubogi —
Nie lokaj, ani piszczyk, wierz mi, Panie —
Tak jak ty, rzuciłby mi złotem w oczy!....
Nie idzie za tém, by to odrzucanie
Było boskością: — ono tak się toczy
Po bitéj drodze ludzkiego zwyczaju,
Jak stara Państwa Rzecznickich kareta...

JAN.

Tego już, Pani, ja nie panimaju
I śmiech mnie bierze —

IDALIA.

Śmiech? że ja, kobieta,
Moim majątkiem rzucam tak jak błotem,
A sama choćbym poszła za klucznicę?...

JAN.

Kto Pani jesteś?!

IDALIA.

Jestem tu przelotem
Przelatujący anioł: błyskawicę
Rzuciłam w oczy tobie — i znikniona
Jestem dla oczu twych, jak błysk na niebie...

JAN.

Stój!...

IDALIA.

Nie idź za mną!... (odchodzi).

JAN.

To jakaś szalona!
Ale oddałaby widzę w potrzebie
Duszę — choć dyabłu! Co do mnie, to może
Złoto więc rzucić swoje — i do stawu,
Bo mnie jak więźnia karmią ręce boże...

Jednak — ja nie wiem — ona mi wszczepiła
W to serce jakiś gniew na tego człeka,
Który tu... który, jak pieniężna siła,
Jak wódz od swych wojsk dukatowych czeka
Zwycięstwa, a sam spokojnie i cicho —
Nie wytężywszy żadnéj serca władzy —
Weźmie ją... Pójdę — bo jakieś mi licho
Ubrązowane, jak ja, trochą sadzy,
Wściekłe, jak Baszkir gdzieś odzwierciedlony —
Pokazuje swe zęby zgrzytające.
O! co bym nie dał za plac rozmierzony
W dziesiątek kroków, a w ręku gorące
Dwa pistolety! — O! gdyby nie słowo,
Które odemnie Major wziął, że będę
Jako baranek i nic własną głową
Nie przedsięwezmę, ale na komendę
Jako machina będę się obracał
I wszystko czynił, co mi on rozkaże: —
O! jakżebym dziś te lalki wywracał
I tym światowym ludziom zajrzał w twarze
Spokojnie — ale marmurowo, krwawo,
Jak niegdyś w gardło harmat pod Warszawą...
(siada i czyści broń).

SCENA IV.

(Wchodzi KSIĄDZ LOGA).

KSIĄDZ LOGA.

Pobiegła... Męka to jakaś okrutna,
Która tę panią tak po lasach goni!
Chciałem przyjść z radą — a ona fiut! za dom
I poleciała nad staw jak cyranka.
A byłbym tu dał miejsce kilku radom
Dobrym, pokazał jéj śmierć i kochanka
W świetle właściwém... Czego chce odemnie
Ten ruski żołdak?

JAN.

Pomówić z Wacpanem.

KSIĄDZ LOGA.

Polak? -

JAN.

Tak, Polak.

KSIĄDZ LOGA.

I Wacpan nikczemnie —
Po polsku czysto mówiący, więc stanem
Zapewne nie chłop rekrutowy, ale
Szlachcic — w moskiewskiej służbie, z dobrej woli?...
Czego Wacpan chcesz?

JAN.

W tym twoim zapale
Czuć, że na twojej, mój staruszku, roli
Nie rośnie zdrada. Więc się tobie zwierzę
Pod tajemnicą jakoby spowiedzi,
Żem szlachcic, w proste posłany żołnierze
Za rewolucyą; że tu we mnie siedzi
Polska; że tutaj przybyłem sekretnie,
Abym się pozbył jednego ciężaru,
Który przez czasy mię dziesięcioletnie
Dręczył i nakształt straszliwego czaru
Myśl moję ciągle wypijał z płomienia,
Serce mi z ognia mojego wyniszczał...
Proszę cię, księże, byś z tego pierścienia...
(zdejmuje pierścień z palca i daje go X. Lodze).

KSIĄDZ LOGA (opatrując).

Złoty pierścionek —

JAN.

Który mi tak błyszczał,
Jak gwiazda niegdyś świecąca na kucyą
W domu rodzinnym...

KSIĄDZ LOGA.

Cóż z pierścionka tego...?

JAN.

Proszę, ażebyś zrobił restytucyą,
Bo go ukradłem.

KSIĄDZ LOGA.

Nie!

JAN.

Na Boga mego!
Bo go ukradłem...

KSIĄDZ LOGA.

Z męką ty straszliwą
Mówisz! — a ja ci mówię, ojciec stary:
Przedemną oto nie przysięgaj krzywo,
Bo ja ten pierścień znam, bom go u fary
Dawniej poświęcił.

JAN.

Więc wiesz, że jest wzięty?
Że dziś do niego nie mam, Ojcze, prawa?

KSIĄDZ LOGA.

Dobrze; wypełniasz obowiązek święty.
Niechaj ci, synu mój, wiara i sława
I patria będą pomyślne i dadzą
Swoje trzy wieńce, wieńce te zwyczajne,
Które na grobie wielkich ludzi sadzą
Te trzy kochanki. Bo ci to nie tajne,
Że ludzie wprzód do trumny odprowadzą —
Potém kochają. Cierp więc podług stanu,
A znoś cierpienia podług wielkiej duszy;
A ja pamiętać będę o Wacpanu
W moich pacierzach...

JAN.

I perłami pruszy,
Ze źrenic, jak król jaki ze skarbnicy...
Bądź zdrów, staruszku! — Dobrzy w Polsce ludzie!
(odchodzi).

KSIĄDZ LOGA.

Otóż sumienie tej młodej dziewicy,
Która zrobiła ślub w sybirskiej budzie,
Wolne jest. — Pójdę i pierścionek zwrócę.

AKT TRZECI.

SCENA I.

(Salon, jak w Akcie pierwszym).

(FANTAZY i RZECZNICKI).

FANTAZY.

Rzecznicki! Dasia tu jest, albo była.

RZECZNICKI.

A bah!

FANTAZY.

Czułem ją po zapachu.

RZECZNICKI.

A bah!

FANTAZY.

Mówię ci, że się już nademną mściła
Przez tego czarta golijata, draba,
Baszkira: — już jéj wenecki sztylecik
Uczułem — i wiatr z jéj ust pełny szpilek
Już mię obleciał — już miałem pasztecik
Z jéj kuchni — już, już ten zemsty motylek
Zrzucił poczwarkę swoję i tu lata,
Zrobiwszy traktat z ludźmi na mą zgubę.

RZECZNICKI.

Mści się nad tobą?

FANTAZY.

Tak jako harmata,
Nabita puszką ćwieków.

RZECZNICKI.

Daj mi próbę,
Bo nie uwierzę.

FANTAZY.

Ten Baszkir najęty,
Ten Baszkir połknąć mię chce jak Jonasza.
Dziś właśnie, kiedy ranne dyjamenty
Stały na kwiatach...

RZECZNICKI.

Słuchaj: niech ta kasza
Z gwiazd, z dyjamentów, z kwiatów...

FANTAZY.

Jesteś gapem!
Otóż ci powiem prosto: dziś stoimy
Na ganku — Baszkir z ogromnym harapem,
W futrach, jak bożek gdzieś sybirskiej zimy,
Ujeżdża konie — panny z ganku patrzą,
Starosta swoje anegdoty plecie...

RZECZNICKI.

Ty stoisz z twarzą od księżyca bladszą,
Jak Manfred...

FANTAZY.

A ty, mój swat, przy bukiecie
Jak Gaweł...

RZECZNICKI.

No! kończ! —

FANTAZY.

Wtem Baszkir niecnota
Najprzód mi konia prawie na pierś wsadza
Ogonem — zmykać przymusza, od błota
Spędza jak wróbla, pałaszem zawadza
O moje złote na piersiach binokle
I ciągnie —

RZECZNICKI.

No! to wszystko jest przypadek.
Takie zdarzenia mieli Temistokle
Na olimpijskich grach. -- Ustępuj z kładek,
Kiedy przez błoto konie idą kłusa.
Baszkir nie winien nic.

FANTAZY.

Ale mi potem
Bestya mojego zabił Spartakusa!

RZECZNICKI.

Jak to?

FANTAZY.

Kiedy mnie już obrzucił błotem,

Dyabeł podszepnął jakiś pannie Stelli,
Że do Majora przybiegła i prosi:
„Niechaj, Majorze, Baszkir z łuku strzeli!“
Ojciec tę prośbę natychmiast podnosi,
Prawi uczoną wielką dysertacyą
O sławném z łuku strzelaniu Baszkirów,
Dowodząc, że zna strzał przez elewacyą.
Schodzą się panny, do niebios szafirów
Odprowadzają tę strzałę oczyma;
Ja sam aż w gwiazdy okiem idę za nią,
Widzę, jak srebrna się na niebie trzyma,
Maleńka — komar pod niebieską banią —
Potém przechyla — skręca — w ziemię mierzy
Główeczką srebrną, daje świdra, młyńca —
Spadła: patrzże, gdzie? — Mój Spartakus leży,
Mój wyżeł leży na środku dziedzińca,
Drgając łapami! — Czy tybyś uwierzył
Albo spodziewał się? — W niebiosa godził,
A szelma w mego Spartaka wymierzył!

RZECZNICKI.

Rzecz prosta: Spartak po dziedzińcu chodził —
To los...

FANTAZY.

Lecz psów tam — —

RZECZNICKI. (przerywa).

Więc Baszkir miał racyą,
Że najpiękniejszy wybrał cel. — Fantazy,
Strzelając, widzisz, tak przez elewacyą,
Trzeba mieć piękność celem...

FANTAZY.

Po sto razy
Mówię ci, że w tém czuć rękę Idasi.

RZECZNICKI.

Strzeliła z łuku?

FANTAZY.

No! zgryzłem to w sobie.
Wtém Stelka, co się do każdego łasi,
A coś z dyabełka ma w swojéj osobie,

Pyta Baszkira, jak się to przez barki
Ów kołczan wkłada? czy ciężki? czy z blachy?

RZECZNICKI.

No? i ten Baszkir...?

FANTAZY.

Syn jakiejś Tatarki!
Zdjął kołczan i mnie — co jemu pod pachy
Byłem, a właśnie wylazłem był z kąta
I stałem przy nim z maleńką dziewczynką —
Przez głowę rzucił nagle jak chomąta
Ten kołczan, pasy te żółtawą glinką
Pomalowane: i nagle przed okiem
Panien zniknąłem, jakby syn Latony,
Okryty białej kurzawy obłokiem —

RZECZNICKI.

I obryzgany i ochomącony
Jak koń —

FANTAZY.

I straszny wstał na ganku klamor,
A gdy opadł kurz, tom się przy łajdaku
Baszkirze — —

RZECZNICKI.

Pannom pokazał, jak Amor
W kusym tużurku, w sążnistym sajdaku
I ożółcony pasem ładownicy!
A bah!

FANTAZY.

Idalka więc w zmowie z tym chłopem!
Przysięgnę, że gdzieś stała w okolicy
Na wieży lub na dębie z teleskopem.

RZECZNICKI.

A ba!

FANTAZY.

Ty zawsze a! ba!

SCENA II.

(Wchodzi HRABIA RESPEKT).

HR. RESPEKT.

Cóż Panowie?!
Major nadzwyczaj smutny z tych wypadków —
Z żołdakiem się tym obejdzie surowie.
Kochałeś może tego psa? bez świadków
Może i parę łez nad nim zroniłeś?
Niech cię pocieszy to, że moja żona,
Której ty dawno głowę zawróciłeś
Twymi listami, już jest zatrudniona
Obraniem miejsca pięknego w ogrodzie
Na grób dla twego psa i monumenta.
Gdybyście byli z moją córką w zgodzie
Lepszéj: to możeby jakie mementa
Znalazła w książce angielskiéj i napis
Godny. — Lecz z moją córką coś ty, Hrabio — —
Chciałbym was widzieć jak lazuli-lapis
Błękitnych! chciałbym tu, pod czwartą schabią
Zobaczyć, czy ty masz serce?... Masz serce —
Ale zobaczyć chciałbym, czy się wreszcie...?
Wiesz, Hrabio, ojcem jestem... a kobierce
Nagotowane...

FANTAZY.

A my tu po kweście
Waszych serc...

HR. RESPEKT.

Niechże Pan Fantazy gada,
Jeżeli można, bez żadnych floresów
Choć chwilę!

FANTAZY (na Rzecznickiego wskazując).

Ten Pan mój podpis posiada.

HR. RESPEKT.

Cha! cha! nie lubisz, widzę, interesów —
Dobrze — idź, same róże zrywaj, a my
Weźmiemy ciebie w siatkę — weźmiem w siatkę
I myśli twoje ładne pochwytamy
W piękne więzienie. — Masz ojca i matkę:
We mnie masz ojca, matkę — w mojéj żonie

(do Rzecznickiego).
A my, jak ludzie ziemi, chodźmy pisać.
(wychodzi z Rzecznickim).

FANTAZY.

Czoło mi jeszcze całe wstydem płonie
Za tego starca. — Jak on się kołysać
Musiał — uśmiechać i na pół dowcipnie
A na pół seryo rzucać mi na szyję
Tę córkę! — Krew tak czerwona nie lipnie
Do rąk zabójcy, ani modre żmije
Nie okręcają takimi uściski
Laokontowych ramion, jak on zięcia! —
To dziwna! — Jak on żebraka był bliski —
Jak cały drżący porwał mnie w objęcia —
Jak od psa zaczął, a skończył na sobie:
Niby wyraźnie mówiąc: nad psem płaczę —
Więc płacz nademną! — Kiedy te łzy obie,
Co w oczach jego błysnęły, tłómaczę:
To mu odpuszczam uśmiech ów fałszywy,
Którym się zakrył przedemną jak maską.

SCENA III.

(HRABINA RESPEKTOWA wchodzi).

HRABINA.

Hrabio!

FANTAZY.

Jéj sługa!

HRABINA.

Mąż mój... dzień szczęśliwy!
Sądzę, że Pan Bóg nam swą świętą łaską
Pomoże... Hrabio! we łzach jestem cała,
Widzisz mnie drżącą: nie dziw się — ja matka!..

FANTAZY.

Pani mię mocno tém zobowiązała,
Żeś mnie tu wzięła pierwszego za świadka
Tych łez. Umiem je cenić.

HRABINA.

Niech Pan będzie

Pewny, że moja Dyana zrozumie
To serce jego; i chociaż nie wszędzie
— Bo ona latać po gwiazdach nie umie —
Poleci za nim: to przecież Go w żadnym
Złym losie córka moja nie opuści.
Ona ci będzie, Hrabio, kwiatem ładnym
W domu; przed twoją błyskawicą spuści
Oczy, i będzie płakała — nie wiedząc
Skąd te łzy, czemu się po licach toczą.
Nigdy cię ona nie obrazi, śledząc
Twoich czynności; ani z twą proroczą
Przyszłości myślą będzie się kłóciła —
Ani z przeszłością twych złotych pamiątek
W bój wstąpi. Dla nas ona wszystkich była,
Jak w domu jaki czarodziejski kątek,
Gdzie jest najlepiéj — smutnym!... Ale Panie,
Ja, matka... muszę przewidywać za nią
I muszę matki to przewidywanie
Powierzyć tobie...

FANTAZY.

Od téj chwili z Panią
Nie powinienem mieć żadnych tajemnic.

HRABINA.

O tak! — nie prawdaż? — otwarci oboje
Wpuścimy oczy do najskrytszych ciemnic
Naszego czucia. — Hrabio, ja się boję,
Że tu... pod lawą tą — jakaś Westalka
Rzymska ma ogień jeszcze nie zagasły...

FANTAZY (do siebie).

Jak widzę, była tu moja Idalka.

(głośno).

Pani, tym ogniem się serdecznym pasły
Różne... cóż powiem? różne salamandry
I w ogniu żyły...

HRABINA.

I są jeszcze żywe?

FANTAZY.

Nie wiem. — Nimfy się także w oleandry
Zmieniały dawniej — albo nieszczęśliwe

W źródła płaczące; lecz w ręku poety
Dafne zmieniała się zazwyczaj w laury.
Powinnyby dziś to polskie kobiety
Dobrze rozważyć...

HRABINA.

Wy jesteście Giaury,
Wy wszyscy Giaury! wy zawsze wracacie
Do pierwszych waszych snów — na śmierci łożu...

FANTAZY.

Czy tu przybyła?

HRABINA.

Jest.

FANTAZY.

Gdzie?

HRABINA.

W małej chacie
U księdza Logi.

FANTAZY.

Chora?

HRABINA.

Jak na morzu!

FANTAZY.

Co?... ma chorobę morską?

HRABINA.

Ciągle mdleje.

FANTAZY.

Pójdę — to moje fatum ta kobieta! (wybiega).

HRABINA.

Mężu! Dyjano! Stelko!

SCENA IV.

(Wchodzą wołani wszyscy — z nimi MAJOR i RZECZNICKI).

HR. RESPEKT.

Co się dzieje?

HRABINA.

Poleciał do niej!

HR. RESPEKT.

Wojna więc odkryta! —

Jak się to skończy?

HRABINA.

Ach! jak się to skończy?
Nieszczęście jakieś wyniknie.

MAJOR.

Paniska!
Czart złączył — Moskal tę parę rozłączy.
Bo ja zrozumiał z mego stanowiska,
O co tu chodzi; tak dziś ja z Baszkirem
Moim nie wiele sobie pogadawszy,
Zrozumiał, że tu maryaż — a tam wirem
Jakaś kobieta kręci... Tak ja krwawszy
Był żalem, niż wy, że mój Baszkir w zmowie
Z tamtą kobietą drwił z waszego zięcia.
Więc ja rozwidnił Baszkirowi w głowie,
Że on zobaczył waszego dziecięcia
Nieszczęście, i sam zapłakał nad wami
I przyrzekł pomóc wam przeciw téj furyi.
Tak jeśli wam to nic, tak my tu sami
Zrobimy sztukę. Tak ja na dyżuryi
Przy sobie teraz zatrzymał Kałmuka,
A Baszkirowi kazał jechać w pole.
Tak on téj pani hrabiny poszuka
I odprowadzi przez całe Podole
Babę do domu.

HR. RESPEKT.

To gwałt!!

MAJOR.

Nasza sztuka!
Co wam do tego?

HRABINA.

Lecz Panie Majorze!...

MAJOR.

No! ja mam dekret na nią, że w jéj domu
Jest Włoch, Franmason!

HR. RESPEKT.

Ale w moim domu
Taki rapt....

MAJOR.

Co? ja źle zrobił?

RZECZNICKI.

Nikomu
Do głowy ani przyszło, byś Pan sobie
Tak śmiał postąpić.

MAJOR.

Tak ja źle się sprawił?

HRABINA.

Majorze, lepiéj abyś był nas obie
Zaaresztował!

HR. RESPEKT.

Mnie przed sądem stawił!...

STELLA.

Nas kazał odwieść wszystkich do Kijowa...

HR. RESPEKT.

Mnie starca kazał chwycić na kibitkę...

MAJOR.

Nu! cóż ja zrobił?!

HRABINA.

Nic już! ani słowa!
Mężu! każ zaprząc! — Dyjanko, włóż świtkę
Czarną, podszytą łabędziami! — Stelko,
Przynieś mi boa! — sama włóż szlafroczek!
Tak jak kompanią tu jesteśmy wielką,
Jedźmy!

(Hrabia idzie do drzwi; służba się krząta; panny wychodzą i wchodzą przebrane).

MAJOR.

Ot piwa nawarzył!...

RZECZNICKI.

W tłómoczek
Włóżcie czém trzeźwić!

HRABINA.

Prawda! — Kajetanie!
Włóż do powozu — o! te dwa flakony.
Jedźmy!

MAJOR.

Ja zaraz tam dopędzę Panie
Z moim Baszkirem.

LOKAJ.

Powóz zaprzężony! —

HRABINA.

Jedźmy kompanią całą w przeprosiny!
Pan Major konno niechaj przodem rusza!

MAJOR.

Nu tak! ja przodem! —

HR. RESPEKT.

Przez lasek brzeziny!

(wszyscy oprócz Rzecznickiego wychodzą z pośpiechem).

RZECZNICKI.

A ja na mego czekam Fantazyusza.

SCENA V.

(Wpada FANTAZY).

FANTAZY.

Rzecznicki!

RZECZNICKI.

Co to?

FANTAZY.

Konia!

RZECZNICKI.

Intercyza
Już podpisana...

FANTAZY.

Słuchaj: w moich oczach
Porwał ją przez pół! chwycił jak narcyza!
Róże, co były w jej czarnych warkoczach,
Wytrząsał! uniósł jak wicher! — Rumaka
I pistoletów!!...

RZECZNICKI.

Stój!

FANTAZY.

Póki na siodle
Dosiedzi jedna kosteczka Polaka,
To będzie rąbać!

RZECZNICKI.

Bah!

FANTAZY.

Jeśli ją podle
Opuszczę, to mi w twarz płuń! — Do widzenia!

RZECZNICKI.

Poczekaj! jakże to było?

FANTAZY.

Podchodzę —
Widzę ją zdala — nad brzegiem strumienia
Smętnie idącą: — już się na pół godzę
Z tą dawną myśli moich Pelejadą —
Wtém — patrzę: jakiś Kałmuk przed nią staje —
Pokorny zda się z razu — czy z doradą
Czy z prośbą?.. Słucham, co? — wtém klasły gaje:
Dała mu ręką w twarz — do oczu skacze —
On ją porywa wpół, jak zwierz unosi...
Horor!! puść! — konia sam, biegnę, kulbaczę —
Lecę... Jeżeli ten Major się zgłosi
O swego człeka do sądu, daj parol
Za mnie, że człowiek ten wymazan z pułku
Znajdzie się w piekle!... (Wybiega).

RZECZNICKI.

Widzę, że wziął rzecz z poetycznéj strony!
A więc ja szłapię także — dla trzeźwienia
Różnych mdlejących; a zaś dla obrony
Od dyabła, z którym już walczyć nie mogę,
Wezmę na bryczkę moję księdza Logę.

(Chce wychodzić, wtém wchodzi IDALIA).

SCENA VI.

IDALIA.

Ha! Pan Rzecznicki?

RZECZNICKI (zdziwiony).

Co widzę?!

IDALIA.

Dla czego
Oczy Pan sobie przecierasz? — Zapewne
Cieniem się, marą wydaję dla niego!..

Obadwa macie serca bardzo rzewne:
Płaczecie trupów, nim umrą; a żywych
Macie za mary, gdy wam stają w oczy...
Cóż więc? natrętna jestem dla szczęśliwych?

RZECZNICKI.

Czy ja śnię?

IDALIA.

Cóż to?

RZECZNICKI.

Róże z jej warkoczy
Mówił Fantazy — powylatywały!
Baszkir uchwycił ją w pół, jak narcyza!...

IDALIA.

Gdzież są ci państwo? — i gdzie jest dwór cały?
Słyszałam, że już młodych intercyza
Jest podpisana: — wszystkie serca mocy
Zebrałam — świadkiem szczęścia być przychodzę.

RZECZNICKI (z szyderstwem).

To więc ten Kałmuk...?

IDALIA.

Co za Kałmuk?

RZECZNICKI.

Nocy
Szecherazady!

IDALIA (wzgardliwie).

Czy tu Panu szkodzę
W jakich intrygach?

RZECZNICKI.

Bynajmniej! nie widzę,
Abyś mi Pani teraz w czem szkodziła.
Sam jestem tylko w ogromnej intrydze:
Przed chwilą Pani Hrabina tu była
Porwaną...

IDALIA.

Jak to? ja?! — przez kogo, proszę?

RZECZNICKI.

Przez... przez... przez...
(do siebie) W zmowie jest baba z Kałmukiem—

(głośno).
Pani, jak widzę, masz wielkie rozkosze
Jak dawniej, rządzić amorowym łukiem,
Wszystko zamieniać jak pędzel Albana
W obrazek pełny róż i Kupidynów —

IDALIA.

Co to za Sfinx jest nowy? — Proszę Pana
Mówić tu prozą!

RZECZNICKI.

Śród róż i jaśminów
Stojąc, jak słońce co oku doskwiera —
Z oczu olśnionych kochankowi zniknąć —
Zniknąć z Centaurem, tak jak Dejanira —

IDALIA.

Jak Dejanira?.. Pan musiał nawyknąć
Lub do poezyi, albo też do wódki
I spirytusu — żałuję Go mocno!

RZECZNICKI.

Widać, że Pani czas wystarczył krótki
Na tę przejażdżkę, zdrowiu tak pomocną
I fantastyczną —

IDALIA.

Czy Pan do mnie gada?

RZECZNICKI.

Pytam się Pani, czy koń dobrze niesie?

IDALIA.

Jaki koń?

RZECZNICKI.

Centaur.

IDALIA.

Jestem bardzo rada,
Że Pan tak mocny mitolog — w zakresie
Swojego głupstwa.

RZECZNICKI.

Jam także szczęśliwy,
Że Pani wracasz bez żadnego szwanku.

IDALIA.

Dziękuję, że Pan dla mnie taki tkliwy.

RZECZNICKI.

A gdzie jest Nesus?

IDALIA.

Czy pan?... Mój kochanku,
Zawsześ lokajski spełniał obowiązek:
Gdy Fanio w Rzymie był, toś od służącej
Mojej dostawał dla niego podwiązek,
Róż, co na balu na piersi gorącej
Uwiędły; stałeś jako szpieg przy bramie
Czekając, abyś doniósł, gdzie wyjadę...
A ja mówiłam: oto psie ma znamię
Ten człowiek — wierny jest! i nad gromadę
Ludzi wiernością wyższy jest ten człowiek;
A więc ma dobre serce, myśli świetne.
Choć więc z pod twoich szarych, wężych powiek
Odrażająca szła skra; nieszlachetne
Choć z ciebie jakieś pary wychodziły
I odrażały mnie instynktem ducha: —
Tylem zdobyła, że mi stał się miły
Twój widok i głos dla mojego ucha
Umiłowany. — Miej więc dziś torturę
Z tej jednej męki, która żre głęboko
Tą myślą: żeś był podniesiony w górę,
Że w jednej stałeś opinii wysoko,
Że w jednej myśli ty byłeś istotą
Wyższą nad ludzi, żem była gotowa
Klęknąć przed tobą: — a ty byłeś błoto,
Jednego nie wart spojrzenia i słowa,
Chodzący dowód, że mój sąd o świecie
Był sądem młodej kobiety — pomyłką!
Teraz tu jesteś marszałkiem w powiecie:
Jego pieniądze wzniosły cię! Z posyłką
Już cię nie pośle po mego trzewika
Albo po zwiędły kwiat — pan teraz z ciebie!
Lecz to, co ludziom serce tu odmyka,
Szczęście... to ciebie tak, jak kreta grzebie
W intrygi — w lochy idące podziemnie —
W pochlebstwa, które ci u niego służą. —
Cóż? — czemu teraz Pan już nie drwisz ze mnie?

Jakąż to mnie Pan po stepach podróżą
Prześladowałeś?.. Mów! — uwieńczę laurem
Komiczny talent Pana. Cóż? — ciekawa,
Z jakim mnie tu Pan wyprawiasz Centaurem?!..
Milczysz?

RZECZNICKI.

Więc to jest ta koszula krwawa,
Którą dał Nessus?

IDALIA.

Cóż, ciągle te żarty?!

RZECZNICKI.

Wybacz mi Pani! — Cha! cha! cha! — nie mogę —
Pozwól mi Pani, że będę otwarty
I spytam. dobrą Pani miałaś drogę?
Czy trakt był bity i gładki i suchy?
Czy zdala widać było Kapitole?
Ach!.. jak to się te nazywają muchy
Świecące, proszę Pani... czy lucziole
Za konia grzywą leciały jak grzywa
Z gwiazd? — Wszak podobno tak bywa w Italii —
Słowem, czy Centaur ten, który porywa
Z konia chwytając dziewicę w pół talii —
Czy nie obraził?

IDALIA.

Więc Panu się zdaje,
Że ja porwaną byłam?

RZECZNICKI.

Tak wieść niesie.
Zresztą patrz Pani — państwo i lokaje
Wszystko rozbiegło się oto po lesie...

IDALIA.

Gdzie?

RZECZNICKI.

Całe nasze poszło towarzystwo
W pogoń za Panią — sprzyja pora ranna —
Fantazy nawet tak jak na myśliwstwo
Wziął trąbkę.

IDALIA.

I on?!

RZECZNICKI.

A panna Dyjanna
Wzięła lornetkę.

IDALIA.

Ha!

RZECZNICKI.

I Pani Fanio
Wziął pistolety.

IDALIA.

Zrozumieć nie mogę.

RZECZNICKI.

Ja także, wierny sługa, chciałem za Nią
Pędzić się jak wiatr. wziąwszy księdza Logę,
Nie wiedząc. czy ślub, czy pogrzeb wypadnie
Z natury rzeczy.

IDALIA.

I Pan sam we dworze?

RZECZNICKI.

Samiutki!

IDALIA.

I dwór wyjechał gromadnie?

RZECZNICKI.

Wszyscy! i Baszkir nawet przy Majorze
Poczwałowali.

IDALIA.

Więc i Pańska żona?

RZECZNICKI.

Jakto?!

IDALIA.

I żona Pańska z nimi razem?

RZECZNICKI.

Ja tutaj jestem nakształt Korydona,
Tęskniący za jéj dalekim obrazem.
Szczęście to dla niéj, bo z tą katolicką
Duszą, o Pani słysząca przygodzie...

IDALIA.

Jakto? — ja z panią Omfalią Rzecznicką
Tu przed godziną gadałam w ogrodzie.

RZECZNICKI (zmięszany).

Pani żartuje...

IDALIA.

Nie żartuję wcale!
Owszem mówiła, że ci chce siurpryzę
Zrobić: — ubrała się w błękitne szale
I w blondynową wielką moję kryzę —

RZECZNICKI.

I w Pani kryzę?! —

IDALIA.

Nawet wyznać muszę,
Że Pana chciała podejść w moim stroju
I pomieniała się na kapelusze
Ze mną.

RZECZNICKI.

I pieszo szła?

IDALIA.

Jak dla podboju
Serca Pańskiego!

RZECZNICKI.

Szła pieszo?.. ogrodem?..

IDALIA.

Przez parkan do mnie skoczyła z powozu.

RZECZNICKI.

Prru! prru! prru!

IDALIA.

Że mnie naśladuje chodem,
To wiesz...

RZECZNICKI (do siebie).

Czuję dreszcz — prru! — ściętym od mrozu!

IDALIA.

Czy Panu słabo?

RZECZNICKI.

To nic... (do siebie) Z mego łona
Wychodzą mrówki, za serce mię chwyta!
(głośno).
Czy Pani pewna, że to moja żona?

IDALIA.

Jak to?

RZECZNICKI.

Może to kto?.. jaka wizyta?..
Ktoś wzrostem do niej podobny?... jej talia
Nie jest znacząca...

IDALIA.

Ja Panu powiadam
Wyraźnie: Pani Rzecznicka Omfalia,
Z którą ja...

RZECZNICKI.

Więc — więc — więc do nóg upadam!
(chce wychodzić).

IDALIA.

Gdzież Pan?

RZECZNICKI.

Niech Pani Hrabina przebaczy! —
Droga mi każda chwila i minuta.
(do siebie).
Ten Kałmuk... moja żona... sto kartaczy!!...

IDALIA.

Ha! więc tu jakaś intryga popsuta — —

RZECZNICKI.

Tak, tak! intryga jakaś —
(krzyczy przez okno). Wyprząc z bryczki,
A włożyć siodło!

IDALIA.

Pan jest niespokojny?

RZECZNICKI.

Ale czy Pani pewna?

IDALIA.

Przez uliczki
Te jaśminowe szła...

RZECZNICKI.

I Kałmuk zbrojny..?

IDALIA.

Co?

RZECZNICKI.

Kałmuk zbrojny podjechał?

IDALIA (śmieje się).

Cha! cha! cha!
Teraz rozumiem!...

RZECZNICKI.

Tak, Pani rozumie,
Że taki afront...

IDALIA.

Przejażdżka!... Gdzieś macha
Z Kałmukiem, jak wiatr —

RZECZNICKI (przez okno).

Ten szelma nie umie
Położyć siodła!... podepnij strzemiona!
Ale jeszcze raz błagam na kolanach,
Czy Pani pewna, że to moja żona,
Którą — —

IDALIA.

Tak —- którą —

RZECZNICKI.

Niesie po kurhanach.
Nie! nie, nie! — bo to przechodzi granice
Wszelkiéj na świecie znanéj... tak nie było!...
Ale —

IDALIA.

Być mogło!

RZECZNICKI (krzyczy w okno).

Wkładajże terlicę!
Na Boga! czy ty masz serce, Hawryło?!
Cóż ty tam myślisz?!

IDALIA.

Więc Pan także kłusa
Jako Kupidyn w obrazku Albana?..

RZECZNICKI.

Pani widziałaś ją?...

IDALIA.

Nim przez Nesusa
Była porwaną...

RZECZNICKI.

Pani dzisiaj z rana
Widziałaś?

IDALIA.

Dzisiaj.

RZECZNICKI.

Czy spytać pozwoli,
Jak to być może dawno?

IDALIA.

Niezbyt dawno!

RZECZNICKI.

Karczmy dwie! — jeśli jechali powoli,
To przy tych karczmach... To jest bardzo jawno,
Że jeszcze nie są w lesie... Tak! być muszą
Przy karczmach... Gdyby tam jaki znajomy
Był taki dobry!..

IDALIA.

Nim do lasu ruszą...

RZECZNICKI.

Ha! Pani ze mnie drwisz?... Niech trzasną gromy
We mnie i w moję hańbę!! (Wybiega).

IDALIA.

Przecież — człowiek!
Gdy ból mu wszystkie zęby powyrywał,
Zacierpiał sercem, krwią — i trysnął z powiek
Iskrą człowieka. — Lecz jak długo pływał
W błocie i patrzeć nie pozwolił z góry
Na konwulsyjne swoje śmieszne męki!
Ja, nawykniona śród każdej tortury
Nadziei z serca, a trucizny z ręki,
Zawszem gotowa powitać wypadek
Uśmiechem — albo śmiertelną bladością.
Lecz ten rozsądny i kościany dziadek
Za swą porwaną poleciał Jejmością
Już bez rozumu — na wychudłej szkapie,
Bótów cholewy pokazując szare. —
I to się zowie świat zimny, co chrapie!
Kiedy mu serce, miłość albo wiarę

Wspomnisz — wszystko to romansem nazywa!
A gdy sam w romans wpadnie — kawał błota —
Jak żyd na koniu wychudłym się kiwa!
Gdyby na drodze stały, podruzgota
Apollinowe posągi! i wróci
Z małżonką w ręku, jako Hesperyda
Z jabłkiem. — O! ten świat — że anioły smuci,
Nie dziw! — Mnie samę wzgarda i ohyda
Bierze, gdy widzę, że takie gadziny
Rozsądkiem przeciw exaltacyi świszczą!
A jakieżto w tym domu były czyny
Ludzi, co sercem i rozumem błyszczą?
Przedali córkę — mnie, natrętną marę,
Chcieli oddalić — jak? — afrontowaną!
Tak że mi chyba wziąć habity szare
I za klasztorną trzeba było ścianą
Przeżyć ostatek... Precz, serca przedajne! —
Za was rumienię się, jak róża sromu. —
Szczęście, że blisko konie mam rozstajne.
Powrócę — sama — do smętnego domu
Z moją niedolą i z mojém cierpieniem
Dawnèm, lecz mędrsza stokroć doświadczeniem.

AKT CZWARTY.

SCENA I.*)

(Mieszkanie hrabiny Idalii).

(RZECZNICKI i HELENKA, która uprząta pokój).

RZECZNICKI.

Helusiu, widzisz — do waszego domu
Musiałem z moją żoną — była chora.
Proszę, nie mów też Panienka nikomu,
Że ja tu konno z nią. Tego wieczora

---

*) Cała scena I. i początek drugiej przekreślone są w autografie poety.

Miałem przypadek — powóz mi się złamał;
Musiałem na koń wziąć — żona mi słabła...
Czy doktor już był?

HELENKA (do siebie).

O! to się wykłamał!
Żona w malignie mówi, że przez dyabła
Była porwaną...

RZECZNICKI.

Co mówisz Acanna?

HELENKA.

Mówię, że Pani Marszałkowa chora.

RZECZNICKI.

Tak, chora trochę. Ta przejażdżka ranna...
Ona ma nerwy słabe... do wieczora
Na koniu... aura zła... więc nieco słaba...
To to kobieta delikatna, święta!

HELENKA (na stronie).

O! delikatna! ta czerwona baba! —
Prawda, że teraz tak jak z krzyża zdjęta
I rozczochrana...

RZECZNICKI.

Patrzajno Acanna,
Czyj to jest powóz?

HELENKA.

Jedzie Pani nasza!

RZECZNICKI.

Idź, proszę, czy tam mojéj żonie wanna
Przygotowana? Niech się nie rozgłasza
Ta awantura między służącemi...
Idź! — ja tu Panią przyjmę i powitam.

(Helenka odchodzi — wchodzi IDALIA).

SCENA II.

IDALIA — RZECZNICKI.

IDALIA (nie spostrzegając Rzecznickiego).

O! jak tu miło! drzewami ciemnemi
Pozasłaniane okna — piersią chwytam
Powietrze pełne kwiatów... (zobaczywszy Rzecznickiego)
Co?! Pan u mnie?

RZECZNICKI.

Pani, pod samym jej domem... wypadło
Do Niej zajechać...

IDALIA.

I żona?

RZECZNICKI.

Jak w trumnie,
Jako grobowe okropne widziadło.

IDALIA.

Tu?..

RZECZNICKI.

Tak, Wielmożna Mościa Dobrodziejko.
Tutaj, na moich przyniesiona rękach.

IDALIA.

Gdzież ją Pan?.. lecz nie! nie jestem tak dziką,
Ażebym w Pana wycierpianych mękach
Szukała zemsty. Czyś Pan mógł zasłonić
Przed ciekawością sług?

RZECZNICKI.

Pani, ja sądzę...,

IDALIA.

Że?

RZECZNICKI.

Że nie wiedzą...

IDALIA.

Chciałabym obronić
Pana, więc muszę... Nessus?

RZECZNICKI.

Wziął pieniądze.

IDALIA.

To słuchaj mię Pan! — Awantura taka
Dla was, którzy tu jesteście na świecie
Nakrochmaleni — każdy pół Polaka,
A pół aktora we własnym powiecie,
Jak na aptecznych półkach różne flaszki
Z etykietkami: ten polityk dzielny —
Ten sensat — a ten dowcipny na fraszki *)

*) Aż póty scena ta przekreślona jest w rękopisie.

Wamby, powiadam, niosła cios śmiertelny
Śmieszność, zabiłaby was na wiek wieków,
Na dzieci wasze spadła i na wnuki!
Bo z was można drwić, lecz tak jak z kaleków —
Nie potrącając nigdy krzywej sztuki
Waszego ciała. — Twoje więc kalectwo
W dowcipkowaniu było: — a tyś ranny
W ten garb rozumu na całe sąsiedztwo
Sławny!.. Rogaty miesiącem Dyjanny,
Zgubiony człowiek! jeśli ja na siebie
Nie wezmę garbu twego, i niosąca
Ciężar, ciężaru tak nie upotrzebię,
Że skrzydlatością i blaskiem miesiąca
Moje ramiona dumne uwachlarzy
I upiękni mię, zamiast ciebie zabić. —
Pozbądź więc, proszę, Pan tej smętnej twarzy!
Ja Mu przyrzekam przynajmniej osłabić
Pierwsze wrażenie — oczów mych szafiry
I postać moję ułożywszy zgodnie
Ze smutną rolą nowej Dejaniry...

RZECZNICKI.

Nie! To nie może być! — ja udowodnię,
Że jestem człowiek! —

IDALIA.

Lecz szanowny Panie,
Tu przyjechałeś z żoną, twoją bryczką;
Kałmuk pieniądze dostał — i dostanie
Rozkaz milczenia. — Ja stoję z pożyczką
Mego honoru — ty szlachcic, bierz sumę,
Ani się pytaj! — bierz ją bez procentu!

RZECZNICKI.

Ja także, Pani, mam tu swoję dumę
I tę rzecz biorę także z fundamentu...

IDALIA.

Lecz patrz! Hrabiostwo Respektowie jadą: —
A więc ty powiesz im, że twoja żona...?

RZECZNICKI.

Ja nie wymówię tego.

IDALIA.

Więc tą radą,
Którą ci dałam, nie gardź! — Rzecz skończona!
Ja byłam w stepie przez ciebie odbitą —
Ja jestem teraz w łóżku mojem chora...
Mów — żartuj ze mnie — baw ich — bądź kobietą,
Baw ich plotkami...

RZECZNICKI.

Lecz tego wieczora
Ja moję zrobię rzecz...

IDALIA.

Dobrze, pozwalam,
Lecz do wieczora ja rzecz moję zrobię,
I te małżeństwa wasze porozwalam —
Albo... odejdę was, a wy na grobie
Grajcie komedyą.

(odchodzi).

RZECZNICKI.

Zda się dobra rada:
Na czas niech ona będzie tu na celu
Żartom. Ja potem zrobię rzecz nie lada
Bo trzeba, żeby na obywatelu
Nie było plamy —

SCENA III.

(Państwo RESPEKTOWIE wchodzą z DYANĄ i STELLĄ.)

HR. RESPEKT.

Witaj mi, Rzecznicki! —
A cóż tu? mówią — chora!

RZECZNICKI.

Tak, tą jazdą —

HR. RESPEKT.

Cyt! cyt!.. to jéj dom — to kościoł delficki!
Widzisz — przywiozłem całe moje gniazdo.
I Major z nami, ale go ukryłem
Po za kulisy; — w sam czas wyprowadzę
Na perypecyą... Ja z nim długo żyłem;
To prosty człowiek, dobry — —

HRABINA.

Czy ma władzę
We wszystkich członkach?

RZECZNICKI.

Co?

HRABINA.

Czy ją oszczędzał?

RZECZNICKI.

Tak, dosyć — —

HR. RESPEKT.

Czy gdzie nie zawadził w lesie?

RZECZNICKI.

Nie.

STELLA.

Więc nie bardzo rumaka rozpędzał?

HR. RESPEKT.

Dosyć — widzicie, że stanął przy kresie.
To dosyć... lecz nas nabawił kłopotu:
Wszyscy w cierniowéj jesteśmy koronie! —
Widzisz, Rzecznicki, takiego powrotu
Niktby nie życzył swojéj własnéj żonie.
W głębi — taka rzecz jest nie małéj wagi!...
Co to jest?!.. krew się na to każda burzy.

RZECZNICKI.

Gdzie jest Fantazy?

HR. RESPEKT.

Brakło mu odwagi!
W ogrodzie chodzi — wena mu tam służy —
Coś komponuje... (do żony) Wypraw do ogrodu
Dyjanę, niech ze Stelką idą obie...

HRABINA.

Czy położyli jéj na głowę lodu?

RZECZNICKI.

Tak, położyli.

HR. RESPEKT.

Przywieźliśmy tobie
Kapelusz —

RZECZNICKI.

Jak to?

HR. RESPEKT.

Przestrzelony z łuka,
Strzałą rogaty — tak, strzałą rogaty!
Widzisz — był rozkaz dany dla Kałmuka,
Ażeby leciał jak Amor skrzydlaty,
A nie dał sobie odbić tej hrabiny —
Major mu to sam wyraźnie powielił.
Otóż on widząc twe rycerskie czyny,
Gdyś go dopadał: przymierzył i strzelił —
Jak gdyby na twój rycerski kartelusz
Odpowiadając — prosto tobie z łuka.
Szczęście, że trafił cię tylko w kapelusz!
Stelusiu, niech go Kajetan poszuka,
Niech tu przyniesie. (Stella wychodzi). Pokazać ci chcemy,
Że twój rycerski czyn nie uszedł oka;
I ubierzemy ciebie, ubierzemy
W strzały — —

RZECZNICKI.

Rzecz to jest zanadto wysoka,
Aby żartować...

HR. RESPEKT.

No — ty jesteś skromny,
Ja wiem; ty skromny jesteś. Cały w locie —
Możeś był nawet sobie nieprzytomny,
Gdy cię ten Kałmuk — —

RZECZNICKI (przerywa).

Tak, Hrabio, w istocie!..

HR. RESPEKT.

Gdy cię ten Kałmuk ubrał, ubrał w strzały —
Numida jakiś — —

RZECZNICKI.

Więc Pan wie?

HR. RESPEKT.

Numida.
Mówię ci, jeździec jesteś doskonały!
Widzisz — talent się taki zaraz wyda,
Mój ty kochany Rzecznicki!

RZECZNICKI.

Co, Hrabio?

HR. RESPEKT.

Daj, niech cię z serca uściskam!.. Szałaput!
Jeżeli w tobie lata nie osłabią
Téj żyłki, to gdzieś zrobisz verte-caput.
Orlando! — gonił się jak za podradem!
Orlando!

RZECZNICKI.

Hrabia się powtarza...

HR. RESPEKT.

Drogi!

RZECZNICKI (do siebie).

Zemszczę się! (głośno). Czy Hrabia jadąc moim śladem
Nie znalazł... czy gdzie nie postawił nogi
Na tym papierze...? Otóż to przypadek!
Intercyza mi wypadła z kieszeni.

HR. RESPEKT.

Cóż? — ty sam stoisz jak układów świadek —
Rzecz małej wagi — papier się odmieni —
Lekka odmiana! Nową intercyzę
Przypieczętujesz litewską Pogonią.
Tak! Pogoń teraz weźmiesz za dewizę,
Pogoń ognistą — z uwieńczoną skronią...
Lecz widzę, że zły jesteś... a to zwykła
Rzecz w ludziach, co się heroizmu wstydzą —
Wstydzą i tak się czerwienią jak ćwikła,
Kiedy się nagle w laurach jasnych widzą
A niby nimi gardzą... Moja żono,
Pójdźmy na ogród z dziećmi, nim Hrabina
Zgodzi się naszę postać zasmuconą
Oglądać. (wychodzą).

RZECZNICKI.

Piekło! piekło!... Starowina
Pod paznokcie mi w nogi wbija drzazgi!
Na mękach jestem!...

(Wbiega FANTAZY).

SCENA IV.

(RZECZNICKI — FANTAZY).

FANTAZY.

Rzecznicki, jestem trup!

RZECZNICKI.

Co to się znaczy?!

FANTAZY (rzuca się w fotel).

Okropny, mówię, miałem pojedynek!

RZECZNICKI.

Z kim?

FANTAZY.

Z tym Moskalem...

RZECZNICKI.

Tysiąc sto kartaczy!!
Bez sekundantów?!

FANTAZY.

Wieczny odpoczynek
Mów za mnie... jestem trup!

RZECZNICKI.

Na Pana Boga
Gdzieżeś raniony? jesteś żywy, cały! —

FANTAZY.

Mówię ci, że już moja prawa noga
W grobie... i moje złote ideały
Biorą twarz czaszki. W myślach moich zamęt!

(Wskazując na biórko).

Masz papier? siadaj, proszę i bierz pióro:
Chciałbym... w trzech słowach tutaj mój testament
Napisać...

RZECZNICKI.

Słuchaj...

FANTAZY.

Pisz! —

(Rzecznicki siada i bierze pióro do ręki).

Milijon z górą
Mego majątku, kiedy się spienięży —
Zamienić w złoto, w jeden zlać pierścionek
Spleciony kształtem saturnowych węży —

Poświęcić — wyryć na nim: trup małżonek
Swéj narzeczonéj — i Pannie Dyjannie
Wtoczyć go. Jeśli nie weźmie — w staw rzucić!

RZECZNICKI (wstając).

Czyś ty oszalał?!

FANTAZY.

Ja téj młodéj pannie
Winienem wiele. — Gdybym mógł powrócić
Z grobu, to życie zacząłbym inaczéj,
Prościéj — i młody starałbym się o nią.
Jutro — jak ona w trumnie mię zobaczy:
To pewny jestem, że mnie siostry dłonią
Uściśnie... Ale ostatnia godzina
Moja... innym się tu duchom należy.

RZECZNICKI.

Panie Fantazy! w imię Ojca, Syna...
Gdybym cię nie znał...

FANTAZY.

Dość! czas szybko bieży...
Do grobu spieszno — a strach!... Nie idź za mną!
Bo gdybyś i szedł: to nie trafisz wcale;
Śmierć ma tebańską stolicę stubramną;
Jedne są bramy jak krwawe korale
Czerwone — inne są jak perły białe:
I białe, bez ran, duchy przez nie wchodzą.
Bądź zdrów!... Królestwo mego ducha całe
Niezbuntowane, ale z ciała już się płodzą
Robaki... i te w ustach słowa zimne
Są robakami...

RZECZNICKI.

Niech cię sto piorunów!!..

FANTAZY.

Ha! ha! ha! teraz pod laurami drzymnę
I Plutonowych dosiędę biegunów
We śnie... Rzymianin jestem...

(wychodzi).

RZECZNICKI.

Co to znaczy?!..
Na Boga! muszę widzieć się z Majorem

Twarz w twarz: on mi to wszystko wytłómaczy
I pod właściwym te rzeczy kolorem
Musi obaczyć ze mną, i traktować
Jak ze człowiekiem...
(Wchodzi IDALIA).

SCENA V.

(RZECZNICKI —- IDALIA).

IDALIA.

A cóż?

RZECZNICKI.

Niechaj Pani
Leci! Fantazy coś zaczął waryować...
Wszyscy w tym domu jak powaryowani!
Ja także myślę po waryacku skończyć.
Do nóg upadam!..
(wychodzi).

IDALIA.

Co mówił? — Fantazy
Waryuje? — Cóż to? — Ach, jak łatwo złączyć
Miłość z szaleństem! Są to dwa wyrazy
Nierozłączone. — Waryacya więc wraca
Do tych różanych uczuć, owiniętych
Girlandą kwiatów i gwiazd, i zbogaca
Krainę duchów, moc pieśni natchniętych
Rzucając wiatrom... Ach! gdyby godzina
Tego żywota, gdy mię ciągle poił
Z serca, jak z czary! — Gdy nakształt murzyna
Otellowego — w sztylet się uzbroił
I przyłożywszy mi do piersi — czekał,
Czy w oczach moich strach, czy uśmiech będzie?
A uśmiech z oczu moich nie uciekał,
Ale jak pająk, który z blasku przędzie
Swe pajęczyny złote na szafirze
Jakiego kwiatu: podobnie mi radość,
Że się przez jego śmierć do nieba zbliżę,
Opromieniała oczy. — O! jak bladość
Śmierci daleka była od tej bieli,

Którą on wtenczas zwał alabastrową!
O! jak mi dobrze było, na pościeli
Granitów rzymskich — z pochyloną głową
Nad nim, oddychać różami Cezarów
I widzieć, jak się w tym człowieku rodzi
Nowy ideał wieków, pełny czarów,
Który mu całą przyszłość rozpogodzi,
Jeśli nie skala się tem ludzi błotem
I nie zapragnie spić się moszczem wina.

SCENA VI.

(HELENKA wchodzi).

HELENKA.

Pani nie przyjmie więc Hrabiny?

IDALIA.

Potem.

HELENKA.

Koniecznie Panią chce widzieć Hrabina,
Ze łzami prosi.

IDALIA.

Więc wpuść ją, Helenko;
A gdyby chciał tu wejść i pan Fantazy,
To... to mnie ostrzeż wprzód jaką piosenką,
Albo przed drzwiami kaszlnij kilka razy.
A teraz wpuść tę Walterskotkę...

(Helenka wychodzi).

(Wchodzi HRABINA RESPEKTOWA).

HRABINA.

Droga!
Mojemi łzami zlana — krew bym dała!
Bogdajby tutaj nigdy moja noga
Nigdy, ach! nigdy więcej nie postała:
Jeśli ja winna co, że tobie duszo
Anielska, taki sztylet!... Ja to czuję...
Wszystkie się żółci we mnie tem poruszą,
Bo ja kobieta, bo mnie także truje
Ten świat, przeciwko nam ciągle i wszędy
Na wspak idący... Ja tego Majora —

Gdyby nie mój mąż — tobym do komendy
W łańcuszkach była odesłała wczora
Z mojego domu! — O! kraj nieszczęśliwy,
Gdzie Moskal, widzisz, pijany robi burdy,
A my musimy cierpieć!.. Jak Bóg żywy,
Polacy dawniej byli haraburdy,
Lecz teraz... są mniej, niż...

IDALIA.

Nie płacz, Hrabino
I nie utyskuj: moja reputacya
Jest taką dzisiaj odzłoconą cyną
I woskiem...

HRABINA.

Ja wiem, że ci aprobacya
Ludzi niczem jest; bo ty — w sobie złota,
W sobie zamknięta, jak brylant bez ceny —
Pogardzasz każdą garścią tego błota,
Którem świat... Lecz ten z nad Oki czy Leny
Major — prawdziwy jakiś barbarzyniec —
Wstyd mi, że w moim domu — wstyd mi wielki!
To ja zelżona! Wyjdę na gościniec
I siędę w karczmie, bo obywatelki
Dom stał się karczmą...

IDALIA

Odmieńmy rozmowę,
Proszę... Powiedz mi, gdzie wyprawę szyto
Dla twej Dyjanki?

HRABINA.

Ach! ja tracę głowę!
Ten maryaż!.. Głowę mi, Pani, nakryto
Jak kuropatwie... jam ani wiedziała,
Że pan Fantazy... nie jest sercem wolny.

IDALIA.

On wolny.

HRABINA.

I tyż to mówisz, Idalko?! —
On! co powinien był, a był niezdolny,
Uznać, że tobie będąca rywalką

Moja Dyjana — bez pochlebstwa gadam —
Gaśnie, jak świeca gaśnie w słońca blasku...
O nie! Ja jemu teraz w oczy zadam
Fałsz! — Nie myśl, proszę, że my go w zatrzasku
Trzymamy, jako złowionego szczygła:
On wolny —

IDALIA.

Wolny?... wszakże już kontrakta
Pomiędzy wami —

HRABINA

O nie! tyś prześcigła
Za rzeczywistość. Czyżby jakieś akta
Mogły poprzedzić czyn, gdzie miłość sama...?
Ty to rozumiesz — maryaż jest osnuty
Na sercu —

IDALIA.

O tak, na sercu.

SCENA VII.

(Wpada STELLA na scenę. HRABINA RESPEKTOWA — IDALIA).

STELLA.

Niech Mama
Leci!..

HRABINA.

Co?!

STELLA.

Dyanka — —

HRABINA.

Co?.. (wybiega ze Stelką).

IDALIA.

Maryaż popsuty
Sercem! — Zeszła się Dyanka z panem Janem —
Sztambuch przejrzała i zeszła się w sieni
Twarz w twarz z tym pięknym brązowym ułanem,
Co teraz nosi koszulę z pierścieni
I burkę — straszny na miłości scenie
Aktor... (Wbiega HELENKA).
Helenko, cóż?

HELENKA.

Panna omdlała
I padła głową swoją na kamienie.
Gdy ją podjęto, z czoła krew się lała,
Zbladła jak kreda, a łkała jak dziecko.

IDALIA.

Ale nie mocno ranna?

HELENKA

Nie! przytomna...

IDALIA (do siebie).

Czuję, że scena ta była zdradziecką:
Ten sztambuch — potém on — taka ogromna
Nagłość — i takie przejście... (głośno). Daj mi burnus!
Lecz nie — ja się tam teraz nie pokażę;
Tu będę, jak ten brązowy Saturnus,
Co nieruchomy siedzi na zegarze
I pod nogami swemi ma godziny
Obracające się...

SCENA VIII.

(Wchodzi LOKAJ, i niesie karteczkę i sztylet).

LOKAJ.

Pani, ten bilet...

IDALIA.

Co widzę?!—Boże! Boże mój jedyny! (czyta).
Daj burnus!... Ha! ha! ten wenecki sztylet
Tu?! Jezus! Marya!

(Wybiega ze sztyletem, a bilet zostawia).

HELENKA.

Co to?

LOKAJ.

Pan Fantazy
Dał mi i kazał pani oddać w ręce.

(Helenka bierze bilet i czyta go).

HELENKA.

Niezrozumiałe są dla mnie wyrazy!
Próżno ten papier w rękach gnę i kręcę.
Muszę biec za nią.

LOKAJ.

Daj, niech ja przeczytam!
„Schadzka ostatnia dusz naszych na ziemi
„Dziś o północy...“

HELENKA.

Pana Boga pytam,
Czy jest tutaj sens?

LOKAJ.

„Czarami złotemi
„Ostatni toast dziś — lub z tobą razem
„Piję aniołom — albo też samotny...“ —
Swięty Józefie! za każdym wyrazem
Wykrzyknik, a list taki był wilgotny,
Że na nim moje palce znać wyraźnie
Wydrukowane. — Dyabli jacyś wodzą
Pióra tym panom: piszą niepokaźnie
W gzygzaki. (Czyta). „Tam, gdzie na świecie się schodzą
„Wszyscy i wiecznie zostają — gdzie Juliet
„Obudziła się i zasnęła — czekam.“

HELENKA.

Muszę wziąć pani ten łabędzi duliet
I zanieść, bo to rosa. Psy powściekam,
Ażeby panią odstraszyć na zawsze
Od tych przechadzek nocnych po pustyni.
Bo to stworzenie dla ludzi łaskawsze,
Niż zwykle bywa taka monarchini
Zła, jak dyablica! — U państwa Rzecznickich
Nie można służyć dla zimna a głodu.
A gdzie jest też dom w rękach jezuickich,
To także trzeba płakać bez powodu
Co piątek, albo oczy trzeć cebulą,
Gdy człowiek idzie na mszę za hrabiną. —
A tu się ludzie w domu jakoś tulą
I...

(Wpada HRABIA RESPEKT — za nim MAJOR).

SCENA IX.

HR. RESPEKT.

Gdzie jest Pani?

HELENKA.

Nie wiem.

HR. RESPEKT.

Nad dziewczyną
Moją śmierć wisi!.. Proszę was, doktora!
(Helenka i Lokaj wychodzą).
Majorze! — z naszą ty, widzisz, krainą
Nie jesteś w tonie: jednego wieczora,
A tyleś mi tu napsuł! — Po co było
Tego człowieka przywozić?! — Że dzieci
Poznawszy się tam, sentymentu siłą
Były porwane śród śniegów, zamieci
I strasznych białych sybirskich hororów...
Że sobie tęczę usnuli z sympatyi:
To trzebaż było tu do naszych dworów
Z tej Antologii czy tam Chrestomatyi
Wyrwaną kartkę?!.. Jednem słowem mówię,
Żeś Major mi tu — może z serca — aleś
Ćwieków nasypał strasznych pod obuwie!
Ten Sybir — to to straszna jakaś zaleś
I kraj przeklęty!!

MAJOR.

Nu! Hrabia bogaty —
Tak puskaj, niechaj córka sercem bierze!

HR. RESPEKT.

Co mi tam gadasz? Dobryś do harmaty,
Ale nie do serc! — Mówię tobie szczerze,
Że... niech cię wszyscy dyabli mój Majorze!
Zięć mi się gotów ten zerwać z kontraktu!

MAJOR.

Który zięć?

HR. RESPEKT.

Wszak wiesz, że mam zięcia...

MAJOR.

Może?

HR. RE.PEKT.

Jakto? — przytomny podpisowi aktu
Ślubnego, wątpisz, że ja wkrotce będę
Kołysał wnuki?.. Co? wątpisz?

MAJOR.

Jej Bogu,
Ja wątpię.

HR. RESREKT.

Cha! cha! cha! zięcia pozbędę?..
A to jak?

MAJOR.

Nu! jak? — Tak karta na rogu
Kiedy zagięta przegra: tak prepały
Diengi. — Nu wot tak zięć Panu Hrabiemu
Może się ze mną grając, przegrał cały.

HR. RESPEKT.

Co to jest?! — jak to?! — po co?! — jak i czemu?!
Zięć mój z Majorem grał? i o co chodzi?

MAJOR.

Nu tak, o zięcia chodzi.

HR. RESPEKT.

Zgrał się w karty?!
Głową mi tylko kiwasz Pan Dobrodziej:
Mów proszę... proszę, bądź ze mną otwarty!
Nie wiesz, ile w tém mego interesu,
I jaki kamień na mém sercu leży!

HR. RESPEKT.

Nu, tak weź hrabia tu z pugilaresu
Ten kontrakt: mój pysk do niego należy,
A do mnie jego łeb — wygrany w karty.
Nu! tak Hrabiemu ja ten łeb daruję
A z pyska mego ręką honor zdarty
Znajdę u Boga! (oddaje mu papier) Niech Pan Hrabia czuje,
Że ja nie człowiek zły; — głupstwem zaszkodził,
A swoim własnym honorem zapłacił.

HR. RESPEKT (przeczytawszy dany mu papier).

Piorun szaleństwa w tych ludzi ugodził —
Mózgi pomięszał. — Zięć mój głowę stracił!

Maryanno! zięć nasz truje się! Maryanno,
Zięć nasz zabija się! (wybiega).

MAJOR.

Wot i teatry!

(Wchodzi JAN).

SCENA X.

JAN i MAJOR.

JAN.

Majorze!

MAJOR.

A szto? obaczył się z panną?

JAN.

Jedźmy w sybirskie nasze mgły i wiatry!
Major mi będziesz ojcem — tak jak dawniéj —
I przyjacielem. — Ten świat to zagadka!
Gdybyś ty widział, jak tam najzabawniéj,
Najwściekléj na mnie wrzeszczała ta matka:
—„Dzieckoś mi zabił! — idź precz! nie stój blisko,
Podły!.. bo śmierdzisz tu prostym żołdakiem,
Bo cuchniesz, cuchniesz tak, jak łokaisko!
Bo cię czuć wódką prostą i tombakiem
Spleśniałym! precz mi z oczu!“ — Tyle brudu,
Tyle znalazła przekleństw ta kobiéta,
Że ja, com słyszał niegdyś wycie ludu
Wieszającego, ludu co w jelita
Drgające ręce kładł...

Na takie krzyki
Córka omdlała podniosła powieki
I wzrok rzuciła na nią taki dziki,
A na mnie taki anielski, że wieki
Będę pamiętał, jakie są balsamy
W rozmiłowanych oczach u dziewczyny!

MAJOR.

Nu, my w Sybirze tobie dziewcząt damy
Piękniejszych...

JAN.

Jedźmy, jedźmy z téj krainy,
Która mi we snach była szczęścia rajem —

Matką! — a teraz jest taką macochą! —
Słuchaj: nazwała wygnańca lokajem
I w to bolesne me serce tak płocho
Wrzuciła ziarno gniewu...

MAJOR.

Tak duj babu!
A ja pomogę... Wot, wot! — polskie grafy!
A kazał ty już Kałmukowi drabu,
Żeby zaprzęgał?

JAN.

Już.

MAJOR.

Nu, tak wakszta fy
Zakurym w trubkach, taj na pożegnanie
Temu szlachectwu dym!

JAN.

Jedźmy Majorze!
Temu, kto wpadnie raz w nieszczęścia morze,
Trzeba iść na dno i dać falom głowę. —
Oczęta sine we łzach — bądźcie zdrowe!..

AKT PIĄTY.

SCENA I.

(Cmentarz — w głębi kaplica zamknięta. Miesięczna noc.)
Wchodzą FANTAZY i IDALIA.

FANTAZY.

Oto są Idy marcowe Cezara
Śmiertelne — bo ty jesteś moją Idą.
Cóż? dotrzymałem słowa... Godzin para
Ostatnich — z tobą! Gwiazdy nasze przyjdą,
Miesiąc nasz złoty już jest i dotrzymał
Słowa — na ucztę śmierci przyszedł pierwszy.
Świat mię był w takie łańcuchy poimał,
Że teraz pewnie mój sen będzie szerszy,
Gdy oddam ducha. Tony moje drżące

Były boleścią ducha ostateczną. —
Siądź tu. W twych oczach widzę dwa miesiące
Błękitne: — będziesz mi harmonią wieczną,
A oczy wiecznem źródłem światła będą;
Wypiję wszystkie złote z nich promienie.

IDALIA

Ten cmentarz zawsze był najmilszą grzędą
Mego ogrodu. — Patrz, jakie tam cienie
Czarne pod gęstwą lip! i głazów twarze
I na czarności krzyżów niewidzialnych
Głowice trupie...

FANTAZY.

Ja ci tam pokażę
Tęczowe duchy, twarze bóstw fatalnych,
Które mi zawsze w nocy były blisko
I to zrobiły, żem tak głupio — marnie
Życie me rzucił.

IDALIA.

Co tam za zjawisko?

FANTAZY.

Nic! to są we mgle chodzące latarnie;
Pewnie szukają nas.

IDALIA.

Daruj mi Fanio,
Jeszcze raz spytam ciebie... spytam ciebie —
Bo wszakże życia nie można tak tanio
Oddawać ludziom! bo wszakże na niebie
My zapisani jesteśmy u Boga
I tu aż — przezeń tu przyprowadzeni. —
Słuchaj — zdejmuje mię tu jakaś trwoga —
Tyś drgnął: jesteśmy oboje ruszeni
Skrzydłami śmierci... Przyszłość ta bez kształtu
Okropność swoję ma. Słuchaj mię, Panie:
Ja nie doznałam tu żadnego gwałtu.
I ta przyczyna śmierci, to porwanie —
Tak los uczynił, że obelga cała
Spadła na inną zupełnie osobę.
Jam więc jest winna — winna, żem skłamała:

Jam winna, żem tu całą jednę dobę
Chciała aktorką być i podług świata
Fałszem dopomóc sobie na tej ziemi...
Owszem — posłuchaj: ta śmierć, która lata
Jak nocny motyl, skrzydły kościanemi
Gruchocąc, marną jest — i nam urąga
Jak dzieciom głupim: — boś nie za mnie mścił się,
Ale za jakąś furyą — dziwoląga —
Za Rzecznickiego, który podły krył się
Ze swą obelgą, ze swoją kuchcianą
Żoną, z łachmanem swoim przewietrzonym,
Który ja w domu dziś znalazłam rano
W wannie z rumianku, z fontaziem czerwonym
Na czepcu, z krzykiem i z twarzą koguta,
Na cały cichy dom krzyczącą: gwałtu!

FANTAZY.

Cha! cha! cha! Pani Rzecznicka popsuta!
Cha! cha! cha! — Gdyby sam Rzecznicki stał tu
I o truciznę prosił, to nie dałbym
Łezki opiatu! — Cha! cha! żyj Brutusie!
Cha! cha! cha! jeszcze raz z Rzecznickim chciałbym
Zejść się na ziemi i w tym famulusie
Mego Faustyzmu niewydrwioną stronę
Wydrwić, ażeby drwin posągiem stanął
Na moim grobie. Cha! cha! cha! Utonę
We łzach serdecznych! — Cha! Kałmuk archanioł,
Porywający z ręku Jezuitom
Panią Rzecznicką — i w galop — i w galop!...
Cha! cha! cha! śmiech mój gwiazdom i błękitom.
Wiwat typ wszystkich dewotek i salop,
Pani Rzecznicka, która była duchem,
W pielgrzymce!! Dyabli! dyabli! cha! cha! cha! cha!

IDALIA.

Ten śmiech — —

FANTAZY.

Uderzył po głowie obuchem
W posąg piękności — i w szarego stracha
Zamienił tę śmierć, która przy nas stała

Niby cudowna postać z alabastrów,
W gwiazdach, w motylach i w miesiącach cała,
Z kobiercem maków, dziewanny i astrów
Pod cichą stopą. — Patrz, jakich komików
Wydaje Polska: aż do grobu śmieszą!
O! o koncercie śmiechu i słowików,
Graj!... Otoczona dziwolągów rzeszą,
Straszliwa, w czepcu — nowa Dejanira
Poprzedza orszak nasz, dwie nasze trumny,
I krzyczy: za mnie ginie syn Zefira
Z córką Aurory!!

IDALIA.

O! szał nierozumny!...

FANTAZY.

Co? wybijam cię ze snu? — Masz! w tej lasce,
W téj złotej gałce jest snu na lat tysiąc...

IDALIA.

Więc to trucizna?

FANTAZY.

Tak! w cukrowéj masce
Zamaskowana złość! możnaby przysiąc,
Że rzecz uczciwa.

IDALIA.

I nie ma ratunku?

FANTAZY.

Jest!...

IDALIA.

A więc użyj go, żyj dla Ojczyzny!!

FANTAZY.

Na to — o! na to trzebaby trafunku
Wielkiego...

IDALIA.

Aby...?

FANTAZY.

Aby na siwizny
Majora głowy, która jak Eolid
Harfa pod moim policzkiem odjękła,
Spadł albo piorun albo aerolit
Przed... przed kwadransem!

IDALIA.

Jakto?

FANTAZY.

Aby pękła
Harfa, na której ja honoru strunę
Urwałem... Kontrakt — widzisz — jest wyraźny,
Że północ jednę dziś zapełni trunę —
Na stemplowanym papierze: do kaźny
Weszło pół rubla za ten papier, który
Poważnym kiedyś będzie dokumentem...
Daj laskę!

IDALIA.

Wieszczu! do góry! do góry!
Śmierć jest okropnym, słuchaj, sakramentem.
Nie jedz trucizny z taką twarzą.

FANTAZY.

Co to?

IDALIA.

Po szatańsku się twarz tobie skrzywiła.

FANTAZY.

Nie prawda... śmierć jest tą kolumną złotą
Powietrza. — O! w tem powietrzu jest siła!..
O! to powietrze i ciepłe i wonne,
O! to ramiony memi ogarnięte,
Ma w sobie duchy piękne i niezgonne,
Jak ja, wyrwane z ciał, dawno poczęte,
Pełne miłości jak ja, niewidziane,
A kształtem swoim świat rozpierające.
Czekaj, przy tobie tak za chwilę stanę
Powietrzem...

IDALIA.

Widzisz me piersi dyszące?!...
O! znajdź, znajdź jakie słowo większej mocy,
Aby mnie w ciemnej śmierci rozmiłować!

FANTAZY.

Patrz — ta kaplica z krzyżem złotym, w nocy
Stojąca jak duch, zacznie tu panować
Ducha naszego siłą... i z kamieni

Miłością świata lać sakramentalnie!
Jutro ten kościoł tak się w nas wpromieni,
Jak w smętne światło, i będzie fatalnie
Działał na smutne duchy, serca młode —
Jak pieśń, która nam dzieciom w piersiach dzwoni.
Chodź! do kaplicy cię tej ciemnej wiodę.
Astarte!... o ty, bez lauru na skroni
Nieznanego tu ducha Beatricze,
Którą porwałem i aniołom niosę,
Chodź, chodź! i w Madonn się wpatruj oblicze
I w zachwyceniu świętem daj pod kosę
Miesięczną śmierci cichej twoję głowę!
Co mówię? — na niej stań, jak na miesiącu,
A on skrzydlaty z nami w światy nowe
Uleci — i w słońc ognistych gorącu
Postawi czoła nasze na granicy
Ostatniej, kędy ludzki duch dolata...
Chodź! chodź! chodź do tej, o siostro, kaplicy!
Chodź ze mną! stamtąd nie wyjdziesz bez brata,
Ani bez siostry ja — chociaż oboje
Bez ciał wyjdziemy...

IDALIA.

Duchu! w ręce twoje,
W twe usta ducha mego! —

FANTAZY.

Z błyskawicy
Twe usta, duchu mój!

IDALIA.

Chodź do kaplicy,
Niech świat za nami pędzi!

(słychać bliski strzał).

FANTAZY.

Stój! co słyszę?
Strzelono...

IDALIA.

Słuchaj! jęk —

GŁOS MAJORA.

Pomiłuj Boże!

FANTAZY.

Co to jest? kto śmie tę miesięczną ciszę...

GŁOS RZECZNICKIEGO.

Ratunku!

IDALIA.

Nie idź!

GŁOS RZECZNICKIEGO.

Ohe!

FANTAZY.

Na ugorze —
Blisko cmentarza...

GŁOS RZECZNICKIEGO.

Kto tu w Boga wierzy,
Niech mi pomoże! — ho!...

FANTAZY.

Rzecznicki krzyczy.

GŁOS HR. RESPEKTA (za sceną).

Strzelono!.. niechaj kto na cmentarz bieży!
Stamtąd strzał — —

FANTAZY.

Hrabia! — Zegarek mi liczy
Pięć minut życia... Miałyżby te chwile
Z gadułą starcem tym przeminąć marnie?

SCENA II.

(Wpada HRABIA RESPEKT i służba z pochodniami — rozwidnia się głąb sceny).

HR. RESPEKT.

Tu był strzał — tu są!... tu! tu! na mogile
Widzę białego coś... tu! tu latarnie!
Tu Pan Fantazy jest z Panią Hrabiną.
Tu! tu! — oboje żywi Bogu chwała!
Co robisz? dziecko, stój... Młodzieńce giną,
Idąc na wały, reduty i działa,
A nie tak, jak ty! — (Daje mu skrypt Majora).
Struj się tym papierem
I tajemnicę połknij — i żyj z nami!
(Spostrzega Majora leżącego we krwi).

Cóż to znów?...

RZECZNICKI.

Niechaj kto pójdzie z giwerem
Po wodę!...

MAJOR.

Nu, ja trup... pod chorągwiami
Boharodycy... jak człowiek honoru
Dał satysfakcyą... i za honor ginę...

(do Fantazego).

Nu, tak nie będzie teraz z nami sporu
O trumnę, Panie Hrabio... Na godzinę
Dwunastą ja się zamelduję Bogu,
A ty zmów za mnie pacierz — ściśnij ruku,
Praszczaj! — ha, szkoda, że ja się nie mogu
Tłómaczyć jaśniej. — Ja twojego stuku
Po twarzy nie czuł już... Czuł? — to zapomniał:
A nie zapomniał — to odpustył z duszy.

IDALIA.

Ach! jak ten człowiek cudownie zogromniał
W śmierci godzinie — prosty...

MAJOR (do Idalii).

Łzami pruszy
Duszeczka moja... daj ruku!.. nie płacz ty!
Ja stary człowiek — czas do grobu dawno...

FANTAZY.

Sprowadzić powóz!..

MAJOR.

Nu! nu! nu! a zacz ty
Do Chrysta myślisz wozom?.. Sławno! sławno!
Wot i żart!.. trupa sadzą do karety.

(do Respekta).

Hrabio!.. na ucho proszę coś...

HR. RESPEKT (po chwili rozmowy).

Rzecznicki,
Sprowadź tu, sprowadź tu moje kobiety.
Pan Major, jako człowiek katolicki — —

MAJOR.

Grecki!..

HR. RESPEKT.

Chce z moją widzieć się rodziną
I niektóre swej myśli testamenta
Objawić...

MAJOR.

Nu tak! Niech matka z dziewczyną
Przyjdzie i niechaj to sobie pamięta,
Że ja, człek prosty — na śmiertelnym progu
Tak będę prosić o śmiertelną łaskę...
(Rzecznicki odchodzi).

SCENA III.

(Wpada JAN i KAŁMUK).

JAN.

Gdzie Major?

HR. RESPEKT.

Tutaj na grobie —

MAJOR.

Przy Bogu.

JAN.

Co to jest?! Pustą znalazłem kolaskę
W karczmie. — Wyprawił mnie Major z posyłką.
Sam wyprawiony przodem. byłbym gonił
Aż do Tobolska, gdyby nie przeczucie
I strach... Co to jest?.. Głowę tak pokłonił,
Jak... jak... jak...

MAJOR.

Ruku daj...

FANTAZY (do Idalii).

Nasze otrucie
Było błazeństwem! Patrz, patrz! jak bez jęku
Przez ręce, oni gadają do siebie...
Patrz, patrz: dziesięć lat sybirskich w tych ręku
Ściśniętych jak wosk...

SCENA IV.

(Wpada HRABINA z córkami — RZECZNICKI zdala za niemi).

HRABINA.

O święci na niebie!

Co to jest?

HR. RESPEKT.

Cicho! okropny wypadek:

W pojedynku nasz Major zastrzelony!

HRABINA.

Patrzaj, list!

HR. RESPEKT.

Co to jest?

HRABINA.

Umarł nasz dziadek...

HR. RESPEKT.

Co?!!

HRABINA.

Dzisiaj w nocy.

HR. RESPEKT.

Ha!

RZECZNICKI.

Jesteś czerwony,

Jak upior! *)

HR. RESPEKT.

Krew mi uderzyła w głowę

Jakby siekierą.

HRABINA.

Pokryj to wrażenie!

HR. RESPEKT.

To jest odmiana wielka!.. i domowe

Rzeczy — —

---

*) Całe to miejsce zadziwia i nasuwa różne przypuszczenia o hr. Respekcie. Zdaje się, że poeta nie miał tu jednak innéj myśli, jak tylko tę, że się hrabia wielce ucieszył z téj nowiny niespodziewanéj i nie umie ukryć radości swojéj z tego powodu. *P. W.*

HRABINA.

Schowajże, mówię, list w kieszenie
I nie pokazuj twarzy, bo ci z oczu
Ta śmierć wygląda i pójdzie pod wnioski.

HR. RESPEKT.

Czy wiedzą dzieci?

HRABINA.

Nie. — (głośno). Może go w koczu
Można położyć?..

FANTAZY.

Cyt! Ten sen przedboski,
Który mu igra uśmiechem na twarzy,
Gdy anioł śmierci siwym włosem rusza,
Szanuj! On teraz o czémś takiém marzy,
Że pewnie, pewnie cała jego dusza
Jest jako słońce. — Cyt! oczy otwiera.
Majorze! oto jest z dziećmi Hrabina...

MAJOR.

Dajcie mi wody potiahnut' z giwera! (pije).
Nu tak — jeszcze świat... W imię Ojca, Syna
I Ducha!.. Proszę Hrabiny tu bliżéj
I dzieci proszę tu — koło mogiły...
Nie mógł ja ludzi kochać ani szczerzéj,
Ani otwarciéj, jak was. Syn Hawryły
Wołdemar Major, wasz dawny znajomy,
Serdecznie wasze serca umiłował.
Ot i odwiedził wasze dobre domy
Przyjaciel — i tu u was zanocował
Aż do prysudnych dni. — Kałmuk! szatuła! —

(Kałmuk odchodzi).

Słuchaj Hrabina. Ja czerkieski plennik,
Porwany kiedyś dzieciątkiem z auła,
Taj zmoskalony — Grek, łotr i moszennik
(Odpusti mnie Boh!). Byłby i generał
Już, tak jak drudzy, by nie Murawiewy,
Z którymi ja był — człowiek i liberał,
Dopóki żyli... Dziś pod temi drzewy
Ranny, ot wspomniał ja ich sobie czule,

Na własną patrząc krew. Ach! pod senatem
Gdyby ja był miał w sercu tutaj kulę,
Byłoby lepiej — ufff! ze mną i z światem...
Ufff! Apostołów! ufff! ufff! Apostolczyk...

HRABINA.

Majorze!..

FANTAZY.

Cicho, Pani!..

MAJOR.

Ot ten kolczyk
Od Apostoła ja miał starej matki,
Której kawałek przyniósł wtenczas drzewa
Od szubienicy, ufff! ufff! ufff! staruszka — —
Nu, tak ja potém przez Arakczejewa
Wyrobił sobie, że był bez łańcuszka
Posłan w sybirskie komendy w degradzie,
W upokorzeniu... Jak wy mnie poznali,
To ja w domeczku tam małym i w sadzie
Cały dzień trubku kurzył, a wy stali
Patrząc na smutek mój, że ja milczący
Nie odpowiadał wam, gdzie serce boli. —
Wot liberalność tu, jak żar gorący —
Wot czarny smutek był, wot mej niedoli
Była przyczyna! — Tak gdy panna śpiewa
Piosenki smutne, to ja stojąc w kącie
Wspomniał bywało sobie Bestużewa,
Taj potém wspomniał, że ja stal przy łoncie
I nie wypalił... Taka boleść była
Na sercu mojém wężem i kamieniem!
Kiedyście znali wy już mnie Hawryła,
Ja tam przed wami stał z upokorzeniem
I z trwogą, że wy mną biednym gardzicie
Jak starym, siwym, durnym liberałem,
Który miał w ręku harmatę i życie
Carskie — i trzymał ogień nad zapałem,
Taj zadrżał, widząc w gwieździstym szeregu
Cara i główny sztab w tęczowych lentach,
Taj lont syczący przyłożył do śniegu,

Uczuł strach w sercu i w głowie i w piętach,
Taj paszoł w durnie — —

IDALIA.

Na Boga, Majorze!
Krew ci się rzuca z rany — mów spokojnie!

MAJOR.

Nu tak to wszystko wielkie sądy boże!
Bo ja był kiedyś na tureckiej wojnie.
Z Persami się bił, w kwarantanach służył,
I śmierci palcem dotykał — nie blady!
Nu, a przed carem wtenczas jednym stchórzył
I tak jak dziecko darmo oddał szpadę,
Gdy po nią przyszli —

(Kałmuk wraca na scenę ze szkatułą).

HR. RESPEKT.

Cóż to? chory gada?
Zabronić jemu... cóż? zabronić mowy!

MAJOR.

Nu niech Pan Hrabia tu poważnie siada
I słucha, bo ja człowiek już grobowy
Mówię ostatkiem duszy. — Na Sybirze
Ja miał jednego sercem przyjaciela.
Tak my z nim często chodzili pod krzyże,
Na których imię Rumina, Pestela
I drugich — z tyłu jednego kościoła
Postawili my — na cichą pamiątkę...
Tak tam mojego pamięć Apostoła,
Którego kochał ja i lat dziesiątkę
Bez niego musiał żyć!.. i byłby skonał,
Gdyby żył dziesięć lat bez przyjaciela!
Nu on zmocował mnie, sercem pokonał!
Apostoła ja stracił. a Chrzciciela
Dostał. katoryj mnie ochrestił łzami...
Tak cóż ja jemu dam, jak mnie nie stanie?..

(do Dyany).

Diewoczka siuda! nu tak ty, z różami
Na ustach, stań tu ot przy tym ułanie
I tu rodzicom pokińcieś oboje,

A ja, ja z wami trzeci. — Kałmuk siuda!
(wstając).
Nu ot ja, chociaż ranny, ot ja stoję
I wam do kolan ot... (klęka). Na boskie cuda!
Nie odmawiajcie!.. przez krew moję proszę,
Nie odmawiajcie!

HR. RESPEKT.

Lecz tu związki rodu — —

MAJOR.

Słuchaj! — Ja zebrał wielkie, wielkie grosze,
A sam żył z gaży, z mojego ogrodu,
Z domu... No — niegdyś w kwarantannach, srogi
Dla kupców, nu tak przyjął podwieczorek
I okręt sobie przepuścił przez nogi
Z żaglami, z masztem, a chwycił za worek,
Jak za kotwicę... Nu tak i basetla
I skrzypce na to wesele u żyda
Leżą w Hamburgu. — Graf! wot bankocetla —
(do Kałmuka).
Stupaj, stupaj procz! Niech Graf córkę wyda!
My milionery... pfu!!..

HR. RESPEKT.

Panie Majorze!
Tu pieniądz, chociaż w dosyć znacznej sumie,
Jest niczem — —

MAJOR.

Nu ja znaju.

HRABINA.

Ach mój Boże!
Pan Major może myśli i rozumie — —

MAJOR.

Nu ja nie myślę nic...

HR. RESPEKT.

Bo nasze słowo
Ma pan Fantazy —

MAJOR.

Nu tak! pan Fantazy —
Ja przed nim pójdę moją siwą głową
W proch...

FANTAZY.

Stój na Boga! — W proch?.. Twoje rozkazy
Są jak aniołów. (do Dyany). Ręka ta szlachetna
Nie była jeszcze moją — dotąd wolna!
Oczarowałaś mię, jak gwiazda świetna.
Sądzę, że Pani będziesz sercem zdolna
Ocenić powód, dla którego muszę
Tę rękę z mych rąk wypuścić na zawsze! —

(do Idalii).

Brat twój, Hrabino — dziś do Rzymu ruszę
I sądzę, że twe serce, najłaskawsze
Z serc, po królewsku obejdzie się ze mną,
Mniej biorąc, niż dać mogę.

IDALIA.

Chcę szacunku.

FANTAZY.

Pani! przez tę śmierć, tak krwawą i ciemną,
Jestem człowiekiem ochrzcon!.. Pocałunku
W serce ten człowiek wart... Żegnaj Majorze!
Przyślę doktora mego... miej nadzieję!

MAJOR.

Nu tak już teraz Pan Hrabia nie może
Odmówić córki. Krew ze mnie się leje —
Ot, z boku mego krew strumieniem leci
I prosi — prosi łaski, zmiłowania!

HR. RESPEKT.

Majorze! — no to weź sobie te dzieci...

MAJOR.

Ha! ot i z Janem moim moja Dania
Na wieki! — Więcej nie mogę!.. W pigułce
Tej pistoletnej sto ognistych mieczy...
Dania — Jan — Dania — poszukaj w szatułce...
Mnie się do niebios już...

(umiera).

HORSZTYŃSKI.

DRAMAT

W PIĘCIU AKTACH

(ZDEFEKTOWANY).

OSOBY:

HORSZTYŃSKI, dawny konfederat.
SALOMEA, jego żona.
ŚWIĘTOSZ, sługa domu Horsztyńskich.
OJCIEC PROKOP, kapucyn.
HETMAN LITEWSKI.
SZCZĘSNY } synowie Hetmana.
MICHAŚ }
AMELIA, jego córka.
KSIŃSKI, szlachcic }
KARZEŁ, błazen }
SFORKA, stary sługa } dworzanie Hetmana.
MAŁGORZATA, żona Sforki }
SŁUGA }
HAJDUK }
MARYNA, dziewczyna wiejska.
NIEZNAJOMY.
WYRWIK.
SKOWICZ.
GARNOSZ, trombonista.

Rzecz dzieje się na Litwie w roku 1794.

AKT PIERWSZY.

SCENA I.

(W pałacu Hetmana, na wsi).

(SZCZĘSNY — AMELIA).

Szczęsny. Piosenki świata zaczynają się od fałszywych akordów — a kończą się gwałtownem zerwaniem strun — stłuczeniem harfy...

Amelia. Smutny jesteś... zdziwaczałeś...

Szczęsny. Nudzę się.

Amelia. Szukaj zabaw.

Szczęsny. O!.. nie potrzeba daleko szukać... Ojciec mój sprowadził mi dziesięciu arlekinów rewolucyjnych — otoczył mię płatnymi trefnisiami... i prawdziwie że nieraz dziecinniejąc śmieję się do rozpuku, powiązawszy te wszystkie karciane figury jedną nitką, która pociągniona nadaje skoczne ruchy i zwroty całej psiarni darmojadów...

Amelia. Ojciec nasz nie może pojąć nagłej zmiany twojego charakteru i dlatego używa wszelkich sposobów, aby ciebie z nieczynnego życia obudzić, wyrwać i między ludźmi postawić na wysokim szczebłu...

Szczęsny. Ojciec ma dla mnie wysoki ojcowski szacunek...

Amelia. Jak to?..

Szczęsny. Szacuje mnie, jak Holender rzadkiego tulipana... szanuje mnie jako rzadką osobę, której nie płaci — a która go kochać musi.

Amelia. To więc ja powinnabym droższą jeszcze być dla ojca osobą, bo mnie nie kocha, a ja mu płacę

miłością. Zdaje się, że wszelkie uczucia moje zamykają się w miłości dla ojca... Nie prawdaż, Szczęsny, że on dobry i wielki człowiek...

Szczęsny. Tak... hetman!.. wielki, jak hetman...

Amelia. Pomyśl, bracie mój, że on podpiera spróchniały tron Stanisława Augusta...

Szczęsny. Tak, on podpiera tron Stanisława...

Amelia. Jakie ty dziwne echo masz w ustach...

Szczęsny. Trzy razy tylko powtarza twoje pochwały, a uwielbienie obcych ludzi ani razu.

Amelia. Dlaczego?

Szczęsny. Śmiesznie jest, kiedy syn ojca chwali... A potém, raz pochwaliłem ojca przy ludziach, to mi zaraz zapłacił... tureckim koniem...

Amelia. Cóż powiedziałeś ludziom o naszym ojcu?

Szczęsny. Co?.. Oto mówiłem, że lepszy od brata swego, a nam stryja, Biskupa... bo nie włożył fioletowéj sukni —

Amelia. Stój! stój!.. gorzki jesteś — i obrażasz dziewiczą i czystą wiarę siostry twojéj... Także nieszczęśliwy jest biedny starzec, że w sercu syna nie ma dla niego poważnego uczucia, miłości, sprawiedliwego sądu?.. Patrz na te siwe głowy starców, które się przed nim schylają — patrz na oznaki zasług błyszczące na jego piersiach... a potém rzuć okiem na twoję samotność — na nieczynność życia...

Szczęsny. Jestem niczém...

Amelia. Dlaczego nie starasz się zostać użytecznym?..

Szczęsny. Nie mogę — nie mogę... nie chcę...

Amelia. Ty masz jakąś tajemnicę... może miłość...

Szczęsny. Może miłość.

Amelia. Wyznaj mi wszystko, bracie miły... Ach! jak musi być szczęśliwa ta dziewica, którą ty kochasz... Ty nie odpowiesz jéj nigdy z gorzką ironią... ty musisz być przy niéj wzniosły i piękny. Ja znam duszę twoję, znam ją aż do najgłębszych uczuć i tajemnic... Gdybym

nie była twoją siostrą, to musiałabym zostać twoją narzeczoną... albo... mniszką.

Szczęsny. Co ty mówisz?.. Jestem taki roztargniony, że nie słyszałem ani słowa... Już późno... powoje błękitne w twoim wieńcu otwierają się na księżyc... Idź siostro i czytaj biblię, moja świętoszko...

Amelia. Dobréj nocy!... zawołaj maleńkiego Michasia braciszka, muszę go rozebrać — i zmówić z nim pacierz. Czy ty mnie nie pocałujesz za to, że twojego braciszka uczę modlić się za ciebie?...

Szczęsny. Dobrze robisz, że przez usta dziecka posyłasz modlitwy do nieba. Błogosławieni maluczcy...

Amelia. Czy mnie nie pocałujesz, bracie?..

Szczęsny. Nie.

Amelia. Dobréj nocy! (odchodzi smutna).

Szczęsny. Jak oświecone prawe skrzydło pałacu! Ojciec ucztuje w gronie pochlebników — i płaci za śmiech i żarty, bo żarty i śmiech stały się prawdziwie rzadkim towarem w Polsce... O smutek! smutek! Czasem jakaś błyskawica myśli pokazuje mi nicość wszystkiego, a nawet nicość saméj myśli, marzącéj o nicości... Czasem zdaje mi się, że świat wart małpiarskich przymileń się twarzy...

Michaś (wpada). Cha! cha! cha! braciszku!...

Szczęsny. Z czego się śmiejesz, chłopcze?..

Michaś. Przez dziurkę od klucza patrzałem do jadalnéj sali... Tata nasz z piórem brylantowém, piękny jak w książce obrazek Pana Boga...

Szczęsny. Gdzie twoja piastunka?

Michaś. W kuchni; a ja wolny jak ptaszek.

Szczęsny. Amelka czeka na ciebie — idź, zmów pacierz.

Michaś. Ale posłuchaj no braciszku, co ja widziałem. Papa nasz nalał wielką dudkę szklaną — i zawołał: zdrowie naszéj Kasi!... Otóż kiedy zawołał: zdrowie naszéj Kasi, wszyscy wstali, jak świeczki — a jeden staruszek, biały jak gołąb, siedział na końcu stoła i nie wstał. Nasz Tata zamalował go w papę... paf!... i

staruszek wywrócił się, jak moja drewniana lalka...

Szczęsny. Okropność! okropność!... (chce wybiec z sali). Michasiu! gdyby twoja Mama żyła, płakałaby nad tobą!

Michaś. Za co?

Szczęsny. Idź mi zaraz chłopcze do siostry! To, co widziałeś przez dziurkę od klucza, był to obrazek taki, jak ten...

Michaś. A dlaczego ludzie się ruszali?

Szczęsny. Ja ci powiadam, że Tata śpi — a to był obrazek... Idź i nie mów nic Amelce, bo się będzie śmiać z ciebie, że ty się śmiejesz z obrazka. Pocałuj Amelkę w czoło... (wtrąca go do pokoju Amelii). Ach! te ściany — to prawdziwa Sodoma! Starca, że nie pił zdrowia północnej nierządnicy, uderzyć w policzek? A gdybym ja ojca napiętnował znakiem?.. Cicho!.. Trzeba jednak tego starca ratować...

Ksiński (przychodzi). Ojciec twój każe, abyś przyszedł na ucztę...

Szczęsny. A ten starzec? co się stało ze starcem?! Ksiński, idź powiedz zhańbionemu, niech tu przyjdzie — ja mu dam karabelę... i zemstę!

Ksiński. Nad ojcem?

Szczęsny. Syn za ojca stanie. Powiedz mu: że zrobię się starym, jak on — że będę miał drżącą rękę jak starzec... że..: idź, powiedz mu, jeżeli ma dzieci, niech się o dzieci nie lęka...

Ksiński. Daj mi rękę...

Szczęsny. Czy ty myślisz, że gram komedyą?

Ksiński. Nie! bądź spokojnym o tego starca. Skoro twój ojciec uderzył go w policzek, zwalił się pod stół— a potem nagle skoczył na nogi i zaczerwieniony — —

Szczęsny. Co?... zarąbał... mego...

Ksiński. Nie! nie!.. ukłonił się nisko — i rzekł: Dziękuję Jaśnie Oświeconemu Panu memu Hetmanowi, że mnie przebudził, bom był zasnął...

Szczęsny. Ha!.. tak powiedział?!. czy śmiali się?..

Ksiński. Śmiali się, jak waryaty...

Szczęsny. A ty?

Ksiński. Pomyślałem sobie, że czytał ewangelią... i śpiącemu śniło się, że był świętym Piotrem...

Szczęsny. Wróć na ucztę... i pij za mnie i za siebie...

. . . .

(Tu braknie w rękopiśmie karty).

. . . .

Karzeł. ...wyskoczy ci na połach munduru Adama krzyż albo klucz szambelański. Ręczam, że zezwoliłbyś na zieloną kuracyą...

Ksiński. Błaźnie, obiję!

Karzeł. Bij — ale słuchaj! Będziesz, panie Ksiński, posłem z Medyolanu...?

Ksiński. Ale mię Sforka pozna...

Karzeł. Ugalonujemy ciebie, jak zebrę, Panie Ksiński. Zje dyabła, nim odkryje, że zebra jest Ksiński... On ciebie zawsze widział bez galonów i brał za Chrystusowego konia...

Ksiński. Wysmagam, psie!..

Karzeł. Będę wysmugłym... a ty, Panie Ksiński, będziesz posłem z Medyolanu. Tylko jeżeli ciebie zaprosi pan Sforka na obiad, to nie jedz nic prócz sałaty — bo pan Sforka przekonany, że Włochy żyją liściami...

Ksiński. Powiedz mi karle, coś odkrył w postępowaniu pana Szczęsnego; a może pohandlujemy z tobą słowem d o b r z e...

Karzeł. Odkryłem, że pan Szczęsny kocha się.

Ksinski. W kim?

Karzeł. Wróciwszy tu z Warszawy, pan Szczęsny przepędzał dnie całe w łódce na stawie, wywrócony twarzą do nieba. Otóż razu jednego na staw nasz przyleciało parę białych łabędzi. Pan Sforka zagrabił je, jako należące do pana Horsztyńskiego z pobliskiej wioski, z któ-

rym Pan Hetman ma jakieś zatargi. Pani Horsztyńska przyjechała sama nad staw nasz kolaską — i pan Szczęsny oddał na prośbę jéj białe ptaszki. Ale tak długo rozmawiali o łabędziach, że... etc. etc...

Ksiński. Któż jest ten pan Horsztyński?

Karzeł. Stary konfederat barski. Wpadł niegdyś w ręce Drewicza, i Moskale zaprowadzili go do kościoła— położyli krzyżem na wznak i gromnicami zapalonemi kapali na oczy. Dziś nie potrzebuje okularów.

Ksiński. I pan Szczęsny przyprawił mu to, czego w zwierciedle mężom nawet nie ślepym widzieć nie można... Jakże? ten stary ma młodą żonę? bo młoda być musi...

Karzeł. Była to biedna dziewczyna, wychowana w klasztorze. Matka jéj zwaryowała i znaleziono ją utopioną w rowie błotnistym. Doktor przepowiedział, że młoda panna Salomea wzięła dziedziczne usposobienie do melancholii, i dla tego panienka, mająca za posag expektatywę waryacyi, nie mogła się spodziewać męża młodego — ani bogatego. Pan Horsztyński, ani młody ani bogaty, ofiarował jéj swoję rękę... i dziś... żałuje może dawno pierścionka więcéj, niż wykapanych gromnicami oczu. Ale sądzę, że starzec nie wie o niczém, bo pan Szczęsny zgrabny chłopak w takich rzeczach.

Ksiński. Powiedzże mi, moja beczułko śledzi holenderskich, co to ma obchodzić pana Hetmana, że pan Hetmanowicz zbałamucił żonę ślepego człowieka?..

Karzeł. Panie Ksiński, zgódź się naprzód na to, że ja mam więcéj rozumu od ciebie.

Ksiński. Rzecz nie dowiedziona!

Karzeł. Wszakże nie jesteś zupełnie, Panie Ksiński, pozbawiony zdrowego rozsądku. Mów zatém, że szukasz rozumu, gdziekolwiek bądź sądzisz, że się znajduje.

Ksiński. Z czego to wnosisz?

Karzeł. Kiedy wczoraj dano kurczęta, uważałem, że z wielką rozwagą wyjadałeś móżdżki w głowach kurczęcych...

Ksiński. Dalibóg, że ten błazen kpi ze mnie...

Karzeł. Panie Ksinski, jakże można tak posądzać? a, wstydź się!

Ksiński. Pamiętaj, że ze mną niebezpiecznie...

Karzeł. Boję się ciebie, bo jak się wyciągniesz, to podobny jesteś do pamfila.

Ksiński. A ty krótki! ty niżniku — ty kulko!.. (wybiega za uciekającym karłem).

SCENA II.

(Skromny pokój szlachecki w domu Horsztyńskiego).

(KSIĄDZ KAPUCYN i HORSZTYŃSKI).

Horsztyński. To powiadasz, że moja szkółka owocowa dobrze podrosła?

Ksiądz. Renety i bery szare już kwitną.

Horsztyński. Jesienią, mości księże, będziemy z sobą dzielić czerwone jabłuszka.

Ksiądz. Jeśli Bóg da doczekać.

Horsztyński. Tak, jeśli Bóg da doczekać! Czy nie widziałeś gdzie Salusi?

Ksiądz. Żona twoja chodzi sama jedna po lipowej alei.

Horsztyński. Księże, straciłem oczy i widzieć nie mogę jej anielskiej twarzy. Czy ona zawsze tak piękna, jak była?

Ksiądz. Zdaje mi się, że zawsze piękna.

Horsztyński. Ale nie tak wesoła, jak niegdyś...

Ksiądz. Dosyć zawsze wesoła. — Czy chcesz, Panie Horsztyński, to ci przeczytam jaki rozdział z pamiętników Janczara.

Horsztyński. Dziękuję, księże... już późno. Słuchaj, zdaje mi się, że żona moja nie tak wesoła, jak dawniej... (chwila długa milczenia).

Ksiądz. Mówią, że wielka jest niespokojność między wileńskim ludem. Coś nowego gotuje się w garnku.

Horsztyński. Nie mów mi o tem, księże —

Ksiądz. A gdyby też Wilno powstało...

Horsztyński. To mu gromnicami wykapią oczy.

Ksiądz. Może się uda...

Horsztyński. Księże, nie masz nadziei, że będziemy jedli czerwone renety z mojej szkółki — a spodziewasz się owoców na spróchniałem drzewie!.. Słyszysz, ktoś nadjeżdża konno...

Ksiądz. Młody hrabia.

Horsztyński. Dobrze, pogawędzimy sobie.

Ksiądz. Lubisz tego młodzieńca?

Horsztyński. Głos jego przypomina mi... Potem ci powiem, księże, dla czego lubię dźwięk głosu Szczęsnego... Jutro będę się komunikował.

Ksiądz. Ten młodzieniec jest wielkim, ale niedokończonym, tworem Opatrzności...

Szczęsny. (wchodząc) Witam cię, Panie Horsztyński! Jak się miewasz, ojcze Prokopie?

Horsztyński. Siadaj, mój sowizdrzale! Cóż? nic nie przynosisz nowego?

Szczęsny. Nic.

Horsztyński. Powiedz mi, jakże tak żyć na świecie, nie wiedząc o niczem?

Szczęsny. Tak, jak gdybym spytał ciebie, Panie Horsztyński, jak ty żyjesz. nie patrząc na nic?

Ksiądz. Młodzieńcze! źle, że przypominasz kalectwo...

Szczęsny. Przez zazdrość — przez zazdrość...

Horsztyński. Widzisz, księże, że mi ktoś jeszcze na świecie zazdrości.

Szczęsny. Ten, komu wypalono gromnicami wielkości oczy rozumu — oczy nadziei... który w krainie myśli błądzi jak ślepy... Ty musisz mieć piękne, słońcem oświecone wspomnienia, Panie Horsztyński...

Horsztyński. Tak, mam miłe wspomnienie... Raz koło Baru, na wielkiem polu, przychodziło do walki z Drewiczem. Piękny był ranek — tak cicho. Skowronki tylko śpiewały — na prawo był lasek brzozowy — za nami

(Wchodzi SALOMEA i staje cicho — SZCZĘSNY słucha starca i oczy ma zakryte dłonią).

Horsztyński (mówi dalej). Mości panie, było miasteczko z blaszanemi wieżami. Dowodziłem całą jazdą... Marsz, marsz!.. Pomyślałem sobie, co teraz robi moja

żona?.. Spojrzałem na zegarek, bo jeszcze miałem oczy, na zegarku była piąta godzina... Ha! żona moja śpi, spokojna jak dziecko, ani wie, że tu jej stary mąż, jak młody chłopiec, z rozwianymi włosami, z dobytym pałaszem krzyczy: marsz! marsz!.. Myślałem, że zginę, a żona moja będzie spała spokojnie w godzinę śmierci mojej... Było mi smutnie i miło... Ha! jeszcze mi wtenczas przyszło do głowy jakieś dziwne zachcenie; chciałem był mieć przy sobie białego gołębia z mojej wioski. Nie, nie! to po wygranej bójce, kiedy odpoczywałem w lasku brzozowym, przyszło mi takie zachcenie, żeby to wysłać gołąbka z listkiem, ołówkiem napisać — buzi, moja Sally!.. Mości panie, zbiliśmy wtenczas dwa kara bataliony na miazgę...

Szczęsny. Muszę ciebie pożegnać, Panie Horsztyński. Przypomniałem sobie, że mnie w domu czekają dwa karabataliony przyjaciół z szampanem. (Wstaje i spotyka się z Salomeą). Ha! Pani...

Horsztyński. Co? żona moja słyszała?.. Jak ty cicho weszłaś, moja Salusiu... będziesz się śmiała z męża gaduły, co chciał wysłać gołąbka...

Ksiądz. Jak ona zbladła.

Salomea. Nigdy mi o tém nie opowiadałeś, mój mężu.

Horsztyński. A kiedy, a kiedy... Słuchajcie mnie, bo i to wspomnienie nie może zawsze leżeć w sercu mojem... Kiedy mię wzięto w niewolę... wieczorem, wieczorem to było... dwóch Moskalów prowadziło mię do kaplicy — pamiętam... cmentarz cały ocieniony lipami... na cmentarzu — okropnie!.. dwudziestu moich żołnierzy zakopanych w mogiłach po szyję. Moskale kosili głowy... skoszone głowy toczyły się czasem pod moje nogi... Jedna spojrzała na mnie, przysięgam wam, że spojrzała na mnie!.. A pod wielką lipą ujrzałem jakiegoś białego człowieka... nagi — stary. — Na piersiach miał wycięte mieczem wyłogi — w ciele wycięte wyłogi ułańskiego munduru. Spojrzał na mnie i rzekł: — Żegnaj mi, Panie Horsztyński. Nic mu nie odpowiedziałem. Bóg mię skarze

w godzinę śmierci mojej za to, że nic nie odpowiedziałem temu człowiekowi w godzinę męki... Ale bo też ja nie mogłem rozpłakać się jak dziecko. Był to Grzegorz, stary rybak z pobliskiej wioski. Musiałeś go znać, Panie Szczęsny? to twój chłop...

Szczęsny. Rybak... Grzegorz...

Ksiądz. Co tobie młodzieńcze?..

Horsztyński. Bądź tam dobry dla jego dzieci!.. jeżeli ma dzieci.

Szczęsny. Rybak... Grzegorz...

Horsztyński. Wszak musisz wiedzieć, jego chata naprzeciw pałacu, na drugim brzegu Wilii; musisz wiedzieć... czy on ma dzieci?..

Szczęsny. Ma... córkę.

Horsztyński. Czy hoża dziewczyna?.. wydaj ją za mąż, dam ze sto złotych na krówkę.

Szczęsny. Powiedz mi, Panie Horsztyński — jakiego uczucia doznawałeś, kiedy ci gromnicami oczy wysmalano?

Horsztyński. Z razu ból wielki — potém niby kłucie szpilek. A kiedy zdzierano z rzęsami skorupę zastygłego wosku, aby... Czy żona moja jest w pokoju?..

Ksiądz. Niech kobieta wycierpi słuchem, co inni wycierpieli ciałem! Mów, Panie Horsztyński...

Horsztyński. Wy, księża, zawsze chcecie, aby ludzie cierpieli dla niczego; dosyć, niech umieją cierpieć, kiedy potrzeba... Sally!.. dalibóg myślałem wtenczas o tobie... myślałem, że już nigdy nie zobaczę ciebie oczyma — że głosek twój będzie jak śpiew niedojrzanego w niebie skowronka...

Salomea. O anieli niebiescy! czemużeście wy nie bronili?..

Horsztyński. Czy ty myślisz Salusiu, że ten świat podobny do moskiewskiego obrazu w cerkwi, gdzie Abraham ze strzelby mierzy do syna Izaaka, a zaś anioł z nieba łeje dzbankiem wody na panewkę, aby nie spaliło...?

Szczęsny. Bóg się nie mięsza do wypadków światowych.— Słuchajcie, kiedy byłem paziem króla Stanisława, raz zrobiłem okropny występek... Oto na Bielanach w pta-

szkarni księżny Sapieżyny zacząłem rąbać pawie i papugi — podchmieliłem był sobie solennie!.. Dalibóg, żaden anioł z palmą nie stanął w obronie biednych ptaszków! Okropna była rzeź. — Nazajutrz sławny byłem w Warszawie, jak książę Józef... Cha! cha! cha! nie śmiejcie się Państwo... Chciałem wam pokazać, żem wielki człowiek... Wszak księże, miałeś o mnie wielkie i zarozumiałe wyobrażenie... Chciałem, żebyś dziś uwierzył, że ja jestem, czém jestem... Jakiś Francuz w napisanéj podróży o Polsce czyn mój umieścił... będę żyć na wieki wieków... cha! cha! nie prawdaż?.. Dodajcie jeszcze, że miałem taki faeton jak książę Józef Poniatowski, i Francuz umieścił opis faetonu w swojéj podróży...

Salomea. Pan żartuje z nas smutnie...

Szczęsny. Na Boga! to wszystko prawda!.. Przyniosę Pani książkę, będziesz łaskawa przeczytać mężowi kart kilka o moich dziełach.

Salomea. Pan Hrabia był dzieckiem.

Szczęsny. Byłem rozumniejszy od wielu starych. Sława to piękna rzecz; warto na nią pracować... Czyny ludzi dają blask krajowi.

Horsztyński. Młodzieńcze, rozumiem ciebie... Dajesz mi wieniec laurowy na moje siwe włosy.

Szczęsny. Ja? ja? ja?.. Powiem ci szczerze, że gdybym nie był mną, chciałbym być tobą, Panie Horsztyński. Ludzie tak dziwnie stworzeni są od Boga, że zawsze przywięzują się do tego słowa ja... oprócz kobiet, które przywięzują się czasem do słowa mój... Ale źle robią — źle robią...

Ksiądz. Salomeo! idź przygotuj dla męża szarą polewkę.

Salomea. Zaraz... O! nie teraz...

Szczęsny. Kobiety biorą nas za aniołów, a potém musimy z największém wysileniem grać komedyą, aby się utrzymać na jednéj nodze na wysokiéj kolumnie, na któréj nas postawiły. Każde słowo rzucamy z bojaźnią, aż nareszcie znudzeni rzucamy się z kolumny w błoto... Od

razu trzeba zakończyć z miłością własną... i być sobą... niczem...

Horsztyński. Do czego zmierzasz ironią taką?..

Szczęsny. Nie! zamiast kobiety, położę słowo księdza. Mości Prokopie, wiele nocy nie spałem myśląc o tem, coś mi powiedział; a powiedziałeś: widzę w tobie wielkiego człowieka. Z razu postanowiłem dążyć ciągle do tej wielkości, nareszcie znudziło mnie napięcie niezgrabne przyrodzonych władz — przerabianie ciągłe nicości na wielkość olbrzyma. Na Boga, powiedz mi, że zmieniłeś swoje zdanie, bo chcę spać spokojnie... Znudzony jestem, starając się myśleć tak, jak ludzie sądzą, że ja myślę... Dusi mię maska, którą mi na twarz włożono... Ludzie krępują nas nitkami pochwał, i człowiek mija się z drogą swego przeznaczenia, nie śmiejąc rozerwać słabych węzłów. Pan Horsztyński opowiadał o wielkich cierpieniach; słuchałem wtenczas uderzeń mego serca... i na Boga! — co uczułem w sercu, powiedzieć nie mogę... Coś okropnego urodziło się we wnętrznościach mojej myśli... jakaś szalona duma...

Horsztyński. Obróć ją ku dobremu celowi!

Szczęsny. Trzeba mieć charakter, Panie Horsztyński... Trzeba się naprzód nauczyć ludziom nie zazdrościć, a ja czasem zazdroszczę pastuchowi, co grzeje swoje ręce przy ognisku rozpalonem w głębi lasu. A czasem zazdroszczę królowi Stanisławowi, że w teatralnym ubiorze siedzi na tronie izby poselskiej. Pokażcie mi jaki cel, coby zaspokoił te dwie dziwne zazdrości!.. Trzeba być aktorem krotochwili i tragedyi.

Salomea. Pan dziś jesteś, jak moja biedna harfa. Muzyk z Wilna nie przyjechał i nie naciągnął strun... Chciałam grać wesołą piosenkę mężowi, a z rozstrojonej harfy wychodziły tak dzikie tony, że nie mogłam dokończyć.

Szczęsny. I rozpłakałaś się może Pani, że harfa tak dziko grała...

Horsztyński. Widzisz, jak pan Szczęsny zna ciebie, Sally...

Szczęsny. Biada kobietom, które słuchają nadto dłu-

go szumu płaczącej brzozy, albo śpiewu słowika!.. Czasy nasze mają dziwne lekarstwo na chorobę smutku, poezyą.

Salomea. Chciałabym znać naszych słowików...

Szczęsny. Zimna woda — letnia woda... rymowana!.. Przyniosę Pani bajki Krasickiego i strofę:

„Święta miłości kochanej ojczyzny,
Czują cię tylko...“

Panie Horsztyński, zapomniałem, że ty nie umiesz smakować w poezyi, nie umiesz czuć wdzięku...

Horsztyński. Lubię hymn: Święty Boże — Święty mocny!..

Szczęsny. Nie ma rymów, nie ma rymów! — Ja wolę słuchać rymowanego galopu mego konia, niż poezyi bez rymów!.. Żegnaj mi sąsiedzie!

Salomea. Pan siostrze zawiezie bukiet naszych kwiatów.

Szczęsny. Moja siostra lubi tylko belle-de-miche, dla tego że się po francusku nazywają.

Salomea (zdejmuje z warkocza jednę). Więc niech jéj Pan ten kwiatek zawiezie — chciałabym kiedy widzieć moję klasztorną przyjaciółkę...

Szczęsny. Bardzo zatrudniona!.. wyszywa na kanwie historyą mego ojca czerwonym jedwabiem, i uczy pacierza mojego maleńkiego braciszka... Dobréj nocy!

(odchodzi).

Horsztyński. Księże, co mówisz o tym młodzieńcu?

Ksiądz. Widzę, że w jego sercu jest jakaś okropna walka.

Horsztyński. Sądzisz, że ojciec nakłania go do jakiego przestępku przeciw sumienia i dobréj sławy?

Ksiądz. Słyszałem, że Hetman zbiera silną partyą; dom jego pełny płatnéj namówionéj zgrai...

Horsztyński. Czas, księże, użyć tych papierów.

Ksiądz. Jutro... Sam pojadę do Wilna...

Horsztyński. Salomeo, odprowadź mnie do mego pokoju.

Salomea. Księże, oto jest twoja latarnia, zapalona... Chodź mężu! — Dobrej nocy, ojcze!

(odchodzi z Horsztyńskim).

Ksiądz. Ta kobieta zgubiona... (wychodzi).

SCENA III.

(Sala w domu Hetmana).

(Wchodzi HETMAN i KSIŃSKI).

Hetman. Więc to pewnem jest, co mi Acan powiadasz o moim synie?

Ksiński. Niestety...

Hetman. Czy przypadkiem Waszmość nie jesteś żonaty?

Ksiński. Nie, jaśnie wielmożny Panie.

Hetman. Ha! bo widzi mi się, że bardzo ubolewasz nad losem małżonka. Nie zapomnę o tobie, Mości Ksiński. — Zawołaj mi mego karła albo Sforkę. Muszę niektóre z nimi załatwić interesa...

Ksiński. Nie mogęż ja usłużyć Hrabiemu?

Hetman. A to właśnie każę Acanu zawołać moich ludzi.

(Ksiński wychodzi).

Hetman (sam). Ha, Panie Horsztyński! jeszcze jedna broń przeciwko tobie! Gdzie twoje stare serce, Panie Horsztyński? nauczę ciebie cierpieć — (Wchodzi SFORKA). Pójdź tu, Sforka... Posłałeś ludzi do miasta?

Sforka. Szpieguję, jaśnie wielmożny Panie.

Hetman. Trzeba zająć szewców i krawców wileńskich. Sprowadź tu ze dwieście tych pijaków i każ im szyć w zamku liberyą nową dla ludzi.

Sforka. Jutro poślę pięć ławek zaprzężonych po tę hołotę.

Hetman. Wybierać najśmielszych — i najburzliwszych!

Sforka. Prochy sprowadzone.

Hetman. Wiele?

Sforka. Dziesięć beczek i dwa jaszczyki ruskie.

Hetman. Gdzie je złożono?

Sforka. Na tej wieży.

Hetman. Kto mustruje moję legią?

Sforka. Pan Horda.

Hetman. Nakaż mu, niech zawsze zamyka bramy w tylnym dziedzińcu, gdzie się odbywa mustra. Nikt teraz nie zaziera do tego dziedzińca? — czy dobrze pilnujesz Acan?

Sforka. Od czasu, jak jaśnie wielmożny Hetman zastrzelił tego kuchtę, co przez ciekawość wysunął głowę z bocznéj strzelnicy...

Hetman. Myślałem, że to był kot.

Sforka. Prawda, jaśnie wielmożny Panie! w kociéj chodził czapce nieboszczyk kuchta... Otóż ja znów wrócę do dawnéj piosenki: życzyłbym Panu Hrabiemu wykarczować las koniecznie... i zbudować osadę braci morawskich — poczciwi ludzie!.. sto chat przyniesie czynszu na rok dwadzieścia tysięcy złotych polskich... Drzewa handlowego...

Hetman. Potém, potém o tém!.. Czy nie widzisz, Panie Sforka, że ja coś mam ważniejszego w głowie?

Sforka. Polityka, jaśnie wielmożny Panie!... znam się i ja cokolwiek na polityźmie. Życzyłbym Panu Hrabiemu...

Hetman. Dobréj nocy... co?

Sforka. Nie! jest ważna rzecz w zamku, która może obrazić Najjaśniejszą panią Carową, jeżeli się dowie.

Hetman. Co takiego w zamku moim?

Sforka Oto jaśnie wielmożny Pan wie, że na téj wieży jest zégar tak mechanicznie ukształcony, że po uderzeniu godziny dwunastéj w południe lub w nocy wyskakuje Pogoń litewska i pałaszem rąbie orła rosyjskiego. To może właśnie obrazić Najjaśniejszą panią.

Hetman. Cha! cha! cha!.. stary polityku! — Dziękuję ci bardzo, że tak ułatwiasz mi drogę wielkości... Prawdziwie, że rozsądny jesteś i przezorny.

Sforka. To ja każę, najjaśniejszy Panie, zégar wygrzebać z muru.

Hetman. Ani się waż, głupcze! Ten zégar bawił mnie, kiedy byłem dzieckiem. Pilnuj kur, Mości Sforka. I ty, stary, bawiłeś mnie, kiedy byłem dzieckiem — dlatego siedzisz w murze pod zegarem.

Sforka. To już kiedy Pan Hetman łaskawie mię traktuje, muszę mu udzielić jednej wiadomości. Oto spada na mnie fortunka.

Hetman. Skąd... po jakim siwoszu?

Sforka. Jak z nieba.

Hetman. Winszuję... idź spać!

Sforka. Czy jaśnie wielmożny Pan zastanowił się kiedy nad mojem nazwiskiem, jak mówi jeden uczony mój przyjaciel — estymologicznie?..

Hetman. Estymuję...

Sforka. Jaśnie wielmożny Pan słucha tak łaskawie, że mi się usta zamknąć nie mogą... Oto nazwisko moje pochodzi...

Hetman. Od — od?..

Sforka. Od Sforcyi...

Hetman. Głupi siwoszu! Ojciec twój czy dziad był psiarzem w domu mojego ojca czy dziada, i psy wiązał na sfory, i od tego nazwano ciebie Sforką.—Idź, bo mię już nudzisz. Niech teraz karzeł przyjdzie do mego sypialnego pokoju odmówić ze mną litanią.

Sforka. Natychmiast, jaśnie wielmożny Panie!
(odchodzi).

Hetman. Za kilka dni wszystko się rozwiąże. Bogdaj tylko syn mój chciał stanąć na czele!.. Za kilka dni wszystko się rozwiąże... Dlaczego te psy tak wyją smutnie na moim dworcu?.. Te psy wypędzą mię do mojego pałacu w Wilnie... Czyny wielkie zawsze są ponure barwą i smutne nastręczają myśli... (KARZEŁ wchodzi). Chodź karle!..

Karzeł. Czy śmieszyć Pana, czy cicho siedzieć i w pięty skrobać?

Hetman. Chodź mówić litanią. (odchodzą).

SCENA IV.

(Noc. Ogród nad Wilią. Na górze widać biały wielki pałac, na drugiej stronie Wilii chatę rybacką).

Szczęsny (sam). Patrząc na te gwiazdy, dusza moja wyrywa się do nieba. Gdyby rozszerzenie i wzniosłość my-

śli, jaka przelatuje błyskawicami przez moję duszę, były naturalnym stanem człowieka i nie znikały ze słońcem: człowiek ten byłby wielkim bohaterem, a przynajmniej byłby szczęśliwy uczuciem wewnętrznem wielkości i dumy!..

Głos daleki. O! ho!..

Szczęsny (świszcze). To on... Nie spóźnił się o kwadrans!.. (Przypływa łódka — Nieznajomy człowiek w szerokim płaszczu wysiada na brzeg).

Nieznajomy. Czekałeś na mnie?

Szczęsny. Krótko.

Nieznajomy. Namyśliłeś się?

Szczęsny. Głęboko — i płasko...

Nieznajomy. Czy możemy liczyć na ciebie?

Szczęsny. Nie.

Nieznajomy. Ale ja ci zaręczam, że nasza sprawa pewna.

Szczęsny. Więc ja wam niepotrzebny.

Nieznajomy. Niepotrzebni są przeciwko nam!..

Szczęsny. Niepotrzebni jednak muszą żyć, bo nie wiedzą, jak być na świecie, a nie zajmować dwóch stóp ziemi. Człowiek, póki żyje, dwie tylko; jak umrze, sześć stóp potrzebuje miejsca... Pokaż mi jakie Eldorado dla niepotrzebnych ludzi, a będę ci bardzo wdzięczny. Wystaram się o obywatelstwo w kraju niepotrzebnych...

Nieznajomy. Nie wiem, co mam o tobie myśleć, Panie kolego.

Szczęsny. Myśl o mnie tak, jak ja o sobie myślę... Raz zdaje mi się, że jestem zanadto wielki, abym mógł skonać na bruku między bijącą się zgrają — i przeciąć niewiadomą śmiercią życie przeznaczone do wielkich czynów. Drugi raz zdaje mi się, że jestem tak mały — tak mały, że nie ma czem nabić harmaty...

Nieznajomy. Poświęć się wielkiej sprawie, a urośniesz z wypadkami...

Szczęsny. Otóż tu nieszczęście, że wypadki wydają mi się raz tak wielkie, że nie śmiem stanąć przy posągu olbrzyma, bojąc się, aby mnie ludzie nie wzięli za karła;

drugi raz wypadki wasze zdają mi się tak małe, że boję się rozgnieść ludzi, chodząc nieuważnie.

Nieznajomy. Bądź zdrów! — Szkoda mi ciebie.

Szczęsny. Gdybym co zaczął, skończyłbym... To bieda, że nic zacząć nie mogę. Gdybym był Rzymianinem, zacząłbym od okropnej rzeczy... Wczoraj śniło mi się o niej, a oczy miałem otwarte...

Nieznajomy. Masz teraz twarz zabójcy!

Szczęsny. Okropniejszą! Znów mi się śni... Bądź zdrów! bądź zdrów!.. Mam tutaj rendez-vous miłosne...

Nieznajomy. Żal mi ciebie, Szczęsny!

Szczęsny. Nie żałuj! nie żałuj! ja używam życia...

Nieznajomy. Więc nie chcesz być z nami?

Szczęsny. Nie chcę... nie mogę...

Nieznajomy. Koledzy moi osądzą ciebie tchórzem.

Szczęsny. Będzie to bardzo zasmucać mego ojca...

Nieznajomy. Sądzę, że jeszcze się zobaczymy razem... Masz czas do jutra... Bądź zdrów! (odchodzi).

Szczęsny. To jest przecie — to się nazwać może postanowieniem... Odrzucam dziś od siebie mary. — Ty, kwiatku błękitny, zwiędły we włosach Sally, rzucam ciebie także na fale — to się nazywa także postanowieniem. Jak się te rybki pluszczą wesoło na błękicie rzeki!... (Woła:) Maryno!

(Słychać głos).

Płynę.

Szczęsny. Jak Nereida.

AKT DRUGI.

SCENA I.

(Pokój w domu Horsztyńskiego).

(HORSZTYŃSKI i stary sługa ŚWIĘTOSZ).

Horsztyński. Gdzie moja żona?

Świętosz. Pani wyszła o wschodzie słońca do celi księdza Prokopa — zapewne komunikować się.

Horsztyński. Świętoszu, nabij moję dubeltówkę!..

Świętosz. Pan dawniej lubił z ptaszynki strzelać...

Horsztyński. Jakże ty chcesz, mój stary, żebym ja strzelał teraz ślepy? Dubeltówka nie na ptaszki!.. nabij ją kulami...

Świętosz. Cóż Pan zamyśla?

Horsztyński. Pan Hetman ma przyjechać do mnie w odwiedziny...

Świętosz. Co? Jaśnie wielmożny Hetman w naszym domu? A weżże Pan przecie pas złoty...

Horsztyński. Nie trzeba, nie trzeba... Słuchaj! nabijesz dubeltówkę i staniesz tam za ścianą w ciemnej alkowie. Jeśli zaświszczę barską piosenkę — pal!

Świętosz. Jezus! Marya! Józef!

Horsztyński. Pal mu w łeb z dwu rur!..

Świętosz. Jak Pan zaświszcze barską piosenkę?

Horsztyński. Tak.

Świętosz. A może Pan i chrześcijańską rzecz radzi!... Mówią ludzie, że ten złotowielmożny pan coś zwąchał się z Moskalami.

Horsztyński. Idź, idź! bo zdaje mi się, że słyszę turkot powozu... cicho!.. i nie pokazuj się!.. W imię Ojca i Syna i Ducha świętego!... Czyńmy, jak należy...

(Świętosz odchodzi).

Śmierć będzie między mną a twoją wściekłą ręką, Hetmanie! Nie przyszedłem jeszcze na to, aby mię hańbiono w moim własnym domu...

(HETMAN wchodzi bogato ubrany).

Hetman. Niech będzie Jezus Chrystus pochwalony!

Horsztyński. Na wieki wieków, amen.

Hetman. Sam jeden, jak tego wymagałeś po mnie, przyjeżdżam do ciebie, Mości Horsztyński, gotów ofiarować ci moję rękę.

Horsztyński. Ślepy jestem; nie wiem, czy mam moję dłoń na wschód, czy na północ wyciągać, aby się spotkała z twoją dłonią...

Hetman. Więc sądzisz, mój Horsztyniu, że ja zawsze trzymam z północą...

Horsztyński. Niech ciebie Bóg sądzi, panie Hetmanie.

Hetman. Horsztyński! wiem, że masz powierzchowne dowody...

Horsztyński. Na piśmie!...

Hetman. Tak! zabrawszy obóz Moskali, znalazłeś między gratami jakieś pismo, napisane może umyślnie na to, aby mnie oszkalować w oczach ziomków. Może umyślnie nawet dali sobie Moskale zabrać wojenne sprzęty, aby to pismo wpadło w ręce Polaków...

Horsztyński. Straciłem dwustu ludzi, mości Hetmanie, biorąc ten obóz umyślnie porzucony.

Hetman. Być może, być może!.. Ale ja ci przysięgam, Horsztyński, że nic nie wiedziałem o tym szelmowskim papierze... Chcieli mnie zgubić! — A ty pomyśl... Wiedząc, że pismo takie jest w rękach mojego wroga, muszę się rzucać w przepaść, bo najczystsze moje zamiary, najświętsze postępowanie może nie przydać się na nic, skoro siwy starzec, nie przy zdrowym rozumie, zechce zwalić mnie tą oszczerczą bronią...

Horsztyński. Łagodniej, Panie Hetmanie, z wrogiem twoim!.. wiesz, że nie jest przy zdrowym rozumie...

Hetman. Horsztyński! niech nasze dawne zatargi pójdą w zapomnienie! Wszak tyś mnie pierwszy obraził...

Horsztyński. Wydarłeś mi ją...

Hetman. Ty mi wydarłeś jej miłość! Słuchaj, hańba mojej małżonki żyje w moim domu i nazywa się moją córką...

Horsztyński. Hetmanie! gotów jestem na kolanach błagać ciebie, abyś nie rzucał przekleństw na jej mogiłę... Śmierć jej była okropna...

Hetman. Ha! okropna!... Widzisz, że nasze dwa serca połączone są okropną tajemnicą. Oddaj mi papiery! Daj! niech moje ręce mają co rwać i targać, bo kiedy patrzę na ciebie — —

Horsztyński. Ciszej — na Boga!

Hetman. Jutro nie przyjdę do ciebie, stary — po co dziś przychodzę...

Horsztyński. Choćbyś umarł, cień twój będzie klęczał na progu mojego domu co północy, błagając mnie o ten dowód okropnej — okropnéj zdrady.

Hetman. Tak myślisz?.. Są wysokie góry, na które człowiek może wejść i być niedosięgnionym przez pociski ludzkie...

Horsztyński. Tak myślisz, Panie Hetmanie?

Hetman. Panie Horsztyński, ostatni raz mówię do ciebie: oddaj mi papiery! Spalę je na twojém ognisku i będę żył spokojny w moim zamku.

Horsztyński. Ale ja nie będę żył spokojnie w mojéj chacie. Te papiery są oczyma, któremi patrzę na ciebie, Panie mój miłościwy — i spokojny jestem, bo zdaje mi się, że ciebie otrętwiłem, jak wąż, kiedy z biednéj ptaszyny oka nie zwraca.

Hetman. Podły szlachciuro!

Horsztyński. Co?.. jesteś w moim domu, miłościwy Panie!

Hetman. I syn mój bywa w domu twoim... dla czego?

Horsztyński. Bo... bo mi przypomina głos twojéj żony, miłościwy Panie!

Hetman (dobywając szabli). Ha!.. powtóre...

Horsztyński. Nie dobywaj szabli, Mości Hetmanie, bo ci ją wyświszczę z ręku!..

Hetman (tnie pałaszem w zwierciadło).

Horsztyński. Co to za brzęk?

Hetman. Zabiłem twego zdrajcę, Horsztyński... zwierciadło...

Horsztyński. Nie rozumiem —

Hetman. W tem zwierciedle stał człowiek z dubeltówką.

Horsztyński. O! mój Boże!

Hetman. Chodź tu... chodź! Stań za krzesłem twego pana — niech się nie boi!

(Świętosz wychodzi żołnierskim krokiem).

Ludzie, jak ja, wchodzą sami do jaskini zdrady i nie boją się. — O hańbo! Nie można ufać szlacheckiemu słowu. Nie chcę twoich papierów, Horsztyński, tyś je może sam sfałszował. Ludzie będą wiedzieli, co mają o tobie myśleć,

Panie Horsztyński. Jutro... zatraduję ci majątek, Panie Horsztyński; boś był winien żydom pięć tysięcy dukatów, a ja od żydów skupiłem wexle za połowę ceny, bo nikt nie wierzył twojemu obligowi, tylko na pół, Panie Horsztyński! a wyrok sądu ziemskiego gotowy leży u jurysty. A kiedy ci Hetman litewski zabierze majątek, to pójdziesz z żoną pod próg sali jakiéj konfederacyi i przedasz za kilka groszy papiery zdradzieckie i będzie to chléb ostatni kupiony — a nie wyżebrany, bo ty będziesz żebrakiem, Panie Horsztyński.

Horsztyński. I moja żona!...

Hetman. Żona twoja? Żonie twojéj mój syn da pieniędzy, Panie Horsztyński.

Horsztyński. Syn... dla czego twój syn?

Hetman. Głupi stary, jak bót!—każ strzelać za mną!

(Odchodzi).

Świętosz. Panie mój...

Horsztyński. Precz, precz!—czy on odszedł?

Świętosz. Odjechał.

Horsztyński. Idź Świętoszu, idź! Ja sam zostanę z hańbą. Co ten starzec mówił o mojéj żonie? Myślę, myślę głęboko i nie mogę nic rozwidnić w głowie. Ludzie wlepiając oczy w jedno miejsce, dopomagają głębokiéj pracy umysłu; moje oczy w ciemnościach utopione — a nie rozumiem! dalibóg, nie rozumiem.

(Po chwili gwałtownie).

Cudzołożnica!..

(Wstaje i pada na krzesło).

Ja zwaryuję!.. Dlaczego ja mu nie oddałem papierów? Nie wiedziałbym... Więc to jeszcze okropniej nie wiedzieć i całować ją w czoło. Brrr! O jak mi zimno! I ksiądz— i ksiądz — i ksiądz — wszak on ma oczy! gdyby co widział... stary przyjaciel! Ha! ja odzyskałem jakiś wzrok, sięgający w przeszłość — okropne widzę obrazy: oszukują starca i śmieją się i czekają śmierci starca. Nie, ja nie mogę spytać mojéj żony! czuję, że jakaś wstydliwość zamknie mi usta. A jeśli powie „nie“—nie będę wierzył... a ona nic innego odpowiedzieć nie może, tylko „nie!—nie!

ja niewinna!" a twarz jej, której ja widzieć nie będę, może się odwróci odemnie z wyrazem... O! Boże mój, Boże! niech się ziemia zapadnie podemną!

Sally! Sally! ty taka byłaś biedna i nieszczęśliwa, kiedym ciebie prowadził do ołtarza. Matka twoja obłąkana krzyczała mi nad uchem: kto weźmie moję Sally, weźmie waryatkę, bo Sally — to ja!.. I biedna dziewczyna płakała, a ja przysięgałem, że będę ją prowadził kwiecistą drogą życia — że będę jej ojcem. I... byłem jej ojcem.

Zastanów się starcze, co ty jej na ziemi zostawisz po sobie — zgryzotę i żebractwo!.. Biedna ona! biedna ona! Trzeba czynić, jak Jezus Chrystus nakazał. — Co mi po tym błahym świecie?! Zostawmy ludzi w pokoju, niech jęczą — śmieją się — szaleją — skaczą! niechaj szukają szczęścia w nieszczęściu drugich — ale niech nie przeklinają umarłych! Ja umarłem... Spokojność! spokojność! spokojność...

Mam jakąś dziwną wizyą przeznaczenia ludzkiego — spokojność.

(SALOMEA wchodzi w słomianym kapeluszu).

Salomea. Czy on śpi? Trzeba przejść cicho i zamknąć okienice — słońce pada na jego siwe włosy.

Horsztyński. Siwe włosy... ha...

Salomea. Myślałam, żeś usnął. Idę przygotować pod lipą ogrodową śniadanie, zbiorę tobie sama świeżą śmietankę, sama nazbierałam poziomek.

Horsztyński. Gdzieś była, Sally?

Salomea. U księdza Prokopa.

Horsztyński. Czy ty poziomki dla mnie zbierałaś na mogiłach cmentarza pod kościołkiem?

Salomea. Nie, mój Xawery, wracając zbierałam je po lesie.

Horsztyński. Spowiadałaś się dziś?

Salomea. Poszłam do celi z tą myślą, bo byłam smutna, i nie znalazłam księdza u siebie. Może był we wsi u starego Grzegorza; mówią, że ten starzec bardzo chory. Usiadłam w celi, czekając na księdza — i znudziłam się. Jak ta cela cicha, oświecona wschodzącem słońcem, pię-

kna i miła!—las sosnowy pod oknami kołysał się z szumem—wilgi smutno śpiewały. I zaczęłam dumać, potem chcąc się nieco rozerwać, zaczęłam przebierać książki na zapylonych policach szafy. Widać, że nasz księżulo nie często do szafy zaziera — a takie dziwne w tych książkach obrazki. Jakaś święta uderza białą lilią lwa po nosie, a w drugiéj książce znalazłam piekło — jeden czarny dyabeł pali czarną lulkę, a w lulce zamiast tytoniu palą i skwarzą i dymią biedne duszeczki.

Horsztyński. Ale czy się spowiadałaś?

Salomea. Nie spowiadałam się, bo te obrazki tak mnie dziecinnie rozweseliły.

Horsztyński. Nie spowiadałaś się? dlaczego?

Salomea. Mówiłam ci, mężu, że te obrazki... Jaki ty dziś roztargniony, mój Xawery. Czy tu był kto?

Horsztyński. Żono! powiedz mi...

Salomea. Co, mężu...

Horsztyński. Ale tak, bijąc się w piersi, powiedz mi...

Salomea. Bijąc się w piersi...

Horsztyński. Powiedz!... Prawdziwie zapomniałem, o czém cię chciałem pytać... jaki ja stary!

Salomea. Może ja tobie przypomnę, mężu!

Horsztyński. Nie — nie — nie!... ty nie możesz wiedzieć o tém, o czém ja myślę. Podaj mi papier i pióro, napiszesz odemnie list... kilka słów.

Salomea (siada do pisania). Dyktuj!..

Horsztyński. Wielmożny Mości Dobrodzieju —

Salomea (pisząc). Dobrodzieju...

Horsztyński. Prawdziwie, że to śmieszne słowo!..

Salomea, Cóż daléj?

Horsztyński. Poczekaj—pomyślę... Pisz: Jeżeli Acan jesteś honorowym człowiekiem, to czekam na ciebie dziś wieczór w moim domu.

Salomea. Do kogo ten list?

Horsztyński. Daj! podpiszę —

Salomea. Ale na miłość Boga, do kogo?

Horsztyński. Co mi Acani!

Salomea. O! to okropne słowo!

Horsztyński. Sally! bo ty mnie drażnisz, jak dziecko. Daj mi ten list — gdzie podpisać?

Salomea. Tu.

Horsztyński. Idź teraz, przygotuj mi śniadanie i zawołaj mi Swiętosza!

Salomea. Dobrze! ale pocałuj mnie w czoło i przeproś za to słowo „Acani!“

Horsztyński. Dobrze... pocałuję ciebie, jeżeli mi będą smakować twoje poziomki.

Salomea (bierze dzbanek i tłucze). Mężu, rozbiłam dzbanek.

Horsztyński. Umyślnie?

Salomea. Umyślnie, żebyś mnie pocałował w czoło nie za poziomki.

Horsztyński. Źle zrobiłaś, Sally... Swiętoszu!

(ŚWIĘTOSZ wbiega).

Świętosz. Słucham...

Horsztyński. Po śniadaniu odprowadzisz mnie do mojego pokoju. Mam ci coś ważnego zalecić. — Daj mi rękę żono! pójdziemy pod lipę.

(wychodzą).

SCENA II.

(Chata rybacka).

(SZCZĘSNY i MARYNA ubrana w długiéj przewiązanéj koszuli z szarawego płótna, z wiankiem bławatków na głowie).

Szczęsny. Gdzie ty chodziłaś, Maryno?

Maryna. Zbierałam w życie bławatki, żeby się paniczowi ustroić. Czy ja ładna?

Szczęsny. Tak sobie.

Maryna. Wczoraj panicz mówił, że ja ładna...

Szczęsny. Wczoraj, kiedyś wypłynęła z Wilii na brzeg ogrodowy — do jaśminowej altany — słowiki śpiewały, księżyc świecił — wczoraj byłaś ładna...

Maryna. A dziś?... To paniczowi nigdy wierzyć nie trzeba.

Szczęsny. Jak chcesz sobie.

Maryna. Panicz był kiedyś lepszy... przychodził do chaty, uczył mnie czytać, jak bakałarz — i śmiał się — i żartował...

Szczęsny. Cóż ty czytasz?

Maryna. Książkę, co panicz dał.

Szczęsny. Ojciec twój podobno umarł?

Maryna. Zabili Moskale.

Szczęsny. Modlisz ty się za niego?

Maryna. Jak pomyślę, to się modlę... jak nie pomyślę, to nie.

Szczęsny. Ojciec twój, gdyby żył, możeby się bardzo smucił z ciebie, Maryno.

Maryna. Dlaczego?

Szczęsny. Wszak ty wiesz, że ja się z tobą nie ożenię.

Maryna. Właśnie ja nie znajdę sobie chłopca?!

Szczęsny. To ty myślisz Maryno, pójść za mąż... za poczciwego człowieka?

Maryna. Za poczciwego i przystojnego jeszcze.

Szczęsny. Więc ty mnie nie kochasz?..

Maryna. Czegoż panicz chce odemnie więcéj?

Szczęsny. Prawda! ja szalony... ty dobra dziewczyna. — Co to za zgiełk?.. Zobacz, kto to nadchodzi — (Maryna wychodzi). O dziwne serce ludzkie!.. zmysły moje rozigrane do dziś nie spostrzegły, że to kamień... Zdawała mi się Nereidą Wilii — serca nasze biły razem — usta płonęły — cała altana wydawała mi się mitologicznym kościołem miłości. Słowiki, księżyc były częścią téj kobiety... Ja się muszę już starzeć...

Maryna (wbiegając). Paniczu! jacyś panowie tu biegną!

Szczęsny. Cóż to? na ciebie polują?

Maryna. Za co mnie panicz bierze?

(KSIŃSKI — WYRWIK — SKOWICZ wpadają).

Ksiński. Ha! dalibóg, Pan Szczęsny przy ładnéj dziewczynie...

Szczęsny. Podoba ci się, Mości Ksiński?

Ksiński. Na honor ładna!

Maryna. Niech Panicz mnie broni!.. ci panowie śmieją się ze mnie.

Wyrwik. A któżby zaś śmiał śmiać się? i śmiejąc się śmiał śmiać się?

Szczęsny. Czy ten Jegomość pijany?

Ksiński. Biedny Wyrwik, chce sobie wyłamać język, bo się jąkał. To Demostenes naszej partyi teraz.

Wyrwik. Pozwól zwolennico wdzięków — całopalenie całusem shołdować.

Skowicz. Stój! czy nie widzisz, że Pan Hrabia krzywo patrzy na ciebie?

Wyrwik. Krzywda krzywopatrzeniem nie konstytuuje obrazy.

Ksiński. Panie Szczęsny, czy doprawdy ta dziewoja trzyma w dłoni twoje serce?

Szczęsny. Abym dowiódł, że nie, daję tej dziewczynie tysiąc dukatów posagu; niech ją który z was weźmie za żonę.

Ksiński. Panie Skowiczu?

Skowicz. Chłopka!..

Szczęsny. Bywajcie zdrowi, republikanie! (odchodzi).

Ksiński. Czy pan Szczęsny kocha ciebie, dziewczyno?

Maryna. Co Panom do tego!

Ksiński. Wiecie Panowie, że ta dziewczyna posłuży nam w naszych widokach. Trzeba działać na imaginacyą pana Szczęsnego, aby go posadzić na koń, jak tego żąda pan Hetman. — Słuchaj, jak się nazywasz?

Maryna. Maryna.

Ksiński. Moja piękna Maryno, umiesz ty jeździć konno?

Maryna. Odwagi nie brakuje.

Ksiński. Słuchaj! dziś wieczorem ubierzemy ciebie w piękny ułański mundur — nauczymy, co masz mówić, i pójdziesz z nami do zamku.

Maryna. Ja się lękam pana Hetmana... taki straszny — czerwony! on strzela w ludzi!

Ksiński. Nie bój się! Pan Hetman da ci owszem piękny posag, jeżeli zrobisz to, czego żądamy.

Maryna. A czy panicz się nie będzie gniewał?

Ksiński. I owszem, i owszem! — Panicz ciebie bardzo pokocha w twoim ładnym mundurze.

Maryna. Namyślę się...

Ksiński. Mości Panowie, otóż to głowa Ksińskiego! Stworzył Jeanne d'Arc... targowiczańskiej partyi! Do tego szampan — wymowa twoja, Panie Demostenesie Wyrwiku...

Wszyscy. Brawo! brawo! brawo!

Ksiński (do Maryny). Do wieczora...

Maryna. Namyślę się.

Ksiński. Ale tu nie ma czasu myśleć..

Maryna. Kiedy ja nie rozumiem, o co chodzi...

Ksiński. No! widzę, że się zgodzisz... Chodźmy! chodźmy! (Odchodzą).

Maryna. Czego oni chcą odemnie? Żartują... Pójdę zobaczyć, gdzie ci panowie pojadą... (odchodzi za nimi).

SCENA III.

(Gabinet Hetmana. KARZEŁ układa papiery).

Karzeł. Co to jest wielkość?... Ludzie wchodzą do tego gabinetu skurczeni we dwoje... Uważam często, z jakiem przerażeniem patrzą na mnie, kiedy śmiem dotknąć koperty zapieczętowanego listu—albo hetmańskiego szlafroka... Głupcy! Ja widziałem, jak temu hetmanowi stawiał żyd pijawki: szlachcianki kałuży *) cięły za uchem, pompując krew z czerwonego nosa. Od tego czasu zacząłem być filozofem — i śmiać się z karłów.

Sforka (odsłaniając zasłonę). Czy pan Hetman jeszcze nie wrócił?

Karzeł. A czego chcesz, Panie intendencie?.. Nic nie odpowiedział... zły na mnie od czasu, jak go nazwałem ekonomem...

Sforka. Co wolno karłowi, to wolno jest panu Sforce... (wchodzi i siada).

---

*) Mowa o pijawkach.

Karzeł Słyszałem, Panie Sforka, że miałeś odwiedziny ważnej jakiejś figury.

Sforka. Co? czy ty wiesz o tem Stynko?

Karzeł. Poznałem pana po mundurze.

Sforka. Żebyś ty wiedział, jak to trudno z Włochami rozmawiać!..

Karzeł. Zwłaszcza temu, kto nie umie geografii...

Sforka. Ja umiem geografią przecie.

Karzeł. A sprzeczałeś się ze mną, że Wezuwiusz był cesarzem rzymskim.

Sforka. Kłamiesz jak pies, moja Sielawo. Wezuwiusz to góra — zawsze mówiłem, że Wezuwiusz to góra...

Karzeł. A ja ci powiadam, że Wezuwiusz to dziura.

Sforka. A ja ci powiadam, że to wulkan.

Karzeł. A ja ci powiadam, że Wulkan to bożek mitologiczny.

Sforka. Ja wiem bardzo dobrze, że to bożek mitogiczny.

Karzeł. A dlaczegoż mówiłeś, że to góra?

Sforka. Chciałem z ciebie pożartować, błaźnie.

Karzeł. Jak będziesz panem, to będziesz miał błazna.

Sforka. Skądże ty wiesz, że ja będę panem?

Karzeł. Świat — to loterya, Panie Sforka. Często głupi wygrywa los wielki — ogromne summy...

Sforka. Ale ja nie głupi...

Karzeł. Ja bardzo dobrze wiem o tem; ale kiedy głupi często wygrywa, to rozumny, jak ty panie Sforka, człowiek jeszcze częściej...

Sforka. I ty myślisz, że na mnie spadną ogromne summy?

Karzeł. Prawda, że to być nie może...

Sforka. Być bardzo może, panie karle! Mam coś w kieszeni — kilka słówek — położyć kilka słówek odpowiedzi — a rozmnożone przez B dziesięć pytań, plus dziesięć odpowiedzi—algebraicznie i arytymetycznie dadzą...

Karzeł. Dadzą X.

Sforka. A wiesz ty, co to X?

Karzeł. Przed nazwiskiem napisane znaczy Książę...

Sforka. Dalibóg, że ten karzeł nie głupi! Ja sam o tém nie pomyślałem...

(Wchodzi HETMAN. Karzeł i Sforka wstają nagle).

Hetman. Co wy tu gałgany w moim gabinecie, w czapkach?

Sforka. Czekaliśmy na Jaśnie Oświeconego...

Hetman. Mogłeś zdjąć czapkę przed moim stołkiem—nawet przed synonimem tronu.

Sforka. Co to znaczy synonim tronu, karle?

Karzeł. Znaczy, że syn O nie ma tronu —

Sforka. Syn Jaśnie Oświeconego Pana będzie zapewne na tronie, jeśli się nam uda...

Hetman. Słuchaj! jutro, jak świt, wyjeżdżam do Wilna.

Sforka. Sam Najjaśniejszy Hetman?

Hetman. Sam. Zmieniły się rzeczy — trzeba działać... Syn mój zostanie w zamku i wieczorem przyprowadzi mi moję legią...

Sforka. Czy zgodził się już Hrabia Szczęsny?

Hetman. Zgodził się? — Dziesięciu darmojadów odpowie mi głową za jego zgodę! Wszak mi odpowiadali zawsze: niepodobna, aby syn twój nie zechciał... nasza to rzecz, Panie Hetmanie — Niech więc dziś dopną swego, albo—na Boga! powywieszam, jak wędzonki w kominach. Syn mój byle się raz skompromitował, już będzie mi niepotrzebny. Teraz ludzie uważają go za hak, na którym ojca powiesić trzeba... Wiesz ty, że sam Jasiński widział się z nim przeszłéj nocy? ale nic nie zyskał...

Sforka. Jasiński? ten wisielec?

Hetman. Ksiński widział go przeszłéj nocy w ogrodzie. Gdyby miał był kilku ludzi, schwytałby ptaszka... Mówią, że się kryje koło Ponar.

Sforka. Może napaść na Wilno...

Hetman. Ja wyjeżdżam do Wilna... słyszałeś?

Sforka. Zapewne, że Jaśnie Wielmożny Hetman...

Karzeł. I Najświętsza Panna Ostrobramska...

Sforka. I Najświętsza Panna Ostrobramska.. nie dopuszczą...

Hetman. Masz listę szlachty, co tu ma zjechać wieczorem?

Sforka. Oto jest. (dobywa papieru).

Hetman. Daj mi okulary... (wkłada okulary). Czytajmy... jakie imiona? (czyta:)

Łatwe do zadania,
Ale trudne do rozwiązania
Zapytania...

Sforka (pada na kolana). Jaśnie Wielmożny Panie! to nie ten papier...

Hetman (nogą bije go w piersi). Psie!.. (Sforka wywraca się omdlały). Co? czy zdechł? Karle, zobacz!

Karzeł. Oddycha.

Hetman. Ten stary nie wie, że każde uderzenie mego serca jest zamkniętym w piersiach piorunem... Zawołaj hajduków!.. Czaszka tego starca z okropnym dźwiękiem uderzyła o podłogę... Sforka! Sforka! Sforka!

(Karzeł z hajdukami).

Wynieście go i zawołajcie doktora... Ty bracie, masz jednę rękę wolną — weź ten znosek (pokazując na karła) i daj mu dziesięć bizunów!

Karzeł. Panie!!!

Hetman. Dwadzieścia bizunów!

Karzeł. Za co?

Hetman. Trzydzieści bizunów!

(wynoszą Karła i Sforkę).

Czy zgodzi się syn mój?.. Pytają mnie o serce mego syna... Co to za zgiełk? hej!.. (HAJDUK wchodzi). Co to za zgiełk?

Hajduk. To wypuszczono psów na zamkowego niedźwiedzia.

Hetman. Zawołać karła! poszedłem z nim w zakład, że niedźwiedź rozedrze sroczkę czarną — hej! zawołać mi karła! (wychodzi).

SCENA IV.

(Pokój inny w zamku. KSIŃSKI sam).

Ksiński. Zbliża się godzina działania. Przyrzekłem panu Hetmanowi, że syn jego siądzie na koń — i dotych-

czas nie mogłem ani słowa prawdy wygrzebać z ust tego młodzieńca. Trzeba nareszcie, żeby się zdeklarował. Gdybym to ja był synem hetmana!.. ha! ha! pani natura nie wie sama, co robi. Taka głupia jak człowiek, coby szampana zlewał do porterowéj butelki... Pani natura dała mi długą szyję, nogi i ręce— i właśnie uczyniła mnie człowiekiem pokłonnym, kłaniającym się. Ba! rzecz to jeszcze do rozwiązania, czy krótkiemu, czy długiemu człowiekowi łatwiéj zgiąć się we dwoje. Nie! natura — rozumna pani! Zamiast grubego brzucha, dała mi w miejscu pasa coś nakształt pergaminowych zawiasów tekturowego pudełka, brzuch, mości dobrodzieju, podobny do pustej teki, zmarszczony — wpadły i nie skrzypiący w chwili ukłonu.

(SZCZĘSNY wchodzi z książką).

Witam, Panie Hrabio.

Szczęsny. Jak się miewasz, przyjacielu?

Ksiński. Pan Hrabia bawi się lekturą...

Szczęsny. Tak.

Ksiński. To zatrudnienie wielkich ludzi.

Szczęsny. Czytasz często?

Ksiński Ja, Panie Hrabio? Od czasu szkół...

Szczęsny. Rozumiem. Czemu nie idziesz patrzeć na walkę niedźwiedziów?

Ksiński. Ważny interes dobra pospolitego zajmuje mnie całego Mości Hrabio! dziś ważny dzień dla naszéj sprawy — cała Polska czeka ukazania się nowego słońca na horyzoncie politycznym.

Szczęsny. Czy przygotowała zaczernione dymem szkiełka?

Ksiński. Jak to, Panie Hrabio?

Szczęsny. Inaczéj oślepnie, patrząc gołem okiem na słońce.

Ksiński. Twoi przyjaciele będą jako chmura koło ciebie, Szczęsny.

Szczęsny. Ha! to ja mam być tém słońcem?... (czyta).

Ksiński. Nie zechcesz zapewne, Panie Hrabio, zasmucić ojca twego haniebną opieszałością. Literatura dobra jest, Panie Szczęsny, w spokojnych czasach; ale wtenczas, kiedy

działać potrzeba, co znaczy alembikowanie druków na esencyą myśli?

Szczęsny. Czytałeś ty kiedy Platona o nieśmiertelności duszy?

Ksiński. Zdaje mi się, że czytałem.

Szczęsny. Cóż sądzisz?

Ksiński. Sądzę, Panie Hrabio, że potrzeba zdecydować się.

Szczęsny. Na co?

Ksiński. Ale uważaj, Panie Hrabio, że kraj potrzebuje sprężystej pomocy, inaczej... inaczej... Co mi tam nieśmiertelność duszy! gdyby Platon żył w tych czasach, byłby republikaninem, jak ja.

Szczęsny. Śmierć nie jest śmiercią...

Ksiński. Ale jeżeli kraj umrze...

Szczęsny. Dusza jest nieśmiertelna, Panie Ksiński... Słuchaj! rzecz wielka — a nawet błahy odłam wielkiej rzeczy umrzeć nie może. Oto, po przeciągu lat 2.000 wiem dzisiaj, że Sokrates z Fedonem rozmawiał o piękności, jak ja z tobą. Może trochę inaczej, bo obaj byli bez botów...

Ksiński. Fatałachy!..

Szczęsny. Coś jest dziwnego w tych fatałachach, porównanych z wielkiemi rzeczami tego wieku! Sokrates powiedział do Fedona: — Gorąco dziś; jeżeli chcesz, to pójdziemy nad błękitny strumień — a rozmawiając nogi nasze zanurzymy w chłodnej wodzie. Poszli nad strumień... Widzę ich... siedzieli na lekkiej pochyłości okrytej bujną murawą: fale żywe łaskotały nagie ich stopy, platan rozłożysty dawał cień przyjemny i słychać było śpiewanie polnych koników, które się kryły w murawie przed upałem południowym...

Ksiński. Powiedz mi, Panie Hrabio, cóż jest w tem wielkiego?

Szczęsny. Nic.

Ksiński. Czegoż to uczy?

Szczęsny. Abyśmy poszli obadwa na trawę, bo gorąco. Jeżeli jesteś Platonem, ty albo kto z ludzi tutaj przytomnych, choćby karzeł mego ojca, to będą ludzie

wiedzieli po upływie 2000 lat, żeśmy z tobą leżeli na trawie — nad Wilią.

Ksiński. To metafizyka!.. nie rozumiem.

Szczęsny. Mówiąc o piękności, Sokrates przyrównał naturę człowieka do woza zaprzężonego dwoma końmi. Jeden czarny, rwie się i pieni; drugi, biały jak mleko, opiera się zapałowi towarzysza; woźnica złotemi licami kieruje sprzeczne zapędy obu. Czarny koń — to zmysły, biały — to dusza; woźnica — to rozum.

Ksiński. Nie rozumiem, dalibóg nie rozumiem!

Szczęsny. Umiesz ty powozić z kozła?

Ksiński. Umiem.

Szczęsny. Na cudzym wozie, nie mając koni?

Ksiński. Na honor powiozę.

Szczęsny. Zepchnij woźnicę i bądź sam woźnicą.

(odchodzi — staje).

Ksiński. Ale na Boga! gdyby cię kto słyszał, Panie Hrabio, powiedziałby...

Szczęsny. Co?

Ksiński. Żeś zwaryował.

Szczęsny. Rozgłoś to po zamku... (odchodzi).

Ksiński. Wywinął się... Czy on głupi, czy ja głupi?.. Czy Szczęsny gada od rzeczy? Tak być musi, bo gada o niczem.

(AMELIA wchodzi).

Amelia. Słyszałam tu głos mego brata.

Ksiński. Pani, przyjmij odemnie uniżony respekt!

Amelia. Słyszałam tu głos mego brata, chciałabym z nim pomówić.

Ksiński. Niech go Pani raczy różanemi ustami skłonić do działania. Ciągle zajęty fatałachami.

Amelia. Właśnie mam polecenie od ojca, abym go namawiała do czynniejszego życia.

Ksiński. Niech Pani wymoże na nim, aby był przytomnym uczcie dzisiejszéj, a my go szampanem i wymową wyexaltujemy.

Amelia. Szampanem? wstydź się, Panie Ksiński!.. Ty myślisz jego wielką duszę podstępem skłonić do wiel-

kiego dzieła? O! zaczynam wątpić o czystości waszych zamiarów, jeżeli sposoby do dopięcia celu macie tak błahe i podłe. Ja mego brata ochronię od waszéj namowy. Niech Pan będzie tak dobry, poszuka go w ogrodzie i przyśle tutaj.

Ksiński. Rozkaz Pani... (odchodzi).

Amelia. Jaka różnica między tymi ludźmi a moim bratem! Nieraz rozmyślam głęboko, dlaczego Szczęsny wydaje mi się tak pięknym i wyniosłym, zwłaszcza kiedy spokojny; bo jak uleci w niebo myślami, nie mogę za nim ścigać i myśl moja gubi się w chmurach. O jakbym go chciała zobaczyć na scenie czynnego świata — wyższego nad ludzi!

Szczęsny (wchodząc). Siostro, dobry dzień!

Amelia. Szczęsny, ojciec mię prosił, abym pomówiła z tobą...

Szczęsny. Wolałbym rozmawiać z tobą, niż z moim ojcem...

Amelia. Otóż będę mówiła słowami mego serca. Ty taki dobry dla twojéj siostry: pamiętam te chwile, kiedy dziećmi będąc, razem biegaliśmy po nadwilejskich łąkach za motylami wiosny; kiedy jesienią w zasypanych liściem alejach lubiliśmy chodzić razem i dumać. Ja się nie odmieniłam, ale tyś się bardzo odmienił, Szczęsny...

Szczęsny. Czy ty myślałaś, że ja nigdy nie urosnę?

Amelia. Powiedz mi, czy ty mnie masz za tak błahe stworzenie, że niewarta jestem jednego smutnego słowa z twojéj duszy?

Szczęsny. Ja bardzo smutnie mówię do ciebie...

Amelia. Widzę, że straciłam twoje zaufanie.

Szczęsny. Czy ci mówił Ksiński, że zwaryowałem?

Amelia. Zostaw tych ludzi w pokoju, Szczęsny — i bądź ze mną, jak z twoją przyjaciółką, raz tylko, przez kwadrans! Powiedz mi, dlaczego nie chcesz wypełnić woli twego ojca? Ojciec nic niegodnego żądać nie może. Czyż mógłby chcieć wtrącić ciebie w przepaść? Powiedz mi, bracie, cóż widzisz w ojca zamiarach, że nie chcesz im pomagać?

Szczęsny. Nic nie widzę i dlatego właśnie, że nic nie widzę...

Amelia. Dlatego?

Szczęsny. Jestem ślepy...

Amelia. Czytałam o królu Janie-bez-ziemi, że będąc ślepy, kazał się przywiązać między dwóch śmiałych żołnierzy i z pałaszem dobytym wpadł na wrogów i poległ. Bądź więc między twoją siostrą a ojcem! niech ciebie prowadzą na pole sławy!

Szczęsny. Jaka ty uczona! (chodzi po sali zamyślony).

Amelia. Widzę, mój bracie, mój najdroższy — mój najmilszy, że ty się zaczynasz nawracać na siostry twojéj mowę. Widzę myśl wzniosłą w zmarszczkach twego czoła...

Szczęsny. Wzniosła... dziecinna!..

Amelia. O! nie wracaj do ironii.

Szczęsny. Dalibóg że miałem myśl dziecinną... Masz w bukiecie twoim białą margeritkę. Oberwij ją mówiąc: t a k, n i e — za każdym listkiem. Jeżeli wypadnie t a k... to będę z moim ojcem.

Amelia. Jakże ty rzecz ważną możesz kłaść na te marne listki kwiatu? więc los ci może rozkazać, a siostra twoja nie może?

Szczęsny. Tak — los może mi rozkazać rzecz obojętną... bo prawdziwie, że teraz to rzecz obojętna dla mnie; a nawet wyznam ci, że tak zabrnąłem w zawikłanych sidłach tego świata, że będę się cieszył, jeżeli margeritka powie t a k... Obroni mnie od wyrzutów sumienia— rozwiąże z nienawistnych węzłów —

Amelia. Co ty masz na sumieniu? Bracie luby, nieraz patrząc na twoje zamyślone czoło, nie mogę znaleść innego porównania, jak do pochylonéj białéj i nieskalanéj lilii. Prawda, że twoja dusza czysta?

Szczęsny. Oberwij margeritkę!

Amelia (obrywa listek). Tak, nie... tak, nie...

Szczęsny. Patrzę na te spadające listki z okropném przerażeniem. O! błahość ludzkich zamiarów...

Amelia. Tak.

Szczęsny. Szatani! Wypadło t a k!.. Idź, powiedz mojemu ojcu, że jestem z nim — na wieki — na wieki! i będę z nim aż w tamtém życiu odpowiadał za krew i jęki.

Amelia. O Boże! o Boże!

Szczęsny. Proś za mnie Boga, bo ja ci powiadam, że lepiej by dla mnie było, gdybym był umarł w żywocie matki! bo teraz spałbym, odpoczywałbym, a tak... a tak? czém ja będę?

Amelia. Bracie, przebacz mi!

Szczęsny. Tobie?.. co przebaczyć?.. Ja sobie tylko przebaczyć nie mogę, że w tajemnicy serca żądałem... O! wielkość, sława!.. Ale na Boga! ja nie takiéj chciałem sławy — nie takiéj wielkości... Stało się...

Amelia. Bracie, ja skłamałam — wypadło n i e!

Szczęsny. Teraz skłamałaś, Amelio! Wypadło t a k. Ja wiem, że mię los miał rzucić na taką drogę. Wahałem się — o włosek. Włosek się zerwał — a teraz będą się urywać wszystkie skały zawieszone nad moją głową.

(wchodzi SŁUGA).

Sługa. List do Pana Hrabiego.

Szczęsny. Kto przyniósł?

Sługa. Jakiś siwy starzec, w szaréj czamarze.

Szczęsny. Ale ten list bez adresu.

Sługa. Powiedział, że od ślepego człowieka.

Szczęsny. Ha!.. (odpieczętowywa, czyta).

Amelia. Szczęsny! jaką ty masz twarz?! To jakaś zła nowina!

Szczęsny. I owszem, bardzo dobra! Zaczynam być, czém jestem. Ludzie mnie poznają... Powiedz temu człowiekowi, że przyjdę. O! gdyby się cofnąć o rok życia — nie przyszedłbym na taką godzinę!.. Amelio!.. Amelio!.. Amelio!..

Amelia. O jaki jęk!..

Szczęsny. Nic!.. Siadaj! Prawda, że ja nie jestem złego serca człowiekiem? ty wierzysz we mnie; prawda, Amelio?

Amelia. Bracie, jakie ja nieznane nieszczęście ściągnęłam na twoję głowę, niewinnem, jak sądziłam, kłamstwem? Przysięgam ci na duszę matki mojéj, że ostatni listek kwiatu powiedział n i e.

Szczęsny. Amelio moja, teraz wcale mnie nie obcho-

dzi przyszłość, ani przeszłość. Chciałbym ci wyznać wszystko, ale nie mogę. Jest okropna tajemnica, która by nas oboje zabiła, a bez wydania tej tajemnicy nie mogę usprawiedliwić najmniejszego wypadku w mojem życiu. Amelio, błagam ciebie na imię matki twojej, nie sądź o mnie podług sądu innych ludzi — i zachowaj mi w sercu jedno długie wspomnienie! Takie wspomnienia smutne i jednobrzmienne wznoszą serca ludzkie do Boga.

Amelia. Ale ty się gotujesz na coś okropnego...

Szczęsny. Ja ciebie bardzo kochałem... więcej niż... (wstaje gwałtownie). Bądź zdrowa! Kochałem ciebie. jak brat... Słuchaj! ty kiedyś będziesz miała męża i dzieci, ale przyjdą godziny, że miłość ich nie wystarczy tobie, i porównasz ją z miłością twego brata — i będzie ci czegoś niedostawać i będziesz płakać... O! jak my kiedyś byliśmy szczęśliwi dziećmi!..

Amelia. Co ci jest, bracie?

Szczęsny. Mam wielkie długi do zapłacenia.

Amelia. Długi? ale mój ojciec... mój ojciec zapłaci wszystko... Ja ci przysięgam...

Szczęsny. Tak! i mój ojciec może zapłaci... Ale ja... Ty nie możesz rozumieć, siostro, zawiłych tego świata zdarzeń. To gorzej, niż w najokropniejszych przepowiedzeniach świętego Jana!... Są serca rozdarte na cztery części... jak zapisane głupim poematem karty papieru w ręku rozsądnego człowieka... Bądź zdrowa!.. życzę ci wstąpić do klasztoru!

Amelia. Do klasztoru?

Szczęsny. Wszak ty nie masz męża, ani kochanka... Nie chciałbym, aby ciebie kto oszukał — Ha! ale co ty powiesz ojcu odemnie? Czekaj, powiesz... że — pojechałem płacić długi... Ja może powrócę wieczorem. Jeżeli powrócę, to będę łachmanem, z którego nie można zrobić chorągwi dla żadnej partyi... Więc niech ze mnie zrobi, co mu się podoba... (odchodzi).

Amelia. Zrozumiałam... Mój Boże! teraz zrozumiałam... Szczęsny! Szczęsny! (wybiega).

ZASŁONA SPADA.

AKT TRZECI.

SCENA I.

(W domu Horsztyńskich).

(HORSZTYŃSKI i SZCZĘSNY).

Horsztyński. Panie Hrabio, czy jesteśmy sami?

Szczęsny. Nikogo nie ma w pokoju.

Horsztyński. Jest to pokój ulubiony ojca mojego... tam na prawo musi być jego obraz. Cichą i łagodną miał twarz i białe włosy, jak moje włosy, ale srebrny włos jego żadnéj hańby nie nosił... Tam nad drzwiami musi być dotąd krucyfix ze słoniowéj kości na hebanowéj desce.

Szczęsny. Tak jest...

Horsztyński. Pod krucyfixem wisi para pistoletów...

(Szczęsny zdejmuje pistolety).

Szczęsny. Oto są.

Horsztyński. Nie nabite... w stoliku na prawo — rożek z prochem i kule —

Szczęsny. Znalazłem.

Horsztyński. Pan wiesz zapewne, że potrzeba jeden z pistoletów nabić. Sądzę, że umiesz nabijać. Jeden pistolet w sandał, drugi w jabłeczne drzewo oprawny. Nabij Pan... (cisza). Czuję zapach lip mojego ogrodu — myślałem, że będę kiedyś spokojny — na starość!.. Czy już nabity?..

Szczęsny. Wybierz Pan jeden z pistoletów.

Horsztyński. Ja ślepy...

Szczęsny. Wszak los powinien być sędzią...

Horsztyński. Los...

Szczęsny. I Bóg.

Horsztyński. Proszę wybrać!

Szczęsny. Ja wiem, który nabity.

Horsztyński. Proszę wybrać!

Szczęsny. Wybrałem.

Horsztyński. Siądź Pan tu blisko, daj mi lewą rękę. A wiesz Pan, że ja nic nie wiem, czy jesteś winny, czy niewinny — czy podły, czy szlachetny...

Szczęsny. Strzelajmy!

Horsztyński. Jeżeli zabijesz mię, będziesz zabójcą — jeżeli ja ciebie zabiję, będziesz samobójcą — ja będę czysty przed Bogiem.

Szczęsny. Strzelajmy...

Horsztyński. Może chcesz Pan pomieniać się na pistolety?

Szczęsny. Nie! *)

---

*) Scena powyższa była pierwotnie inaczej przeprowadzona. Po napisaniu przekreślił ją poeta i dał natomiast to, co zamieszczamy w texcie. Pierwotne ułożenie było następujące:

Horsztyński. Czekaj, młodzieńcze! Oto chcę, abyś zobaczył, co po śmierci zostawiam na ziemi... Żebractwo, żebractwo!.. Czytaj...

Szczęsny. Cóż to? Sądów ziemskich wyrok...

Horsztyński. Czytaj głośno.

Szczęsny. W imieniu królewskiém...

Horsztyński. Idź dalej.

Szczęsny. Widzę nazwisko ojca mojego — herby sądowe... i głowa mi się zawraca.

Horsztyński. Wychodząc na wojnę pożyczyłem był u ojca pańskiego 5000 dukatów na całą hypotekę dóbr moich. Ojciec podczas mojéj niebytności wytoczył sprawę — na nieprzytomnym wygrał—i oto wyrok... Jutro zatradowany cały mój majątek...

Szczęsny. Cały?..

Horsztyński. Czytaj Pan wyrok... z prelewacyą na rzecz mojéj żony, jéj posagu i wiana...

Szczęsny. Boże!

Horsztyński. Żona moja nie miała posagu; a wiana zrzekła się, kiedym potrzebował pieniędzy.

Szczęsny. Jeden z naszych pistoletów nabity — jeden z nas zostanie na ziemi — i będzie czuwał nad...

Horsztyński. Młodzieńcze! Nieraz punkt honoru — duma tak jest silna w człowieku, że wystawiony na wybieranie między życiem a śmiercią, wstydzi się wybrać życie, myśląc. że się tym wyborem upodli — i myśli, że się poświęca. — Hrabio, ja się poświęciłem dla kraju mego i widzę teraz nicość mojego poświęcenia się. Jeżeliś niewinny, upamiętaj się i nie idż do grobu z taką obojętnością. Przypominam ci słowami starca: że Bóg nie napróżno wlał w serca nasze bojaźń śmierci. Śmierć jest coś okropnego — bardzo okropnego. Ślepy, nie mając co robić, myślałem po całych dniach o tajemnicy grobu — i prawdziwie śmierć jest okropnością nieopisaną — cieniem wszystkiej myśli — sprężyną każdego wahania się. — Jeżeliś niewinny, upamiętaj się, nie kładź na moje siwe włosy ciężaru zbrodni — złóżmy pistolety — wybierzesz je po raz drugi.

Szczęsny. Wolałbym prędko ukończyć tę scenę.

Horsztyński. Ale wiesz, że ja nie mogę jeszcze wierzyć, abyś ty był winny. Szanowałem ciebie, ufałem tobie — a choć mi oddasz życie twoje, będę pogardzał tobą — przysięgam, że nie wyleję łzy nad tobą, kiedy będziesz leżał u nóg zhańbionego starca. Słuchaj! Między mną a ojcem twoim jest wielka nienawiść — i wiele do nienawiści powodów. Zdaje mi się, że Bóg wybrał rodzinę twoję, aby była ogniem strzechy mojej — trucizną

Horsztyński. A teraz Pan wiesz, że ja Pana zabić nie mogę. Ludzie powiedzą, że się chciałem pomścić straty majątku... plama haniebna pokryje moję nędzę, zatruje ostatni kawał czarnego chleba. — Rad będę jednak widział, jak osądziłeś siebie... w tym pistolecie jest wyznanie albo twojéj podłéj duszy—albo winy twojéj... i winy waszéj... Słuchaj!

(*strzela na wiatr w ścianę*).

Ha! osądziłeś się winnym...

Szczęsny. Oddawałem moje życie.

(SALOMEA *wpada*).

Salomea. Co to za strzał?

Horsztyński. Prosiłem Szczęsnego, aby spróbował moich pistoletów...

studni moich — wichrem obrywającym sady moje... Walczyłem — teraz upadam jak robak rozciśniony nogami — szczęśliwy, ilekroć sobie powiem na pociechę: — Oto kraj wali się: nie dziw, że gruzy zasypały dom starego szlachcica... W ogromie takiego upadku gubię pamięć nieszczęścia; lecz kiedy pomyślę, że upadek mój, hańba domu mojego jest darem zdrajcy —

Szczęsny. Panie Horsztyński!..

Horsztyński. Przysięgam, że to upodlenie, nieszczęśliwym zostać przez panów Kosakowskich. Nie oparłem chaty mojéj o mury zamku waszego — przyszliście sami szukać mojéj dziedziny. Ojciec bierze mi i wydziera chleb, ostatni kawał chleba na starość — a ty, ty może gorszy od ojca. Zdaje mi się, że wy bardzo podli — muszę zostawić tobie życie, Panie Szczęsny.

Szczęsny. Panie Horsztyński, wybierajmy pistolety.

Horsztyński, Słuchaj! tak pogardzam waszą rodziną, że jeżeli ona kochała ciebie: to lituję się nad nią — bo to nieszczęście i hańba i kara boska i plaga mojżeszowa, kochać podłego człowieka. Ale może ty niewinny téj ostatniéj zbrodni... W takim razie... czy wiesz, że shańbiłem ciebie śmiertelnie słowami — a mam broń, którą zabiję ciebie, ojca twojego i wasz honor — i pamięć waszego życia zabiję na wieki! — Wybieraj Acan pistolety!

Salomea. Mężu! O!.. Twój pistolet gorący... to ty strzeliłeś...

Horsztyński. Niechcący...

Salomea. Strzaskałeś krucyfix ze słoniowéj kości.

Horsztyński. Krucyfix?..

Salomea. Dlaczego Pan masz w ręku pistolet?

Szczęsny. Pani, mój pistolet nie nabity — nikomu strasznym być nie może. *(skrzesza z panewki).*

Salomea. Mężu!..

Horsztyński. Moja córko, zostaw nas samych. Gwarzyliśmy sobie o dawnych czasach — dziś wigilia wzięcia Częstochowy. — Jak żeńce będą z pola wracali, każ im na dziedziniec beczkę piwa wytoczyć — dawno już nie słyszałem

Szczęsny. Poczekaj... chcę obaczyć jeszcze raz — myśl jedne...

Horsztyński. Wybieraj, zdrajco!

Szczęsny. Wybrałem.

Horsztyński. Boże! Boże! czuję w ręku tensam pistolet, co pierwej. (odwraca się i strzela w ścianę). O! Boże!

(Słychać głos **Salomei** za drzwiami).

Puszczajcie! Jezus! Marya! Umrę... puszczajcie!

Horsztyński. Otwórz, Szczęsny!

(Szczęsny otwiera, Salomea pada omdlała w jego ręce, krzycząc:)

Zabiłeś go?

Horsztyński. Żono!.. dlaczego tak cicho?

Szczęsny. Omdlała.

Horsztyński. Ocuć ją. Czy tylko omdlała?.. Chodź tu, młodzieńcze! wybierz drogę, jaką sądzisz, że należy ci wybrać. Ja wybrałem...

Szczęsny. O! zabiłeś mnie wzgardą!... Teraz gotów jestem na wszelkie niegodne postępki. Będę z nimi...

Horsztyński. Z kim?

Szczęsny. Z tymi, co pogardą wszystkich ludzi mszczą się za pogardę siebie.

Horsztyński. Tó mi bardzo obojętne, czém ty będziesz.

Szczęsny. I dla mnie to bardzo obojętne... Bądź zdrów, panie Horsztyński!

---

pieśni smutnéj żeńców... Przyślę ci wkrótce Pana Hrabiego, aby wybrał najpiękniejszą żniwiarkę, któréj ty dasz czerwoną grażu wstążkę. (*Wychodzi Salomea*).

Panie Hrabio, mówmy otwarcie... W innych okolicznościach prosiłbym ciebie, abyś odjechał... Ja stary, kaleka — mam prawo do kilku dni cichego życia na téj ziemi... Ale rozmyśliłem się... Żona moja spotkawszy mię tego rana, krzyknęła okropnie — inaczej nie wiedziałbym, że przez noc jedne osiwiałem... Więc Bóg zamroził krew w żyłach moich... Nie mogę rosnąć jak chwast nieużyteczny pomiędzy ludźmi... Skargi moje odprowadzają mię od celu. Proszę cię, Panie Hrabio, zostań w domu moim — i czuwaj nad nią

Horsztyński. Zostań — niech ona zobaczy, że ty żyjesz... [. . . . .*)] a ja lituję się nad nią. Szkoda tej kobiety!

Salomea. Gdzie mój mąż? mój mąż?

Horsztyński. Przyprowadź ją do mnie!... Co ci jest, moja żono? Skąd tobie taki przestrach? próbowaliśmy pistoletów...

Salomea. Mężu, to ty strzeliłeś!.. twój pistolet gorący...

Horsztyński. Prochem był nabity... wszakże i prochu szkoda na wróble...

Salomea. Mężu, strzaskałeś krucyfix, co wisi nade drzwiami.

Horsztyński. Krucyfix?

Salomea. Czemu Pan masz broń w ręku?

Szczęsny. Nie nabita. (skrzesza).

Horsztyński. Panie Szczęsny, to mówiłeś, że gotów jesteś dać mi swój turecki kindżał za te dwa francuskie pistolety — namyśl się... a jeżeli chcesz takiej zamiany, to ja zgodzę się nareszcie zyskać na tobie.

Szczęsny. Co do mnie, to rzecz skończona.

Horsztyński. Bardzo się cieszę — będę miał po tobie pamiątkę... miłą...

---

jutro... Wiesz zapewne, że żona moja wzięła po matce usposobienie do melancholii czarnéj Jeżeli przebędzie dzień jutrzejszy, może będzie kiedyś szczęśliwa...

Szczęsny. Panie Horsztyński, nie obrażaj się moją mową... Oto mój ojciec wydzielił mi małą wioszczynę nad brzegiem Wilii...

Horsztyński. Nie kończ Pan...

Szczęsny. Wyjeżdżam za granicę — wioska moja zniszczeje bez pańskiego oka...

Horsztyński. Co? ja mam być ekonomem?

Szczęsny. Mówiłem, że pańskiego oka potrzeba...

Horsztyński. Ja nie mam oczu.

---

*) Miejsce wydarte w manuskrypcie.

Szczęsny. Zapiszę ci jeszcze w testamencie pochwę mojego kindżała.

Horsztyński. Starzy pierwej umierają;— ale się jeszcze może zobaczymy, bo podobno masz wyjechać—walczyć za ojczyznę...

Szczęsny. O! to jeszcze nie prędko... Mam ojca—

Horsztyński. Ha! kiedy tak, to się będziemy widywali często.

Szczęsny. Życzę ci dobrego wieczora. — Niech Pani patrzy, jak piękny zachód słońca — kwiaty jéj ogródka ożywają — i będą płakać rosą tego wieczora.

Salomea. Gdzie Pan jedzie?

Szczęsny. Do domu — idę do ojca mojego...

Salomea. Ale czy Pan wie, co znaczą te słowa w piśmie świętem?

Szczęsny. Słowa mają różne znaczenia — podług księgi, na której je znajdują. Te same słowa, które są świętemi w piśmie świętem, są bezbożne w księdze bez-

---

Szczęsny. Nie mówmy więc o tém.

Horsztyński. Rozmowa nasza urywa się...

Szczęsny. Więc odchodzę.

Horsztyński. Daj mi rękę... Co? ty płaczesz?—Wstydź się, dziecko! — Kiedyś byliśmy w szkołach z twoim ojcem i dawałem mu plagi, a śmiał się; — teraz on mi oddał wet za wet — i basta!— Uspokój się, mój synu. Kiedyś chodząc po tym domu, wspomnij starego wojaka...

Szczęsny. Ja nie winny twego nieszczęścia.

Horsztyński. Nikt nie winny: — kraj cały wali się, gruzy zasypały dom starego szlachcica... Zdaje mi się, że jakaś ogromna pochodnia pożaru przyświeca mojemu upadkowi; chciałbym tylko — jak czytałem niegdyś w dziejach o królu Janie - bez - ziemi — chciałbym siąść na konia, przywiązać go między dwa konie śmiałych ludzi — i rzucić się tak ślepemu z pałaszem w ręku na Drewicza szeregi!.. Rąbać, póki zarąbią!...

Szczęsny. Kto wie, czy kiedy razem nie zginiemy tak jak mówisz.

bożnej — a nieszczęścia mają dźwięk — w księdze pełnéj nieszczęśliwych wypadków. Bądźcie zdrowi!

(Szczęsny odchodzi).

[. . . . .
. . . .*)]

Horsztyński. Co tobie, Sally? wpadłaś do pokoju jak waryatka!...

Salomea. [. . . . .*)].

Horsztyński. [. . . . . *)] przestraszyłaś mnie bardzo.

Salomea. O mój Xawery! czy ty mnie jeszcze kochasz?

Horsztyński. Czemuż nie miałbym kochać — Sally? Byłaś dla mnie dobrą, długo [. . . . . *)] pamiętam, jak wyjeżdżałem z moimi ludźmi na barską wyprawę; sama piekłaś nam chleby; — widziałem ciebie, jak z zakasanemi po łokieć rękoma miesiłaś czarne ciasto, a kiedy wszedłem do kuchni, schowałaś ręce i podałaś się cała ku mnie różaną i liliową twarzyczką, abym ciebie pocałował — zawsze pamiętam tę scenę. — Dlaczego ty klękasz przedemną?—nie lubię tych oznak teatralnych... Sally, dlaczego ty klękasz przedemną? — czuję głowę twoję na moich rękach. Wstań, moje dziecię, i wyjdź na dziedziniec — jak będą żeńce wracali z pola, śpiewając tę piosenkę, którą ja tak lubię, to każ im wytoczyć na

*) Wszystkie miejsca tu zapełnione kropkami znaczą, że rękopis tu uszkodzony.

Horsztyński. Szaleństwo!.. Zasnęli Polacy, i czuję, że na długo, na długo... Pułaski w Ameryce, król w Warszawie, kraj zaprzedany Moskalom —- zdrajce!.. Dzieci ich kiedyś przeklinać im będą. Zaprawdę, że póki tyle głów z ich pokolenia pod toporem kata nie spadnie, ile rublów wzięli z kazny moskiewskiej, to kraj nie ożyje!...

(Szczęsny załamuje ręce z rozpaczą i wychodzi).

Wyszedł... Oto pierwsza kara na zdrajców, że dzieci ich uciekają od dźwięku imienia ojcowskiego. Szlachetny to je-

dziedziniec beczkę piwa i daj żniwiarce czerwoną wstążkę. Proszę ciebie, Sally, niech się chłopi rozhulają i będą weseli...

Salomea. Dobrze, mój Xawery. Gdybyś ty wiedział, jak jestem szczęśliwa, kiedy mi dajesz jakie polecenia... (wychodzi).

Horsztyński. Czy wyszłaś?... Wyszła... Czuję, że mi Bóg policzy tę godzinę w niebie na zmazanie grzechów moich. Tak, niech będzie spokojna—a ja?... Wszak uczyniłem stałe przedsięwzięcie... jakie? — usunąć się z tej drogi, po której idą szumiący ludzie wielkimi tłumami. Nędza albo śmierć! Nigdy tak blisko nie widziałem nędzy i śmierci... Co robić na świecie?—Siąść przy drodze pod krzyżem i śpiewać kantyczkową piosenkę: dajcie grosz ślepemu! — Żebrak przynajmniej ma psa wiernego, co go zaprowadzi pod krzyż, do karczmy, i odwiedzie do wsi wieczorem—a ja... Jutro sąd tradycyjny w tym domu... ha! postawię im nowy sprzęt do zagrabienia — trumnę starca... Konfederat barski!—jak ja lubiłem, kiedy mnie tak nazywano. Muszę siebie sam nazywać przed śmiercią sławą życia mojego... Nie trzeba krwią plamić tych podłóg, po których raczkowałem niegdyś... nie trzeba... ha! gdyby staremu konfederatowi trucizny!.. Może w domu jest trucizna — spróbujmy... (klaszczc). Świętoszu! Świętoszu!

---

dnak młodzieniec. Ona z nim będzie szczęśliwa... Trzeba teraz pomyśleć, jak złamać nasz ślubny pierścionek. Śmierć! Nigdy przed sobą nie widziałem nędzy: a dziś... jutro... Cóż robić na świecie?.. siąść przy drodze i żebrać jałmużny: na litość Boga! dajcie grosz ślepemu?.. Psa nie mam, coby mię co dnia pod krzyż zaprowadził rano, a odwiódł do jamy wieczorem...

Nie chcę sobie w łeb strzelić: — śmierć taka nie ukryje się, krew i mózg zawala te podłogi — i sędziowie ślizgać się będą, jak w dzień sądny na Jozefata dolinie... Może w domu jest trucizna... (*klaska*).

Świętosz. Jestem Panie...

Horsztyński. Powiedz mi, co tam się dzieje w polu?

Świętosz. At — pszenica niezła i żyta dzięki Bogu dosyć.

Horsztyński Dziś żną?

Świętosz. Tak, Panie, od chaty Szewruka aż do nagolickiego kopca... Niewiem, czemu się też Pan konno nie wybierze na pole zobaczyć żyta.

Horsztyński. Głupi! — a czy nie pamiętasz, jak mi gromnicami oczy wykapali.

Świętosz. Niech ich jasny Bóg piorunuje...

Horsztyński. Słuchajno Świętoszu! czy mógłbyś ty pojechać do miasteczka — w ulicy liwskiej wisi ogromny szyld, gdzie żyd Josiel trzyma aptekę; kup za parę złotych u żyda axidum prussicum.

Świętosz. Cóż to panie? lekarstwo na prusaki?... a gdzież to znowu zagnieździły się u nas tarakany? — a to ja ogniem spalę...

Horsztyński. A to może ty w domu masz truciznę?

Świętosz. A jużci: — muchomory na muchy — i coś zostało jeszcze arszeniku we flaszeczce od gomułek na szczury.

Horsztyński. Ha! masz arszenik? — właśnie szczury za obiciem mego sypialnego pokoju porobiły gniazda — i całą noc szeleszczą obdartymi papierami.

Świętosz. To ja przyniosę gotowy pączek w maśle usmażony...

Horsztyński. Nie, przynieś mi flaszeczkę z proszkiem; — ja sam przyrządzę.

Świętosz Ale to Panie jak na oczy upadnie, to człowiek oślepnie.

Horsztyński. Nie, mój Świętoszu, nie lękaj się — włożę okulary.

Świętosz. O głupi ja — głupi!

Horsztyński. Co? czy ty myślisz, że mam jakie zamiary?...

Świętosz. Co?! jakie zamiary? o co mię Pan posądza?

Horsztyński. O nic! — idź!... przynieś mi arszenik!

(Świętosz odchodzi).

Już byłem pewny, że się ten człowiek domyślił i narobi hałasu... Ha, jeszcze trzeba będzie do księdza Prokopa napisać list: — będzie to moja spowiedź pośmiertna—z grzechu śmierci...

Świętosz. Oto Panie flaszczyna z proszkiem.

Horsztyński. Daj! Czy daleko jeszcze do wieczora?

Świętosz. Słońce zachodzi za nagolickim kopcem.

Horsztyński. Gdzie to ten kopiec?

Świętosz. A tam, gdzie Panisko woził kiedyś kolaską naszę panią — a pani przejeżdżając koło kopca, zawołała: Świętoszu: zatrzymajno konie, bo widzę mnóstwo konwalii — zeżnę sobie bukiecik.

Horsztyński. Pamiętam... Przysuń mi tu stolik, podaj papier i pióro... Jeżeliby kto wszedł, kiedy pisać będę — to mię ostrzeż... Czy moja ręka na papierze? czy pióro umoczone? — jak dojdę pismem do końca papieru, to mi powiedz.

Świętosz. Niech Panisko jedzie... stąd — do góry— zawróć Pan!.. Dalibóg, Pan cudownie pisze, dwie ryguły jedna przy drugiej, by kolej od kałamaszki... Noga w tył— nie zjeżdżaj!... To mi się widzi, że Pan by mógł jeszcze szablą pisać po wąsach Moskalom, gdyby te biesy nocą nie napadali... jak to było...

Horsztyński. Umiesz ty czytać?

Świętosz. Nie.

Horsztyński. Jutro jak świt... zaniesiesz ten list do celi księdza kapucyna Prokopa; — jak świt... nie zapomnij, bo to rzecz bardzo ważna.

Świętosz. Dobrze Panie! (odchodzi).

Horsztyński. Chciałem rzucić się na szyję temu człowiekowi i lękałem się, aby się nie domyślił, że go Pan żegna jak umierający. Człowiek najsamotniejszy — a któż samotniejszy nademnie — tyle ma nitek do zerwania, nim wyjdzie z tego świata! Już wieczór — świerszcze zaczynają śpiewać w szczelinach mojej chaty. Co będzie jutro ze mną o tej godzinie?.. Mój Boże! mój Boże! Chryste Panie! sądź mię tak, jak sądzisz ludzi nieszczęśliwych— miej litość nademną! Boże, wszak ty bez cudu mógłbyś mię zatrzymać na ziemi: — powiedz sercu mojemu, niech

mi powie, że jestem jeszcze potrzebny na ziemi rzeczom, wypadkom albo ludziom;— powiedz sercu mojemu: żyj! — a żyć będę. Żyłbym, gdyby była choć nadzieja odzyskania oczu... Jak zażyć tę truciznę? — muszę zawinąć w opłatek. (idzie omackiem i dobywa z szafy opłatki).

Ślepy, a przecież znalazłem opłatek—kto rękę moję prowadził? Czuję te drżące listki chleba w moich dłoniach. Jak ja lubiłem niegdyś dzień Bożego Narodzenia! W tym samym pokoju z opłatków kleiłem różnokolorowe słońca, kołyski — jakaś świętość i wesele napełniały moje dziecinne serce.

(Łamie opłatek i sypie truciznę, potém skleja).

Dziś jeszcze nie rozumiem, co znaczą te litery święte, wyciśnione na opłatkach. Będąc dzieckiem, myślałem, że to jakieś słowa z pieśni anielskiéj i z błękitnego języka... Gorąco mi — chciałbym się przejść po pokoju — i lękam się uderzyć czołem o zimne ściany.

(Słychać pieśń wracających żeńców — daleko).

Cicho!.. pieśń żniwiarzy.—O moja wiosko! moja wiosko!.. Jutro w tym domu trumna — księża—sąd... Jutro ta pieśń... jutro inny pan — i nikt się nie zlituje nademną!—Ja przecież wszystko poświęciłem krajowi! — ten dług strwoniłem prochem i kulami... a jutro gdybym żył, byłbym głodny jak pies — i nikt się nie zlituje nademną! Stary i siwy — i sam — bez dzieci. — Oni mię nie pogrzebią w święconéj ziemi. Mój ojciec musiał okropnie zawinić, bo ja cierpię.

Pieśń żniwiarzy wyraźnie.

Pożęli żyto, pożęli jarkę:
Niechaj nam pan da na wódki czarkę.
Plon żyta — plon
Ze wszystkich stron.

Horsztyński. Plon żyta—pochlebiają mi ci ludzie—plon żyta... Widać, że żona moja kazała im beczkę piwa wytoczyć... jaki gwar na dziedzińcu.

Pieśń.

Pożęli żyto, wygnali zajca:
Nie żałuj, Pani, wstążki okrajca.
Plon żyta — plon
Ze wszystkich stron.

Horsztyński. W tej pieśni widzę moje żółte łany — i zielone lasy... Z początku ta pieśń rozdrażniła serce moje, a teraz uciszyła je jak pieśń mojej mamki, jak pieśń kiedyś mojej Izabeli — niech jej światło niebieskie świeci na wieki wieków, Amen... I mnie także niech będzie tak cicho po śmierci, jak kiedyś przy niej, kiedy śpiewała... Cyt!.. ktoś idzie! to ona... Słyszę i poznaję szelest jej sukni... w jedwabnej sukni ubrana... (Wchodzi SALOMEA).

Salomea. Mężu, wyjdź na dziedziniec do ludzi.

Horsztyński. O nie — nie mogę, żono!..

Salomea. Kilku starych chłopów weszło aż na ganek i kłaniali mi się do nóg, prosząc abym im pana łaskawcę wyprowadziła.

Horsztyński. Żono... nie wyjdę!

Salomea. Dlaczego zasmucać tych ludzi?...

Horsztyński. Dlaczego? Bo świat smutny, a ja świata rozweselić nie mogę jak arlekin — bo jestem — ślepy— i stary... Powiedz mi, Salomeo, czy nigdy tu podczas mojej niebytności nie przyniesiono jakich sądowych papierów?

Salomea. Nieraz na drzwiach przybijano mi różne manifesta: barskie, targowiczańskie. Z początku odczytywałam je pilnie — potem rzucałam wszystkie do wielkiej szafy w szpichlerzu.

Horsztyński. To dobrze. Czy ty mówisz zawsze wieczorną modlitwę z czeladką?

Salomea. Zawsze modlimy się razem.

Horsztyński. Dzisiaj nie zapomnij moja żono modlitwy... za tych, co cierpieli — i żyli...

Salomea. Mężu, módl się z nami.

Horsztyński. Nie zdrów jestem — muszę się położyć do łóżka.

Salomea. Zaraz?

Horsztyński. Sally, przechodząc do twego pokoju, stąpaj cicho... Nie, tego ci nie trzeba zalecać... Ale idź bez świecy, bo światło... o! ja szalony! — widzisz, że ja tak jak mój Swiętosz, nie mogę czasem zapomnieć o moich oczach... Nie obudź mię, żono, bo czuję, że mi

snu potrzeba. Chciałbym spać tej nocy. Ty sama bądź przy wieczerzy.

Salomea. Mężu, chcesz, bym czuwała przy tobie?

Horsztyński. Cóż ty, moja gołąbko? Już ci się zdaje, że ja śmiertelnie chory. Czyś ty zapomniała, że kilka miesięcy temu sypiałem na zimnej rosie, pod koniem moim... Jaki to był koń!.. Czułem często, jak nogą zwolna poruszył i dotknął moich piersi — tak ostrożnie, jak Świętosz, kiedy szklankę kryształową stawia na stół. Ten koń w kopytach miał czucie: nie rozdarł nigdy moich piersi — nawet przez sen...

(Salomea zakrywa oczy dłoniami).

Salomeo, pomóż mi pas odwinąć.

(Salomea bierze za jeden kutas pasa, Horsztyński odkręca się jak w walcu, ale zwolna, tak że odchodzi aż na koniec pokoju; pas zostaje w rękach Salomei).

Widzisz, Sally moja, pas ci został w ręku, a mąż się odwinął — i na wieki... Oto historya życia. Rano trzymałaś za koniec pasa, a ja zbliżałem się do ciebie; wieczorem... Co? ty klęczysz przedemną?... Córko moja, kochana moja Sally, ty mię nigdy nie będziesz przeklinać — prawda, że nie będziesz przeklinać pamięci mojej, cobądź przyjdzie na ciebie — z mojej winy... Daj mi rękę — zaprowadź mię ku drzwiom sypialnego pokoju i przechodź sama cicho — bo wiesz, że ślepi słyszą najmniejszy szelest... Dobrej nocy, Sally.

Salomea. Do jutra...

Horsztyński. Co?...

Salomea. Jutro może będziesz mężu spokojniejszy.

Horsztyński. Tak — spokojniejszy...

(Wchodzi do sypialnego pokoju).

Salomea.*) Muszę kazać, żeby się ci chłopi uciszyli na dziedzińcu, aby ten starzec biedny mógł zasnąć... (odchodzi).

---

*) W rękopisie było dane pierwej takie zakończenie tej sceny. Później je autor przekreślił.

Salomea *(sama).* O mój Boże! jaka okropność... Koń mu nie rozdarł piersi nawet przez sen — a on pomyślał: a

SCENA II.

(Przedpokój Hetmana).

(Słychać mocne dzwonienie — HETMAN wpada).

Hetman. Cóż to, na miłość Boga! nikogo? nikogo?...

(KSIŃSKI wbiega).

Ksiński. Cóż to, jaśnie wielmożny Panie?

Hetman. Gdzież moi ludzie? — Ten człowiek musiał rozpaplać przed zgrają o rewolucyi w Warszawie... Każ mu wypalić w łeb, jak psu!.. To nieprawda! Warszawa nie powstała... w Warszawie spokojniej niż w moim łbie siwym!.. Na miłość Boga, zawołaj tu ludzi — zaprzęgać karetę — i wróć tu. — Gdzie jest mój syn?

Ksiński. Wyjechał konno.

Hetman. Kazałem Acanu, abyś kazał zaprząc karetę. — Przykuć łańcuchem do koła tego posłańca z Warszawy; zaciągnę go do Gubernatora wileńskiego... (Ksiński odchodzi). Rwie się, rwie się skała — ale ja zatrzymam ją. Szewcy się burzą... Gdybym chciał, mógłbym się przyczaić w moim zamku i siedzieć jak mysz — ale te papiery... Ha! panie Horsztyński, papiery twoje zgubią Polskę... Pozajutro Moskale nadciągną...

Ksiński (wraca). Wydałem rozkazy.

Hetman. Panie Ksiński, ponieważ mam ciebie pod ręką, muszę cię użyć. Oto skoro szlachta zjedzie się do

---

ty Salomeo... Widziałam ich obu z pistoletami w ręku... Mąż musiał strzelić i nie trafił w Szczęsnego. O Jezu Chryste! ty odwróciłeś tę kulę — wizerunek twój przyjął w piersi jeszcze jednę ranę. O Jezu! broń mię ty od czarnych myśli i snów... Kiedym zobaczyła mego męża z pistoletem, jakaś okropna myśl nienawiści ku niemu przewiała przez moje serce... ale to nie moja myśl — to myśl innéj duszy.— Widzę Szczęsnego: idzie zwolna przez lipową aleję, zapewne do celi księdza... Pójdę zwołać ludzi na wieczorną modlitwę — może będę spała spokojnie. *(odchodzi).*

zamku, syn mój powinien stanąć na czele i natychmiast jechać zbrojno pod Wilno od strony ostrobramskiej. — Są wieści, że jutrzejszej nocy Jasiński tamtą stroną chce się wkraść do Wilna. — Schwytać i natychmiast powiesić go jak szpiega, bez sądu — rozumiesz — nie wierzyć mu, że się nazywa Jasiński.

Ksiński. Tak, jaśnie wielmożny Panie.

Hetman. Ale wiesz ty, że mój syn... choć to niepodobna — może nie zechce stanąć...

Ksiński. Tak, choć to niepodobna, jaśnie wielmożny Panie... może nie zechce...

Hetman. Ty staniesz.

Ksiński. Będę się starał dowieść Hetmanowi, że...

Hetman. Milcz! milcz! milcz! — Słowa — to śmiecie... Otóż jeżeli syn nie zechce, zawołasz do sali moich żołnierzy, co zamknięci w tylnym dziedzińcu — i zaaresztujesz ptaszka. Rozumiesz?

Ksiński. Rozumiem.

Hetman. Wsadzisz go do jakiej ciupy — i sam na koń, pod Wilno! Pan Horda przyprowadzi mi 50 ludzi zbrojnych do mego zamku w Wilnie, a ty z resztą będziesz się uwijał koło Ostrejbramy.

Ksiński. Wszystko się stanie podług Jego woli.

Hetman. Sforka pokaże ci zapas prochu na wieży. Oto mój pierścień — rozumiesz, Mości Panie! Wszyscy ciebie mają słuchać, jak mego maleńkiego palca u ręki...

Ksiński. Dumny jestem zaufaniem..

Hetman. Ale mój syn... ja chcę, aby mój syn był na czele — rozumiesz?

Ksiński. Tak.

(AMELIA wchodzi).

Hetman. Co to za kobieta?—Amelio, czego Acanna?

Amelia. Ojcze, chciej mnie posłuchać.

Hetman. Jutro — jutro!

Amelia. Dziś, ojcze.—Panie Ksiński, oddal się Pan.

(Ksiński wychodzi).

Hetman. Co to znaczy? Ufasz zanadto w moję łaskawość.

Amelia. Ojcze drogi, gdzie ty jedziesz?

Hetman. Do Wilna.

Amelia. Zaklinam ciebie, ojcze, zostań w zamku... Jakieś ogromne grozi tobie nieszczęście.

Hetman. Śniło ci się.

Amelia. Ojcze, byłam sama w moim pokoju i patrzałam, jak wschodził księżyc czerwony. Psy zaczęły wyć głucho i okropnie — odwróciłam się — i wierz mi ojcze, nie uważaj mnie za jasnowidzącą waryatkę: — matka moja była ze mną...

Hetman. Nieboszczka?..

Amelia. Ojcze, jaki ty dobry, że wierzysz mi.— Myślałam, że ty mnie odrzucisz ze wzgardą, a widzę mgłę zamyślenia na czole twojém. Spodziewałam się zawsze, że kiedyś będziesz kochał twoję córkę.

Hetman. Czy mówiła co do ciebie?

Amelia. Milczała długo... struny arfy mojej zaczęły grać same smutnie i powietrzną jakąś pieśń—potém zdawało mi się, że jakiś głos kobiety jęknął — i z płaczem mówił: ojciec twój kona...

Hetman. Ojciec twój?..

Amelia. W okropnem poruszeniu leciałam do twego sypialnego pokoju — otworzyłam drzwi — i znów cień biały był przedemną... Zdawało się, że go przyniosłam z sobą w oczach...

. . . .

(Tu braknie kart cztérech drobnego i nabitego pisma w rękopisie).

. . . .

AKT CZWARTY.

SCENA I.

(Pokój Sforki w pałacu).

(SFORKA — MAŁGORZATA).

Sforka. Idź Acani i nie przeszkadzaj mi.

Małgorzata. Ale mój mężu, dalibóg wbijają Acanu jakieś duby w głowę, a ty wierzysz. Szkoda, że złożyłam czerepy twojéj głowy, ktorą pan Hetman rozbił wczoraj, jak zgniłe jaje.

Sforka. Idź Acani, pilnuj kur i gęsi! Ja czekam na kogoś...

Małgorzata. Zamknę Acana na klucz i nie puszczę tych sowizdrzałów, co ci mózgi mięszają, jak rumianek w filiżance łyżeczką.

Sforka. To nie żaden sowizdrzał, moja duszko. Tu przyjdzie najrozumniejszy człowiek między muzykantami pana Hetmana, człowiek z imaginacyą, pierwszy trombon.

Małgorzata. Jeżeli chcesz grać na trombonie, to za drzwi!

Sforka. Ale ja nie będę grać na trombonie. Czy ty mnie masz za takiego głupca, moja żono?

Małgorzata. Cóż Acan będziesz robić z muzykantem?

Sforka. Pracować.

Małgorzata. Zmyję ci głowę, panie siwoszu, jeżeli mi jeszcze będziesz gadał o tych napolitańskich summach. Miéj to w zanadrzu i basta — a nie pijcie z tym trombonem, jak bibuły. Pójdę na mszą wyprosić u Boga trochę rozumu dla ciebie, bo już mi dziecinniejesz. Źle musiałeś prowadzić się w młodości, panie mężu, jeżeli w sześćdziesiątym roku przychodzi na ciebie grzybowa starość. Piaseczku tobie i kamyczków — baw się lubko!..

(wychodzi).

Sforka. Głupia, głupia! To szczęście, że w księdze rachunków przepisałem na dwie ręce pytania pana Nuncyusza... Ha, pan trombonista!.. (KSIĄDZ wchodzi). Do dyabła, to ksiądz Prokop. — Witam, ojcze wielebny. Czy po barana?

Ksiądz. Niech mi Jegomość wybaczy, że przerywam jakieś zatrudnienie, może rachunki. Chciałem widzieć pana Szczęsnego — mówiono mi, że całą noc niewiadomo gdzie przepędził i nie wrócił jeszcze do pałacu. Ważną mam rzecz do zakomunikowania panu Hrabiemu, rzecz, która obchodzi zdrowie i szczęście drogiej mu osoby. Udaję się do ciebie, panie Sforko, abyś był pośrednikiem między nami. Daj mi kawałek papieru i pióro — napiszę kilka słów do pana Szczęsnego, a ty, mój stary przyjacielu, zechcesz mu je jak najprędzej wręczyć.

Sforka. To mówiłeś, ojcze...

Ksiądz. Prosiłem o kawałek papieru i pióro...

Sforka. Natychmiast... proszę siadać — może kieliszeczek wódeczki?

Ksiądz. Na miłość Boga, panie Sforko! nie zatrzymuj mnie grzecznościami, bo muszę wrócić jak najspieszniej czuwać nad nieszczęśliwą sierotą. Pić nie mogę z tobą, panie Sforka, albowiem mam odprawić mszą żałobną.

Sforka. W czemże mogę usłużyć?

Ksiądz. Proszę o kawałek papieru i pióro... Czy ten starzec ogłuchł?

Sforka. A! kawałek papieru. Oto jest... siadaj i pisz, mości księże, wybacz mi, że cię nie mogę zabawić rozmową—bo prawdziwie ważną mam rzecz do rozwiązania...

(Ksiądz pisze przy biórku).

Sforka. To dziwnie! Wieczorem zdaje mi się, że ta fortuna nie jest niepodobną — a rano zdaje mi się, że to wszystko głupstwo. — Czy ja rozumny rano, a głupi wieczorem? — czy też rozumny wieczorem, a głupi rano?... (Wchodzi TROMBONISTA). Ha! witaj, mości Garnoszu.

Trombonista. Sługa. — Co tu robi ten ksiądz?

Sforka. Wyprawię go natychmiast, mości Garnoszu. Bardzo obowiązany ci jestem, żeś raczył przyjść i dopo-

móc mnie biednemu... Natychmiast zbędziemy się tego księdza —

Ksiądz. Panie Sforko, zaklinam ciebie na starą naszę zażyłość, abyś oddał ten list panu Szczęsnemu, skoro tylko powróci. To rzecz bardzo ważna! los wielu osób zależy od tego kawałka papieru...

Sforka. Bardzo dobrze, przyrzekam. Los zależy od kawałka papieru — zdarza się to często. Czy ten ksiądz wie o mojej historyi?

Ksiądz. Pokój temu domowi!

Sforka. Uniżam się do nóg,.Ojcze wielebny.

(Ksiądz odchodzi).

Trombonista. Cóż będziemy poczynać?

Sforka. Panie Garnoszu, zdarza się często na świecie, że ludzie grają w loteryą. Otóż, jeżeli los wielki wygrają, to są wielkimi panami... otóż... Cóż to jest los, mości trombonisto, co to jest los?—głupstwo — i nie głupstwo! Bo jeżeli stawiasz na loteryą, a nie wygrasz: to mówią ludzie, żeś głupi. A jeżeli wygrasz, to mówią ludzie, żeś rozumny. Cóż to więc jest rozum, panie trombonisto? — rozum — to los.

Trombonista. Postaw, panie Sforka, kufel — i daj ten papier, o którym bajałeś... Obaczymy.

Sforka. Do Acana! (pije). Otóż choćby te pytania do niczego nie prowadziły, to wszelako pij, panie trombonisto! Zdaje się, że łatwo będzie rozwiązać... Czytaj!

Trombonista. Ja czytam nóty na trombon pisane— ale skoropisu nie łaska.

Sforka. Słuchaj!.. Łatwe do zadania,.
Ale trudne do rozwiązania
Zapytania...

Trombonista. Mówią, że trudne do rozwiązania?

Sforka. Chcą nas przestraszyć!.. Odczytajmy i zaczniemy od najłatwiejszych... (czyta:)

P r i m o: Dla czego kij ma dwa końce?
S e c u n d o: Co ja myślę?

Trombonista. Kto myśli, panie Sforka?

Sforka. Nic... Napisano: co ja myślę... i basta... i punkt. Ale posłuchaj dalej!..

Tertio: Jak najprędzej świat objechać?
Quarto: Co Bóg pierwéj stworzył, czy jajko, czy kurę?
Quinto: Co to — ja?...

Trombonista. To mości Sforka, głupie pytanie!.. to głupie pytanie!..

Sforka. Sexto: Co więcéj waży... czy funt piasku, czy funt żelaza?
Septimo: Czém byłby człowiek, gdyby nie był człowiekiem?
Octavo:

Trombonista (przerywa). Zacznijmy odpisywać na pierwsze pytanie, to drugie same się odpiszą...

Sforka. Trzeba przeczytać do końca.

Octavo: Dlaczego mówią: ma ćwieka we łbie?..
Nono: Dlaczego dziewięć pytań, a nie więcéj zadano do rozwiązania?

W postskrypcie jeszcze dodano wierszem:

„Jeśli rozwiąże
Quæstiones, quæ pendent,
Sforka intendent:
To będzie książę...

„Prosimy jeszcze, aby wynalazł sposób puszczania baniek kwadratowych z mydła... i przysłał nam jednę bańkę do Medyolanu na próbkę, pocztą albo balonem."

Cóż sądzisz Acan?

Trombonista. Sądzę, że bańkę z mydła trzeba wydmuchać. Inaczej, wszystko będzie jak bańka z mydła.

Sforka. Ale ja sądzę, że ostatek na ostatek... Naprzykład, powiedz Acan, dla czego kij ma dwa końce.

Trombonista. Dla czego? jakto dla czego?

Sforka. Mnie się to wszystko takiém głupstwem wydaje, że przyznam ci się, mam ochotę plunąć.. i basta.

Trombonista. Otóż ja przeciwnie... Radzę Acanu

nie zrażać się trudnościami. — Ale pójdźmy do drugiego zapytania... czytaj Pan!

Sforka. A z pierwszem co zrobić?

Trombonista. Pst!.. pierwsze to głupstwo!.. Co tam dalej?..

Sforka. Secundo... co ja myślę?

Trombonista. To bardzo łatwe do rozwiązania, co ja myślę...

Sforka. Ale co ja myślę?

Trombonista. Jakto? co Acan myślisz? — Czy ja wiem, co Acan myśli?

Sforka. Ale kto to ten ja? —

Trombonista. Ten, co pyta Acana... To jasno, jak słońce...

Sforka. Może to się jakoś rozwiąże. Idźmy dalej... Jak najprędzej świat objechać?

Trombonista. To mości Sforko, rzecz najłatwiejsza. Gdyby na świecie nie było morza, to pocztą... Gdyby nie było ziemi, tylko morze, to okrętem. Ponieważ jest i ziemia i morze na świecie, więc objechać pocztą i okrętem! Pisz, panie Sforka: pocztą i okrętem.

Sforka. No, niech tak będzie! Choć mi się to nie bardzo podoba... pocztą i okrętem... Ujdzie!.. ujdzie!..

Trombonista. A ja mówię Acanu, że to nawet bardzo ujdzie...

Sforka. Winien ci będę panie trombonista... No basta!.. dalej!.. Pij, przyjacielu...

Trombonista. Widzisz, że nie tak straszny wilk, jak się wydaje.

Sforka. Hum! Hum!.. Ale ty wiesz, że to trzeba wszystko wygotować przed wieczorem; bo jeżeli nie... to finfa...

Trombonista. Więc spieszmy się, panie Sforcya!

Sforka. To już mnie Acan nazywasz panie Sforcya?

Trombonista. Ha! wszystko idzie jak z płatka. Czytaj mości Sforko!

Sforka. Co pierwéj Bóg stworzył, czy jajko, czy kurę?

Trombonista. Jak się Acanu wydaje?

Sforka. Kurę.

Trombonista. Mógł wprawdzie stworzyć kurę, ale mógł stworzyć i jajko. Trzeba odpisać z pewnością.

Sforka. Ale gdyby stworzył jajko — któżby je wysiedział?

Trombonista. Kura.

Sforka. Omyliłem się na Acana imaginacyi, mości trombonisto! Jakżeż kura?.. to głupia odpowiedź.

Trombonista. A ja dowiodę Acanu, że nie głupia. Ja pewny jestem, że jajko stworzył. A naprzykład, gdyby kury nie było, to wiesz Acan, że ciepło człowieka może... albo w piecu...

Sforka. Ale kiedy pieców nie było, mości dobrodzieju!

Trombonista. To Ewa mogła wysiedzieć. Więc to rzecz najłatwiejsza do rozwiązania. — Każ Acan żonie swojej spróbować. A jeżeli wysiedzi jajko, to Bóg stworzył jajko.

Sforka. Ja nie chcę zaczepiać mojej żony.

Trombonista. Więc odpisz prosto: jajko — odpisz: jajko. Ja ci ręczam, że jajko.

Sforka. Zdaje mi się, że ja to wszystko przemienię, namyśliwszy się głęboko. A teraz, do czasu, niech tak będzie! — Czytajmy... Quinto: co to ja?

Trombonista. Ale to już było to pytanie.

Sforka. Gdzie?

Trombonista. Wyżej!.. Już rozwiązałem i zapomniałem dawno.

Sforka. Ale ja ci ręczam, że nie było... Co to ja?

Trombonista. Głupie pytanie, co to ja!

Sforka. Ty — trombonista.

Trombonista. Ha! więc pisz: trombonista.

Sforka. Za pozwoleniem! Któż wie, że Acan byłeś ze mną i pytałeś się mnie, co to ja? Owszem, nie trzeba, aby się domyślili ludzie, że Acan pomagałeś mi w skrypturze.

Trombonista. Ładu z Acanem dójść nie można!

Sforka. O! gdyby tu karła hetmańskiego! On ma więcej rozumu w garnku, niż cała muzyka Hetmana.

Trombonista. Karzeł by tobie inaczej nie odpowiedział, mości Sforko! Spytaj go: co to ja? a powie: trombonista. A karzeł spyta mnie, to mu powiem: jesteś karzeł. A spytaj mnie, Panie Sforko, co to ja?

Sforka. Dalibóg od godziny pytam, co to ja?

Trombonista. Ty — indendent Sforka.

Sforka. Ja wiem, że ja indendent Sforka.

Trombonista. A dla czegoż pytasz Acan o takie głupstwo?

Sforka. Ale kiedy to nie ja pytam Acana, ale ten papier pyta.

Trombonista. Jak to papier?

Sforka. Żegnam ciebie, panie trombonisto. Bałamucisz mnie i potem kłócisz się ze mną, jak z dzieckiem. Odczytam Acanu te pytania, jak sam na nie odpiszę.

Trombonista. Nie odpiszesz, panie Sforka — dalibóg nie odpiszesz!

Sforka. Pęknę, a odpiszę.

Trombonista. Do dziś wieczora?

Sforka. Do dziś wieczora!

Trombonista. Na wszystkie?

Sforka. Co do joty!

Trombonista. I na bańkę z mydła odpiszesz?

Sforka. Bańka!.. Dalibóg nie pomyślałem o bańce.

Trombonista. Otóż jeszcze przez przyjaźń poradzę tobie, panie Sforko, względem bańki. Wszak powinna być kwadratowa?

Sforka. Tak.

Trombonista. Otóż trzeba wynaleść kwadratową słomkę...

Sforka. I ja wiem o tem... ja wiem o tem... Ale jak posłać próbkę... pocztą?..

Trombonista. Posłać mydło i kwadratową słomkę, to rzecz jasna. Niech sami Medyolańczycy puszczają bańki.

Sforka. Prawdziwie! Pójdę na pole szukać słomki... a ty gdzie idziesz?

Trombonista. Grać na trombonie.

Sforka. Przyjdź Acan zajrzeć wieczorem w pytania.

Trombonista. Uniżam się do nóg.

Sforka. Wyjdziemy razem... (Zapomina listu na stoliku — wychodzą).

SCENA II.

(Odkrywa się głąb teatru — ogromna sala zegarowa, — wieża w głębi — stoliki nakryte zielonem suknem. Młodzież gra w karty, pije i pali lulki. KSIŃSKI pomiędzy nimi. Jedni grają, drudzy tłumami chodzą i rozmawiają; ciągły gwar i śmiech).

Pierwsza grupa. — O dwie butelki szampana!

— Na honor...

— Ale kiedy ja się zakładam z tobą...

— Dajcie pokój!.. Zakładacie się o rzecz bardzo jasną dla drugich.

— Cha! cha! cha!.. Widziałeś ty kiedyś Kościuszkę?

— Gdyby mu był szlachcic dał córkę, siedziałby teraz spokojnie i siał grykę. A tak — bruździ i hałasuje.

— Acan także podobno w konkurach nieszczęśliwy?

— Wygrał! wygrał Wschowski — płać szampana!..

— O co zakład?

— Mówiłem wam, że gdyby się był ożenił Kościuszko z córką tego szlachcica, który pogardził biednym inżynierem: nie byłby pojechał do Ameryki i nie byłby dziś straszny człowiek.

— To tak, jak Kromwel, co już był wsiadł na okręt, płynąc do Kolonii jako majtek. Aż tu rozkaz królewski przyszedł, aby okręt nie odpływał. Kromwel został — i z nudy zaczął być wielkim republikaninem.

— Co? ty Kościuszkę równasz do Kromwela?

— Słuchajcie — założył się Wschowski i nie może kupić szampana, bo tu darmo dają!

— Szampan taki, to nie szampan zakładowy!

— Do Wilna — kupi w Wilnie...

(Ksiński włazi na stół).

Ksiński. Panowie! uciszcie się na chwilę! Panowie!

proszę o chwilę milczenia!.. Panowie! Oto całą noc przepędziliśmy wesoło na kartach, czekając na pana Hetmanowicza, który miał nam dowodzić — który się nie pokazał w zamku... Więc...

— Więc i który! — Brawo, Ksiński! — więc!..

Ksiński. Panowie! Oto pierścień Hetmana — uszanowanie! Otoż ja obowiązany jestem wziąć nad wami dowództwo i prowadzić na wskazane miejsce.

— Czekać na pana Hrabiego!.. Czekać — czekać!

Ksiński. Poczekamy nań jeszcze kwadrans. Dłuższa zwłoka ściągnie na mnie wielką odpowiedzialność. Skończyłem. (złazi ze stołu).

— Brawo mowca! podrzucać go — podrzucać go!

(Chwytają Ksińskiego i podrzucają w górę).

— Hej! zdjąć firanki i na firankach podrzucać!

Ksiński. Ale ja mam ostrogi — zaczepię się i rozedrę firanki. Dosyć, Mości Panowie! to za wysoko! dosyć! Bardzo proszę — bo się będę gniewał.

— Przestańcie już grać w pęcherzowy balon!

— Gdzie poeta? niech improwizuje!

— Albo niech pan Kleofas śpiewa piosenkę swojéj kochanki, która kiedy gra na gitarze, to zdaje się, że woda leje się ciurkiem w cynowe naczynie...

— Jaka woda?

— Z czego?

— Śpiewaj poeto piosenkę panny Anieli!

Poszła Filis do ogrodu,
Nie mówiąc matce powodu...

(Wchodzi SZCZĘSNY, czarno ubrany. Gwar z początku głośny ucicha stopniami. Niektórzy ściskają Szczęsnego za rękę, inni kłaniają się z daleka).

Ksiński. Mamy ciebie, panie Hrabio. — Bardzo się cieszę, że przecie... Chcesz? zapoznam ciebie z głowami...

Szczęsny. Jakto z głowami?

Ksiński. Koledzy! widzę, że nasz hetman w różowym humorze... Wszak hetmanisz nam, panie Szczęsny? Gdzie to noc przepędziłeś? Widzę kwiatki polne pozaczepiane na twoim kontuszu i we włosach... (po cichu). cyt!

u Maryny? — (głośno) Sentymentalnie z gwiazdami pan Szczęsny noc przepędził, moi mości koledzy szlachta, ale ręczam, że na koniu nie zaśnie.

Jeden z obecnych. Ale patrzaj, on dalibóg jak śpiący. Co jemu dolega?

Szczęsny. Proszę panów bawić się — i być jak we własnym domu... Panie Ksiński, bardzo mi smutno, że zamroziłem tak nagle wesołość...

Ksiński. Panie Hrabio, zaklinam ciebie: obudź się i bądź przecie człowiekiem! — tak nie pojedziesz z nami!

Szczęsny. To rzecz obojętna.

Ksiński. Jakto obojętna?

Szczęsny. Obojętna dla mnie... Panowie grają w karty?

Głos z tłumu. Faraonik... Panie Hrabio, spróbuj szczęścia!

Szczęsny. Szczęścia?

Ksiński. Dajcie pokój z faraonem, na Boga!

Szczęsny. I owszem, będę grać. (zbliża się do stołu).

Jeden z gości. Co pan Hrabia stawi?

Szczęsny. Moję osobę — to jest, moje przedsięwzięcie. Jeżeli wygracie, będę z wami; jeżeli ja wygram, zrobię, co mi się podoba.

Ksiński. Szczęsny, to śmiesznie!

Szczęsny. Wcale nie! Mówię z wielkiém zastanowieniem się... Król...

(ciągną faraona).

Gość. Król!.. Wygrałeś, Panie Hrabio.

Szczęsny. Karta bankiera?

Gość. Król... to rzecz dziwna!..

Szczęsny. W takim razie...

Gość. Połowa summy dla bankiera.

Szczęsny. Połowa mojéj woli do was należy. — Cóż wy zrobicie z połową mojéj woli?..

Ksiński. Połowę twojéj woli mamy, Panie Hrabio! to już wiele!.. Musisz nam drugą darować!..

Szczęsny. Ha!.. zapomniałem spytać o cel wyprawy?

Ksiński. Jakto?.. Żartujesz, Panie Szczęsny!.. Sprawa twojego ojca — sprawa narodu...

Szczęsny. Wy myślicie o sprawie narodu? Czy państwo wszyscy jesteście szlachta?

Głosy. Wszyscy! wszyscy! wszyscy!

Jeden. Oprócz mnie.

Szczęsny. Kto to krzyknął: oprócz mnie?

Ksiński. Któryś z panów chciał pożartować.

Szczęsny. Niech ten, kto się nie zaparł, stanie przy mnie. Jak to? żaden z panów?

— Pan Hrabia jak Dyogenes, z latarnią szuka człowieka.

Szczęsny. Jak dziwnie ten głos zabrzmiał w sercu mojem!.. Ja go muszę odkryć, tego człowieka.—Słuchajcie mnie, Panowie! Jest coś w atmosferze rewolucyjnej tego zamku, co zapala moje zmysły i duszę. Konia i lancę!.. Dajcie mi konia i lancę!—będę z wami. Ludzie — mrówki — robaki — kamienie— mijam w przelocie konnym. Nic, z którego nic zrobić nie można, a co się nazywa narodem — to wszystko w moich oczach przybrało dziwną błahość. Jeżeli wy nie macie dosyć ognia na topienie koron, dosyć brylantów na tworzenie innych: — to ja wam wleję cały ogień, wysypię na was wszystkie skarby duszy mojej. Bo ja wam przysięgam, że wasza myśl nigdy nie ogarniała takich przestrzeni, jak moja powszednia kraina marzeń!..

Głosy. Vivat Szczęsny! vivat! vivat!..

Szczęsny. Cicho! — Wiecie wy, że my stworzymy kraj z brązową twarzą dawnych narodów? — Miecz będzie dłutem... Serce kraju ukształcimy na wzór żelaznego wołu Dyonizyusa. — Będzie ryczeć okropnie paszczą ognistą na cztery końce świata — jękiem zamkniętych i palonych we wnętrzu nędzarzy i męczenników... Czy serce wasze bije litością?... Ojcowie nasi mieli prawo zabijania, a my nie możemy wystawić teatru gladyatorów na zahartowanie serca dzieci naszych. Powiedzcież, żaden z was nie doznał niebieskiej rozkoszy? nie czuł się wyższą istotą, kiedy go chłopi wioski jego czcili jak Boga i przyznawali zwierzęcym instynktem wyższość natury? — Szaleńcy i przeklęci, co chcą pozbawić następne pokolenia tego uroku, tej puścizny, dawanej przez los szczęścia, zaczętego w kołysce, a skończonego wspaniałością marmurowych grobowców!..

Ksiński. Szczęsny!..

Szczęsny. Wszystkie wasze dumy pomieszczą się w mojém sercu. Starałem się długo otruć żywotną myśl wielkości błahymi napojami uczuć. I nie mogłem!.. Myśleliście, że wy mnie będziecie prowadzić... Ja was wtrącę w taki wir, że będziecie jak ludzie pijani albo lunatycy chodzić po gzymsach ogromnej budowy. Biada temu, co się przebudzi — któremu nad uchem zawołają: zdrajca!.. Zbudzi się — i upadnie w przepaść. Macie wy czoła tak blade, że na oczy świata blednąc nie będą? — albo policzki tak rumiane, że napiętnowane uderzeniem całego ludu, płonąć nie będą? Jeżeli utworzeni jesteście z żelaza, to mówię wam, że będę z wami. — Bo ja szukałem czegoś twardego i wielkiego na ziemi — będę zgrzytał i giął w ręku żelazne sztaby, a raz zasnąwszy snem okropnym upojenia — nie obudzę się, póki ostatni z was nie skona za moję wielkość i dumę. Duma jest duszą duszy mojej. — Będę szczęśliwy, wywracając przesądy i prawa — jak byłem szczęśliwy nieraz, wygrywając partyą kościanych szachów. Duma jest to harfa, która ma tysiąc strun — tysiąc wielkich i cienkich tonów, tysiąc wzniosłych i błahych tryumfów. — Stańcie wy na szachownicy świata . . . .

. . . .

(Tu braknie dwóch kart w manuskrypcie.)

. . . .

......pismu, które ja sam podpisałem.

Ksiński. Pan Hrabia odpowiesz przed ojcem!

Szczęsny. Podpisałeś Panie Ksiński?

Ksiński. Podpisałem.

Szczęsny. Koszta podjęte przez Panów zapewne zwrócone będą przez mego ojca. Żegnam was, Panowie!

Ksiński. Dalibóg, tęgi z ciebie chłopiec, Panie Szczęsny! zadrwiłeś z nas.

Szczęsny. Nie! to mi wcale obojętne. Bywaj zdrów, sąsiedzie!

Ksiński. Zarekomenduj mnie twojemu przyjacielowi...

Szczęsny. Poznam was kiedyś... To bardzo godny człowiek — ale nie wiem jego nazwiska.

Ksiński. Upadam do nóg.

Szczęsny. Chodź tu!.. Jakiś mam ciężar na sercu. Przyrzecz mi, że nikomu nie powiesz o tej dzisiejszej scenie. Dziecinną mi się wydaje, marzyliśmy kiedyś z tobą w szkołach o wielkiej sławie. Widzisz, że ja teraz pokazuję maryonetki, zabity jestem na sercu, jak inni ludzie zabici na duszy. Jutro może będę i na duszy zabity...

Maryna. Panie Szczęsny, Pan się gniewa na Marynę?

Szczęsny. Co? ty płaczesz, dziewczyno! Dalibóg ładna, jak aniołek!.. chodź... (całuje ją w czoło). Gdyby widok tej dziewczyny nie obudzał w sercu mojem nikczemnych pamiątek, kto wie, czem byłbym teraz.

Maryna. To już ja paniczowi niepotrzebna?

Szczęsny. Idź do chaty — weź twoję płócienną spodnicę i wianek bławatkowy. I siedź w oknie, uśmiechając się do młodych chłopców. Przyślę ci posag...

Maryna. Ale Panicz mnie będzie zawsze kochał?

Szczęsny. Idź kochaj męża i potem kochaj dzieci twoje! Niech twoje życie będzie spokojne i szczęśliwe!..

Maryna. Jak Panicz mówi, to mi się chce płakać... Mnie tak dobrze było, kiedy się Panicz do mnie uśmiechał.

Szczęsny. Zapomnisz o mnie...

Maryna. Kto wie!.. A może zawsze, jak pomyślę o Panu... jak pomyślę o Panu... kochaj mnie Panicz, bo ja biedna dziewczyna!..

Szczęsny. Słuchaj: czy jak umrę, posadzisz mi różdżkę rozmarynu na mogile?..

Maryna. Panicz nie umrze! Panicz nie umrze!.. Jak Panicz mówi takie rzeczy — bo już Panicz raz mówił, że chce umrzeć: to ja płakałam przędąc na kołowrotku.

Szczęsny. Posadzisz mi garstkę rozmarynu... Ale nie rwij tego rozmarynu potem do ślubnego wianka, bo to mnie bardzo zasmuci. Idź do chaty...

Maryna. Ale Pan przyjdzie?

Szczęsny. Może... jutro... przyślę ci posag...

Maryna. Ale Pan przyjdzie...

(odchodzi).

Nieznajomy. Szczęsny, ty marzysz o jakiejś smutnej rzeczy...

Szczęsny. Nie wiem, dlaczego — ale jestem senny. Czy sądzisz, że mój ojciec...

Nieznajomy. Na ojca twego padają podejrzenia — ale nie lękaj się o jego życie. — Lud nasz przywykł szanować wielką władzę — i blaskiem bogactw odepchnięty jest daleko od możnych ludzi...

Szczęsny. Ale są jakie podejrzenia na moim ojcu?

Nieznajomy. Tak! oskarżają go o dumę — i ambicyą... Mówią nawet... ale to tylko między wyższemi osobami...

Szczęsny. Gdyby mnie nazwano zdrajcą — zdrajcy?.. Ty jedziesz do Wilna...

Nieznajomy. Tak.

Szczęsny. Czuwaj nad nim!.. weź arabskiego konia z mojej stajni. Jeżeliby co się zdarzyło tego wieczora, znajdziesz mnie jeszcze...

Nieznajomy. Co to znaczy: jeszcze?..

Szczęsny. Ojciec mój nie doczekawszy się swoich ludzi, zapewne jutro rano wróci do zamku.

Nieznajomy Cóż zamyślasz robić?

Szczęsny. Nic... W bramie będzie sosnowy próg — z czterech desek...

Nieznajomy. Szczęsny, czyliż ja ciebie widzę wyniszczonym przez pierwszy czyn twojego życia? Wysiliłeś się, rzucając pierwszy pocisk na świat spróchniały?

Szczęsny. Nie pytaj, co się dzieje w sercu mojém... Słyszałeś, jakem gadał do tych ludzi, kiedy byłem w zapale.

Nieznajomy. Kłamałeś sam sobie i tym ludziom.

Szczęsny. Kto wie?.. Może w tych wyrazach była część najprawdziwsza myśli mojej —

Nieznajomy. Nie wierzę!.. nie wierzę na Boga!

Szczęsny. Jedź do Wilna i zostaw mnie samotności.. Przebyłem wiele smutnych wypadków, a mam przeczucie, że to nie koniec wszystkiego...

AKT PIĄTY.

SCENA II. *)

(Sala w pałacu, jak w Akcie I.).

(AMELIA prowadzi maleńkiego MICHASIA za rękę).

Amelia. Nie wiesz ty, gdzie braciszek Szczęsny?

Michaś. Widziałem go, siostrzyczko. Spał na sofie zielonej.

Amelia. Spał? Od nikogo dowiedzieć się nie mogę, co się stało w tym zamku. Taki był gwar — teraz tak cicho i spokojnie.

Michaś. Czy ty, Ameleczko, powiesz mi dziś jaką śmieszną bajeczkę?

Amelia. Wczoraj zapomnieliśmy zmówić pacierz, Michasiu.

Michaś. Cóż to szkodzi, Amelko?

Amelia. Bozio może się będzie gniewał na ciebie.

Michaś. Nie będzie gniewał się, nie będzie — ja mu dam bębenek.

Amelia. Mój kochany wróbelku, chodź pocałuj mnie, mocno — mocno...

Michaś. O tak! (rzuca się jéj na szyję).

(SZCZĘSNY wchodzi, zadumany).

Szczęsny. Co to? już noc?... Jakiś sen ciężki spadł na moje powieki. Śpię od południa. (spostrzega Amelią). Ha! — Amelio, dobry wieczór. Spałem, jak przed burzą, ciężko i głęboko... Czy pogodny czas?

---

*) Sceny I tego aktu braknie.

Amelia. Księżyc świeci, wieczór bardzo spokojny i chłodny.

Szczęsny. Pogodny? (otwiera okno). Czy nie przyjechał ojciec?

Amelia. Nie. — Chodź Michasiu spać, już późno...

Michaś. Nie późno — nie późno!.., Braciszku, pohojdaj mnie na nodze!..

Szczęsny. No — trzymaj się chłopcze.

Michaś. Jeszcze — jeszcze!

Szczęsny. Dosyć... jutro pojedziemy na koniku.

Amelia. Jeżeli grzecznie zmówisz paciorek.

Michaś. To ja przed braciszkiem zmówię paciorek.

Amelia. Dobrze. Klęknij tu na dywanie i złóż rączki. Mów za mną: — Boże...

Michaś. Bozio...

Amelia. Daj zdrowie...

Michaś. Daj zdrowie...

Amelia. I szczęście...

Michaś. I szczęście...

Amelia. Mojemu papie...

Michaś. Mojemu papie...

Amelia. Bratu Szczęsnemu — siostrze Amelce...

Michaś. Bratu Szczęsnemu i siostrzyczce Amelce...

Amelia. I wszystkim ludziom.

Michaś. I wszystkim ludziom.

Amelia. Zmiłuj się Boże i weź do nieba...

Michaś. Zmiłuj się Boże i weź do nieba...

Amelia. Mamę moję...

Michaś. Mamę moję...

Amelia. I miej litość...

Michaś. I miej litość...

Amelia. Nad mamą Amelki.

Michaś. Nad mamą Amelki.

Amelia. Boże...

Michaś. Boże...

Amelia. Daj Michasiowi rozum...

Michaś. Daj Michasiowi rozum...

Amelia. I kochaj mnie, jak będę grzeczny...

Michaś. I kochaj mnie, jak będę grzeczny.

Amelia. Amen.

Michaś. Amen.

Amelia. Szczęsny, jak daleko od nas czas, kiedy mówiliśmy taki cichy pacierz...

Szczęsny. Bardzo daleko!

Amelia. Wiesz ty, jaki smutny wypadek w zamku? Biedny staruszek Sforka zwaryował — żona powiozła go do Wilna do szpitalu Bonifratrów.

Szczęsny. Jak to do szpitalu?

Amelia. Mówi, że tam bardzo dobry doktor — i dla tego woli męża oddać pod dozór dobrych księży, niż go wystawiać w zamku na śmiech lokai.

Szczęsny. Cóż za przyczyna waryacyi?

Amelia. Żona pana Sforki wróciła z kościoła i zastała męża puszczającego bańki z mydła. Puszczał je i śmiał się — dmuchał i płakał. Rozgniewana i zadziwiona staruszka rozbiła spodek filiżanki z mydlaną wodą—i połamała słomki. Starzec rzucił się na nią, jak wściekły— aż nareszcie musiano go związać. Widziałam, jak go związanego wynieśli ludzie i posadzili w kałamaszce. Pytał wszystkich: co to ja? co ja myślę?— Hajduki śmiali się — a żona biedaczka tak płakała, że aż litość była patrzeć...

Szczęsny. Waryacya — to rzecz okropna!... Idź połóż spać Michasia... Przyjdę potem pomówić z tobą... Wiele mam smutnych myśli, które dawno leżą na sercu. Przyjdę do ciebie siostro, może się wyspowiadam z całego życia...

Amelia. Mój najmilszy, będę ciebie czekać i nastroję moję harfę... Pocałuj braciszka, Michasiu, pójdziemy spać...

Michaś. A jutro na koniku...

Amelia. Będę ciebie czekać, Szczęsny...

(odchodzi z dzieckiem).

Szczęsny. Jak sen dziwnie odświeża i hartuje myśli. Zdaje mi się, że gotów jestem zacząć drogę czynnego życia. — Myślałem o śmierci, jak o ostatniem schronieniu.

Nie! Zacznę jeszcze walczyć z wypadkami i z ludźmi — wytrzymam spojrzenie ojca — i pokonam go spokojnością czoła... (wchodzi SŁUGA).

Sługa. Panie! dziwne biegają wieści. — Żydzi mówią we wsi, że rewolucya w Wilnie.

Szczęsny. Rewolucya?... dzisiaj?...

Sługa. Powiadają, że zaczęła się o siódmej godzinie wieczorem... Wzięto arsenał... lud cały uzbrojony...

Szczęsny. Każ osiodłać konie! zbierz co jest ludzi w zamku, niech się uzbroją natychmiast! natychmiast!

Sługa. Żyd arendarz, rozsądny człowiek, radził, aby iluminować zamek: to płyty idące do Wilna zaniosą wieść o tém, że się nasz pan zdeklarował...

Szczęsny. Nie trzeba!.. Nasz pan w Wilnie... Nie lubię tych świateł, co z po za szyb rzucają jakieś blade światła na pokoje. Osiodłać konie!

Sługa. Mówią jeszcze żydzi, że kilka dni temu była rewolucya w Warszawie...

Szczęsny. Osiodłać konie!... (Sługa odchodzi). Warszawa — Wilno — Polska cała — naród — ja. — Orszak ogromnych wypadków przesuwa się przed mojemi oczyma. Jak się weń wmięszać — jak stanąć — gdzie?... Czém być?... Czém będzie mój ojciec?... O! ja mu się rzucę do nóg i będę płakał jak dziecię, prosząc za biednymi ludźmi, co się miotają w ogromnej sieci wypadków. Zdaje się, że słyszę krzyk rewolucyjny ożywających gruzów... Boże wielki! ja się dawno nie modliłem do ciebie, a teraz czuję serce moje wołające z głębi wnętrzności o litość nad nami... Nad nami? Czém ja jestem? Ja nie powstałem!.. Krzyczę między czterma murami wtenczas, kiedy inni umierają w milczeniu... Będę spokojnie patrzał na walkę ludu, jak na rzeź gladyatorów... W imię Boga idę skonać!..

(Wstaje i chce wychodzić. CIEŃ HETMANA wchodzi przez drzwi przedpokoju, staje na środku i macha ręką na Szczęsnego, aby został).

Szczęsny. Ojcze... ty wracasz?... Co mamy robić?

(Cień pokazuje ręką, aby został).

Ojcze... ale mów!.. Przecie ty będziesz z narodem?...

Cień. O! o! o!.. (Przechodzi przez salę i wchodzi do gabinetu).

Szczęsny. Na Boga!.. taki cichy i biały... włosy mi powstają na głowie... (dzwoni — wchodzi SŁUGA). Co to? Pan przyjechał?... co wam rozkazał?... czy mówił do was?...

Sługa. Pan?!..

Szczęsny. Czy byli ludzie w przedpokoju?

Sługa. Było nas czterech.

Szczęsny. To spaliście pewnie! Idź do gabinetu i zapytaj pana, czy nie chce czego.

Sługa. Ale ja przysięgam Panu Hrabiemu, że pan Hetman nie wrócił. — Słyszelibyśmy zajeżdżający powóz.

Szczęsny. Musiał konno przyjechać... Jest teraz w tym gabinecie — zobacz...

(Sługa otwiera drzwi do gabinetu).

Sługa. Panie Hrabio — tu nie ma żywej duszy.

Szczęsny. Kłamiesz!.. Mój ojcze!.. (patrzy do gabinetu). O!.. czy ja dostałem pomięszania zmysłów?... szklankę wody!

Głos Hetmana. Szklankę wody!..

Szczęsny. Czy słyszałeś?... Wszak to głos mojego ojca — prosi o szklankę wody.

Sługa. Ja nic nie słyszałem, Panie.

Szczęsny. Ale ja przysięgam, że słyszałem głos mego ojca...

Sługa. Gdzie?

Szczęsny. Tu! (uderza nogą). Może wszedł do pokojów na pierwszem piętrze — szukajcie ze światłami, może jest na pierwszem piętrze...

Sługa. Ale Pan mówiłeś, że wszedł do tego gabinetu... Z gabinetu nie ma wyjścia.

Szczęsny. Logika sługi... to rzecz dziwna!.. Idź, bo ja muszę być chory... Nie mów nikomu w zamku... Na Boga nie mów nikomu!.. bo ja muszę być chory...

Sługa. Czy zawołać doktora?..

Szczęsny. Nie — nie!.. Co to za tętent?... Ktoś jedzie konno w mojej głowie...

Głos w przedpokoju.

Gdzie pan Szczęsny! gdzie Szczęsny?...

(wpada NIEZNAJOMY).

Nieznajomy. Szczęsny! Szczęsny!.. (do Sługi). Odejdź!..

(Sługa odchodzi).

Szczęsny (odpycha Nieznajomego, patrzy na niego długo). Ojciec mój — musiał umrzéć... Ja widziałem cień mojego ojca... Ojciec mój musiał umrzéć...

Nieznajomy. Umarł.

Szczęsny. Ha!.. (pada na krzesło).

Nieznajomy. Nie wiem, co mu powiedzieć...

Szczęsny. Daj mi rękę... pomóż mi wstać... trzeba wiedzieć o wszystkiem... Wiesz... a przynajmniej dowiedź mi w godzinie nieszczęścia, że mnie masz za człowieka. Opowiedz wszystko... jak tam było... w Wilnie. Patrz mi ciągle w oczy i trzymaj oczyma myśl moję, bo mi się głowa zawraca... Ale powiedz wszystko... bo jeżeli moja imaginacya będzie musiała kończyć obrazy, to gotów jestem — rozumiesz?... Co widziałeś?..

Nieznajomy. Siądź.

Szczęsny. Nie... stać będę... lżéj... opowiadaj!..

Nieznajomy. Otóż... w nocy o godzinie siódmej Jasiński z trzystu ludźmi przeszedł wyłomem muru koło Ostrejbramy — księżyca jeszcze nie było — przed Ostrąbramą świeciła lampa... Spiskowi idąc przed nią, żegnali się... i cicho podsunęli się wszyscy pod odwach naprzeciw ratusza. Jasiński poskoczył szybko i zabił szyldwacha, tak że Moskal nie jęknął... Chwycił za karabin. Spiskowi rozebrali broń z kozłów i tarabany. Jasiński rozesłał barabańszczyków na wszystkie ulice — i rozkazał, aby skoro uderzy ósma godzina, wszyscy zaczęli bębnić. Sam ulicą zamkową z dwiestu piędziesięciu ludźmi poszedł na Arsenał... Uderzyła ósma... we wszystkich ulicach ozwały się bębny — Moskale w popłochu sądzili, że na każdej ulicy stoi oddział żołnierzy — i uciekali od bębna do bębna... Jasiński wziął arsenał — i kazał bić we

dzwony... Okropny rozgłos dzwonów obudził lud — zaczął w arsenale zbierać się — broń rozebrał i mordował Moskali... Byłem przy Jasińskim — wszyscy polscy panowie będący w Wilnie nie mieli się czego lękać — bo lud zajęty był Moskalami... Wtém jakiś stary przedziera się do Jasińskiego i podaje mu plikę papierów. Jasiński kazał podać pochodnie i przeczytawszy papiery, płunął i rzucił je ze wzgardą. — Lud rozerwał między siebie listy... zaczął się zbierać koło tych, którzy umieli czytać, i długo nie mogłem pojąć tej sceny. Myślałem, że to były proklamacye i manifesta... Nagle słyszę... krzyk z tysiącznych ust: Hetman zdrajca!.. potém... jeszcze okropniejsze słowo...

Szczęsny. Mów!

Nieznajomy. Wieszać!.. (Szczęsny chwieje się cały i daje znak ręką). Przedzierając się, a raczej niesiony z falą ludu, oparłem się aż o sztachety pałacu twego — Hetmana... Lud zapchał całe schody — i wył, jak hyena... Nagle coś zleciało z otwartego okna i przebiło się na pół na żelaznych sztachetach... to był karzeł. — Skonał wijąc się jak robak na ostrzu żelaznem...

(Szczęsny trzęsie się).

W kilka chwil potém wyprowadzono... Blady był, ale spokojny.

Szczęsny. Ubrany?...

Nieznajomy. W szlafroku. W ręku coś ściskał — tak mocno, że nikt mu nie mógł ręki otworzyć.

Szczęsny. Mówił co?

Nieznajomy. Mówił: szklankę wody.

Szczęsny. Dali mu?

Nieznajomy. Jeden w tłumie chciał lud odwrócić namową od zapędu: chciał, aby sądowi oddano nieszczęśliwego... (Szczęsny ściska za rękę). Potém jakiś ksiądz zbliżył się i słuchał spowiedzi. Spowiadający się był nieco roztargniony i patrzał często...

Szczęsny. Nie dręcz mnie!.. patrzał w stronę zamku... czekał, jeszcze czekał!..

Nieznajomy. Spokojny był... i uśmiechnął się. Po-

tem otworzył dłoń ściśnioną — w dłoni była papierowa tabakierka — zażył... i jednemu człowiekowi, co nic nie mówił i patrzał na niego, oddał tabakierkę. (Szczęsny wyciąga rękę, ale nagle ją odsuwa machinalnie). Krótko cierpiał...

Szczęsny. Jak krótko?...

Nieznajomy. Pół minuty, nie więcej...

(Szczęsny dobywa zegarka i patrzy).

Szczęsny. Ale to długo!.. patrz, jak to długo!.. widzisz, że ja spokojny... Bądź zdrów! (chce iść).

Nieznajomy. Szczęsny! Na miłość Boga, gdzie idziesz?

Szczęsny. Ale... idę odczepić ojca z szubienicy.

Nieznajomy. Spokojności — rozwagi, mój przyjacielu!

Szczęsny. Ja nie zabiłem ojca mego — ale gdybym był pojechał z ludźmi przed kilku godzinami, to mój ojciec jeszczeby żył. Ale ja nie zabiłem mego ojca. — Czy sądzisz, że ja mógłbym był go obronić?...

Nieznajomy. Nie, na Boga nie!

Szczęsny. Tak! — przysięgam, tak, mogłem go był obronić!... Przekonaj mnie, że nie — bo padnę trupem na podłogę...

Nieznajomy. On nie może płakać... Szczęsny, daj rękę. (kładzie mu w rękę tabakierkę).

Szczęsny. O!.. tabakierka.

(zakrywa oczy i słychać łkanie).

Nieznajomy. Biada! biada!

Szczęsny. Patrz — na tabakierce mój portret, kiedy byłem dzieckiem. Widzisz, miałem taką różową twarz, taki uśmiech... Ojciec mnie takim całował i pieścił na kolanach. Biedny mój ojcze! biedny mój ojcze!... Idź! bo ty płakać nie możesz... Zaklinam ciebie, nie patrzaj na mnie — ja chcę być dzieckiem.

(Przychodzi SŁUGA).

Sługa. Panie! przyjechałem co koń miał ducha z Wilna. Lud wściekły wali się tłumem z miasta rabować ten zamek. Za półtory godziny będzie w bramie... Ojciec Pana zamordowany...

Szczęsny. Ha!... lud się wali rabować zamek?

Nieznajomy. Szczęsny, zaklinam ciebie: nie bierz przedsięwzięcia oporu Trzeba mieć Rzymianina serce, Szczęsny... trzeba lud wyjący zostawić, aby się wysilił na ścianach i zwierciadłach. Trzeba się poświęcić, Szczęsny!

Szczęsny. Ha! chcesz abym ja był latarnią zamku mojego?...

Nieznajomy. O! na Boga, nie mów tak okropnie!

Szczęsny. Czy on mnie zna, ten motłoch?... Czy nie zechce rzucić mi w oczy skrwawioną w sercu ojca mego chustką? (Dzwoni — wchodzi SŁUGA). Wszyscy! (dzwoni).

(Wiele SŁUG).

Rozbierzcie między siebie wszystko złoto, które się znajduje w skarbcu — i idźcie spokojnie czekać mnie na górze o pół mili stąd. Nie ruszać sprzętów, a tak sprawiać się spokojnie, aby siostra moja nie posłyszała najmniejszego szelestu! Będę z wami o godzinie pierwszej w nocy; ale rozkazuję — ja teraz pan wasz, aby przed dwunastą godziną żadnego już w zamku nie było.

Słudzy. Słuchamy...

Szczęsny. Dziękuję wam za wierne usługi. Czy są między wami tacy, co od dzieciństwa znają ojca mojego? (Kilku sług wychodzi). Módlcie się za duszę pana waszego!— (ściska za rękę, daje znak, aby odeszli. Odchodzą. Szczęsny chodzi po pokoju).

Nieznajomy. Co myślisz robić?

Szczęsny. Powiedziałeś, że mam serce Rzymianina... Wysadzę zamek w powietrze... żadna go ręka nie dotknie... na wieży są prochy...

Nieznajomy. Jakto? więc chcesz zginąć? — Słuchaj: ja jestem silny — wyniosę ciebie, jak dziecko z zamku.

Szczęsny. Nie! Wszak można zamek wysadzić na powietrze i żyć. Mam sposób — sam mi dopomożesz... Wiesz, że nawet nie chciałbym zginąć. Muszę oczyścić w oczach narodów dwie pamiątki, zmazać dwie plamy.— Słuchaj! na wieży są prochy — włożysz ten pistolet nabity rurą do jaszczyka — cyngiel pistoletu połączysz długim sznurkiem z mechaniką zegara na wieży. Przywiążesz go do pałasza Pogoni litewskiej. Po wybiciu godziny dwunastej

w nocy ta Pogoń podnosi pałasz i uderza w orła rosyjskiego — podnosząc pałasza, pociągnie sznurkiem za cyngiel pistoletu i wszystko będzie... popiołem, błyskawicą, niczem... Uczyń to!

Nieznajomy. Ale ty nie zostaniesz w zamku?

Szczęsny. Słuchaj! Oto biorę na siebie zbawienie siostry mojej i braciszka, którzy nie wiedzą o niczem i śpią w tym pokoju. Jakże chcesz, abym ja z nimi skonał? zostanę chwilę po tobie w zamku, aby moję siostrę przygotować i nie przestraszyć boleścią mojej twarzy. Muszę dla tego przez chwilę samotnie pomyśleć i uspokoić się, aby uspokoić drugich. Czekaj mnie na drugiej stronie Wilii, ale przyrządź pierwej wszystko, jak mówiłem... przysięgnij!

Nieznajomy. Przysięgam...

Szczęsny. Chodź, uściśnij mnie!... Prawda, że to noc okropna?...

Nieznajomy. Będzie mi się śniła w grobie nawet.

Szczęsny. Czekaj! w grobie się nic nie śni... Czy sądzisz, że myśl jest tak silna, że jej nie mogą całkiem stargać wypadki okropne życia? Czy dusza jest niewypaloną nigdy lampą? Czy ziemia grobowa może jej dać nowe kolory i siły wilgocią, jak kwiatowi? Czy dla tego niszczy ciało, aby dusza śnić mogła?... więc niszczy coś — dla niczego! Zastanów się i postaw się na mojem miejscu i myśl. Gdybyś ty mógł teraz rozwiązać tę zagadkę wszystkich religii na świecie... Ja nie mogę do nieba zanieść pamiątki tej nocy. A jeżeli nie będę pamiętać o tem, czem byłem: — cóż znaczy to słowo: będę?

Nieznajomy. O jakże ty złamany nieszczęściem!

Szczęsny. I owszem: myślę — więc żyję...

Nieznajomy. Czekam ciebie z drugiej strony rzeki.

Szczęsny. Nie żegnamy się... (odchodzi Nieznajomy). Nie widzę żadnej drogi przed sobą... Zdaje się, że chodzę na gzymsach zamku. Ja... i siostra... i to dziecię... dziecię, co się modliło dziś jeszcze: Boże daj zdrowie!... Jak głos

tego dziecka stał się piosenką duszy mojej... Boże daj zdrowie! Ale co robić? powiedz wahająca się myśli, co robić?

(KSIĄDZ wchodzi).

(Dokończenia dramatu nie ma).

KRAKUS.

DRAMAT

(FRAGMENT .

AKT PIERWSZY.

SCENA I.

(Sala w zamku Lecha).

(LECH — ŚLAZ — GRYF — RYCERZE — ARFON — GWYN).

LECH.

Mości Panowie Radni i Rycerze!
Oto dziesiąty rok, jak na tej ziemi
Niezachwianego kosztujem pokoju.
Jam się zestarzał i zbyłem rzeskości;
Część mego serca poniosła do grobu
Nieboszczka żona — a drugie pół serca
Między trzech moich rozdzieliłem synów.
Lecz teraz muszę rozdzielić na nowo
Moję ojcowską miłość między synów
I z nich jednego muszę wydziedziczyć.
Krak, mój najstarszy, jak to wszyscy wiecie,
Zaprzedał swoję duszę złym nałogom
I dał się uwieść ludziom niecnotliwym.
Nie dziw, że trunkiem i gorszą rozpustą
Popsuła się w nim krew, a ta popsuta
Zepsuła serce; a takie zepsucie
Jako zarazy plama się dzień po dniu
Szerzy i wkrótce mi z mego dziecięcia
Rzecz obrzydliwą zrobi, obcą dla mnie.
O! lepiéjże więc teraz się go wyrzec,

Dopóki można jeszcze po nim płakać;
Lepiej gorzkiego dziś użyć lekarstwa,
Dopóki gorycz może być skuteczną.
Niechaj więc moja wola, wyjawiona
W obliczu waszém, będzie ostateczną:
Syn mój najstarszy od dnia dzisiejszego
Przestaje być już do tronu następcą,
A prawa jego spadają na głowę
Syna mojego Arfona. Pan kanclerz
Ślaz niech napisze wyrok w takiej treści
I niech to wszemu ogłosi ludowi.

GRYF.

Pomnij, co robisz, królu miłościwy!
Kraka nałogi są mlodości burzą.

LECH.

Cóż? i ty Gryfie stary jeszcze myślisz,
Że się pijanica ten poprawić może?!
O! gdyby nie wstyd, wyjawiłbym tobie
Rzecz jeszcze o nim haniebniejszą — ale
Ja jestem ojcem... dosyć! ani słowa!
Panowie państwa, przybywa tu wkrótce
Królewna Scytów, która zamierzyła
Na dworze moim szukać oblubieńca.
Z tego powodu dwór się mój wystroi
Cały na gacha — i ja, chociaż stary,
Nie będę może ostatnim w zalotach.
Cha! cha! cha! chociaż stary, jeszczem rzeski,
Na wyspie Gopła kazałem wystawić
Pałacyk świeży z cedrowego drzewa.
Tam w murach wonnych posadzę tę różę,
Co się w krainie lodów rozpłoniła
I tu białością śniegu i kryształu
Przybywa w ciemnej się lasów zieleni
Błyszczeć, jak posąg czekający ognia.—
Cóż, mój Arfonie? czy Aści serduszko
Nie bije młotem? Cóż kurczę?... odwagi!
Odwagą tylko można się podobać.
Spuszczone oczy miłe starym wdowom:

Panna nie może się zakochać w pannie,
A ty wyglądasz Arfonie, jak panna.
Niech cię przestroga moja nie zagłusza!
W przestrogach ojca zawsze pół pochlebstwa.
Dość!.. chodźmy w jasne ubrać złotogłowy
Rycerskie nasze i szorstkie postawy,
A potém jedźmy na spotkanie Donny. (wychodzą).

SCENA II.

(Karczma).

(LELIWA siedzi przy stole z DOLIWĄ).

LELIWA.

Mości Doliwo, gdzie nasze Kraczątko?

DOLIWA.

Mości Leliwo, na księżycu.

LELIWA.

Pijmy!

DOLIWA.

Pijmy, a bijmy...

LELIWA.

Kogo?

DOLIWA.

Kto nie pije.

LELIWA.

Panie Doliwo! już mi się to nudzi,
Że gdy ja leję, to Wacpan dolewasz.
Ja powiem słowo mądre, a Waść zaraz
Do tego słowa dodasz drugie — głupsze,
A trzecie jeszcze głupsze, a dziesiąte,
W którém już nie ma sensu i za szeląg. —
Ja sobie coś zanucę, to Waść zaraz
Do mojej pieśni zrobisz taki ogon
Ze swego wycia i kichań i wiatru,
Że aż mnie dyabli biorą, mój Doliwo!
Czy wiesz, czego ci braknie?

DOLIWA.

Czego braknie?

LELIWA.

Jużciż nie brzucha, ani rubinowych
Pryszczów na nosie, lecz braknie rozumu
I lakonizmu tobie braknie — pijmy!

DOLIWA.

Pijmy i żyjmy!

LELIWA.

Niech cię porwą dyabli!
(Rzuca mu w łeb szklanką).

DOLIWA.

Niech ciebie dyabli porwą do Erebu!

LELIWA.

Niechże Wacana zadepcą koguty!
Wacpan się gniewasz nawet dodatkami.

DOLIWA.

Kwita z Waszmością.

LELIWA.

Jakto proszę — kwita?

DOLIWA.

Ja wczoraj nogą ci dałem — hum — w barki,
A dziś mi Wacan dałeś szklanką w głowę:
Więc kwita.

LELIWA.

Jak chcesz? niechaj będzie kwita.

DOLIWA.

Kwita — bo mamy obadwa do syta.

LELIWA.

Powiedz mi Wacan: jaka jest w Acanu
Organizacya, że zawsze na język
Przychodzą — dyabeł wie skąd — dwa wyrazy
Podobne sobie, jak dwie małpy. — Czy drwisz
Z języka, czy twój język stał się błaznem
I bawi własne twe zęby? — Mospanie,
Czy to od bolu zębów jest lekarstwo,
Czy dziwny jaki fałsz w Acana dziobie?

DOLIWA.

Nie w dziobie, ale ku ozdobie.

LELIWA.

I znów —

Bogdajbyś dyabła zjadł!

DOLIWA.

I siadł...

LELIWA.

Mospanie,

Przynajmniéj, kiedy ja mówię, to Waść milcz!

DOLIWA.

Ale nie gniewaj się Wacpan; to zwyczaj...

LELIWA.

Jeśli Wacpana ja nie odzwyczaję,
To niech mię piorun strzaska!

DOLIWA.

Jeśli łaska,

Pozwól Doliwo, że odpowiem na to
Bez ceremonii. Wacan się indyczysz,
Dyabeł wie czego — a ja chcę żyć w zgodzie,
W zgodzie i nie o wodzie. A więc zróbmy
Układ: ilekroć powiem dwa wyrazy
Podobne sobie, to dla ubłagania
Waszmości powiem zawsze „z przeproszeniem“—
I tak, Leliwo — piwo -- z przeproszeniem
Panie, dopóki stanie w dzbanie piwa,
Doliwa, z przeproszeniem, się nie gniewa.

LELIWA.

Zbójco! — tancmistrzu językowy, kacie,
Ptaku drapieżny!...

(Wchodzi KRAK).

KRAK.

Co to są za krzyki?

LELIWA.

Kraczątko, rozsądź nas. — On przejął zwyczaj,
Słowa zamykać słowami na kłódkę
I odzwyczaić się nie chce. Kraczątko,
Jak będziesz królem, to postanów prawem,
Ażeby tacy ludzie nie gadali...

DOLIWA.

Kraczątko, moje lwiątko. —

LELIWA.

Słyszysz? słyszysz?
Jak z nim pożyję, to wyjdę na głupca.
Ten człowiek plagą jest moją — on do mnie
Przypiął się, jakby nasienie bodiaku!
Bóg przypiął do mnie tego grzeszyciela,
Bóg mi przywiązał ten cień do ogona
Jak pęcherz z grochem kotowi... Ja umrę!
On mi humidum radicale z ciała
Smokcze, on pije mnie, on mną się żywi,
On jest zarazą moją! — Gdyby nie on,
To byłbym mądry i dobrze wyglądał.
On moję cerę zniszczył przez zgryzotę,
Bo ja się gryzę, że on taki głupi.
Eheu, jak mówią Grecy. królewicu,
I ty źle wyjdziesz, źle na obcowaniu
Z tą beczką — będziesz musiał go powiesić,
Jak będziesz królem; — więc się nie przywięzuj,
Bo smutno będzie wieszać przyjaciela.
A ja dlatego chciałbym zostać królem,
Aby mi było smutno, że on wisi.

KRAK.

Ja ci powiadam, że się on poprawi.

LELIWA.

Poprawi?—dyabli wezmą mnie i ciebie,
Nim się ta beczka chuci wyklaruje.
Cóż tam, króliku mój, słychać na dworze?

KRAK.

Już od miesiąca nie byłem u ojca.

LELIWA.

Kraku, dlaczego?

KRAK.

Ojciec mój oszalał! —
Ten Ślaz — ten kanclerz z bocianiemi łapy,
Prowadzi za nos starca...

LELIWA.

Co, ten chudosz?

KRAK.

Ten chudosz, co był kiedyś księżym sługą,
A dziś, okradłszy pana swego zmyślnie
Z astrologicznych kilku wiadomości
I z kilku szmatek kuchennéj łaciny,
Prymuje w zamku. Razem jest kanclerzem
I moich błaznów braci guwernerem.

LELIWA.

Przeklęta zmora! — Ot wiesz co, Doliwo,
Co masz tu więdnąć i stać bez potrzeby,
To idź i trzaśnij go w pysk...

DOLIWA.

Co? kanclerza?

LELIWA.

I cóż?

DOLIWA.

A to mnie powieszą!

LELIWA.

To i cóż?

DOLIWA.

Panie Leliwo, Wacpan kpisz.

LELIWA.

Kraczątko,
Ty mi coś dzisiaj smutny — co to znaczy?

KRAK.

Znudzony jestem tą ciągłą potwarzą,
Tą ciągłą walką z ludźmi zazdrosnymi.
W całym rycerzy tłumie nie znalazłem
Jednego człeka, któryby miał rozum
I serce dobre — i dziwią się błazny,
Że ja przepędzam czas z beczkami dwoma,
Że ja przenoszę głupców towarzystwo
Nad towarzystwo gałganów zazdrosnych;
Dziwią się ludzie, że zagustowałem
W dwóch tłustych ludziach, co nie mają w głowie
Mózgu kurczęcia...

LELIWA.

Co myślisz, Doliwo?

DOLIWA.

Gdybym Wacpanem był, tobym się gniewał.

LELIWA.

Jabym się gniewał, gdyby o mnie tylko
Takie haniebne zdanie wykrakało
Nasze Kraczątko; — lecz że o dwóch mowa,
To więcej cieszy mnie, że Wacpan dureń —
Niż smuci, że mnie uznano za głupca.
Kto z kim przestaje, to takim się staje: —
Jam żył z Wacpanem, jak się pokazuje,
Za długo — czuję to sam już, żem zgłupiał.

KRAK.

Nudni jesteście dziś — jak dwa puhacze. —
Mam propozycyą jednę, Mospanowie?

LELIWA.

Co? co takiego Kraczku, moje dziecię?

KRAK

Przyjeżdża tutaj młoda Syberyna,
Scytów królewna — piękna, urodziwa.
Skoro przyjedzie, wnet będą zabiegi,
Aby ją zaraz tu w Lechii zaślubić
Któremu z moich braci. — Ja wyklęty,
Mnie oni zaraz oczernią, okłamią.
Idzie mi o to, aby zyskać serce
Tej młodej dziewy — i zdobyć jej rękę...
A kto chce serce pozyskać kobiety,
Ze wszystkich zmysłów niech tylko uwiedzie
Oczy, a reszta pójdzie bardzo łatwo.

LELIWA.

Poślij nas w swaty, my uwiedziem oczy.
Patrz, nos Doliwy błyszczy, jak jutrzenka —
Ja dobrze śpiewam, więc uwiodę uszy.
W nas dwóch jest dosyć lepu i przynęty
Na wszystkie zmysłów pięć — nas poślij w swaty!

KRAK.

A ba! innego tu trzeba sposobu. —

Chodźmy, poradzi nam piastunka Diwa,
Weselej będzie radzić przy butelce. (wychodzą). *)

SCENA III.

(W namiocie. — SZAMAN — SYBERYNA).

SZAMAN.

Córko kochana, jesteśmy już blisko
Siedziby Lecha. Poddaj mi się teraz,

---

*) Pierwotnie miała ta scena następujące zakończenie, później przez autora przekreślone:

KRAK.

Bądźcie wy mi choć raz użytecznymi. —
Ty się przebierzesz, Mospanie Leliwo,
Za jakie zwierzę straszne i drapieżne;
Wacpan za jaką rybę albo smoka;
Ja za świętego Jerzego — i będę
Was obu grzmocił w obliczu kochanki.
Przysięgam, tylko kijem będę grzmocił.

DOLIWA.

Ja protestuję!

LELIWA.

A ja mówię: zgoda.
Gdyby jednemu mnie okładał boki,
Płakałbym jak bóbr — ale że Wacpana
Boki okładać będzie, to mi słodko...
Chodź Wacpan — zaraz uczynię Wacpana
Rzeczą, co będzie bita...

KRAK.

A więc zgoda?

LELIWA.

Zgoda, Kraczątko moje.

KRAK.

A więc chodźmy!
Piastunka moja, Diwa, nas ustroi
W nowe figury — i szczęście zamówi.

LELIWA.

Doliwa będzie rybą — będzie bity...
Zaraz ułożę dla niego piosenkę. *(wychodzą).*

Ja ci wybiorę przyszłego małżonka
I szczęście życia zapewnię wyborem.

SYBERYNA.

Ojcze! ja między lody wychowana,
Nic nie widziałam, nic nie znam na ziemi.
Tyś mi pokazał wczoraj tulipana:
Myślałam, że to jest duch ze złotemi
Oczyma, w głębi swego serca żywy;
Wczoraj dotknęłam się listka pokrzywy
I ukąszona biłam ten kwiat ręką
I ciągle kąsał — aż ojcze nadbiegłeś...

SZAMAN.

Kwiat najpiękniejszy będzie tobie męką,
Jeśli się oczom dasz wieść.

SYBERYNA.

Ty mię strzegłeś
Ojcze od wiatru, co w północy wyje.
Żyłam śród białej, nieżywej krainy.
Przyprowadziłeś mnie teraz w doliny,
Gdzie wszystko jak ja oddycha i żyje.
Tu jest brzęk życia w powietrzu: — motyle,
Jak śniegu różnokolorowe płatki,
Lecą na ziemię — źródła szemrzą mile;
Gdy spojrzę okiem przez pień sosen rzadki,
Widzę cudowne zwierzęta w koronach,
Jak nasze reny — ale całe złote...
Czy my jesteśmy, ojcze, w jakich stronach
Zaczarowanych?.. Pokaż mi istotę,
Którą ja kochać mam — bo już się kocham.
Już zakochałam się, ojcze, w kolorach,
W ciepłem powietrzu, co powiewa wonnie
I księżycowi chłód odbiera z twarzy...

SZAMAN.

Dziewczyno moja, kochasz się oczyma:
Zmuszony będę ci odebrać oczy,
Aby szalone — serca nie uwiodły...

SYBERYNA.

Oczy odebrać mi, ojcze? dlaczego?...

SZAMAN.

Mówiłem tobie, by ocalić serce.

SYBERYNA.

Pozwól mi patrzeć ojcze — ja przyrzekam,
Że nie obaczą ludzie mego wzroku,
Ty sam nie będziesz widział, że ja patrzę.

SZAMAN.

Za młoda jesteś — zdradzisz się.

SYBERYNA.

Nie, ojcze.

SZAMAN (do siebie).

Muszę doświadczyć, jaka jest moc kłamstwa
W najniewinniejszej z żeńskiego półgłowia.

(głośno).

Dobrze więc — pomnij, moja Syberyno,
Że odtąd będziesz między ludźmi ślepą.
Obaczysz wtenczas, kto się ulituje
Nad twą ślepotą i zgodzi się zawsze
Być twojem słońcem, a co jeszcze gorsza,
Być niewidzianym przez tak duże oczy.

SYBERYNA.

Zobaczysz ojcze, jak ja ich oszukam.

SZAMAN.

Idź teraz spocząć po długiej podróży.

SYBERYNA.

Ojcze, gdzie twoje czoło?

SZAMAN.

Jużeś ślepa?

SYBERYNA.

Ustami tylko memi teraz widzę...
Dobranoc ojcze... gdzie drzwi?

SZAMAN.

O! fałszerko!

(Odprowadza ją i wraca).

Jestże piękniejsza rzecz na całej ziemi,
Jak wychowana w ustroniu dziewica
Czysta, wstydliwa, choć ogniem miłości
Już przepełniona, jak kwiat nieotwarty

A pełny woni w zatulonych liściach?
O! jakże pięknie ta fałszywość pierwsza,
Maleńką groźbą ojca wywołana,
Błysnęła w oczkach jej: — „Ojcze, gdzie czoło?
„Gdzie drzwi? ja ojcze nie widzę“ — i prosto
Patrzała w oczy mi gwiazdami dwoma
Rozwidnionemi ogniem i uśmiechem...
Dla niej oddałem się czarów nauce:
Straciłem ducha wolność — włos mi zbielał
Przestrachem różnych okropności, które
Wywoływałem z głębokości ziemskiej,
Nim do wyższego podniesiony szczebla,
Nauczyłem się okropném zaklęciem
Wyższe i piękne wywoływać duchy. —
W pięknych jest większa moc nad przyrodzeniem:
Straszne i brzydkie im ulegać muszą
I są narzędziem pierwszych... Syberyno!
Twój ojciec królem jest pięknych aniołów
I girlandami jasnych władz otacza
Swoje kochane dziecko, kiedy smutne.—
Ty nie wiesz sama, dlaczego twe łezki,
Małym kaprysem w oczach urodzone,
Wnet zdmucha wonne radości powietrze
I osusza je, nim na ziemię spadną.
Ty nie wiesz, czemu świat ci się wydaje
Pełny kolorów — i oddychający
Miłością, szczęściem, w najmniejszym listeczku.
Ty wszystko widzisz przez mgłę, utworzoną
Z ulatujących i motylich Nixów,
Których jest ciałem woń i kolorowość,
A kształt nie inny, jak to z czego człowiek
Marzeniem może stworzyć zamyśloną
Postać — i widzieć ją duszy oczyma...
Śpij, Syberyno — ja cię przeprowadzę
Przez teatr świata: i tylko cię tyle
Dotknie boleści, ile może człowiek
Uczuć łez albo przestraszenia we śnie —
Ach! tylko tyle, ile doznać trzeba,

Aby obudzić się z radosnym krzykiem
I obudzenia swego nie żałować...
Chodźmy — ten smutny ci sen przygotuję
Ze sługą moim, jasnym Eolionem. —

SCENA IV.

(ŚLAZ — ARFON — GWYN — BARBARUS).

ŚLAZ.

Barbarus, stój tu z lichtarzem i ucz się,
Et participiat myśl twa barbarzyńska
Z nauki, którą wkładam jak łopatą
W przejasne głowy mądrych królewiców.
Ergo: zapytam z czoła katechizmu — —

ARFON.

Z czoła? dlaczego z czoła?

ŚLAZ.

Twarda głowa!
Szczęściem, że będziesz panie Arfon królem.
Powiedz mi Mości Książę, kto świat stworzył?

ARFON.

Bóg.

ŚLAZ.

Mości Książę Gwynie, a Waść powiedz!

GWYN.

Pierwszego pytaj mnie, to ci odpowiem.

ŚLAZ.

Barbarus, zawstydź księcia! — Kto świat stworzył?

BARBARUS.

Bóg, dobrodzieju.

ŚLAZ.

Bóg — Deus — Jehowa.—
Panie następco tronu, sol co znaczy?

ARFON.

Słońce.

ŚLAZ.

Co to jest słońce, panie Gwynie?

GWYN.

Okno, którędy dzień schodzi.

ŚLAZ.

Barbarus,
Ucz się gałganie ciemny — jest to okno?

BARBARUS.

Mój dobrodzieju...

ŚLAZ.

Cóż to? co niedźwiedziu?
Apollinarius Sidonius — Gwalbertus —
Sanctus Avitus — o tym luminarzu
Mówią, że to jest... luminarz... więc ergo...

. . . .

. . . .

WALLENROD.

DRAMAT

(FRAGMENT).

OSOBY:

WALLENROD.
KIEJSTUT.
JAGIEŁŁO.
KIRGIEŁ } bracia Jagiełły.
NARYMUNT }
WITOŁD, syn Kiejstuta.
HALBAN.
ALF, giermek.
DWÓCH WAJDELOTÓW.
I i II KRZYŻAK.
BIRUTA, żona Kiejstuta.
ANNA, żona Witołda.
AXENA, siostra Jagiełły.
KSIENI, matka Wallenroda.

AKT PIERWSZY.

SCENA ...*)

PIERWSZY KRZYŻAK.

I poszedł na roraty.

DRUGI.

Z pałaszem i w szlafmycy.

PIERWSZY.

Dobra piosenka, Panie Knyper, bo zawsze człowiek czego się innego domyśla, a tu rzecz niewinna. No, jeszcze strofę!

(wchodzi WALLENROD).

WALLENROD.

Cóżto za śpiewy w moim domu, knechty?
Czyścić mi zbroję, opatrzyć oręże!
Jutro na Litwę wyjeżdżamy — precz stąd!

(Krzyżacy odchodzą).

Ha! więc godzina przyszła! Żegnaj teraz
Rycerska sławo, dumo i ty jędzo,
Miłości własna, żegnaj! Los zaczyna
Podgryzać twardą podstawę posągu,
Aż runę z góry i w proch się położę.

(HALBAN wchodzi).

Jesteś, nieszczęścia kruku! Weź tę harfę

---

*) Początku téj sceny, jako i początku całego tego aktu, braknie w własnoręcznym manuskrypcie poety. Jestto już scena trzecia od końca. *P. W.*

I wyjdź na ganek, graj, aż moja matka
Usłyszy i tu zejdzie korytarzem...

(Halban wychodzi).

O smutna pieśni, którą tyle razy
W dzieciństwie mojém słyszałem na Litwie!
Jak ty rozdzierać musisz matki serce,
Podobna skardze szczęścia minionego
I zawiedzionych nadziei płaczowi...

(wraca HALBAN).

HALBAN.

Słyszała i tu idzie przeorycha.

WALLENROD.

Dobrze... Nic nie mów do mnie, jestem wściekły...

(wchodzi KSIENI).

Matko, na Litwę idę...

KSIENI.

Już na Litwę?

WALLENROD.

Jagielle pomóc przeciw Kiejstutowi.

KSIENI

Przeciwko ojcu ty idziesz własnemu?

WALLENROD.

Czy ja mam ojca? wszak jestem bękartem!
Natura nie ma żadnych praw nademną.
Jestem — jako struś, wywiedziony z jaja
Słońca promieniem — słońce mam za ojca.

KSIENI.

A Litwę masz za matkę — jestem Litwą...

WALLENROD.

Nieszczęście zaś za siostrę, śmierć za żonę,
A krew za napój. Wszak tak, stary mnichu?

HALBAN.

Naklnij losowi — a potém się poddaj!

WALLENROD.

Czy wy jesteście pewni, że mię w Litwie
Nie pozna żaden człowiek — nawet oczy
Własnego ojca — nawet jego serce?..
Trzęsiecie głową... takżem ja zmieniony?

HALBAN.

Choroba twoja w Hiszpanii, Walterze...

WALLENROD.

Tak, zwaryowałem był kiedyś z tęsknoty;
Lecz teraz jestem zdrów. Cóż rozkażecie?

KSIENI.

Przysiąż, że nigdy się nie zdradzisz!

WALLENROD.

Siebie?!
Byłbym człowiekiem pełnym nierozumu,
Gdybym się zdradzał...

KSIENI.

Przysiąż mi, Walterze!

WALLENROD.

Dobrze — przysięgę tę weź, moja matko,
I zrób z niej worek.

KSIENI.

Jakże to rozumiesz?

WALLENROD.

Worek na ludzkie przysięgi — kradzione.

KSIENI.

Gorzko ty mówisz do mnie na odjezdném.

WALLENROD.

Matko, ja ciebie kocham...

HALBAN.

Dziwne serce!
Jako wosk miękkie — jak wicher szalone!

WALLENROD.

Niech ten filozof stary, co prowadzi
Za nos narody, i mnie jako frygę
Kręci — niech będzie Homerem! Inaczéj
Wszystkie me czyny rycerskie nie warte
Życia jaskółki...

HALBAN.

Nie bój się, żyć będą!

WALLENROD.

Gdzie? na księżycu?

HALBAN.

Wyjeżdżasz komturem,
Wrócisz zakonu mistrzem...

WALLENROD.

Wróżba krwawa!..
Lecz wróżby trzeba jako sny tłómaczyć
Na wspak.... Czy Winrych chory?

HALBAN.

Walter Stadion
Powróci mistrzem!

WALLENROD.

O! męska Hekate!
Widać w nim zawsze starego guślarza,
Choć został mnichem świętego Franciszka...
Słuchaj, a Winfryd Juningen czém będzie?

HALBAN.

Umarłych dusze idą zawsze w stadach
Jako bociany, z żałosnymi wrzaski,
Aż zejdą z nieba i polecą w ciemność —
Nieprawdaż matko?

KSIENI.

Zostaw nas, Walterze!
My uprzątniemy tobie drogę z ludzi,
Schowamy trupy; znajdziesz miejsce czyste,
Posłane łoże, wymyte podłogi...
Wszystko się stanie wprzód, nim ty pomyślisz,
A gdy pomyślisz, już będzie zrobione.
A teraz ci dam ostatnią przestrogę:
Oszczędzaj Litwy krew i głowę ojca,
Lecz bądź zwycięzcą!

WALLENROD.

Kobieca przestroga!

KSIENI.

Guślarzu, idźmy teraz zbierać zioła. (Odchodzą).

WALLENROD.

A ja do stajen pogadać z rumakiem,
Czy się nie złamie pod zbrojnym krzyżakiem...

SCENA PRZEDOSTATNIA.

(W zamku Kiejstuta).

(KIEJSTUT — BIRUTA — Dwóch WAJDELOTÓW — Giermek ALF — WITOLD — ANNA, żona jego).

KIEJSTUT (do Anny).

Cóż ty Rusinko w złotym kokoszniku?
Czy ci wesoło w Trokach? Cóż Witołdzie?
Miodowy miesiąc zawsze bywa słodki.
Biruta, co ma teraz włosy srebrne,
A pierwéj miała włosy takie złote,
Jako miodowy księżyc — niechaj powie,
Czy Kiejstut dobrze kochał ruski miesiąc?

BIRUTA.

Drapałam ciebie wtenczas pazurami,
Biłam, jak słowik skrzydełkiem gadzinę,
Jak wąż skakałam do oczów. Mój stary,
Jeśli to miód był, to pewno nie słodki!

KIEJSTUT.

Skłamałaś, stara moja... o! skłamałaś.
Bom ja uciekał — tyś goniła za mną!
Schowałaś mi hełm, abym nie wychodził,
Spaliłaś w piecu lipowe chodaki,
Ukradłaś kiesę, bym nie pił za domem;
Potrułaś mi psy, abym nie polował.
Tak, na Peruna tak! Widzisz Witołdzie,
Jak matka kłamie. Bij twoję Rusinkę,
Bo nadto wielka dobroć psuje żony.

ANNA.

Jeśli bić będzie, to mu przypnę rogi
Takie, jak twoje, teściu mój Kiejstucie.

KIEJSTUT.

Takie, jak moje?

ANNA.

Wszak masz hełm z rogami.

KIEJSTUT.

Ha widzisz! sarna je była przypięła
Jednemu z czarnych jeleni, dlatego
Że nie bił żony — to są rogi sarnie.

ANNA.

Ja Witołdowi przyprawię miesięczne.

WITOŁD.

Co mi tam! posag już po tobie wziąłem.
Nie dbam o mięso sobole — mam skóry...

ANNA.

Nie dbasz o kunę twoję? nie dbasz o nią?
Jak ci dam szczutkę w hełm, obalę z koniem,
Zawinę ciebie w pieluchy, jak dziecko,
I gdzie powieszę na haku... Pohaniec,
Nie dba o żonę!

WITOŁD.

Cyt, moja kraszanko!

ANNA.

Nosek o nosek — uderz! twój się stłucze...

WITOŁD.

Twój był stłuczony już, gdy ciebie wziąłem.

ANNA.

Pies! O Biruto, każ mu pójść do kąta!
Każ wleść pod ławę! Odszczekaj mi zaraz
Mój srebrny mężu, zaraz mi odszczekaj,
Bo wajdelotom powiem, że na ciele
Jesteś kosmaty — będą w pieśniach śmiać się...

WITOŁD.

Koteczko moja!

ANNA.

Aj! jak ty mię ciśniesz!

WITOŁD.

Niech ojciec wiedźmę tę wypędzi z domu!
Wczoraj potłukła wajdelotom liry
Dlatego, że jéj zaśpiewali o mnie.
Alfa przez okno rzuciła w jezioro,
Aby zobaczyć, czy Litwin z natury
Pływa po wodzie, czy zaś idzie na dno.
Dwa dni — sokoła mego najstarszego,
Który już siedział na łaskawym chlebie,
Kazała upiec i dać na wieczerzę!
Pytam: co taki twardy ptak? — a ona:

Mężu, to kura! — patrzę — a ta kura
Na szyi pierścień ma żelazny — ścierwo!
A jużem udo zjadł...

KIEJSTUT.

Udo sokole?!

WITOŁD.

Jeszcze się teraz ze mnie śmieją wszyscy!

KIEJSTUT

Biruto, widzisz, jaki nasz syn głupi:
A mówią, że to bohater za domem.

ANNA.

Mnie, żony, spytać — powiem, czy bohater!

WITOŁD.

Cyt, słyszę jakieś trąbienie — od Wilna...

ANNA.

Jacyś rycerze tu jadą na wyspę.

KIEJSTUT.

Bogdaj nie jakich czarnych nowin gońce!
Bo mi tak dobrze, jak jest — a odmiana
Już być nie może na lepsze. (Wchodzi GONIEC).
Co słychać?

GONIEC.

Jagiełło uciekł z Krewa dzisiaj w nocy!
Narymunt, jego brat, i Korygiełło
Zdradą na wozach pod chlebem i sianem
Do Wilna skrytych wprowadziwszy ludzi,
Zajęli miasto, oraz zamki oba.
Załoga, napół zbrojna, tu się cofa...

KIEJSTUT

Ranek spokojny — nad wieczorem burza.
Widzisz Witołdzie — ja tobie mówiłem,
Że nigdy ufać nie można Jagielle!
Ciebie ta lisia skóra będzie łudzić
Do dnia sądnego. Widzisz, co się stało!
Trzeba go było przykuć, jak niedźwiedzia,
A myśmy miodem lipcowym karmili.
Masz teraz skutek! Znów wojna — pożary —
Znów wnętrzne rzezie: — a takiego ranku,

Jak dziś, by cała książęca rodzina
Zasiadła razem i ludzkiego szczęścia
Zakosztowała — może już na długo,
A może nigdy już się nie spodziewać! —
W nieszczęsną ty się urodziłeś chwilę,
Zły mój synowcze, co tak Litwę kłócisz!

WITOLD.

Jagiełły wszakże potępiać nie można!
Wolności szukał, jak z nas każdy — i ty
Ojcze Kiejstucie. Wszak byłeś trzy razy
Więźniem i zbiegiem — wie o tém Biruta.
O sobie myśląc, nie potępiaj w drugich
Takiego ducha i takiéj odwagi...
Wszak się nie dziwisz, że latają orły;
Wszak się nie dziwisz, że co wiosny bocian
Znajduje zamek trocki i powraca.
Tak człowiek wolność swoję zna — i do niéj
Wie dobrze drogę. Jagiełły nie bronię:
Winien był, ojcze, nam zaufać dłużéj,
A tybyś mu był sam dał w podarunku
Skarb, który dzisiaj sam Jagiełło bierze.
Do nas należy drugi raz odebrać
I drugi raz mu dać, by z łaski naszéj,
A nie z przemocy, był nam równy w Litwie;
A tak wyższymi zawsze my będziemy,
Lecz jako ludzie — w dobroci i duszy
Wyższymi, także jeśli można, w sławie.
Ziemią i skarby dzielmy się na równo,
A nawet — kto mniéj weźmie — szlachetniejszy,
Jeśli mógł więcéj, a wziął tylko mało...

KIEJSTUT.

Patrzaj Biruto, jaki to filozof
Nasz syn! Wyprawiłby nas starych z torbą...
Witołdzie, wraz mi na koń! Dzwonić w trąby!
Sam na koń wsiędę. — Alf! pociągnij miecza.
A wy do komnat, baby! — Wajdeloci,

Gotujcie liry wasze, bo podobno
Raz ostatni pieśń o mnie zabrzmicie —

WAJDELOTA.

Żałobną!

(wychodzą).

SCENA OSTATNIA.

(W Klasztorze Krzyżaków).

(KSIENI — HALBAN.)

KSIENI.

Słuchaj — te świece ze krwią gotowane!
Do łoju strasznych przymięszałem jadów.
Zapal je — gdzie chcesz, aby człowiek skonał:
A człowiek skona...

HALBAN.

Daj tę czarną świecę!
Choćby odkryto, żadne podejrzenie
Na Wallenroda nie padnie...

KSIENI.

Idź i truj!

(Rozchodzą się).

AKT DRUGI.

SCENA I.

(Obóz Jagiełły).

(JAGIEŁŁO — KIRGIEŁ — NARYMUNT).

JAGIEŁŁO.

Byliśmy prawie do szczętu pobici.
Kiejstut jak stary lew chodził w około,
I wszędzie oczy straszne mego stryja
Jako dwie gwiazdy krwawe, spotykałem
W mojem utkwione sercu. Dziesięć razy

Byliśmy tylko o miecza dłużynię,
I zawsze starzec nie podnosząc miecza
Stał, srogo patrząc na mnie; a ja byłem
Gotowy klęknąć, gdyby się uśmiechnął.
Ma uśmiech mego ojca — i coś w twarzy,
Co nakazuje miłość...

NARYMUNT.

O Jagiełło!
Gdyby nie Krzyżak, bylibyśmy zbici.

JAGIEŁŁO.

Dziwna krzyżacka pomoc! Stał na górze,
Ani się ruszył...

NARYMUNT.

Ale straszna postać
Gdy się na górze nagle ukazała:
Obiedwie strony przejął strach — i obie
Spuściły miecze.

JAGIEŁŁO.

Tak, w porę się zjawił!
Mieczem przeżegnał z góry i rozbroił.
Lecz słyszę trąby — to ów Krzyżak idzie...
(Wchodzi WALLENROD).

WALLENROD.

Gdzie tu jest książę Jagiełło?

JAGIEŁŁO.

Ja jestem.

WALLENROD.

Przychodzę tobie pomóc. — A ten rudy?

JAGIEŁŁO.

Mój brat Narymunt.

WALLENROD.

A ten z płaskim nosem?

JAGIEŁŁO.

Drugi brat, Kirgieł.

WALLENROD.

Każ mi podać krzesło!
Wiele Krzyżakom dasz, jeślić pomogą?

JAGIEŁŁO.

Konturze, teraz nie jestem bogaty;
Mogę obiecać, ale dać nie mogę.
Wieleżbyś żądał za twą pomoc szczerą?

WALLENROD.

Nic prawie! Knechtów, których mi zabiją,
Każesz przeważyć z końmi i rynsztunkiem
A potém srebra dasz na wagę trupa...

JAGIEŁŁO.

Srebra? — czy myślisz, że się w Litwie rodzi?

WALLENROD.

Co knechty, wiem, że z Prus je sprowadzacie.

JAGIEŁŁO.

Łatwiéj o knechtów, niż srebro.

WALLENROD.

Nie, wcale!

JAGIEŁŁO.

Już nie wytrzymam téj krzyżackiéj dumy...

WALLENROD.

Jeśli nie dajesz tyle, ile żądam,
Wraz wojnę w Litwie rozpocznę dla siebie.

JAGIEŁŁO.

Czyń, jak chcesz! nadto jesteś w ustach twardy.

WALLENROD.

Więc do widzenia! (odchodzi).

JAGIEŁŁO.

Widziałże kto w Niemcu
Podobną dumę? — Bracie Narymuncie,
Jedź do Kiejstuta, ofiaruj układy,
Witołda serce skrusz — Witołd mię kocha. —
Powiedz, że z Niemców mamy nieprzyjaciół.
Namiot wystawić każę przed wojskami
I tam na stryja mego będę czekał
Z uszanowaniem i z podległą skruchą.

SCENA II.

(Obóz Kiejstuta).

(KIEJSTUT — WITOŁD — ALF).

KIEJSTUT.

Witołdzie, teraz Jagiełło z Niemcami!
O! widzisz, jaki to wąż — widzisz synu!

Mój Witołdzie, już mi nie mów więcej o tym człowieku. Grób nam wykopał, grób ciemny!

WITOŁD.

O! jeśli takim, jakim dziś się czuję,
I jutro będę: jutro będę królem!...
Dziśbym wystrzelał wszystkie gwiazdy z łuku!
Dziśbym wziął w ręce słońce płomieniste
I rzucił z procy na Jagiełły głowę;
Dziśbym go z koniem zarzucił na księżyc,
A potem skoczył za nim i tam deptał,
Jak krwawą żmiję; dziśbym robił cudy,
A gdybym umarł, bogi by mi dały
Zapalać piorun lub odpierać tarczą
Zhukane morze, albo dźwigać góry
I ziemią całą trząść pod niemi z gniewu!...

KIEJSTUT.

Ja także jestem jakby odmłodniały;
Nie czuję trwogi — ani też rozpaczy.
Spokojny jestem, jak jezioro trockie,
Jak stare puszcze głębokie i ciemne.
O siebie jestem spokojny — lecz moja
Biedna Biruta!... Litwa się zepsuła!

Czy myślisz, żeby się znalazł jeszcze w Litwie jaki człowiek, któryby chciał skonać na moim stosie, gdybym ja umarł?

WITOŁD. Ojcze Kiejstucie, co za czarne myśli?

KIEJSTUT. Alf, chodź tu!

ALF. Panie...

KIEJSTUT. Czy tybyś się spalił ze mną?

ALF. Ja?... spaliłbym się!

KIEJSTUT. Tak ci się zdaje, dziecko. Psy skowycząc

uciekają od człowieka, gdy je chce złowić; psy przeczuwają śmierć i wyjąc idą w lasy; trzeba je w workach wiązać i nieść do trupa pańskiego.

ALF. To psy...

KIEJSTUT. Patrz Witołdzie, jaka duma w tém dziecku! Któżby powiedział, że to bękart tego zdrajcy haniebnego Wałtera Stadiona?!

ALF. Spalę się na stosie twoim, ale ojca mego nie nazywaj zdrajcą.

KIEJSTUT. Niestety! Moje dziecko, ja go kiedyś kochałem. Ojciec twój uciekł do Krzyżaków, a potém gdzieś oszalał w hiszpańskim szpitalu i umarł wściekły... Zdrada jego przypadła właśnie w czas bardzo srogi dla Litwy: byliśmy zupełnie pobici — pamiętasz, Witołdzie? — lecz ty miałeś wtenczas lat siedem... Matka jego z rozpaczy powiesiła się była przed memi oknami na staréj sośnie, lecz pastuch przechodząc rano, odciął powróz i ocucił ją... Potém zniknęła... Także jeden guślarz z pod Trok—zniknęli razem... Chodź tu, Alf, sierotą jesteś...

ALF. Więc mię umarli widzą.

KIEJSTUT. Ciebie — i myśli twoje.

ALF. Jeśli się spalę, czy będą o mnie śpiewać wajdeloci?

KIEJSTUT. Będą.

ALF. I za sto lat?

KIEJSTUT. Pieśń żyje wieki.

ALF. A ty wiele jeszcze możesz pożyć, Kiejstucie?

KIEJSTUT.

Dziwne to psiątko! — zalewa mi oczy
Przezroczystemi łzami... Chodź! daj mi ust...
Różane twoje usta tchną mi życiem,
A twarz mi dawne czasy przypomina.
Dziś mi innego znajdź, Witołdzie, giermka!
Niechaj to dziécię żyje lata długie!

ALF.

Dlaczegoż ty mię chcesz odprawić, księże?
Czym źle ci służył?

KIEJSTUT.

Cicho, małe szczenię!

ALF.

Jeśli odprawisz, pójdę do Krzyżaków.

KIEJSTUT.

Każę cię wtenczas złowić i powiesić.
Patrzno mi kruka!

WITOŁD.

Idzie brat Jagiełły
Zapewne zgodę ojcu proponować.

(Wchodzi NARYMUNT).

KIEJSTUT.

Nie, nie, nie! nie ma zgody między nami!
Nie! póki Kiejstut ma broń, nie ma zgody!

WITOŁD.

Mów, Narymuncie, z czem jesteś przysłany?

NARYMUNT.

Przychodzę stryja mego serce skruszyć;
Przychodzę — tę krew, co między Jagiełłą
A między starym Kiejstutem się toczy,
Jako Wilenka między dwiema góry —
Przychodzę na tej krwi z mojej pokory
Most zrobić pewny, aby się Jagiełło
Z Kiejstutem mogli zejść, połączyć dłonie
I wiecznie zjednać. Przyszedłem, Kiejstucie,
Abyś na mojej pokornej osobie
Wzrok przyzwyczaił do Jagiełły twarzy
I pierwsze gniewy na mnie tak wyrzucił,
Jak chmura pierwsze piorunowe strzały
Wypuszcza w lasach na żubry i łosie,
A potem idzie spokojna i cicha
Po nad głowami królów. O! Kiejstucie,
Mnie karz — a przebacz Jagielle urazy!
Jam go namówił uciec, jam go wspierał —
Na moim garbie stanąwszy, dosięgnął
Krewskiego okna i z więzienia wyszedł —
A teraz widzi, że naprożno walczyć
Z Kiejstutem starym i z Witołdem młodym.
Kiejstut jest wichrem, a Witołd piorunem!
Królewska godność patrzy z waszych liców.

Pokora płynie z ust Olgierdowiców.

KIEJSTUT.

Zawsze masz słodkie usta, mój kochany,
A złe ci patrzy z oczu, stary kocie!
Nie jestem książę na Trokach blaszany
I to pokażę wam. Jadasz na złocie
I złotem jesteś jak jędyk nadziany,
A jeszcze szukasz kraść, gdzie się nadarzy.
A wieleś ty wziął od Jagiełły w łapę
Za to, byś przyszedł, bym na twojej twarzy
Splunął gniew pierwszy? A czemu Jagiełło
Sam tu nie przyszedł? Straszne z was kręciele!
Nie ufam więcej — nie ufam... Zdradzicie!

NARYMUNT.

Witołda poślij — niech z Jagiełłą mówi!

KIEJSTUT.

Poślę niedźwiedzia, niechaj go rozedrze!

NARYMUNT.

erce Jagiełły już rozdarte żalem...

KIEJSTUT.

Cóż z niego płynie — czy krew, czy trucizna?

NARYMUNT.

Łzy płyną gorzkie!

KIEJSTUT.

O! o! jeleń płacze!
Muszą go więc psy już trzymać za uszy.

NARYMUNT.

Żal mu, że wezwał Krzyżaków na Litwę...

KIEJSTUT

Żal mu, że trzeba groszem płacić mnichy.

NARYMUNT.

Żal mu, że stryja dobrego obraził.

KIEJSTUT.

Płacze jak dziecko więc, kiedy je biją,
A z tyłu kułak pokazuje, grożąc.

NARYMUNT.

O! że nie grozi, patrzaj — oto dowód: —
Sam tu przychodzi. (Jagiełło wchodzi). O! Jagiełło bracie,

Te wykopałem doły kolanami
Jako dwa groby: — Stryj przebaczyć nie chce.

JAGIEŁŁO.

Stryju Kiejstucie! przysłałem do ciebie
Z przeprosinami brata Narymunta,
Lecz gdy się późnił długo, sam przychodzę.
Zapomnijcie mi, stryju, moje winy;
Lecz nie tak, jako pierwéj, zapomnijcie —
Karząc więzieniem, jak podłego zdrajcę!
Witołdzie, witaj!.. patrzysz na mnie srogo,
Albo odwracasz oczy gdzieś na ściany,
Jakbyś się za mnie wstydził... Mój bratanku,
Miałżem w ciemnicy zgnić — nie użyć zdrady?
Wszak wyście Wilno mi zajęli zdradą,
Zamordowali męża mojej siostry,
A mnie samego wsadzili do lochu,
Karmili chlebem, kwasem ukwasili...
A teraz, widząc księciem — cóż tracicie?
Jagiełło — książę, przeprasza Kiejstuta!
A to jest lepiéj, niż gdyby go więzień
Prosił o łaskę... Olgierd by się zaparł
Takiego syna — ty takiego brata!
Czyli wam smutno, że nie jestem podły?

KIEJSTUT.

Tak, do Witołda ty obracasz mowę.
Ty wiesz, że Witołd ma z bursztynu serce,
Gdzie twoja przyjaźń, jako utopiona
Żaba, tysiąc lat bez powietrza żyje
I rusza brzuchem, choć ty jéj nie karmisz
Ani dobrocią, ani zaufaniem...
Witołd — to hardy młokos, z miękkiém sercem!
Witołdem żyjesz ty na stryja stole!
Witołda dobroć jest twoją spiżarnią!
Witołda chowasz sobie od potrzeby
Na wszystkie zdrady — jak myśliwiec jaki,
Który, nim stanie na dzika z oszczepem,
Pierwéj upatrzy do ucieczki drzewo...
Lecz się ten wreszcie most pod tobą złamie!

Wybrałeś wszystko, coś miał u Witołda: —
Witołd już wyznał, żeś ty jest przewrotny,
Dumny, ambitny i samolub chciwy.
Znamy cię teraz dobrze, mój synowcze!
Będziemy kochać, ileś wart — nie więcej: —
Dawać, ile sam zasłużysz — i mierzyć
Podług twojego głodu twoje ścierwo,
Wilku żelazny! — Czegoż chcesz odemnie?

JAGIEŁŁO.

Twardoś mi, stryju, odpowiedział, twardo!
Za broń-by trzeba chwycić i za żagiew,
Przez ciebie skoczyć i pójść aż na Troki;
Silniejszy bowiem jestem w broń i ludzi.
Krzyżacy stoją na górach, a Wilno
W moim jest ręku. Jednak nie odejdę,
Dopóki mogę bez ostatniej hańby
Uniżać czoła.

WITOŁD,

Przebacz mu, Kiejstucie...

KIEJSTUT.

O! zgubisz ty mię, synu, zgubisz synu!

WITOŁD.

Ja wiem Jagiełły zamiar, ojcze drogi!
On chce uderzyć zgodnie na Krzyżaków.
Jeżeli jakie oszukaństwo kryje,
To nie przeciw nam, lecz przeciwko mnichom...
On wie, że Witołd potrzebny na Niemce,
A więcej jeszcze zwycięstwu pomaga
Imię Kiejstuta. Dajże mu twe imię,
Daj mu Witołda — niechaj ma zwycięstwo!

KIEJSTUT.

Prawdę on mówi? — chceszże ty na Niemca?

JAGIEŁŁO.

Tej samej nocy.

KIEJSTUT.

No, to weź Witołda!

JAGIEŁŁO.

Lecz wy mi, stryju, pomożecie? (całuje go w rękę).

KIEJSTUT.

Jagło!
Jeszcze raz tobie przebaczam: — pamiętaj,
To raz ostatni.

NARYMUNT (na stronie).

Tak, to raz ostatni!

JAGIEŁŁO.

Witołdzie, namów ojca — niech do Wilna
Na tę noc zjedzie i dla bezpieczeństwa
Sprowadzi z Wielkich Trok żonę i dzieci.

KIEJSTUT.

O! zdaje mi się, że bezpieczniej w Trokach,
Niż w twojem Wilnie.

WITOŁD.

Ojcze, znów go ranisz...

KIEJSTUT.

Jechać? — Witołdzie, powiedz —

WITOŁD.

Ojcze, jechać!
A ja do tego czarnego kontura: —
Wyspowiadam go i wojnę mu rzucę.

JAGIEŁŁO.

Kirgieł niech jedzie prosto do Biruty
I z całym dworcem kniahynią sprowadzi
W zamek wileński! — A ty, Narymuncie,
Spiesz i przygotuj ucztę na zamczysku,
Oraz wysokie dla Kiejstuta krzesło!
My, stryju, zwolna pojedziemy błoniem,
Aby widzieli ludzie, żeśmy w zgodzie.

SCENA III.

(Zamek w Wilnie).

(AXENA — później NARYMUNT).

AXENA.

Dziś całą ciemną noc nie spały kawki
Na mojej wieży, lecz wrzeszczały ciągle;
A w tym szeleście i krzyku słyszałam,
Jakby mówiły: my objadły kości

Twego Wojdyły, gdy na szubienicy
Zawieszony był przez stryja Kiejstuta. —
Ja wrona jemu siedziałam na głowie
I jadłam oczy. My dwie na ramionach...
Druga wrzasnęła głucho: trup był czarny!
Trzecia wrzasnęła cicho: księżna słyszy —
Małżonka jego, księżna śpi pod nami!...
Wisielca tego żona śpi pod nami!
Kiejstuta synowica śpi pod nami!
Wstałam i okno otworzyłam: — Kawki,
Krzyknęłam, księżna nie śpi — księżna słyszy!
Księżna, wisielca żona, nie śpi w łożu!
Czekajcie, siostry czarne, księżna da wam
Głowę Kiejstuta... Kiedy to wyrzekłam,
W powietrzu głowę ujrzałam Kiejstuta,
Bladą Kiejstuta głowę — szklanne oczy
I krwią zwalane siwe, długie włosy.
Zaczęłam wtenczas ją wabić jak ptaka:
Chodź tu, dam tobie jeść — otwarła usta...
Chodź, mówię, dam ci pić — patrzała cicho...
Chodź — wyciągnęłam rękę na powietrze —
Uciekła — potem znów się pojawiła
Pomiędzy ręką moją i oczyma,
Jak plama, cała ze krwi i z płomieni...

(Występuje NARYMUNT).

NARYMUNT.

Axeno...

AXENA.

Bracie!

NARYMUNT.

Przygotuj się księżno,
Niemiłą ci rzecz powiem...

AXENA.

Mów!

NARYMYNT.

Nie miłą...

AXENA.

Czekam okropnéj.

NARYMUNT.

Nie, okropną nie jest —
Tylko cię muszę, siostro, przygotować.

AXENA.

Jagiełło zginął?...

NARYMUNT.

Nie, zdrów i powraca.

AXENA.

Wraca... zwyciężył?

NARYMUNT.

Nie — wraca bez jeńców,
Ale ci mnogich naprowadza gości.

AXENA.

Kogo?

NARYMUNT.

Niemiłych gości...

AXENA.

Kogo?...

NARYMUNT.

Siostro,
Tylko nie popsuj całéj pajęczyny,
Którą tak trudno było nam umotać...
Jagiełło wraca z Kiejstutem.

AXENA.

Ze stryjem?

NARYMUNT.

W zgodzie najlepszéj powraca ze stryjem.

AXENA.

Wraca z Kiejstutem?

NARYMUNT.

Idź, przygotuj ucztę!

AXENA.

O! przygotuję ucztę... Narymuncie,
Znajdź mi zabójców!...

NARYMUNT.

Ha! cóż ty zamyślasz?

AXENA.

Znajdź mi zabójców... nic!... zabójców mi znajdź,

Nie pytaj o nic!... Czy Biruta także
Będzie na zamku?

NARYMUNT.

Tak sądzę.

AXENA.

Biruta!...
Zrobię z Biruty mnie!... Cóż Narymuncie?
Dla ciebie skarby trockie — chcesz być ze mną?

(wychodzą).

SCENA IV.

(Obóz Krzyżaków).

(WITOŁD — KRZYŻACY — później WALLENROD).

WITOŁD.

Gdzie jest ten Kontur, pies dyabelskiej mości,
Kuce krzyżackie!? — gdzie? — chcę z nim pomówić...
Cóż? dobywacie szabel? cóż murzyny?
Czy nie widzicie, że niosę na kiju
Kawał spodnicy, co mię czyni świętym?...
Gdzie jest wasz kontur?— chcę mówić 'z konturem.

(Wchodzi WALLENROD).

WALLENROD.

Cóżto za baba? — wrzeszczy, jak przekupka.

WITOŁD.

Jestem tandetnik, przychodzę kupować
Stare krzyżackie łby — zrobię z nich papier,
Pójdą pod folusz... Ha, po czemu twój łeb?

WALLENROD.

Czy tak książęta w Litwie wychowane?
Wiele chcesz za twą grzeczność, tandetniku?
Znoszona bardzo i nie warta nawet —
Gdyby na tynfy mój gniew bić w mennicy —
Nie warta nawet tynfa z mego gniewu.

WITOŁD.

Czy masz gniew? — Właśnie przychodzę, Krzyżaku,
Po twój gniew: — dobrze! przedaj mi gniew — dobrze!
A kiedy na twój gniew chcesz włożyć zbroję
I gniew posadzić na konia? — co? kiedy?...

WALLENROD.

Cóż? czy samego wyzywasz na rękę,
Czy z całém wojskiem, które mam — na wojsko?

WITOLD.

Wojsko na wojsko, a ciebie – na siebie.
O! o! batalia będzie, jak należy.
Zamiast trąb — świstać rozkażę w orzechy
I hasło boju wydadzą świstuny.
Żony szczutkami będą zabijały
Wasze kolumny; wróble, widząc trupy,
Zmienią naturę i w sejmie uradzą,
Że kiedy łatwiej o trupy, niż ziarno,
Odtąd, jak wrony, będą żyły ścierwem.

WALLENROD.

A któż ty jesteś, co tak grozisz?

WITOŁD.

O pies!
Znasz ty mię dobrze!—jestem książę Witołd.

WALLENROD.

Jakiżto Witołd?

WITOŁD.

Witołd, syn Kiejstuta.

WALLENROD

Czekaj — zapiszę sobie twoje imię,
Abym spamiętał.

WITOŁD.

Musisz mieć łeb twardy; —
Jutro napiszę na nim moje imię.

WALLENROD.

Jednego tylko w Litwie znam rycerza,
Coby mógł złamać mój maleńki palec,
Używszy na to machin i taranów,
Którymi zamki na Litwie walicie.

WITOŁD.

Jakiżto rycerz, powiedz, taki silny?

WALLENROD.

Walterus Stadion.

WITOŁD.

O! to bądź spokojny
O twój paluszek, moja piękna panno: —
Walter już dawno w grobie, zdrajca podły!

WALLENROD.

Co? już nie żyje?

WITOŁD.

Dawno, dawno, dawno!

WALLENROD.

Jeśli nie żyje, to już w całej Litwie
Nie ma człowieka...

WITOŁD.

Słuchaj mnie, Krzyżaku!
Ten Walter, co tak tobie siedzi w głowie,
Z mego się ojca rodzi — był bękartem.
Krew, którą mnie dał Kiejstut, rubinowa —
Krew, którą jemu dał, nie warta wody!
To kalinowy sok — nie krew Kiejstuta!
Kobieta ją ukradła Kiejstutowi
I z téj kradzionéj krwi miała Waltera,
A Walter ukradł tę krew znów ojczyźnie
I dał Krzyżakom... Ród jego i życie
Ciągłą kradzieżą jest — potém oszalał
I gdzieś w szpitalu skończył życie podłe...

WALLENROD.

Łżesz, bo się Walter kiedyś w Litwie zjawi!
Ty wiesz, że Walter żyje!

WITOŁD.

Niemcze twardy!
Ja ci powiadam, że ten zdrajca w grobie —
A ty mi wmówić chcesz, że zdrajca żyje...
Syn jego żyje: ojcu memu służy,
Za żoną moją nosi ogon — i śpi
Pomiędzy psami przy Kiejstuta łóżku.
Ale to małe psiątko nie ma zębów —
Jeśli o małym mówisz.

WALLENROD.

Nie! o wielkim.

WITOŁD.

O wielkim zdrajcy...

WALLENROD.

O tym wojowniku,
Co kiedyś zaćmi wszystkie wasze sławy,
Najdłużej będzie w pieśniach waszych słynął —
Na kilka wieków umrze i znów wstanie
Straszniejszy, niż Bóg jaki piorunowy,
Mścić się i... Dosyć, mój ty giwojtosie!
Jeśli Waltera nie ma teraz w Litwie,
To nie mam się z kim bić — i do Prus idę,
Bo wy nie warci naboju w rusznicy!

WITOŁD.

O! tak mów — tak mów prosto, że uciekasz!
Ale ci Witołd młody na kark wsiądzie,
Jak sroka, kiedy na tłustym baranie
Siedzi i wełnę rwie i na wiatr rzuca.
O tak! powiadaj prosto, że uciekasz!
Powiadaj, że ci Witołd w nosie kręci!
Powiadaj, że się boisz stać na ziemi,
Pod którą Witołd jako wulkan siedzi
Gotów cię rzucić w górę — aż na księżyc!..

WALLENROD.

Jeśli się cofam, to tylko dlatego,
Że wasz Jagiełło skąpy — a ty goły...

WITOŁD.

Cofasz się, bo się boisz.

WALLENROD.

Zgnieść Witołda?!

WITOŁD.

Tej nocy jeszcze trzeba mu wpaść na kark...

WALLENROD.

Tej nocy jeszcze trzeba zdjąć namioty...

WITOŁD.

Cóż? — do widzenia, Niemcze!..

WALLENROD.

Dobra droga!

(Witołd odchodzi).

WALLENROD (sam)

Pierwsza ofiara z méj rycerskiéj sławy!
Pierwszy raz miecz się z pochwy nie pokazał krwawy.

SCENA V.

(Sala w Wilnie).

(AXENA — NARYMUNT — LITWINI).

AXENA.

Tu zasadzeni stójcie po krużgankach!
Ty, Narymuncie, wleź w komin — siedź cicho. —
Ja sama z sali wywołam Jagiełłę,
A potém wejdę tu i na Kiejstuta
Rzucę mój fartuch. Wtenczas wy do mieczów!...
I do więzienia z nim nie robiąc krzyku! (wychodzi).

(Wchodzą JAGIEŁŁO — KIEJSTUT — ALF — WAJDELOTA).

JAGIEŁŁO.

Tu mój kochany stryju, na tém krześle —
To Giedymina stołek — tu siadajcie!

KIEJSTUT.

A gdzie jest dziewka Axena? czy w Wilnie?

JAGIEŁŁO.

W tym samym zamku siostra moja biedna.

KIEJSTUT.

Żałuję szczerze téj krwi... Między nami:
Czy jeszcze dla niej nie znalazłeś męża?

JAGIEŁŁO.

Nie chce o drugim mężu ona myśleć,
Lecz się z boleścią swoją ożeniła:
Śpi z nią... i gada do niéj... i z nią żyje.

KIEJSTUT.

Więcże mię w zamku źle gotowa przyjąć?

JAGIEŁŁO.

Tak! — może będzie wiele łez i wrzasku.

KIEJSTUT.

Przy sobie nie mam dla niéj podarunku.
Może Biruta się domyśli stara
I co przywiezie. Jak tu w zamku głucho...

(wchodzi LITWIN).

LITWIN.

Krywe Krywejta chce mówić z Jagiełłą.

JAGIEŁŁO.

Niechaj tu wejdzie!

LITWIN.

Nie chce tu wejść stary,
Ale pod zamkiem czeka.

JAGIEŁŁO.

Dumny starzec!
Stryju kochany, bawcie się, aż wrócę. (wychodzi).

KIEJSTUT.

Chodź, Wajdeloto... ciężko mi coś bardzo
Na sercu!... Alfie, idź i patrz ku Trokom,
Czy już nie jedzie Biruta z synową...
O czém wesołém mów mi, Wajdeloto;
Mam ciężkie serce... (AXENA wchodzi). Ha! otóż Axena.
Witaj mi córko moja, Olgierdówno!

AXENA.

Witaj Kiejstucie stryju! — gdzie Wojdyło?

KIEJSTUT.

Sama wiesz lepiej.

AXENA.

Jam go nie schowała!
Patrz — pod fartuchem moim nie schowałam.
Ty go zabiłeś stryju... gdzie Wojdyło?

KIEJSTUT.

Chodź, daj mi rękę... i nie wspominajmy.

AXENA

Gdzie jest Wojdyło, stryju?... Kto co weźmie,
Ten może wrócić. Wziąłeś mego męża,
Teraz cię proszę, wróć mi mego męża,
Albo mi powiedz, gdzie ja znajdę męża?
Może za tobą jest, możeś go schował?
Więc mi go pokaż? — niechaj mu się rzucę
Na szyję, niech go pocałuję!... Stryju,
Jestże to prawda, żeś go zamordował?
Żeś go niewinnie, srogo zamordował?
Żeś go na górze gdzieś powiesić kazał?

Ktoś mi to mówił, ale ja nie wierzę,
Ażeby w tobie było takie serce!
Wróć mi Wojdyłę, stryju — wróć Wojdyłę!

KIEJSTUT.

Bóg widzi, że go już nie mogę wskrzesić.

AXENA.

Nie możesz wskrzesić? ha! nie możesz wskrzesić?
Więc płaczże, stryju!

KIEJSTUT.

Już mi łzy nie płyną...

AXENA.

O! płaczesz, płaczesz ty, jak stara baba!
Fartuchem ci łzy będę ocierała,
Ażeby ludzie twych łez nie widzieli,
Bo się przelękną — tych łez krokodyla!
O daj mi oczy!.. niechaj je obetrę...
(Rzuca mu fartuch na głowę).
Do mnie Litwini! bierzcie tego starca!
Precz do więzienia z nim — precz do więzienia!
Ja sama teraz rozbroję Jagiełłę...
(Litwini wyprowadzają Kiejstuta. JAGIEŁŁO wraca).

JAGIEŁŁO.

Siostro, gdzie Kiejstut?

AXENA.

Co?

JAGIEŁŁO.

Gdzie stary Kiejstut?

AXENA.

Tyś go nie widział?

JAGIEŁŁO.

Nie — tum go zostawił.

AXENA.

Więc ja ci powiem, gdzie jest stary Kiejstut:
Stary już Kiejstut w więzieniu.

JAGIEŁŁO.

W więzieniu?!
Któż ten haniebny czyn popełnił?

AXENA.

Kto? — ja!

JAGIEŁŁO.

O! więc go odrób teraz, nieszczęśliwa!
O! więc tę plamę ze mnie zmaż haniebną!

AXENA.

O! mimowolny uśmiech zdradził ciebie!
Ty się radujesz w sercu, że bez ciebie
Rzecz się zrobiła... Ja ci oszczędziłam
Kilka bezsennych nocy — ty się cieszysz!...
Ja twą naturę znam...

JAGIEŁŁO.

Siostro, lecz Witołd...

AXENA.

Tu siedzi kolec w tobie... Otóż całe
Twoje sumienie, bracie — strach Witołda!
Witołda trzeba schwycić, nim się dowie
O losach ojca.

JAGIEŁŁO.

Jeśli tak, to każę,
Gdy będzie wracał, pochwycić go w bramie.

AXENA.

Idź! bo ci to da całe wielkie księstwo,
A mnie Kiejstuta krew zgasi pragnienie.

(odchodzą).

SCENA VI.

(Pod Wilnem).

(WALLENROD, później ALF).

WALLENROD.

Zdjęte namioty — wojsko wyruszyło,
A ja się na tej górze jeszcze trzymam,
Jak stare drzewo, do ziemi wrośnięte,
Ale umarłe — i patrzę na Wilno...
Ojczyzno moja! gdym ciebie porzucał,
Potrzebowałaś mnie! Ale na ciebie
Bóg spojrzał — i mnie już nie potrzebujesz...

A więc odejdę... i mój żywot zdrady
Skończę, jak stary pies, pod cudzym płotem...
Bądź zdrowa więc, ojczyzno! Raz ostatni
Patrzę na ciebie — i tym znakiem krzyża
Zlewam na ciebie całe szczęście ludzkie,
Które mi kiedyś Bóg przyobiecywał
O wschodzie życia. — Ty, ojcze Kiejstucie,
I synu, biedny sługo, bądźcie zdrowi,
Aż się po śmierci dowiecie, że byłem
Blisko waszego serca, że me imię
Nie było godne tego potępienia,
Które rzucili kiedyś na mnie ludzie...
Bywajcie zdrowi...

(ALF nadchodzi).

ALF.

Witołdzie! Witołdzie!

WALLENROD.

Jakiś dziecinny głos...

ALF.

Mój drogi Niemcze,
Prowadź mię prędko do waszego wodza,
Gdzie teraz książę Witołd na umowach;
Witołda szukam.

WALLENROD.

Powrócił do Wilna.

ALF.

Więc rozminąłem się z nim, gdy powracał!
Więc go z Kiejstutem wrzucą do więzienia!

WALLENROD.

Kiejstut w więzieniu?

ALF.

Zdradzono Kiejstuta!
Mojego pana okropnie zdradzono.
Kiedy go brano, oknem wyskoczyłem
I tu przybiegłem, by ostrzec Witołda,
Że ojciec wzięty...

WALLENROD.

Nie znasz ty pacholę

Giermka. co służy na Kiejstuta dworze?
Nazywa się Alf.

ALF.

To ja.

WALLENROD.

Ty?

ALF.

Ja, Panie!

WALLENROD.

Czy masz ty ojca?

ALF.

Nie, nigdy nie miałem.

WALLENROD.

Nie prawda! Ojciec twój — jest Walter Stadyon.

ALF.

A skądże to wiesz?

WALLENROD.

Czemuś go się zaparł?

ALF.

Bom wolał zaprzeć się, niż mówić prawdę.

WALLENROD.

Dlaczegoż prawdy czystej nie mówiłeś?

ALF.

Bo to dla ojca lepiej — ojciec w grobie,
Ojciec mi na tym świecie nie pomoże.

WALLENROD.

Prawda, że ojciec tobie nie pomoże;
Ale jeżeli chcesz, będę ci ojcem.

ALF.

Nie pójdę z tobą, nie chcę być Krzyżakiem!
Wolę — jeżeli zabiją Kiejstuta,
Na stosie spłonąć jako wierny sługa
I ośpiewanym być przez Wajdelotów.

WALLENROD.

Na stosie spłonąć? (zbliża się do Alfa).

ALF.

Ha! chcesz mię uchwycić,
Niemcze, Krzyżaku! lecz ja prędko biegam...
(uchodzi).

WALLENROD.

Zniknął!.. Jestże to sen? — Widziałem syna,
A każde jego słowo było mieczem...
Ohydna męka — serce mam rozdarte.
Ojciec mój — syn mój — Litwa — wszystko, wszystko
Znowu zapadło w toń... znów jestem zbawcą.
Precz, czarna zbrojo! znów jestem Litwinem!

(Przychodzi HALBAN.)

HALBAN

Nieprawda! — jesteś Mistrzem!

WALLENROD.

Co? Szatanie!
Pozwól mi pierwej, mnichu, być człowiekiem!
Ojciec w więzieniu, syn...

HALBAN.

O kruche serce!
Gdy ci w młodości myśl podałem wielką,
Tyś drżał, chwytając nowe jadło duszy.
Mówiłem wtenczas: — lecz pomyśl, Walterze,
To lat dwadzieścia nędzy! — A ty na to:
Chociażby wieki, krzyknąłeś. — Mówiłem:
Lecz ojciec umrze, lecz syn twój, sierota,
Będzie przeklinał twe ohydne imię.
Niech klnie! krzyczałeś — niech ginie! krzyczałeś...

WALLENROD.

Ja byłem wtenczas młody, a nieszczęście
Miało kobiecą twarz... Dziś — jako jędza
Z rozczochranymi włosami, w łachmanach —
Ciągnie mię zimną ręką. O Halbanie!
Ta zemsta, którą ja z krzyżactwa biorę,
Nie jest już świętą... Słuchaj! tu jesteśmy
Jak dwaj Rzymianie. Chcesz? to się nawzajem
Tu, na tej górze, przebijemy mieczem,
Aby już skończyć...

HALBAN.

Od dawna już widzę
W twym charakterze jakąś dziwną senność
I zimną rozpacz nudy. Lecz to minie.

Przed godzinami śmierci są pioruny,
Które człowieka budzą i znów czynią
Człowiekiem... Chodź, chodź! jeszcze będziesz młody!
Jeszcze krew zagra w tobie po dawnemu,
Jeszcze raz będziesz Walterem Stadyonem.
Przez jednę tylko noc — ale nim będziesz!

WALLENROD.

Będę, czém byłem? nie! to niepodobna!

HALBAN.

Na uroczysko tam kiedyś pójdziemy,
Gdzieśmy schowali twą litewską zbroję;
Na uroczysko, gdzie konwalia kwitnie,
Gdzie trzy strumienie srebrne leją wodę,
Tam... czy pamiętasz?

WALLENROD.

O! ty jesteś harfą,
Która mię do łez skłania...

HALBAN.

Bądź człowiekiem,
Który pomiędzy Cezarem a dawnym
Leonidasem będzie wspominany,
Gdy Litwa dowie się o twardym Rzymie
I zrówna swoich rycerzy z tamtymi,
Którzy pomarli. — Nie! ty będziesz pierwszy!
Ty pierwszy jesteś zabójcą narodu!
Ty pierwszy jesteś podobny do Boga!
Nie między ludźmi, lecz przeznaczeniami
Będziesz wpisany!

WALLENROD.

Znów mię łowisz, stary,
Jak ćmę — pochodni blaskiem! Rzecz skończona.
Jestem w twéj ręce mieczem — więc zabijaj!

HALBAN.

Do Prus, Walterze, na twoje mistrzowstwo!

AKT TRZECI.

SCENA I.

JAGIEŁŁO.

Wręku więc moim teraz mam Kiejstuta!
Ale go wzięto zdradą, nie orężem...
W ręku więc moim mam teraz Witołda —
Lecz Witołd był mi zawsze przyjacielem.
Cóż więc zyskałem, że go mam dziś jeńcem?
Straciłem serce jego — mam osobę...
Trzeba go trzymać, doglądać — i bać się...
Kiedy go brano, krzyczał: powiedźcie Jagielle,
Że nie dałbym za głowę jego pół szeląga,
A za jego książęcą czapkę — kuniej skóry,
A za jego sumienie — jednego Bóg zapłać!...
O! prawda, że nie warto dzisiaj człowiekowi
Kupować choćby za nic mojego sumienia! —
Więc czemuż nie naprawię zła, które zrobiłem?
Ha!.. bo widzę, że można wyciągać korzyści
Z rzeczy już raz zrobionej. Straciłem na sławie,
Lecz mi to Kiejstut ziemią zapłaci litewską;
A gdy będę miał więcej ziemi, to zasieję
Więcej sławy — i więcej zbiorę, niźli miałem...
. . . .
. . . .
. . . .*)

---

*) Tu się wątek tego dramatu urywa.—Znalazłem w papierach Słowackiego inny fragment pozostały z sztuki mającéj także Wallenroda za bohatera, który jednak nosi tu imię Waltera Stadyona. Widocznie wzięto tu za przedmiot jakąś chwilę rychlejszą z jego życia. Było to zupełnie inne opracowanie, jak to okazuje wiersz rymowany. Dołączam i ten drugi fragment do powyższego. *P. W.*

WALTER STADYON

(FRAGMENT).

(WALTER—jego MATKA—HALBAN. Rzecz dzieje się na Litwie).

MATKA.

Nadęty, niby Bogiem zachłyśniony,
Zawracający oczy tak, że świecą
Białka i powiek obrąbek czerwony
Tasiemką ognia — pod mózgiem... Walterze!
Jam go tą duszą, tą duszą kobiecą
Na wskroś jak nożem przebiła. Nie wierzę
W czystość człowieka tego, ni w pokorę.

WALTER.

Cóż matko? Z sobą w tłómoczku zabiorę
Twe podejrzenia, a jak czas pozwoli,
To je odczytam.

MATKA.

O! jak serce boli,
Gdy się otworzy przed człowiekiem, jako
Przed Bogiem, a on... ot weźmie garść piasku
I sypnie w usta krwawe!

WALTER.

Lasy w brzasku...
Muszę odjeżdżać!

MATKA.

Pamiętaj wszelako,
Że ja zostałam tu biedna i sama,
Ja, twoja matka, część twojego ciała...

Matka — pamiętaj o tém, bo to cała
Moja nadzieja — ty...

WALTER.

Jest w Litwie krama,
Gdzie takich synów, jak ja, kupić można.

MATKA.

Gdzie?

WALTER.

Na cmentarzu.

MATKA.

Ha!

WALTER.

Pocałuj w czoło
I puść mnie z Bogiem!

MATKA.

O mowo bezbożna,
Co mię zabijasz! Ach! jakie ty zioło
Pełne trucizny włożył w usta? Ach ty
Chłopcze okropny! z pod żebraczej płachty
Pokażę ci tę pierś, co tobie dała
Mléka a teraz da krwi.... O dziecino!
Patrz na mnie — do nóg padam — łzy mi płyną!
Jam kiedyś nóżki twoje całowała,
Te nóżki... o! te nóżki... o te! o te!
Gdzież ty je teraz powleczesz odemnie?
Powiédz, daleko pójdziesz? aż na złote
Gwiazdy? Co? prawda? Ty gdzieś, o Walterze,
Idziesz po czarną śmierć!... O! mów mi szczerze,
O mów!... Jeżeli na śmierć: to ja stara,
Ja pójdę z tobą...

WALTER (do Halbana)

Halbanie...

MATKA.

Ta mara
Niech się nie zbliża! ten człek niech tam stoi!
Niech się nie zbliża!... Ach, któż uspokoi
Serce matczyne, jeśli syn nie może?
Ja ciebie puszczę — puszczę — puszczę. Boże!

Ty byłeś zawsze dla mnie dobroczyńcą!
Idź z Bogiem — ja ci błogosławię. (odchodzi).

HALBAN.

Walter
We łzach...

WALTER.

O we łzach! we łzach!... Słuchaj, jeszcze
Gałązka sucha tam w lesie szeleszcze!
Słyszysz? to szelest mojéj matki kroku,
Ostatni tu raz na ziemi słyszany....
Cyt! już niesłychać!.. O! — Czy zakopany
Hełm mój i tarcza?

HALBAN.

Tam w lesie, przy stoku
Pod konwaliami.

WALTER.

O! jak rzeczy świata
Ckliwe są, kiedy po smutkach przychodzą
Trudzić czowieka!

HALBAN.

Idźmy!

WALTER.

Dusza lata,
A człowiek chodzi... Idźmy! Niech tu rodzą
Matki szczęśliwszych synów!

HALBAN.

Dość żałości!
Twego smutku świat cały kiedyś pozazdrości.

SCENA . . . .*)

Co mi powiadasz? Walter Stadyon?
— Pani
Ten pierścień kazał złożyć w pożegnaniu,
Na którym, jako widzisz, ten wąż rani
Swe własne serce.

---

*) Słowacki nie wyraził imienia osób, które ten dyalog z sobą prowadzą.

— Jestem na kazaniu
Niemieckiém! Jakto? wyjechał i kazał
Ten pierścień złożyć? Ha! i cóż? nic więcej?
— Jam się z jej serca, rzekł, teraz wymazał,
Jestem niegodzien jéj i najgorecéj
Proszę, ażeby o mnie zapomniała.
— Ha! i nic więcéj?
— Jeżelibyś miała
Jaką odpowiedź, mówił — poślij słowa
Na miesiąc blady, lub na słońce złote;
Bo on za tarcze te się obie chowa
Przed okiem ludzi.
— Pleciesz!
— Co ja plotę,
To jest jedwabiem jego ust.
— Szatanie!
— Więc ty mi gwiazdą szatańską, czerwoną!
— Wiesz ty? ja byłam jego...., żoną!
On mię na swoje tak miał zawołanie,
Jak psa! Jam w lesie za nim tak wietrzyła,
Jak pies. Ja teraz za nim biec gotowa,
Jak pies! O słowa! słowa, słowa, słowa!
Idź — bo na cały zamek będę wyła,
Na mury będę skakała, żwir jadła!
Jak letargnica pogryzę grobowa
Paznokcie, ręce... Słowa! słowa! słowa!
Ach! gdybym teraz gdzie noża dopadła
I mogła... mogła — ach!.. w serce bękarta
Choćby przez miesiąc blady — tak...
— Rumianku!
— Co?
— Jesteś chora...
— Chora? idź do czarta!
Ja jestem wściekła!
— Boję się, że z ganku
Skoczysz w jezioro.
— Nie bój się, nie skoczę.
— Myślałem, że masz taki zamiar —

— Co? ja?

— Prosiłaś o nóż.

— Daj!

— Utniesz warkocze,

Jak Artemizya.

— Myślisz?

— Pani moja,

Myślę, że sobie utniesz złote włosy
I czarnych oczu światła się pozbawisz...

— Tym nożem język ci utnę!

— Pokrwawisz

Białe rączęta!...

— Jesteś, jak połosy
Skrzydlate, z ogniem w oczach, wyprężone.
Gotóweś skoczyć na mnie.

— Wolę wkraść się.

— Ach! ty lokaju! ty psie! chciałbyś paść się
Resztkami stołu...

— Twe niedogryzione
Kosteczki, usta twoje koralowe...

— Stu piorunami spadnę ci na głowę,
Jeżeli zacznę kochać, będąc wściekłą.

— Zgadzam się.

— Będziesz miał na ziemi piekło!

. . . .

. . . .

JAN KAŹMIERZ.

(SZCZĄTEK DRAMATU).

. . . .
. . . .

MARYA LUDWIKA. Mademoiselle Kalinowski, donnez moi la leçon du polonais — chce uczyć po polski.

KALINOWSKA. Ne prolongez pas ainsi le s k i!

MARYA. Po poolski...

KALINOWSKA. Tak, Najjaśniejsza Pani.

MARYA. Tak, nannniejsza pani...

KALINOWSKA. Dobrze!

MARYA. Dobrzé. *)

SCENA II.

(Kwatera pana Harmidera — w Warszawie).

(Pan HARMIDER — Luzak SKÓRKA — SZEWCZYCHA).

HARMIDER. Skórka!

SKÓRKA. Co, Wielmożny Panie?

HARMIDER. Idź, wykup moję szablę Batorówkę od żyda Jankiela; masz dwa tynfy. Do krocset furdamentów! wykup szablę i obetnij żydowi uszy — w procencie!

SKÓRKA. Dobrze, Panie. (wychodzi).

HARMIDER. Do krocset furdamentów! świat cały będzie czerwonego koloru, jak jajko wielkanocne... brr! brr!... wojna. — Pani Szewczycha! (Wchodzi SZEWCZYCHA). Pani Szewczycha, cóż Wacpani jak kometa nie umyta? Do krocset furdamentów! wyjeżdżam na wojnę, Pani Szewczycha; zróbmy rachunek, Pani Szewczycha!

SZEWCZYCHA. Niechaj się Jegomość policzy, co winien.

---

*) Cała ta rozmowa przekreślona w rękopisie.

HARMIDER. Do krocset furdamentów! policzywszy się z sumieniem, to ja nic nie winien, Pani Szewczycha.

SZEWCZYCHA. Nic Jegomość nie winien? Mocny Boże!

HARMIDER. Acani mi winna felicitas... bff! do krocset furdamentów! jakem Litwin! Policz się Wacpani z sumieniem, czy Wacpani mi nic nie winna?

SZEWCZYCHA. Mocny Boże!

HARMIDER. Wacpani jesteś wdową, a ja mam serce:— sunt consequentiae. — A wiele ja winien Wacpani?

SZEWCZYCHA. Dwa tynfy i pół na Zielone Świątki; a potém trzy tynfy dałam Jegomości w Kwietnią Niedzielę; a przez luzaka Skórkę posłałam, kiedy Jegomość siedział in fundo za obcięcie nosa burmistrzowi w Klecku...

HARMIDER. Do krocset furdamentów! Wacpani rachujesz się jak żydówka; gdybym był wiedział, nie przyjmowałbym żadnych łask — timeo Danaos — od Wacpani. Ja to wszystko oddam, bo honor czuję w obrażeniu, ale jak oddam, to Pani Szewczycho. zakwitowanie in aeternum... do krocset! nie obaczysz mnie więcej. — Nieboszczyk Acani mąż miał czerwone oczy jak królik, a ciało jak szczypce — i był szewcem: — ja mam w Litwie dobra i wotuję na sejmikach w Nowogródku, a siostra moja jest za panem Kolibajło ze Żmudzi. Ale że się Wacpani upominasz, to oddam jéj co do szeląga. Dzięki Bogu, mam w pasie sto czerwonych złotych w gotówce, tylko mi się nie chce wypuszczać brzucha na wolność; ale jak się będę rozbierał, to oddam Wacpani do krocset furdamentów! spleśniałe tynfy, a kwitem Wacpaninym utrę sobie nosa — i basta! Ale kiedy na Rusi obetnę uszy Chmielnickiemu, to zauszniczki daruję Najświętszej Pannie Częstochowskiej, a uszy przyślę Wacpani na bigos... Do krocset furdamentow! nie spodziewaj się więcej o mnie usłyszeć — aż na ostatecznym sądzie, stojąc na lewicy za nieczułe serce twoje, Pani Szewczycho!..

SZEWCZYCHA. Dlaczego mnie Wacpan smucisz, panie Harmider? dlaczego mnie Wacpan smucisz? — Ja się o moję należność nie upominała.

HARMIDER. Ale sumienie moje, mościa Szewczycho, upomina się, a Wacpani temu winna jesteś. Cóż? dlatego, że Wacpani miałaś pieniądze, to ja miałem nie jeść i nie pić?!

SZEWCZYCHA. I dobrze Jegomość robił.

HARMIDER. Addio, Pani Szewczycho, chowaj moje skrypty, a jeśli ja zginę, to dyabeł sam przyśle swego plenipotenta z pieniędzmi i zapłaci Wacpani z mego majątku — bom człowiek honorowy: duszę przedam, a zapłacę, com winien, albo pojmę Acanią za małżonkę przed świętym ołtarzem. Do kroćset furdamentów! honor — to nie woda! Pani Szewczycho, znasz mię?

SZEWCZYCHA. Ja?

HARMIDER. Znasz mię czy nie? — znasz mię?

SZEWCZYCHA. Znam, jak złego szeląga.

HARMIDER I ja Wacpanią znam, żeś kobieta stateczna; ufaj Acani memu sercu, że cię nie opuszczę.

(Wchodzi SKÓRKA).

SKÓRKA. Oto jest szabla, Wielmożny Panie.

HARMIDER. A tynfy?

SKÓRKA. Oddałem żydowi.

HARMIDER. Bogdajbyś dyabła zjadł!— trzeba było znów od niego pożyczyć, zyskawszy kredyt Goły jestem jak święty turecki — poratuj mnie, Pani Szewczycho, bo jestem goły.

SZEWCZYCHA. A mówiłeś Jegomość, że masz w pasie dukaty.

HARMIDER. Musiałem szablę wykupić, Pani Szewczycho; niech powie Skórka — dałem pięćdziesiąt czątych, żeby szablę wykupić... (słychać strzały działowe) Co to? strzelają z dział? (Wpada otyła RZEŹNICZKA).

RZEŹNICZKA. Gwałtu! harmider na ulicach! pali się! uf! uf! uf! koniec świata!...

HARMIDER. Skórka, przypasz mi szablę, bo pod brzuchem nie widzę. Cóż to za hałas, pani Otylska, co za hałas?

RZEŹNICZKA. Biją się, Wielmożny Panie, na ulicach.— Pani Podkanclerzyna z bratem swoim, panem Służką, na-

pada na dom pana Podkanclerzego, swojego małżonka!

HARMIDER. Widzisz, Pani Szewczycho, co to jest żenić się z kobietą? Napada dom swojego małżonka! Do kroćset furdamentów! gdybym miał z sobą sto takich, jak ja, w kawalerskim stanie będących! Trzeba dopomóc panu Podkanclerzemu: Skórka, weź berdysz i za mną!

SZEWCZYCHA. Nie lazłbyś Jegomość w ogień niepotrzebnie.

HARMIDER. Ja zawsze w ogniu, mościa Szewczycho! ogień, to mój żywioł serdeczny! — Skórka, za mną!

SZEWCZYCHA. A wyjdźmy i my, pani Otylska, zobaczyć, co się dzieje... (wychodzą).

SCENA III.

(Przed domem Radziejowskich).

(RADZIEJOWSKI PODKANCLERZY wewnątrz domu. SŁUŻKA przed bramą).

SŁUŻKA.

Hej! hej! wysadzić petardą tę bramę!...
Czekajcie! w oknie stoi Podkanclerzy.

PODKANCLERZY.

Stój, panie Służka, stój! — kapituluję.

SŁUŻKA.

Ustępuj z domu mojej siostry! fora!

PODKANCLERZY.

Jeżeli wyjdę, czy zapewniasz życie?

SŁUŻKA.

Żyj sobie, panie Radziejowski, ale
Oddaj mi pałac — bo cię każę spalić!
Usmażę jako naleśnika, szwagrze,
Zamiast po rozwód posyłać do Rzymu.

PODKANCLERZY.

Siostra Wacpana splamiła mi łoże.

SŁUŻKA.

Boś Wacpan w niem śpać nie umiał po ludzku.

PODKANCLERZY.

Oszkalowała mnie przed konsystorzem.

SŁUŻKA.

Boś ją przymusił Wacpan do rozwodu
Srogiém obejściem się, podejrzeniami
I niepełnieniem marytalnych ślubów.

PODKANCLERZY.

Miałem pokrywać hańbę mego domu
I być mojego wstydu parawanem?

SŁUŻKA.

Czynisz to, nie chcąc przyzwolić na rozwód,
Abyś z rozwódką nie stracił posagu.

PODKANCLERZY.

Na świadka biorę ciebie, wielki Boże,
Żem dotąd na te gwałty nie zasłużył!
Ale ponieważ wstyd mój odsłoniono
Przed całym światem i użyto siły,
Aby mię wyzuć ze czci i z majątku:
Ustąpię teraz przemocy — bom słabszy,
Ale użyję odwetu w swéj porze.
Bierz, panie Służka, dom — ale niedługo
Utrzymasz się w nim: taki znajdę i ja
Przyjaciół, którzy mścić się dopomogą
Nad żoną i nad szwagrem i nad moim
Cudzołożnikiem!

SŁUŻKA.

Bierzmy to, co nasze!
Mości Panowie! proszę na wieczerzę
W tymto pałacu naszym — i zdobytym.

SCENA IV.

(W zamku królewskim).

(KRÓL JAN KAŹMIERZ — PAŹ).

KRÓL.

Co to za zgiełki i burdy w Warszawie?

PAŹ.

Podkanclerzyna, Miłościwy Panie,
Radziejowskiego żona, ze swym bratem
Służką napadła dom własnego męża
I zajechała gwałtem i bezprawnie.

KRÓL.

Nie w porę, o! nie w porę się wybrała
Z takimi gwałty pani Radziejowska!
Lecz otóż ona sama tu przybywa.

(Wchodzi PODKANCLERZYNA).

PODKANCLERZYNA.

Mąż mię tu ściga, Miłościwy Panie,
Mąż mój, furyozus, za napaść pałacu.
Panie opiekę mi daj i obronę!

KRÓL.

Wacpani sama zebrałaś tę chmurę,
Która ci teraz w oczy sypie gradem.

PODKANCLERZYNA.

Król-że to mówi? do swojej Elżbiety?

KRÓL.

Król rozgniewany mówi, Mościa Pani,
Ale masz w sercu mojém adwokatem
Jana Kaźmierza, który zawsze sprzyja
I broni ciebie przeciwko królowi.

PODKANCLERZYNA.

Więc ten adwokat jest szlachetnym królem,
Z którym ty, Królu, wiąż się aliansem
I słuchaj rady jego bez oporu...
Lecz otóż i mój mąż furyozus wpada.

(Wchodzi RADZIEJOWSKI).

RADZIEJOWSKI.

Skarżę się tobie, Miłościwy Panie:
Wyrugowano mię z mojego domu —
Okryto hańbą; — wszystkiemi obelgi,
Jakie ród ludzki wymyślił na siebie,
Okryła mię ta nierządna kobieta,
Którą tu widzę z takiem obrzydzeniem,
Jakbym przy stopach króla widział węża
Już się pnącego aż na berło złote!
Królu! jam niegdyś szczycił się i chlubił
Życzliwem twojem opiekuństwem — łaską;
Byłem ci miłym od młodości: teraz
Widzę, że oczy odwracasz odemnie. —

Czyliż obelgi żeńskie okryły mię
Przerażającym, obrzydliwym trądem,
Na który ty sam niechcesz patrzeć, Panie!? (klęka).
Jeżeli to trąd — a więc w rękach króla
Oczyszczające jest lekarstwo dla mnie: —
A więc się dotknij mnie i podnieś z kolan
I niechaj widzą ludzie, że nie jestem
Czołgaczem próżnym u stóp mego Pana; —
A ona, gdy ja klęczę, niech nie stoi!

PODKANCLERZYNA.

Kto stać nie może, ten niechaj uklęka.

RADZIEJOWSKI.

Wacpani prośby swe zanosisz leżąc.

PODKANCLERZYNA.

A Wacpan moich próśb słuchiwasz chrapiąc.

RADZIEJOWSKI.

Szalbierko!

KRÓL.

Ciszej, Mości Podkanclerzy!
Hamuj się nieco w mojej przytomności.

RADZIEJOWSKI.

Powróć mi Panie dom, i tę kobietę
Oddaj pod moję marytalną władzę.

KRÓL.

Jakiż ci, proszę, przybędzie pożytek
Z niechętnej żony, Panie Podkanclerzy?

PODKANCLERZYNA.

Jaki pożytek z żony — niechaj powie.

RADZIEJOWSKI.

Kobieto pełna żółci, ty masz w sobie
Gniazdo octowe, które wszystko kwasi
I czyni octem. Odwróć te szydzące
Oczy, bo stracę rozum i cierpliwość!

PODKANCLERZYNA.

Cokolwiek stracisz — wiedz mój adonisie,
Że mnie straciłeś już na wieki wieków;
Chowaj więc rozum, Mości Radziejowski,
Aby ci żoną był i nie szedł, jak ja,

O rozwód. Co zaś do mnie, Mości Królu,
Na konsystencyi zostaję u ciebie
I w zamku będę mieszkała — aż póki
Ten człowiek sobie nie wybije z głowy,
Że Orfeuszem jest i Eurydyki
Dostanie z piekła, grywając na drumli.
U Prozerpiny jestem dla Wacpana —
Ani myśl o mnie, Panie Podkanclerzy. (wychodzi).

RADZIEJOWSKI.

Będziesz-li, Panie, cierpiał nierządnicę
W pałacu własnym?

KRÓL.

Mości Podkanclerzy,
Muszę Wacpanu powiedzieć otwarcie,
Że tak zaszedłeś daleko w rozterkach
Z swoją małżonką i takeś rozszerzył
Przepaść pomiędzy sobą a tą panią: —
Że teraz nawet ja sam, król, nie mogę
Sperandy żadnéj dać Wacpanu; chyba
Czas ułagodzi to wszystko — atoli
Co do mnie, chciałbym między wami zgody.
Sam Radziejowską nieraz namawiałem,
Sam za Wacpana mówiłem osobą,
Królowa także się wdawała sama —
Lecz w téj kobiecie upor trwa zacięcie. —
Pocoś ją Wacpan wziął za żonę? — nie wiem,
Ani pojmuję, pocoś brał za żonę.
A wziąwszy, trzeba było trzymać krótko.
Stało się — teraz już nie widzę rady;
Lecz Wacpan żony téj odstąpić musisz.

RADZIEJOWSKI.

Komu?

KRÓL.

Kochany Podkanclerzy, śmiech mię
Bierze: — za dobry jesteś dla niéj. Co zaś, —
Że tobie pałac wzięto: to nagrodzić
Łatwo; myślałem o tém nieraz. — Słuchaj:
Gdyby Wacpanu starostwo lubelskie

I kasztelania — naprzykład krakowska,
Obiedwie teraz wakujące — mogły
Załatać dziurę i poprawić losu...
Co myślisz?

RADZIEJOWSKI.

Z tego nic nie będzie, Królu!
Za wielkie dary rodzą podejrzenia!
Nie zasypiesz mię tak po głowę złotem,
Aby nie widział świat, że noszę rogi!
Z jelenia chcesz mię zmienić w kasztelana!
Ja kasztelana nie chcę, a rogalem
Nie będę — a mój dom odbiorę gwałtem! (wychodzi).

KRÓL.

O! trudne, trudne panowanie, kiedy
Żądze się własne plączą między sprawy
I sprawiedliwość w samym pączku trują,
Jak złe robaki, pierwéj urodzone,
Nim się zawiązał kwiat — Szczęście, że wojna
Da myślom inny kierunek — i od téj
Sprawy odwróci ludzkie słuszne sądy. (wychodzi).

SCENA V.

(Ulica).

(Pan HARMIDER — SKÓRKA).

HARMIDER. Skórka!

SKÓRKA. Słucham, Panie!

HARMIDER. Skórka! dowiedz się u przekupki, którą się to bramą wyjeżdża na Ukrainę — bo ja nie wiem.

SKÓRKA. Oto jakiś szlachcic otyły, który także, jak widać, wyjeżdża na wojnę, jak my: ten powie Panu, gdzie Ukraina. (Nadchodzi pan BULSKI).

HARMIDER. Mości wojaku! jak honor?

BULSKI. Pan Bulski, do usług.

HARMIDER. Pan Harmider, wzajemnie.

BULSKI. Uniżam się do nóg.

HARMIDER. Całuję stopy Pana Dobrodzieja... do stu furdymentów, jaki brzuch!

BULSKI. Czy szkodzi?

HARMIDER. Raduje, Mości Dobrodzieju; dobra tusza, to grunt.

BULSKI. A jednak jabym się opasał Acana wąsami, widzi mi się.

HARMIDER. Utnij, Panie Bulski!

BULSKI. Wacpan szukasz zaczepki, widzi mi się.

HARMIDER. Jak się podoba, Panie Bulski.

BULSKI. Nie od tego... (biją się).

HARMIDER. Zasapałeś się, Panie Bulski; pocałujmy się!

BULSKI. Proszę o przyjaźń, Panie Harmider.

(ściskają się).

HARMIDER. Do krocset furdymentów! aż do ciemnego grobu, Panie Bulski. — Kto Wacpana rodzi?

BULSKI. Stolnikówna rawska, widzi mi się.

HARMIDER. Bardzom rad. — Skórka!

SKÓRKA. Słucham, Panie!

HARMIDER. Pobież do kwatery: niech pani Szewczycha przygotuje wieczerzę — zyskałem przyjaciela. Wróćmy się, Panie Bulski, po pojedynku trzeba odpocząć.

BULSKI. Regiment w marszu, Panie Harmider!

HARMIDER. Dopędzimy go, Panie Bulski! — poczeka!

(wychodzą).

SCENA VI.

(W Zbarażu).

(FIRLEJ — KONIECPOLSKI).

FIRLEJ.

Cóż dumasz, Panie Koniecpolski? — pono
Zegar, co bije w zbaraskim kościołku,
Wkrótce zadzwoni ostatnią godzinę
Dla nas, przez króla tutaj zapomnianych.

KONIECPOLSKI.

Czegoż czekamy, Mości Kasztelanie
Bełski, Firleju, za tymi okopy —
Aż głód wyniszczy, aż trupów fetory,
Które tu strasznym swędem zalatują,
Wyniszczą wojsko, poddać się przymuszą? —

Już dwa miesiące trzymamy się tęgo,
Dwadzieścia szturmów odparliśmy raźnie!
Nie jest to obóz — ale zarażona
Mogiła, która zastępuje drogę
Krwawym kozakom: konie ich nie śmieją
Przeskoczyć przez wał trupi i na Polskę
Lecieć galopem. — Biada narodowi,
Który pozwala tak rycerzom ginąć!

(Wchodzi KSIĄŻĘ WIŚNIOWIECKI).

X. WIŚNIOWIECKI.

Cóż, jak wam zdrowie służy, moje Pany?
Cóż, czy podoba się wam Ukraina?
Firlej — to człowiek; lecz ty, Mości Panie
Regimentarzu, w bakaliach chowany,
Musisz za matką tęsknić? — coś mi smutny!
Czy zachorował wam kucharz francuski?
Czy dał w pasztecie wam kozackie uszy
Frykasowane, czy łopatkę końską
Niedopieczoną? — Zamknąłem się z wami,
Chociaż nie hetman, ani regimentarz —
Zrobiono ze mnie ciurę; — lecz myślałem,
Że się na waszym stole odjém suto,
Dlatego się tu zamknąłem w Zbarażu.
Pfu! ani jadła — ni konsyderacyi.

KONIECPOLSKI.

Jestże to zbawca nasz, Jeremiasz książę,
Który nas ręką żelazną obrania,
A potém szydzi — i tak sobie płaci
Za pomoc swoję, jakby nigdy nie znał,
Na czém zależy rycerza szlachetność?

X. WIŚNIOWIECKI.

Ja nie szlachetny jestem, ale głupi,
Żem się tak zamknął z wami, jak szczur stary;
Mogliście sobie wszyscy i bezemnie
Odwiedzić Stambuł. — Hej, który z Kozaków!

KOZAK.

Co Książę każe? szczo batiuszka każe?

X. WIŚNIOWIECKI.

Zapalić ten dom żyda, bo mi ciemno!

FIRLEJ.

Żartujesz Książę — w tym domu są prochy.

X. WIŚNIOWIECKI.

Staruszku, słuchaj! powąchaj się tylko:
Już pachniesz trupem — i ją — i ten młokos...
Jak ci nazwisko? — bo pamiętam tylko,
Żeś regimentarz jest — z mlekiem pod brodą.
A gdzieś ty podział twoich towarzyszy,
Pierzynę i łacinę? — Co się tyczy
Prochów: wysadźmy się w drogę, Panowie,
Aż do Najświętszéj gdzieś Maryi Panny
W gości! Bo niech mię dyabli, jeśli jutro
Kozacy z nas nie zrobią jajecznicy!

KOZAK.

Od Chmielnickiego przybył trębacz i chłop.

X. WIŚNIOWIECKI.

Do nich się udaj, do Regimentarzy;
Ja tu się liczę między proste ciury.

FIRLEJ.

Wprowadzić tutaj kozackiego posła!

(Wchodzi POSEŁ).

POSEŁ.

Zdrowie, Panowie szlachta!

FIRLEJ.

Z czém przybywasz?

POSEŁ.

Pany Hetmany! Chmielnicki przysyła,
Ażebyście się wnet poddali wszyscy
Na łaskę jego. Wolność wam przyrzeka,
Cało wypuści was z obozem waszym;
Jednego tylko księcia Jeremiasza
Wiśniowieckiego zatrzyma w niewoli,
Aby za naszę krew kozacką — gwałty —
Tortury — pastwy — odpowiadał głową.

FIRLEJ.

Na taką mowę nie ma odpowiedzi...

KONIECPOLSKI.

Owszem, odpowiedź jest: weźcie kozaka
I głową jego nabijcie harmatę!

POSEŁ.

Za moję głowę Chmielnicki odeśle
Wam tysiąc szlachty czerepów wąsatych,
Tak że was nasza artylerya skropi
Deszczem z krwi waszych bratów i obryzga!

FIRLEJ.

Powiedz tam panu Chmielnickiemu od nas,
Że propozycya jego Firlejowi
Włos poczerniła siwy — krew zażegła
Ogniem młodości! — Niech przysyła więcej
Odmładniających takich kosmetyków
A nawet trupy nasze wstaną z grobów
I oburzone za broń chwycą rdzawą!
Jeremijasza chcecie? co? — Dlaczegoż
Nie zażądaliście z każdego serca
Po funcie mięsa? — z każdej naszej żyły
Po kwarcie żywej krwi? — z każdego oka
. . . .
. . . .
. . . .

ZŁOTA CZASZKA.

(SZCZĄTEK DRAMATU).

OSOBY:

Pan Koniecpolski, alias Gwint.
Złota Czaszka, strażnik krzemieniecki.
Pani Strażnikowa, jego żona.
Panna Agnieszka, jego córka.
Pan Gąska, regent.
Pan Milewicz, szlachcic.
Ksiądz Prowincyał franciszkański.
Inny Ksiądz.
Zakrystyan.
Jankiel, Żyd arendarz.
Stanisław, skrybent.
Jan, Kleofas, Szaweł — studenci od Jezuitów.
Magda, dziewka.
Skopek, kaleka.

Rzecz dzieje się w Krzemieńcu — za panowania Jana Kaźmierza.

AKT PIERWSZY.

SCENA I.

(Stancyjka Stanisława).

(STANISŁAW, JAN, później GĄSKA).

STANISŁAW. Cóż tam, Panie Janie? źle słychać. Podobno, że pan Strażnik krzemieniecki Złota Czaszka wydaje córkę swoję, pannę Agnieszkę, za pana Regenta Gąskę... A cóż będzie z Wacpanem?

JAN. Będzie, co Bóg zechce.

STANISŁAW. Zdaje mi się, że trzebaby złemu zapobiec.

JAN. A jakim sposobem?

STANISŁAW. Pana Gąskę od małżeństwa odstraszyć! Słuchaj — ja ćwik! Masz mnie; jeżeli chcesz, to usłużę. Oto naprzód — patrz: wykleiłem sobie wertep z papieru i będę chodził po domach, pokazując dyabła i anioła. To mi przyniesie kilka groszy — i będzie czém Boże Narodzenie pokropić. A Wacpana podobno z domu Strażnika wypędzono? — Otóż pomaluj sobie korkiem brwi, naucz się kolędy — a ja Wacpanu wejście do domu pana Strażnika ułatwię; pomówisz z panną Agnieszką w ciemnym kącie — a ja dziatwie i starym będę pokazywał dyabła w wertepie.

JAN.

Cóż ja jej powiem? — ja jestem ubogi...
Pan Regent jasnych atłasów naniesie,
Przyjedzie końmi karymi w kolesie —
Opowie, jakie ma pod domem stogi,

Jakie baranów, owiec pełne góry;
Jak te barany jutro w Berdyczowie
Przemieni w pereł kałakuckich sznury
I ją ubierze — że jak aniołowie
Będzie świeciła między siostry swemi,
Okryta blaskiem i gwiazdy złotemi!
A ja — co powiem? ja, student, żak szkolny,
Co ja przyniosę?... Czy bławatek polny?
Czy narcys biały? — Tu cały fundament
Urząd — podkówki srebrne — axamity;
Potrzeba czasem wyprawić traktament,
Potrzeba miejskie plotkarki, kobiety
Przynęcić i mieć wszystkie po za sobą;
A wiesz, że moja biedna matka wdowa — —
Jedna jest tylko u nas w domu krowa,
I ta nie daje mleka! a ozdobą
Domu naszego jest — bocian na dachu
Zamiast blaszanej z herbem chorągiewki!
U matki mojéj przędą biedne dziewki —
Ona przedaje płótno... Tak, mój Stachu,
Być mi żołnierzem, nie Strażnika zięciem!

STANISŁAW.

Wiem, że nie jesteś hrabią ani księciem,
Ale pan Strażnik także nie majestat.
Wacpan się tylko strój — niech panna kocha...
Lecz ot — ktoś wchodzi. — (Wchodzi GĄSKA).
Co widzę? Pan Gąska!

GĄSKA. Czy tu mieszka pan Stanisław, skrybent?

STANISŁAW. Ja jestem; do usług WPana.

GĄSKA. Hum... czy Wacpan komponujesz wiersze?

STANISŁAW. Komponuję; co WPan rozkaże?

GĄSKA. Radbym mieć wierszem ułożoną kolędę... amoroso... w sposobie miłosnym... dla jednej panny, dla któréj mam affekt i postanowienie...

JAN. Dla Agnieszki?

GĄSKA. Skomponuj mi Wacpan i napisz na najpiękniejszym papierze: rozumiesz? — Na wierzchu mają być kaligraficznie wydane dwa serca, jednemu uległe postrza-

łowi; strzała srebrna, Mocium panie, przeszywająca na wylot; — pod spodem miejsce na podpis... i jakie łacińskie symptoma.

STANISŁAW. Rozumiem, WPanie.

GĄSKA. Co za to będzie należało — zapłacę. A proszę, aby dobrze było rezonowane i assumpt z wysoka; masz zadatek! (wychodzi).

STANISŁAW. Dukata rzucił! — Niech go dyabli — dukata rzucił! — Wiesz ty co?... że... panna Agnieszka... e... e... e... dukata rzucił!.. Idź na żołnierza... idź na żołnierza! — Tu nie ma co robić gołemu człowiekowi, gołemu jak bizunus. Niech go dyabli, jak płaci!

(śpiewa).

Póki nie obrośniesz pierzem,
Póki masz pchły za kołnierzem,
Requiescas!

Uf! to jakiś studukatowy szlachcic! — Chodź na wino do Jankiela! (śpiewa).

Póki nić ustrzyże Parka,
Żydóweczka nam szynkarka
Léj, léj, léj!
Adonisie, z miłości się
Śmiéj, śmiéj, śmiéj!

Chodź do Jankiela na wino!

JAN. Lecz co będzie z moją miłością?

STANISŁAW. Co? — Czy ja wiem. co będzie z twoją miłością? — Zatknij kwiat do czapki, ubierz się fantastycznie — i złap sobie jaką ciepłą wdowę, co ma pieniążki... (wychodzą).

SCENA II.

(Szynk w zajezdnym domu).

(Pan KONIECPOLSKI — JANKIEL, szynkarz).

JANKIEL. Nu — a co tam słychać w Krakowie?

KONIECPOLSKI. Źle Żydzie słychać: Szwedy w Krakowie — a Kozaki na Podolu — a jeszcze i Rakocy ciągnie. Król Jan Kaźmierz nie ma piędzi ziemi w Polsce.

JANKIEL. Nu — tak cóż on zrobi? — a gdzie on?

KONIECPOLSKI. W górach karpackich siedzi.

JANKIEL. A co będzie, jak z gór wypędzą?

KONIECPOLSKI. To pójdzie za góry.

JANKIEL. A co będzie, jak za góry za nim pójdą?

KONIECPOLSKI. Galganie żydzie, co ty mi pędzasz króla jak Hamana? Zrobimy tu konfederacyą i wypędzimy Szwedów!

JANKIEL. Ja nie przeczę.

KONIECPOLSKI. Któż tu ma największe między szlachtą znaczenie?

JANKIEL. Tak tu różnych jest panów; ale najbojowszy pan, to pan Strażnik, co dostał złotej czaszki.

KONIECPOLSKI. Wytłomacz się żydzie!

JANKIEL. Tak to nie wielki pan, ale kochany bardzo i między swymi i między nas żydków. Tak to pan, co miał stłuczony łeb, a sprawił sobie zlotą głowę, jak moja Siora, co nosi perły na głowie i brylanty. On ma złoty łeb — i dobry łeb — i stary łeb! — Pani Strażnikowa, to dobra kobieta; jest i panienka w domu, cymes panienka! — a idzie za mąż za bogatego szlachcica...

KONIECPOLSKI. Gdzie mieszkają ci państwo?

JANKIEL. Tak Pan idź na prawo; tam jest nad potokiem pod górą dworek biały i dwie lipy: tam państwo wielmożni Strażnikowie mieszkają.

KONIECPOLSKI. Trzeba mi do nich zapukać. (wychodzi).

JANKIEL. To jakiś Haraburda! — Przyszedł robić szablistość... A czego on tu? Handel upadnie przez niego; przyszedł robić z a b i j — w y t n i j — m o r d u j! Ja nie widzę. żeby ten król był potrzebny, kiedy się bez niego obeszło... Trzeba mi zobaczyć, gdzie on idzie. (wychodzi).

SCENA III.

(Piekarnia w domu Strażnikowstwa).

(PAN STRAŻNIK i PANI STRAŻNIKOWA.)

STRAŻNIK. A cóż? każ serce, niech się dziewki zejdą na kolędę. Czy rozdałaś im wstążki?

STRAŻNIKOWA. Dałam każdej po wstążce i po tynfie —

kontente! Ambrożemu nie dałam nic gotówką, boby się upił, ale kupiłam czapkę z barankiem...

STRAŻNIK. A Gnusi coś dała?

STRAŻNIKOWA. Kornecik z czarnej koronki z różami.

STRAŻNIK. A ja tobie co dam?

STRAŻNIKOWA. Nie szalej dziadu! Czy ja jeszcze głodna na twoje fatałachy?... Ot wiesz co? Spraw Gnusi złotem szyte trzewiczki na korkach.

STRAŻNIK. A weź serce na to z biórka pieniędzy i daj odemnie. (Schodzą się DZIEWKI.)

No! dziewczęta, poprawcie kagańca i zaśpiewajmy o Bożem Narodzeniu. Serce, każ Gnusi, niech przyjdzie.

(Śpiewają).

Chrystus Pan się narodził,
Świat się cały odmłodził
Et mentes:
Nad sianem, nad żłobeczkiem
Aniołek z aniołeczkiem
Ridentes.
Przyleciały wróbelki
Do Panny Zbawicielki
Cantantes;
Przyleciały łańcuchy
Łabędzi, srebrne puchy
Mutantes;
Puchu wzięła troszeczkę
Zrobiła poduszeczkę
Dzieciątku;
Potem je położyła
I sianem je nakryła
W żłobiątku.

AGNIESZKA (wchodzi). Tatku, jakiś pan chce z Tatkiem mówić.

STRAŻNIK. Proś go tu, do piekarni.

(Agnieszka wychodzi).

KONIECPOLSKI (wchodzi). Niech będzie Jezus Chrystus pochwalony!

STRAŻNIK. Na wieki wieków! — Kto Wacpan jesteś?

KONIECPOLSKI. Jestem wojak, Mości Dobrodzieju!

STRAŻNIK. A z jakich stron?

KONIECPOLSKI. Z Ukrainy.

STRAŻNIK. A jak godność?

KONIECPOLSKI. Nazywam się Gwint.

STRAŻNIK. Familia Acana Dobrodzieja mi nieznajoma.

KONIECPOLSKI. Wierzę; jestem z małéj szlachty.

STRAŻNIK. Ja także z małéj...

KONIECPOLSKI. Ale, jak słyszałem, z tęgiéj?

STRAŻNIK. Tak sobie! — Czémże mogę służyć Acanu Dobrodziejowi? — Dziś dzień święty: zastałeś mię, że z ludźmi śpiewałem kolędę. Siadaj Wacpan!—Magdo, przynieś sztofik z szafki i pierniczki... Proszę, siadaj Wać...

KONIECPOLSKI. Prosto Wacpanu Dobrodziejowi powiem, że przyjechałem tu robić konfederacyą.

STRAŻNIK. U nas?

KONIECPOLSKI. Czy to Wacpana dziwi?

STRAŻNIK. Miasteczko żydowskie, Mościdzieju!..

KONIECPOLSKI. Ale przecież tu mieszka i szlachta?

STRAŻNIK. Są — są — ale nie tędzy!

KONIECPOLSKI. Uważasz Wacpan, że tu nie tak chodzi o rzecz, którąby miała szczęśliwy sukces — jak o danie pierwsze hasła narodowi, niszczonemu przez Szwedów i Kozaków. Wszak Wacpan służyłeś w wojsku?

STRAŻNIK. Dotknij Wać palcem; czy czujesz?.. twardy mam łeb — z kruszcu, Mości Dobrodzieju! Widać, że byłem cięty.

KONIECPOLSKI. Słyszałem.

STRAŻNIK. Więc Wacpan jesteś przysłany do zrobienia konfederacyi.— A kto przysyła?.. Czy wolno spytać, kto przysyła?

KONIECPOLSKI. Oto jest list.

STRAŻNIK. Gnusiu!

(Wchodzi Panna AGNIESZKA).

AGNIESZKA. Co, Tatku?

STRAŻNIK. Daj mi okulary... Widzisz, jaką mam tęgą dziewkę! Słabe to, sucherlawe, ale nieszpetne; co?

KONIECPOLSKI. Przystojna panna!

STRAŻNIK. I dobra.. (bierze okulary). Idź precz, bo tu my mamy z sobą do pomówienia. (czyta). Więc Wacpana sam król upoważnił? Ha! (wstaje). Zrobimy, co się da... zrobimy... Jutro wysłuchawszy trzech mszy u Franciszkanów, sproszę tu panów braci szlachtę — i wypróbuję... A gdzie Wacpan mieszkasz?

KONIECPOLSKI. U żyda Jankiela.

STRAŻNIK. Przenieś się do mnie, tu będzie wygodniej.

KONIECPOLSKI. Nie długo tu bawię, więc nie chciałbym Wacpanu Dobrodziejowi domu przewracać do góry nogami.

STRAŻNIK. Jak wola; szczerém sercem proszę.

(Koniecpolski wychodzi).

Gnusiu, zawołaj mi matki.

(Wchodzi STRAŻNIKOWA).

STRAŻNIKOWA. A co serce?

STRAŻNIK. Jutro, serce, będziemy mieli wiele gości: przygotuj się na to, serduniu.

STRAŻNIKOWA. Z jakimże to deszczem spadną ci goście?

STRAŻNIK. Spadną, bo zaproszę — więcéj babom wiedzieć nie trzeba. A słuchajno, serce! Trzebaby, żeby już ten pan Gąska, były Marszałek, z naszą córką skończył; bo my nie długowieczni — a spadek nie wielki. Cóż, czy ona się przychyla?

STRAŻNIKOWA. Nie męcz dziecka!

STRAŻNIK. Wacpani jesteś nadto powolna; w tych rzeczach trzeba trochę musu.

STRAŻNIKOWA. Ale daj czas!

STRAŻNIK. Bhu! Bhu!

STRAŻNIKOWA. Cóż to tak parskasz, dziadu?

STRAŻNIK. Przygotuj Wacpani córkę, bo się lękam, że pierwéj mi zadzwonią na pogrzeb, niż na córki wesele.

STRAŻNIKOWA. Idź spać—idź spać zrzędo, proroku czarny!

STRAŻNIK. Dobréj nocy, moja babo! (wychodzi).

STRAŻNIKOWA. Biedna moja Gnusia! Iść za takiego drewnianego człowieka w axamicie!... Gnusiu, a chodź tu!

AGNIESZKA. Co, Mamo?

STRAŻNIKOWA. Staremu się coś ubrdało, chce koniecznie przyspieszyć twoje wesele.

AGNIESZKA. O nie! o nie! Niech mnie Mama broni, póki można.

STRAŻNIKOWA. Cóż ja będę zawsze ciebie bronić?.. Trzeba, żebyś się zdecydowała. Pan Gąska przysłał podarunki. — Magdo! dobądźno tam z komody zawinięcie w jedwabnéj płachcie i przynieś... (Magda przynosi). Widzisz? więcéj tu jest złota, niż ty warta, błaznico; łokieć téj koronki kosztuje pewnie dwa holenderskie dukaty. Jankielowa mi dawała czternaście tynfów bez targu... Cóż ty się tak skrzywiła? Smorgońska fioko, fiu fiu w głowie! przefuchasz ty panieństwo i zostaniesz na koszu. Magdusiu, przypnij jéj do głowy tego narcysa!

AGNIESZKA. Nie chcę, nie chcę, nie chcę!

(wyrywa kwiat i depce go nogami).

STRAŻNIKOWA. Ale Gnusiu, cóż będzie? — Trzeba panu Gąsce coś odpowiedzieć.

AGNIESZKA. Niech czeka.

STRAŻNIKOWA. Więc mu nie rekuzujesz?

AGNIESZKA. Rekuzuję.

STRAŻNIKOWA. Ale Gnusiu, ojciec chce...

AGNIESZKA. Mało czego ojciec chce! Powiedz mu Mama, że ja za młoda, że jeszcze nie mam do stanu małżeńskiego powołania.

STRAŻNIKOWA. A skąd ty się nauczyła takich exkuz, moja panno? Skąd takie kaprysy?... Za młoda!—W twoim wieku już byłam matką Michała — niechaj Pan Bóg świeci dziecięciu! Byłby już teraz wojakiem, gdyby żył. Bóg daje, Bóg odbiera: niech będzie jego wola przenajświętsza!... Ja widzę z miarki twojéj na gorsecie, że ci czas na męża; namyśl się, bo okazya raz stracona nie wraca. Ja nie bardzom także kochała mego szczygła ze złotą głową i z podrąbaną wargą, kiedym szła za niego — a teraz mi z nim dobrze. Trzy razy już adamaszek na kotarach naszego łóżka zblakował, a Bóg widzi, że nigdy nie odwróciłam się w gniewie od mego dziada, ani w niechęci zasypiałam. Pamiętaj Gnusiu, że małżeństwo — to

nie pierwsza para w draganta, co jak skrzypak przestanie digać swoje, tak i ona tańcować. Małżeństwo—to sakrament!... A jak nas Bóg zabierze, to przy kim ty się uwiesisz?... A pamiętasz, jak odwiedzaliśmy siostrę moję zakonnicę we Lwowie? — Piernikami cię nakarmiła— fioków papierowych nasypała do fartucha — i płakała! Wiesz ty, czego płakała? — bo się jéj chciało dyrnąć z klasztoru i być choćby żoną chłopa a nie zakonnicą! Pamiętaj, pamiętaj!

AGNIESZKA. Czy Mama się od księdza Przeora nauczyła gadać kazanie?

STRAŻNIKOWA. Błażnico jedna, przyganiasz ty matce?!— Myłam to, czesałam to, póki było młode — a teraz mam na starość autorament w téj mendeweszce! A chore to, a nędzne to! a strzeż jak porcynelę na stoliku! No, jeśli mi ty się stłuczesz, kraszanko! Pamiętaj: pókiś cała, to jeszcze dbam o ciebie; ale jeśli mi się stłuczesz...

AGNIESZKA. Co Mama gada? (wychodzi).

STRAŻNIKOWA. Zaczerwieniła się. — Magdusiu!

MAGDA. Co Imość?

STRAŻNIKOWA. Nic, nic! Obudzisz mię jutro, jak świt i rozczynisz ciasto w nieckach wielkich. Jegomość zapowiedział gości. (wychodzą).

SCENA IV.

(Dom zajezdny. Noc).

(Pan KLEOFAS i SZAWEŁ, studenci. JANKIEL.)

SZAWEŁ. Jankiel, wina!

JANKIEL. A kto płaci?

SZAWEŁ. Wina żydzie!

JANKIEL. A kto funduje? Wacpanowie studenty, nie ojce familiom.

SZAWEŁ Wina żydzie! masz dukata!

JANKIEL. Nu — kiedy dukata, to dukata... (kłania się). A jakiego wina?

SZAWEŁ. Jakie ksiądz Gwardyan franciszkański pije w piątek.

JANKIEL. Zaraz przyjdzie. (odchodzi).

SZAWEŁ. I cóż dalej było z twoją miłością, Kleofazissime?

KLEOFAS. Co dnia o godzinie piątej rano chodziłem na ulicy około dworku Pana Strażnika czatując, jak będzie otwierała okienice. Suka czarna Znajda już nie szczekała na mnie; okienice także, które zrazu skrzypiały na zawiasach, zaczęły się otwierać cicho, jakby je kto namaścił oliwą. Kamień był jeden pod murem na załamaniu ulicy, gdzie siadywałem z wielką zawsze konfuzyą et incertitudine...

(Żyd przynosi wino).

SZAWEŁ. Podlej gardła.

JANKIEL Dobranoc, JW. Panowie studenty! A zagasicie szabasówkę, idąc precz.

SZAWEŁ. I podpalimy karczmę.

JANKIEL. A za co karczmę?

SZAWEŁ. Za to, że ukrzyżowała Pana naszego Jezusa Chrystusa; rozumiesz Żydzie?

JANKIEL. Nu — karczma nie winna.

(Rusza ramionami i wychodzi).

SZAWEŁ. Cóż dalej?

KLEOFAS.

Co dnia więc o rannej zorzy
Stawała mi w okienicy;
Czekałem, aż okno otworzy,
I tak jak od błyskawicy
Ślepłem białością olśnięty.

SZAWEŁ. Rozumiem.

KLEOFAS.

Oczy jej to dyjamenty
Morską napełnione falą,
Zielone, gwiazdowe, przeczyste —
Jak błyskawica ogniste;
Leją się strumieniem — pala,
Odwrócić się od nich nie można...

SZAWEŁ.

Oczy zielone...

KLEOFAS.

Pobożna!
Widziałem, jak w usta bierze
Nieco powietrza i słońca
I czyste mówi pacierze,
I w pierś bije się bez końca.
„Moja wina! moja wina!“
Niewinna mówi dziewczyna,
Złocista w słońca promyku;
A u méj białéj dzieweczki
Dwie róże, jak aniołeczki,
Siedzą w białym korneciku
I słuchają — i śmieją się z win...

SZAWEŁ.

Potém dzwonnik franciszkański
Zadzwoni na Anioł Pański:
Din don din! din don din!
A ty uciekasz; wszak tak?

KLEOFAS.

Potém w swoje ręce bierze
Jak Iris tęczowy szlak,
I mówiąc ranne pacierze —
Jasna cała, jak lilija
Ślicznych jeszcze pełna kras,
Ojcu jasny trzyma pas;
A on się w tęczę obwija
Poważnie się kręcąc w koło;
Potém ją całuje w czoło,
I w złotym pasie wychodzi
Pod lipy...

SZAWEŁ.

Tatko Dobrodziéj!...
Słuchaj — i tak zawsze z daleka patrzysz?

KLEOFAS.

Tak zawsze patrzę z daleka,
Jak z jéj rąk tęcza ucieka.
Jak gołębie z ustek jedzą,
Jak w kornecie białym siedzą

Wielkie rozkwitnięte róże.
Myślami jej w pracy pomagam,
Myślami jak pachołek jej służę;
Gdy ją dotknę myślą, to się wzdragam
I przepraszam na kolanach,
Jak Najświętszą Pannę Maryją.

SZAWEŁ. Her Jejzus! ten młokos zwaryował.

KLEOFAS.

Coś mi śpiewa w domu ścianach,
Jakby je ze strun budował
Dla serc, co młodością biją,
Jaki Anioł — budowniczy!...
Kiedy powraca z pastwiska
Wieczorem ich krowa i ryczy:
Czy z daleka czyli z bliska,
Czy ryknie na światło księżyca,
Znam, gdy głos leci z gościńca
I znam, kiedy jałowica
Woła z kochanki dziedzińca...

SZAWEŁ. Her Jejzus! zwaryował! Gada jak pozytywek. Podlej gardła!.. Lecz ciebie z domu wypędzono?

KLEOFAS. Nie wspominaj mi!

SZAWEŁ. Pan Strażnik powiedział, jak słyszałem, że masz obdarte łokcie.

KLEOFAS. Kto ci to mówił?

SZAWEŁ. Nie zżymaj się!..

KLEOFAS. Kto śmiał — powtórzyć?!

SZAWEŁ. Widzisz? — Zdradziłeś się! Więc nazwał ciebie obdartusem, a ty cierpisz?..

KLEOFAS. Ja...

SZAWEŁ. I plamisz w osobie swojej honor szkół! szkolną famę w obeldze umoczoną gnoisz! Na furdament pałasza, jeśli jéj nie uwiedziesz, będziesz kpem.

KLEOFAS. Zgubić ją?

SZAWEŁ. Cóż to? Czy ty nie wart córki Strażnika Złotoczaszki? Alboż to on senator?—Idź Wać pod okno: już zaczyna szarzeć powietrze — a staraj się, aby ci wyznaczyła schadzkę; o to się tylko staraj! (wychodzą).

AKT DRUGI.

SCENA I.

(Sień w domu Strażnika).

(Pani STRAŻNIKOWA — MAGDA).

STRAŻNIKOWA. Magdo, Kachno, wstawajcie! W kadzi nie ma wody. Ambroży leniuch, zmyję mu głowę. Magdo, Kachno, a dać kurom jeść!.. Ave Maria... Magdo! Magdo! Magdo! Magdo! (wchodzi MAGDA).

MAGDA. Jestem, Pani.

STRAŻNIKOWA. Śpiocho ty! idź mi obudź panienkę... Zrobię jeden mazurek szafranowy i z cykaty wylepię na nim cyfrę Gnusi... Drugi mazurek biały z cyfrą pana Gąski... Nie! przeciwnie: na żółtym będzie cyfra pana Gąski, bo Pan Młody także żółty... (wraca MAGDA). A cóż panienka?

MAGDA. Zaraz przyjdzie — nie śpi już.

STRAŻNIKOWA. Nie śpi już?

MAGDA. Podlewała na oknie narcysy, jak weszłam do pokoju.

STRAŻNIKOWA. Podlewała narcysy?... Gnusiu! Gnusiu!

AGNIESZKA (z pokoju). Zaraz! zaraz idę!

STRAŻNIKOWA. Czy ubrana była panienka?

MAGDA. Zasznurowana, ale jeszcze nie włożyła jupki i nie zdjęła kornetu.

STRAŻNIKOWA. Zasznurowana!.. Gnusiu! Gnusiu!

(wchodzi P. AGNIESZKA).

AGNIESZKA. Jestem, Mamo.

STRAŻNIKOWA. A dla czego ty tak rano wstała?

AGNIESZKA. Przez serduszko mojej okienicy włazi słońce i zawsze mi bije w same oczy. A potem ten Skopek, co to wiesz Mamo, ma Walentego chorobę i mnie Ciocią nazywa, spał widać na naszym dziedzińcu dziś na

gnoju, i tak chrapał, że spać mi nie dał.—Ot i on włazi do sieni — biedne stworzenie, sparaliżowane!..

SKOPEK. Tiotia, daj jeść!

STRAŻNIKOWA. Magdo, przynieś mu obwarzanka.

SKOPEK. Tiotia! ja tiotię kocham; tiotia! ja tego skubenta kijem — tak, tak, tak! — jak mamę kocham... Czego łazi?

AGNIESZKA. Jak się on ślini! — Daj mu co Magdo, i wypraw.

MAGDA (daje obwarzanek). No, idź precz!

SKOPEK. Hi, hi, hi! Magda krowa!..

(Posyła buziaka ręką P. Agnusi i wychodzi. Wchodzi P. STRAŻNIK z drzwi drugich).

STRAŻNIK. No kobiety, zwijajcie się! A potem do kościoła XX. Franciszkanów: będzie tam wielki festyn. Moje serce, czy mi dobrze w tym kontuszu? — Coś mi go Josiel ciasno skroił — co?

STRAŻNIKOWA. Mnie się zdaje, że w sam raz. Bo ty zawsze chcesz być, jak wilk w worku.

STRAŻNIK. Gnusiu, a przybierz się Acanna do kościoła, jak wypada. (wychodzi).

STRAŻNIKOWA. Do piekarni! do piekarni! miesić ciasto! Gnusiu, weź z po za zwierciadła receptę na marcypanowe ciasto i przynieś. (wychodzą).

SCENA II.

(Zakrystya Franciszkanów).

(ZAKRYSTYAN. Poźniej Pan STRAŻNIK).

ZAKRYSTYAN. Nuż chłopcy, zamiatać—a żwawo! (wchodzi P. STRAŻNIK). Cóż tak rano sprowadza Wacpana Dobrodzieja?

STRAŻNIK. Przewielebny ksiądz Gwardyan jeszcze nie wstał?

ZAKRYSTYAN. Wczasuje się jeszcze, Mości Dobrodzieju.

STRAŻNIK. Zaczekam. —

(Zakrystyan podaje stołek; Strażnik siada i opiera się na złotéj lasce dumając; Zakrystyan tymczasem fałduje obrusy,

nalewa ampułki i obciera z pyłu krucyfixy.—Wchodzi KSIĄDZ, kłania się Strażnikowi — potém idzie do stołów i ubiera się w ornat. Cisza głęboka.—Wchodzi GWARDYAN. Pan Strażnik wstaje).

STRAŻNIK. Witam Ojca Gwardyana. (całuje w rękę).

GWARDYAN. A! Pan Strażnik!

STRAŻNIK. Proszę o posłuchanie.

GWARDYAN. Czy w potrzebie sumienia jako księdza, czyli w świeckim interesie?

STRAŻNIK. W świeckiéj sprawie.

GWARDYAN. Siadaj Wacan Dobrodziéj.

STRAŻNIK. Przystąpię do rzeczy bez exordium. Otóż Mości Dobrodzieju, winienem powiedzieć, iż téj nocy otrzymałem ordynans od JKMości, abym w mieście tutejszém zrobił konfederacyą w protestacyi przeciwko wrogom Ojczyzny naszéj — ująwszy się za sprawą JKMości aż do ostatniéj kropli krwi mojéj...

GWARDYAN. Domine Jesu Christe, da nobis pacem! — Konfederacyą?!

STRAŻNIK. Wysap się Acan Dobrodziéj i umityguj się.

GWARDYAN (siada i składa ręce na brzuchu). Słucham Acana Dobrodzieja.

STRAŻNIK. Gdybyśmy na konsystencyi mieli u siebie Chorągiew Pancerną, albo komputowe wojsko: — rzecz byłaby łatwa.—W takim razie ja albo Wacan zwołujemy Koło Chorągwiane; wychodzę Mości Dobrodzieju naprzód, mając za sobą plecami Acana Dobrodzieja; — i odwoławszy się do czystych rycerskich serc, zyskujemy, że z pomiędzy grona naszego wysłana jest deputacya do JWPana Regimentarza, w przełożeniu i z wszelką submisyą żądająca, aby się zgodził w sprawie publicznéj na rzecz prędkiego potrzebującą ratunku i zadowolenia. Rozumiesz Wacpan Dobrodziéj?

GWARDYAN. Z Chorągwią byłaby rzecz łatwa...

STRAŻNIK. Lecz my nie mamy Chorągwi — —

GWARDYAN. Otóż to, że nie mamy Chorągwi!..

STRAŻNIK. Że trzeba bicz z piasku ukręcić — —

GWARDYAN. Otóż to jest, że trzeba bicz z piasku ukręcić!...

STRAŻNIK. A jakże go ukręcić, Mości Dobrodzieju?

GWARDYAN. Ha!

STRAŻNIK. Nie poddawaj się nagłej rozpaczy Acan Dobrodziej! Rzecz się da zrobić.

GWARDYAN. Trudno!

STRAŻNIK. Ja wiem, że trudno; ale Panu Bogu wszystko jest podobieństwem! — Nim co będzie, każ Wacpan bić we dzwony i poślij cztery trąby na wieżę.

GWARDYAN. Więc sądzisz Wacpan Dobrodziej, że jak w dzwony uderzą i zatrąbią marsza festynnego, to... to...

STRAŻNIK. To zbierze się cała szlachta tu osiadła do kościoła.

GWARDYAN. Masz racyą.

STRAŻNIK. I Wacpan, Wielebny Ojcze, raczysz ze zwykłym darem przekonywania przemówić z ambony, zagrzewając serca ku ratunkowi Ojczyzny.

GWARDYAN. I sądzisz Wacpan, że moja słaba wymowa —

STRAŻNIK. Zrobi efekt, Mości Dobrodzieju!

GWARDYAN. Ale... e... e!..

STRAŻNIK. Zrobi, Mości Dobrodzieju; przysięgam!

GWARDYAN. Wątpię, ale spróbuję... ale spróbuję. — Kiedy Wacpan Dobrodziej tego żądasz, to ja spróbuję.

STRAŻNIK. Krzyżem leżeć będę, a błagać Pana Boga, aby Wacpana Dobrodzieja wymowa zwykła w tym excesie nie odbiegła.

GWARDYAN. Przytomny dosyć jestem w takich razach, przytomny...

STRAŻNIK. Potém wyprowadzisz Wacpan Dobrodziéj to wszystko — celebrując — choć śnieg, na mogiłki: każąc nieść w auxilium ołtarzyk N. Panny Szkaplerznéj przed sobą. A zagrawszy w trąby i ucichnąwszy, dozwolisz mi głosu: — a może z pod téj czaszki złotéj coś wydobędę na chwałę Ojczyzny, szlachty polskiéj i Jezusa Chrystusa, Pana naszego, co równie będzie uwielbieniem i klasztoru, w którym Wacpan Dobrodziéj jesteś gwardyanem. Proszę Wacpana Dobrodzieja o postęp w rzeczy...

GWARDYAN. To jest: trzeba zacząć..?

STRAŻNIK. Trzeba kazać w dzwony bić, ojcze Gwardyanie.

GWARDYAN. A jak Szwedy zrujnują klasztor?

STRAŻNIK. To pan Strażnik będzie chyba nie na mogiłkach—lecz pod mogiłkami! Co mi Wacan mówisz o Szwedach? — Czy to ja przyszedł jak dureń do Wacpana Dobrodzieja, nie pomyślawszy, że w kraju są Szwedy?! Więc gdy zaatakują, to się zaniesiemy z żonami i z dziećmi i z kościelnymi gratami na górę królowéj Bony, do ceglanéj ruiny — niby orłowie niebiescy; a kto ma w Panu Bogu ufanie, ten nie będzie strącony do czeluści piekielnych — i nad nim siły szatańskie nie przemogą! — Postępujmy, Mości Gwardyanie: czas drogi ulatuje na skrzydłach, a my się starzejemy!

GWARDYAN. Bogdajby to wszystko na dobre wyszło — bogdajby! (wychodzą).

SCENA III.

(Rynek).

(OBYWATELE — LUD).

PIERWSZY OBYWATEL. Słowo stało się ciałem! U Franciszkanów grają w trąby na wieży. Czy ksiądz Gwardyan zwaryował?

DRUGI OBYWATEL. Ksiądz Gwardyan lubi muzykę.

PIERWSZY. Wracam z kościoła — pełny jarzęcego światła, adamaszkami wybity! Pan Strażnik krzyżem leży na samym środku. —

DRUGI. Krzyżem leży?

PIERWSZY. I szlocha tak, że się kościoł trzęsie.

DRUGI. Tu przebąknął ktoś o konfederacyi.

PIERWSZY. Co?

DRUGI. Patrz! patrz! patrz! Jakiś rycerz na koniu wjeżdża na rynek.

(Pan GWINT wjeżdża zbrojny i staje śród tłumu).

GWINT. Na ten miecz przysięgam: kto nie usłucha głosu nieszczęsnéj Ojczyzny, będzie ścięty!

LUD. Jezu drogi! Jezu drogi! Archanioł albo kat jaki przebrany — Szwed! Szwed! Szwed!

GWINT. Jeżeli dbacie o domy wasze i o trumny wasze: ruszajcie się — bo wytnę do szczętu!

LUD (śród płaczu i szlochania). Jezu drogi! Od powietrza, głodu, wojny ratuj nas!

GWINT. Podajcie mi tokaju!

(Podają wino; on wylewa w hełm i pije).

Jeremiasz książę Wiśniowiecki pije za zdrowie pana Strażnika Złota Czaszka, Marszałka konfederacyi na Krzemieniu!

(Rzuca konia w galop; lud za nim).

LUD. Jeremiasz! Jeremiasz! Jeremiasz!

SCENA IV.

(Mogiłki).

(Ciągle biją w dzwony. Pan STRAŻNIK wstępuje na najwyższą mogiłkę. Na prawo stoi X. GWARDYAN z monstrancyą pod baldachimem; na lewo ołtarzyk N. Panny ubrany w złoto i kwiaty. PAN GĄSKA w jaskrawym ubiorze — i wiele SZLACHTY toż STUDENTÓW w głębi i na przedzie).

STRAŻNIK. Wielmożni Mości Panowie Szlachta! Obywatele cechowi tu licznie zebrani! słuchajcie. — Ja Strażnik krzemieniecki, vulgo Złota Czaszka: zebrałem was, wołając z wieży Franciszkanów dzwonami et trombis — a wołałem, abyście biegli ratować Ojczyznę. A nie wołałem dla żadnej innej światowej mamony i dla chwały osobistej mówienia do was. Jeśli więc Złota Czaszka ma u was jaką wiarę i zachowanie: wierzcie mu, że teraz na rany boskie was zaklina, krzyżem przeleżawszy rozesłany podczas Mszy świętej, i podniesiony z prochu jak robak, przez litość jedynie boską i szczere ku sprawie publicznej zamiary. — Wierzcie Złotej Czaszce, bratu i słudze WCPanów Dobrodziejów, a zwiążcie się w konfederacyą i obierzcie na tem miejscu Regimentarzem Najświętszą Pannę, Matkę Boską i patronkę królestwa polskiego, abyśmy nie zginęli z duszami broniąc Ojczyzny naszej! — A nie mówię tego, żebym nie sądził godnym regimentarstwa pana Gąskę, Marszałka tu przytomnego; ani też Wielmożnego Seweryna Milewicza z Dy-

mitrówki z kwitkiem odsyłał, a nie z należytą w konfederacyi powagą; ani też innych sądził niegodnymi tego zaszczytu: — lecz Matkę Boską sądzę godniejszą od innych i bezpieczniejszą w tej sprawie dla nas obroną, niż miecze ludzkie i Gotfredowe tarcze — i nawet rozum wasz, który jest ludzki. Na tej mogiłce, Wielmożni Panowie, gdzie stoję — tu podemną, złożone są śmiertelne zwłoki ś. p. Michała, trzechletniego synka mego. Jakżebym chciał wam kłamać i na złe was prowadzić, mając pod nogami drogie kosteczki dziecka mego, a przed sobą wieczność boską już dla mnie zbliżająca się? A i to wiem, że nie znajdę przy boku moim ludzi, z którymi niegdyś w wojsku Ojczyźnie mojej służyłem, a którzy już są w grobach i nie będą widzieć mnie, ani dopomogą. Ale czyż przeto wy, nie mogąc się spytać i dowiedzieć u hetmanów dawnych, Kalinowskiego, że ja jestem tęgi wojak, czy nie uwierzycie mi, że jestem tęgi, kiedy wam to przysięgam na siedm ran Chrystusa, przyrzekam w pierwszém zdarzeniu pokazać i udowodnić, i krew wrogów ojczyzny przyświadczy mi i wasze oczy zobaczą! Więc umyśliłem napaść na Szwedów stojących w Dubnie, których jest tylko dwieście, dla zaprawienia was i ośmielenia. A jakaż chwała będzie, gdy ich pobijemy i konfederacya nasza pod waszemi skrzydłami, Wielmożni Panowie, rozszerzy się! Czyja więc wola, niech się zapisuje na regestrze złożonym na ten cel w refektarzu, a później zechce zaszczycić dworek mój, albo tego — którego obierzemy Marszałkiem — z zawarowaniem zawsze regimentarstwa dla Najświętszej Panny, orędowniczki naszej, świecącej w gwiazdach nadziei naszej! — Skończyłem i proszę WPanów z procesyą do refektarza na gałkowanie.

(Okrzyk powszechny i procesya wychodzi).

SCENA V.

(Dziedziniec Strażnika).

(Wbiega JANKIEL).

JANKIEL. Nu, nu, nu, co się dzieje? Miasto całe do góry nogami! a pan Strażnik narobił, a pan Strażnik nie odrobi — a ja wysłał do panów Szwedów mego Jankielka

na koniu; lepiej zapobiec wczas, niech się ta rzecz nie rozidzie po wszystkich gościńcach... Pani Strażnikowa...

STRAŻNIKOWA. Co tam Jankielu?

JANKIEL. Nu, Pani w domu, a pan Strażnik w konfederacyi po uszy, i panowie z nim w konfederacyi, i miasto w konfederacyi! Ja nie wiem, żydów może będą wieszać albo rozbijać — niech Wielmożna Pani przyjmie na skład kilka z mego towarów; ja nie chcę kwitu — niech leżą u JWPani w bezpieczu.

STRAŻNIKOWA. Co mówisz, konfederacya?

JANKIEL. Nu, pan Strażnik wlazł na mogiłkę i gadał, że panem Regimentarzem będzie kościoł franciszkański — a Szwedy w Dubnie pójdą w kaszę. Ja nic nie wiem, ale to fakt!

STRAŻNIKOWA. Jaki fakt?

JANKIEL. Nu, fakt, fakcya — ja nie wiem, ja trzymam się domu JWPani, a ja nic nie wiem... (słychać strzały). A. ot! ona już strzela — ta konfederacya!

STRAŻNIKOWA. W samej rzeczy strzelają na rynku. Jezus, Marya, co to jest?!

JANKIEL. Wielmożnej Pani męża niosą na rękach, a za nim całe miasto — a ja jeden tu!

(Krzyki): Vivat Marszałek Złota Czaszka!

(Wchodzą na dziedziniec cechy z chorągwiami, potém wnoszą Marszałka Złotą Czaszkę na rękach; — za nim pana Gąskę niosą — za nim p. Milewicza).

JANKIEL. To pierwszy Marszałek, a drugi Chorąży, a trzeci Sekretarz; a ten sekretarz ma suchoty, on umrze; czego jemu było szukać konfederacyi?

PIERWSZY OBYWATEL. Panie Kasperowicz! Wacpan jako krawiec ubierz domek pana Marszałka w chorągwie cechowe.

DRUGI. Zamykajcie drzwi, bo się nadto ludu naciska!

TRZECI. A ot! i panienka wychodzi z sztofikiem i z kieliszkiem.

(Wchodzą KLEOFAS i SZAWEŁ).

SZAWEŁ. Jesteśmy deputacyą od szkół jezuickich, pro-

simy wyprosić do nas pana Marszałka... (do Kleofasa) Podnieś czoła, odważniejszym bądź! Córka poszła sama do ojca, ale jak spojrzała na ciebie?! Fiu, fiu! wy się z sobą znacie! — Czerwony jesteś jak gil, co tam siedzi na lipie: podnieś czoła i najeż wąsa — o tak! — Cóż, czy ci wszy chodzą po sercu?

STRAŻNIK (za sceną). A czego chcą te błazny? (Pokazując się we drzwiach — za nim panna Agnieszka) Czego Wacanowie?

SZAWEŁ. W deputacyi od szkół, JW. Marszałku.

STRAŻNIK. Czy pan Prefekt przysyła?

SZAWEŁ. Libertatem quaerentes przychodzimy motu proprio, JW. Marszałku, zaciągnąć się pod chorągwie i znaki rycerstwa polskiego, wyłamawszy drzwi, gdzie nas zamknięto z przytłumieniem woli naszéj i z uhamowaniem zapału naszego. Szkoły jezuickie, Mości Panie Marszałku, zrobiły ten akt liberationis et deliberationis, a moją słuszną sperandę, że nie tylko wieniec i dębową koronę, ale słuszne ukaranie księdza Prefekta, hamującego ten szlachetny zapał, otrzymają — i w obronie Ojczyzny pójdą tryumfalnie pod chorągwiami rycerstwa polskiego! Dixi.

STRAŻNIK. A błazny jedne! a błazny!

PANNA AGNIESZKA. Tatku...

STRAŻNIK. A smarkacze wy, z mlekiem pod brodą! Wam do konfederacyi? Każę związać, oćwiczę i księdzu Prefektowi odeślę pod bizun. Młokosy jedne, precz mi stąd!

SZAWEŁ. Panie Złota Czaszka...

STRAŻNIK. Precz! mówię, obdartusy szkolne, żaki, kanalie! Ja miałbym szafować krwią dzieci, żeby mi rodzice potém wyrzucali, żem ich szlacheckie gniazda ogołocił i zaprzepaścił?! Co to wy myślicie, że to ja konfederat malowany? A to co, infimusy? Wam podnosić rokosz na księdza Prefekta? Na klęczkach mi go przeprosić, błazny — precz stąd!

(Panna Agnieszka zakrywa oczy płacząc).

SZAWEŁ. Panie Złota Czaszka, taka afrontacya...

STRAŻNIK. Afrontacya? (do cechów) Panowie miejscy, wyrzucić mi za płot tych infimusów!

Studenci dobywają szabel: Miejscy chorągwiami wypędzają ich z dziedzińca i gonią ulicą).

STRAŻNIKOWA. Serce, Agnusia nasza czegoś płacze...

STRAŻNIK. Precz baby! — Co innego mi teraz w głowie, nie panna Agnieszka.

STRAŻNIKOWA. To idźże do gości.

SCENA VI.

(Cela księdza Prowincyała).

(ZAKRYSTYAN krząta się; PROWINCYAŁ siedzi na krześle).

PROWINCYAŁ. Cóż myślisz, Barabaszu, o tém wszystkiém?

ZAKRYSTYAN. Myślę, że ci panowie powaryowali.

PROWINCYAŁ. Masz racyą.

ZAKRYSTYAN. A kiedy chcieli byli robić konfederacyą, to mieli klasztor księży Jezuitów i klasztor ojców Bazylianów. Nie — przyszli Księdza Prowincyała wciągnąć! A wie Ksiądz Prowincyał dlaczego?—bo Ksiądz Prowincyał ma dobre stare wino węgierskie w lochu.

PROWINCYAŁ. Dureń jesteś, stul pysk! A gdzie moja sroka? nie widziałem jej dziś.

ZAKRYSTYAN. Sroka Księdza Prowincyała, kiedy Ksiądz dziś celebrował, to chodziła za baldachimem jak grzesznik, a kiwała ogonem, tak jakby mówiła: — „Oj Ojcze Prowincyale! oj Ojcze Prowincyale!“ Niech mnie dyabli wezmą, jeżeli ta sroka nie mędrsza od nas! A jabym chciał, żeby ta sroka ukradła panu Strażnikowi złotą czaszkę i włożyła Księdzu Prowincyałowi do kieszeni... ale sroka nie żyje...

PROWINCYAŁ. Co?

ZAKRYSTYAN. Zadeptano w tłumie.

PROWINCYAŁ. Nie prawda!

ZAKRYSTYAN. Ojcze, zadeptano! bij mnie — zadeptano.

PROWINCYAŁ. Nie prawda!

ZAKRYSTYAN. Zadeptano.

PROWINCYAŁ. Kłamiesz, kłamiesz! Mój kochany Barabaszu, poszukaj ty jej; ty może myślisz, że to mnie mało martwi — ale ja z tej sroki miał pociechę.

ZAKRYSTYAN. Mało z czego Ksiądz Prowincyał miał pociechę; a trzeba się będzie przyzwyczaić do zguby! A kto będzie księdzu Prowincyałowi grał na trąbach po nieszporach, kiedy trębacze poszli na trębaczy do konfederatów? A ksiądz Prowincyał lubił z panem organistą Fokiem grać w warcaby, a pan organista Fok zapisał się na regestrze w refektarzu, choć Niemiec...

PROWINCYAŁ. Moich ludzi będę reklamował.

ZAKRYSTYAN. Tak, reklamował! a gdzie i od kogo reklamował, kiedy Ksiądz Prowincyał jesteś sam regimentarzem?

PROWINCYAŁ. Ja? — jako żywo!..

ZAKRYSTYAN. Ksiądz Prowincyał drwi ze mnie.

PROWINCYAŁ. Ja?!

ZAKRYSTYAN. Ksiądz Prowincyał stoisz podpisany na regestrze i na uniwersałach, jako regimentarz.

PROWINCYAŁ. Ale to za Matkę Boską.

ZAKRYSTYAN. Ale to nie „Ja, Matka Boska, regimentarz“ stoi w regestrze, ale „Ja, Prowincyał księży Franciszkanów, regimentarz“ stoi w regestrze! A co mi tam patrzeć w myśl Księdza Prowincyała!

PROWINCYAŁ. Jezu drogi! to ja zabrnąłem, mówisz?

ZAKRYSTYAN. Bez rekursu.

PROWINCYAŁ. A czemu ty mi nie szepnął na ucho, kiedyś widział, że mnie pan Strażnik w zakrystyi atakuje?

ZAKRYSTYAN. Ksiądz Prowincyał wie lepiej, co klasztorowi czynić przystoi.

PROWINCYAŁ. Prawda, że wiem; ale tobie trzeba było mnie ostrzec — a teraz przychodzisz, kiedy już po czasie. Ktoś puka.

ZAKRYSTYAN (otwierając drzwi). Jakiś dragan.

PROWINCYAŁ. A czego on? (wchodzi DRAGANT).

DRAGANT. JW. Złota Czaszka Marszałek przysyła z ordynansem, abyś jutro Ksiądz Prowincyał gotów był poświęcić chorągwie i błogosławić regimentowi, który wychodzi na Szweda.

PROWINCYAŁ. Odpowiedz panu Złotej Czaszce, że do-

brze. (Do Zakrystyana). Widzisz, że ja tylko mam błogosławić.

(P. STRAŻNIK, P. GĄSKA, P. MILEWICZ i kilku innych wchodzą).

STRAŻNIK Witam Księdza Prowincyała! Przychodzimy na naradę i po radę do Księdza Prowincyała, jako do naszego regimentarza.

ZAKRYSTYAN. A widzi Ksiądz?

PROWINCYAŁ. Milcz durniu! — Bardzom rad! jestem całem sercem na usługi.

MILEWICZ (grobowym głosem). Zafundujesz nam przecie wina, Księże Prowincyale.

ZAKRYSTYAN. A widzi Ksiądz?

PROWINCYAŁ. Milcz błaźnie! — (głośno). Barabaszu przynieś antałek i szklanki.

(Zakrystyan wychodzi i po niejakim czasie wraca z winem).

STRAŻNIK. Coś mi Księże Prowincyale dumasz?

PROWINCYAŁ. Czy my się nie pospieszyli zanadto?

STRAŻNIK. Wacpan Dobrodziej słuchasz zanadto kościelnego sługi, który Acpanu głowę troskami nabija i w przedsięwzięciach go hamuje. Jeszcze Ksiądz Prowincyał masz czas ku odwróceniu od nas swoich afektów; a ja się oddam księżom Jezuitom albo Bazylianom: — a wtedy co będzie?

PROWINCYAŁ. Panie Strażniku!

STRAŻNIK. Udałem się do Księdza Prowincyała, albowiem uważałem w nim największy majestat i blask, a w ceremoniale nikt mu nie wyrówna...

PROWINCYAŁ. Co, czy byliście kontenci z procesyi?

STRAŻNIK. Niech pan Gąska powie; mówiłem mu otwarcie, żem się nie spodziewał takiego festynu. Tu Ksiądz Prowincyał posuwa się — a tu przed nim sypią różane listeczki — a tu trąby na wieży grzmią, aż trzęsła się góra królowej Bony! — myślałem, że pójdzie w taniec...

GĄSKA. Góra, czy Ksiądz Prowincyał?

WSZYSCY. Cha! cha! cha!

MILEWICZ. Góra z Księdzem Prowincyałem!

WSZYSCY. Cha! cha! cha!

PROWINCYAŁ (do Zakrystyana). Postaw tu durniu antałek i ponalewaj lampeczki JW. Panom. — Miałem wielkie

zmartwienie w dniu dzisiejszym, zadeptano mi sroczkę moję.

STRAŻNIK. Przyślę Księdzu Prowincyałowi pierwszego Szweda, którego mi się uda złapać, aby mu był wynagrodzeniem; tymczasem niech się Ksiądz Prowincyał uzbraja.

SCENA VII.

(Pokoik Panny Agnieszki).

(P. AGNIESZKA i MAGDA).

AGNIESZKA (płacząc). Magdo, daj mi chustkę.

MAGDA. Tak, tak! Jak panienka z żałości umrze, a Jegomość będzie płakal: powiem— dobrze Jegomości tak! Jegomość zabił dziecko, a teraz płacze! dobrze Jegomości tak!

AGNIESZKA. A skąd ty wiesz Magdo, dlaczego ja płaczę?

MAGDA. Z miłości płacze Panienka; ja wiem, że z miłości.

AGNIESZKA. Otóż ja nie z miłości płaczę—ja tak płaczę.

MAGDA. Ha, ha! jabym w to uwierzyła? Jaka mi Panienka mądra! jabym w to uwierzyła?

(wchodzi Pani STRAŻNIKOWA.)

STRAŻNIKOWA. Co to mi za szlochy, Gnusiu? Ojciec pyta o ciebie: pan Gąska chce wnosić zdrowie twoje.

AGNIESZKA. Powiedz Mama, że ja nie pójdę, że ja chora, że ja umarła, że ja leżę na cmentarzu Zołobieckim pod śniegiem, że ja siebie zabiję i pana Gąskę otruję. Weź sobie Mama ten kornecik z różami — ja niczego nie chcę! ani prezentów ani czego. Tylko zostawcie mnie w spokojności! Czego wy chcecie odemnie? czy ja wasza niewolnica? czy ja wasz haman? Czy ja sobie nie mogę kupić pokoju? Zostawcie mię, zostawcie, zostawcie! — Ja się chcę uspokoić: zostawcie mnie!

(wchodzą P. STRAŻNIK i P. GĄSKA).

STRAŻNIK. A kto tu szlocha?.. a dlaczego to Wacpanna szlocha?

STRAŻNIKOWA. Daj pokój — przy obcych ludziach!...

(Agnusia ociera łzy i staje przed ojcem ze spuszczonemi oczyma).

STRAŻNIK. Widzisz mi płaksę?—Obetrzyj Wacpanna łzy i podnieś oczy: — pan Gąska przyszedł z komplementem.

AGNIESZKA. Dziękuję.

GĄSKA. Niech mię Panna Strażnikówna nie wyklina: nie przyszedłem woli wielmożnéj Acanny Dobrodziejki wiolentować... W cierpliwości oczekiwać będę, aż moja afekcya...

STRAŻNIK. Patrz — płaksa roześmiała się!

GĄSKA. Rozjaśnienie jéj czoła szczęśliwą mi jest wróżbą. Czy mogę upraszać o jednego z tych narcysów, co stoją na oknie?

AGNIESZKA. Nie.

STRAŻNIK. Grzeczna mi bądź, błaźnico!

GĄSKA. Pozwól mi Acan Dobrodziej, pozwól mi: — tu ja sam jestem wystawiony na szwank, niechaj mam wszelką wolność. (Do panny Agnieszki) Czy moja osoba jest przedmiotem jakiéjkolwiek odrazy?—proszę szczerze....

AGNIESZKA. Żadnéj odrazy nie czuję do Acana Dobrodzieja, ale ja szczęścia Pańskiego nie zrobię: ja nic nie umiem, jestem w domu jak obrazek malowany...

STRAŻNIK (do żony). Serce, a wydobądźno krosienka pokaż panu Gąsce apparatum, które wyszyła złotem do franciszkańskiego ołtarza. Wierz mi, panie Gąsko, że to rozumna główka — a bierz, bo to skarb.

GĄSKA. Jabym chciał dać czas pannie Strażnikównie do namysłu.

STRAŻNIK. Cóż to, czy mi się Wacpan rekuzujesz?

GĄSKA. Prędzéjbym żywota mego odstąpił i duszę moję opuścił, niż wyrzekł się złotéj dla mnie nadziei! Ale sądzę, że szablą, ponieważ się zdarzyła okazya, potrafię w oczach panny Strażnikówny przydać sobie waloru. Dlatego więc proszę, abyś WPan Dobrodziej, ponieważ otwartej nie mam jeszcze rekuzy, zostawił to w sperandzie i w expektatywie. Wszak tak? ostatecznie mi Panna nie rekuzujesz?

AGNIESZKA (spojrzawszy na ojca groźną twarz). Nie.

STRAŻNIK. Jest to konsensum.

GĄSKA. Wróćmy do kielicha. (wychodzą).

STRAŻNIKOWA. Bardzoś była mądra; aż rosłam słysząc, jak ty przytomnie odpowiadasz. Dobrze Gnusiu! I on mi się podobał: bardzo rozsądny i stateczny. Widziałaś ty, jaką miał karmazynową sajetę na żupanie? Takiej sam król nie nosi. Zielony kontusz z tureckiej materyjki w kwiateczki, także dobrze dobrany... Cóż ty kwoczko?

AGNIESZKA. O nieszczęśliwa ja! zanieście wy mnie na cmentarz!

Więc widzieliście w chorągwie cechowe
Ubrany dworek starego szlachcica;
Kto myślą sięgnął w niebo lazurowe,
Widział, jak duchy i Bogarodzica
W promieniach zorzy trzymająca głowę,
A stopy dzierżąc na srebrze księżyca,
Na dom jasnością piorunową biła
I z po nad starych lip błogosławiła.

Chorągwie dworek okryły ubogi,
Że był jak namiot jakiego mocarza,
Z jedwabiu cały — a złote miał rogi,
A w środku jasną cnotę gospodarza.
Dla nędzy także otworzone progi,
I obwarzanek biały dla nędzarza;
I piękność chował dawnych, szczerych rysów
Napełniającą dom wonią narcysów.

Tam, kiedy w cichą noc duchowie czarni
W śniegowej korzą się burzy i wichrze,
Jasna kolęda w przyćmionej piekarni
Płakała — w rytmy ubrana najlichsze.
Z nią usypiali ludzie gospodarni,
A od serc naszych serca mieli cichsze,
A gdy się rwali z ubogiej pościeli,
To więc do szabli albo do kądzieli!

I pokazałem wam klasztorne życie —
I pokazałem studentów i żaków,
I pokazałem w przeszłości błękicie
Lud, co nazywał się ludem Polaków. —
Teraz, przy dalszéj zorzy zobaczycie
Las pływający rozwiniętych znaków,
Ten domek w zieleń wiośnianą ubrany —
I usłyszycie, jak puka do ściany

Nieszczęście.... Bądźcie więc wyrozumiali
Dla tych rubasznych serc i szorstkich dłoni!
Spokojne domy także piorun pali,
Chociaż je wiara, chociaż czystość broni;
A jeśli wszystko zważymy na szali,
Nieraz się człowiek rozpaczy uchroni

. . . .
. . . .

(Reszty braknie).

DWA FRAGMENTY

Z DRAMATU

BENIOWSKI.

PIERWSZY FRAGMENT *).

(Okolica lesista na Litwie. Słychać wrzawę i wystrzały niedalekiéj bitwy).

(PAMFILUS i BENIOWSKI stoją na wzgórku, przypatrując się walce).

PAMFILUS.

Zatrzymaj się tu, aż dymy opadną.
To pierwsza walka w życia epopei —
Kula wydaje się ptaszyną ładną,
Co świszcze w uchu piosenkę nadziei.

BENIOWSKI.

Przecudny widok: dymu tumany
Jako tumany jesienne lecą,
Szable złotymi listkami świecą.

PAMFILUS.

Czy słyszysz jęki?

BENIOWSKI.

Wiatr obłąkany
Jakieś harf tony w stronę unosi.

---

*) Właściwie niewiadomo mi, który fragment należałoby nazywać pierwszym, a który drugim. Każdy z nich zapełnia osobny arkusz, bardzo drobno i ściśle zapisany. Na arkuszach tych nie ma liczb paginacyi, po których wnosićby można, na jaką część dramatu każdy z nich przypadał. Wewnętrzna osnowa także wątpliwości téj nie rozstrzyga.

P. W.

PAMFILUS.

Patrz, tam się rumak z ziemi podnosi,
Lecz wstać nie może — złamany ma krzyż.

BENIOWSKI.

O jak czarownie śmiertelny spiż
Bucha i wyje i błyskawicą
Zamiata ziemię i wszerz i wzdłuż.
Dymy się zdają duchów przyłbicą,
A dalsze dymy, do białych róż
Podobne — z ziemi krwawéj wychodzą.

PAMFILUS.

Patrz! dwaj rycerze na siebie godzą
Tam, gdzie z tumanów ziemia odkryta.

BENIOWSKI.

W imię Chrystusa naprzód! — Kobiéta!...
(zbiega ze wzgórka).

PAMFILUS. Leć głupcze, i opal sobie skrzydła w ogniu miłości! Leć, głupcze i bądź jak Orlando szalony, zbawcą urojonym księżniczki. Twój miecz rąbie jak młot Wulkana... Że też ręka taka w proch się kiedyś obróci, a dusza taka wypali się w ciele i nie zostawi nawet popiołu!

BENIOWSKI (wraca niosąc omdlałą Księżniczkę).

Precz mi z rumaka! patrzaj — draśnięta,
Koń jéj zabity, koń biały jak śnieg;
Leżała pod nim jak róża zmięta...

KSIĘŻNICZKA (budząc się z omdlenia).

Któż mię obronił?

BENIOWSKI.

Anioł cię strzegł.
Daléj! — unośmy ją z pola walki!
(wybiega unosząc Księżniczkę).

PAMFILUS. Za nim! — Miłość go może wydrzeć z moich ręku i powrócić czystym władzom duszy; a to jest człowiek, który ma pokruszyć zęby na białym marmurze sławy.

(wybiega za Beniowskim).

(Przed chatą w lesie).

BENIOWSKI (prowadzi Księżniczkę).

Odpocząć musisz w tej kurnej chacie
Moja Księżniczko.

KSIĘŻNICZKA.

Jeszcze mi słabo...

BENIOWSKI.

Chodź tutaj. — Spiesz się ojcze i babo!
Otwórzcie wrota!

(Z chaty wybiega CHŁOP z żoną i dziećmi).

Cokolwiek macie,
Stawcie na stole. — Co? kwas z piołunem?
Spiesz mi się prędzej, ojcze z kołtunem,
I przynieś jasnej wody źródlanej.

CHŁOP.

Ne maju wody...

BENIOWSKI.

Nie macie wody? —
Chata podobna łodzi oblanej
Stawy smutnymi; zwalone kłody,
Sosny ponure i mchy czerwone!
Okropna ziemia!

KSIĘŻNICZKA.

Pragnieniem płonę.

BENIOWSKI.

I nigdzie źródła, nigdzie dokoła?

CHŁOP.

Nikudy źródła.

BENIOWSKI.

Co ty jesz?

CHŁOP.

Hryzu
Lilioczki, pane.

BENIOWSKI.

Potok Cefizu
Nie mógł by w lepszą nadpłynąć porę.
Czekaj, księżniczko: kwiatów nabiorę
Z chłopcami tymi i na wyścigi

Zniesiemy tobie białego kwiecia,
A ty ssać będziesz słodkie łodygi,
Sama liliją... (odchodzi).

KSIĘŻNICZKA.

Co tutaj śmiecia,
Co tutaj brudu, dobra kobiéto!

WIEŚNIACZKA.

Ne maju hroszy pannoczko świetna.

(Beniowski wraca niosąc lilie wodne).

BENIOWSKI.

Oto jest, Pani, anielskie żyto,
Woda gołębi — krynica kwietna.

KSIĘŻNICZKA (ssąc łodygi lilii podanych).

Prawda, te kwiaty słodkie.

BENIOWSKI.

Twoje słowa
Słodsze daleko! jutrzenka różowa
W twoim uśmiechu...

KSIĘŻNICZKA.

Pan mi zbawił życie?—
Jak Pan przyszedłeś na moję obronę?

BENIOWSKI.

Po turkusowym oczu twych błękicie
Jako po gwiazdach, co zdobią koronę
Najświętszéj Panny, byłem wiedzion w boju.
Ujrzałem ciebie przy skrwawionym zdroju
Pod koniem twoim, co jak śniegu bryła
Leżał na jasnych wiośnianych fijołkach
I gniótł niewinne...

KSIĘŻNICZKA.

O tak! ledwiem żyła.

BENIOWSKI.

Uśmiech się kryje w twoich jasnych dołkach;
Ale sen ciężki, jak smutek, tęsknota,
Leży na czole, jak błękitno-złota
Chmurka na niebie.

KSIĘŻNICZKA.

Niech mię Pan zawiedzie

Do chaty: zasnę. Może brat nadjedzie —
Będzie mię pewnie szukał w całej puszczy.

(Beniowski wraz z wieśniaczką wprowadzają Księżniczkę do chaty. — PAMFILUS wchodzi).

PAMFILUS. Czy tu przyszedł młody panicz?

CHŁOP. Pryszou.

PAMFILUS. Gdzież są?

CHŁOP. Moja baba zawedła do chaty.

PAMFILUS. Dam chłopcu twojemu dwa grosze — niech pobiegnie na kopiec. Znajdzie tam pana konno; — niech mu powie, że siostra jego, księżniczka, znalazła się, a ten pan mu da groszów i was uszczęśliwi.

CHŁOP. Dobre panyczu.

(Chłop wyprowadza chłopca, i sam wraca po chwili. — Z chaty wychodzi BENIOWSKI).

BENIOWSKI.

Od niej się chata rozpromieniła
Jak alabastru słoneczna bryła.

PAMFILUS.

Co? czy spać poszła?

BENIOWSKI.

Zamknęła oczy
I rozsypała tęczę warkoczy.
Lecz gdym wychodził, jak dwie pokusy
Z pod listków białych oczy turkusy
Jasne i duże łysnęły do mnie...

PAMFILUS.

Cóż będziesz robił?

BENIOWSKI.

Co? — myślał o niej.

PAMFILUS.

Słuchaj mię, jeśli możesz, przytomnie:
Kto chce laur złoty nosić na skroni,
Powinien liczyć serdeczne bicia
I nie posuwać zegaru życia...

Ale to wszystko nic. — (Do chłopa). Chodź tu chłopie! — Ten chłop jest wielkim mitologiem: pogadaj z nim, on cię może wprowadzić w nieznajome myśli krainy. —

Miłość nie jest jedynem nadpowietrznem marzeniem — są inne równie piękne. Raz się im oddawszy można zapomnieć, że Ewa zjadła jabłko rajskie i urodziła miłość z grzechu ciekawości.

BENIOWSKI. Jakże? — ty chcesz, abym zatrzymywał oczy moje na tym chłopie, który w porównaniu z nią nie jest nawet człowiekiem?

PAMFILUS. O jakże ty daleko epoki wielkich gawęd, która nadejdzie i to, co teraz mówisz, poczyta za bluźnierstwo. Że też się ludziom przyszłość nie przyśni! — Cóżkolwiekbądź, nie gardź mitologią chłopa. — Ja ci powiadam, że gdyby Homer z harfą złotą stał na twojem miejscu, stroiłby teraz pieśni narzędzie i słuchał, co ten niedźwiedź zarosły włosami opowie. — (Do chłopa). Chodź tu, potomku Gedymina! Jak ci na imię?

CHŁOP. Grażułas, panyczu.

PAMFILUS. Czy daleko stąd do Wilna?

CHŁOP. Nie wiedaju.

PAMFILUS. A do Boga?

CHŁOP. Oj, dałeko, panyczu!

PAMFILUS. A do słońca?

CHŁOP. Do staryka?

PAMFILUS. Tak.

CHŁOP. Staryk sołńce żywie za jetym lasom — het, het, dałeko za lasom. Chatoczka jeho na kurij łapci.

PAMFILUS. Rozumiesz? Febus litewski mieszka za sosnową puszczą w chacie na kurzej łapce. — (Do chłopa) Mów dalej, mitologu grecki!

CHŁOP. Na kurij łapci, panyczu, chatoczka — a staryk z żenkoju staruchoju zapalaje szczo ranka szczop smolnoho łuczywa, taj wychodyt z chaty, i niesiet nad hołowoju ohoń, szczob buło wydno.

PAMFILUS. Uważaj: starzec zapala sito ze smolnych gałęzi i idzie po niebie, trzymając w ręku słońce. — O Faetonie! —

CHŁOP. A żinka starucha derżyt misiać w boczci.

PAMFILUS. Miesiąc w beczce pod dozorem staruszki! Z tego wniosek, że żony mają zawsze w swojem posia-

daniu rogi gotowe, które zatrzymują w głębi beczułek, to jest w pewnym rodzaju piscin (?) Salomonowych. — Daléj beocki wieszczu!

CHŁOP. Tak weczerom żinka wychodyt, taj nese misiać nad hołowoju.

PAMFILUS. Dyana!

CHŁOP. Taj wsio, panyczu.

PAMFILUS. Czekaj — spróbujemy tego słonecznego systemu logiką. — Powiedz mi Hezyodzie, dlaczegoż w zimie słońce prędzéj powraca do chaty?

CHŁOP. Staryk na morozie merznet, taj idet pid pieczku spaty i hrejaty sia.

PAMFILUS. Dobra przyczyna! Kopernikowska przyczyna! Staremu bogu zimno, więc powraca coraz prędzéj za piec. Ptolomeusz płacze w piekle ze złości.

BENIOWSKI.

Jednak to wszystko cudowne, Pamfilu!
W puszczowéj głębi chata z jasném łonem,
Tam żyje Baucys stara z Filemonem.

PAMFILUS.

Do ognia lecisz, żałobny motylu,
A ja ci drogę zamiotę ogonem.

BENIOWSKI.

Słońce się w myślach ludu zestarzało:
Już nie Faeton, nie młoda Dyjanna —
Lecz groźny stary Litwin z głową białą,
Lecz stara wiedźma z piersią wyschłą, suchą,
Jakaś uwiędła słowiańska Marzanna,
Hekate puszczy...

PAMFILUS.

Szkaplerz za pazuchą,
Na głowie księżyc krwawy lub niebieski;
Pierś ma obwisłą jak posąg efeski,
Czerwona — jako marmurowe głazy,
Czasem zczerniała... cóż? — kończę obrazy.

BENIOWSKI.

I oni kiedyś musieli być młodzi,
I oni kiedyś miłością różowi

Wschodzili razem, jak jutrzenka wschodzi.
Myśl o poranku ich, podobna snowi,
W pamięci mojéj cały Eden rodzi,
Pełny róż, złotych jabłek i narcysów.

PAMFILUS.

Rafaelowskich pełny jesteś rysów.
Dobrze, zakochaj się w marach, co błyszczą.
Takie miłości żywota nie niszczą.

BENIOWSKI.

O! chciałbym tych puszcz zgłębić tajemnicę,
Co w nich tak smutnie szumi i wzdycha.
Chciałbym pić z polnych kwiatów kielicha
Rosę i wonie, aż się nasycę.

PAMFILUS.

Czekaj: zapytam chłopa, czy w lesie
Są jakie nimfy? — pójdziemy szukać,
A baba niech nam kwasu przyniesie. —

(Do chłopa).

Chłopie, kiedy zaczniesz kukać,
Czy co w lesie odpowiada?

CHŁOP.

Kryczyt w lesie Świtezianka.

PAMFILUS.

Słyszysz Maurycy — Dryjada!

(Wieśniaczka wynosi dzban z chaty).

Napij się kwasu ze dzbanka.

BENIOWSKI (pociągnąwszy z dzbanka).

Gorzki!

PAMFILUS.

Chłopska Hipokrena!

(do siebie).

Z głowy mu wyszła kochanka
I odmieniła się scena
Jak na teatrze.

(Do chłopa) Hej chłopie, prowadź nas w las nad jezioro, gdzie Świtezianka twoja kąpie się. Na Bachusa, co się upił kwasem litewskim i zdobył Indye po pijanemu,

schwycimy tę boginią za skrzydła. — Słońce bliskie zachodu: prowadź chłopie!

BENIOWSKI. Myśli we mnie kręcą się.

(Wychodzą).

(Wjeżdżają książę KAROL RADZIWIŁŁ, ksiądz KANTEMBRYNG, i MORAWSKI porucznik, prowadzeni przez chłopię — zsiadają z koni).

RADZIWIŁŁ. Mości Kantembryngu, pójdź Wacpan do téj kurnéj chaty i zbesztaj ją, a każ, niech siada na koń!— Nigdy mię więcéj, panie kochanku, z babami nie wywiodą w pole. Że przegraliśmy, to bab wina: —jedna z szabelką na koniu jak ś. p. królowa Wanda, druga w karecie za mną pani Branicka jak Rzepicha... Moskale przez grzeczność, panie kochanku, co strzelą — to nie w kobiety, ale we mnie.—Że żyję, to cud Matki Boskiéj Częstochowskiéj, bo wszyscy moi przyjaciele w pierwszym ogniu zginęli. — Nieprawdaż, panie kochanku?

KANTEMBRYNG. Nie wiem, Mości Książę, bo ja w pierwszym ogniu zginąłem.

RADZIWIŁŁ. Ale prawda, panie kochanku, że do mnie strzelali?

KANTEMBRYNG. Tak, bez wątpienia, Mości Książę.

(wchodzi do chaty).

RADZIWIŁŁ. Kontusz mi cały podziurawili, a drugiego nie ma za co sprawić! — Nieśwież zabrany, dobra poniszczone i zajęte — na żebraka pójdę, panie Morawski.

MORAWSKI. Niespokojny jestem, czy Księżniczka nie ranna.

RADZIWIŁŁ. Co Wacanu myśleć o księżniczce? — Nie podnoś oczu tak wysoko, panie kochanku, bo zobaczysz dziesięć tysięcy gwiazd i Najświętszą Pannę, do góry nogami jak w księdza Poczobuta teleskopie.

MORAWSKI. I zobaczę szablę Waszéj Książęcej Mości, którą mu dziś tak kozak z rąk wyświsnął, że poleciała na księżyc.

RADZIWIŁŁ.

Pierwszy to jest znak upadłej fortuny,
Że przyjaciele gorzką mówią prawdę.
Dziękuję Waści, żeś mi nie oszczędził
Na moim krzyżu żółcianego kubka.
Dziękuję Waści, żeś mię zaczął uczyć
Języka, którym do wygnańców mówią
Obce narody, gdzie się idę błąkać. —
Będzie to dla mnie kąsek niestracony!
A żem jest wdzięczny, ostatnim ci płacę
Moim pierścieniem.

MORAWSKI.

Książę miłościwy,
Daruj!... Te usta chleb twój jadły wczora,
A dziś już — smakiem zaprawne piołunu —
Jak harfa w jakiej nieuważnej ręce
Fałszywie jękły, ażem się sam wzdrygnął.
Daruj mi Książę — na kolanach proszę,
Abyś mi nigdy słów tych nie pamiętał,
Słów, które będą w samotnych godzinach
Same do mojej chaty przychodziły
Jako natrętne sumienia dłużniki,
Których zapłacić nie ma czem sumienie.

RADZIWIŁŁ.

Wstań i wesołej myśli bądź kochanku:
Pamiętam dobrze, żem ci winien życie,
A teraz cię sam pierwszy obraziłem
W miłości własnej...

(KSIĘŻNICZKA wychodzi z KATEMBRYNGIEM z chaty).

Lecz oto Księżniczka. —
Pogódź nas obu miła mościa panno,
Bośmy się tutaj o ciebie skłócili.

KSIĘŻNICZKA.

Ksiądz was najlepiej obudwu pogodzi.

RADZIWIŁŁ.

Między was także pono wsadzę księdza.

KSIĘŻNICZKA

O! nie czas bracie o tem dziś rozmawiać!

Niech mi podadzą konia! — Gdzież mój zbawca?

RADZIWIŁŁ.

Nikogośmy tu nie zeszli przed chatą.

KSIĘŻNICZKA.

A więc nie czekał, aż się wdzięczność zbudzi...

(wsiadając na konia).

Panie Morawski, konia mego pilnuj,
Bo nie mam siły ni myśli ku temu.

RADZIWIŁŁ.

Jedźmy! jesteśmy do szczętu rozbici.
Pan Hetman już pojechał do Galicyi:
W tę samę drogę i nam się należy.

(odjeżdżają).

(Jezioro śród lasu — Noc miesięczna).

(BENIOWSKI, PAMFILUS i CHŁOP).

BENIOWSKI.

Księżyc się w jeziorze pali,
Nie ma wiatru — nie ma fali;
Lecz przez błękitną ciemnotę
Przelatują muszki złote.

CHŁOP. Tu wziała za hołowu i kinuła w wodu pastucha. Nikoły uże ne pryszou, nebożycha żywe pid wodoju.

PAMFILUS. Wyjdzie on kiedyś z wody — ale nie pastuchem, tylko niemiecką balladą. — Idź chłopie i naucz się czytać.

CHŁOP. Diakuju panam. (odchodzi).

PAMFILUS. Cóż? jesteś w zadumaniu?

BENIOWSKI. Dziwny zapach!..

PAMFILUS. Woń zwiędłego liścia — perfuma przyszłej poezyi. — Lecz chodź ze mną.

BENIOWSKI. Którędy?

PAMFILUS. Tu.

BENIOWSKI. Wody się rozstępują — piasek srebrny wabi mi stopy.

PAMFILUS. Dalej!

BENIOWSKI.

Woda się nad głową łączy,
Miesiąc się przez wodę sączy,
Czasem kroplą złotą ciecze,
Czasem srebrne rzuca miecze.
Ciemno — zimno — i zielono...
Cóż to za mara? — prześliczna!

PAMFILUS.

Rzuć! to muza romantyczna.

BENIOWSKI.

Cudna! z tęczową koroną,
Z twarzą dziecinnych aniołków:
Od niéj leci woń fijolków
I zapach wiośniany miły —
Za nią krzyże i mogiły.

PAMFILUS. Krzyże i mogiły samobójców! — Chodź daléj! Jesteś w Olimpie.

BENIOWSKI

Gwiazda nad jéj czarną brwią...
Jezu! z ust buchnęła krwią.

PAMFILUS. Nie wspominaj tu świętych! — Krew niech cię nie przeraża: — powiem ci pod sekretem, że ta piękna nimfa ma suchoty.

BENIOWSKI.

Obrusem krwi z gęby leje —
Cały podziem czerwienieje.

PAMFILUS.

Idźmy daléj!

BENIOWSKI.

Nawet tęcza
Jak krwawego pół obręcza —

PAMFILUS. Biały kolor przy czerwonym pięknie wygląda... Rozkrój najpiękniejszą kobietę, a cała czerwona, jak rak ugotowany!—Poezya, któréj boginią jest ta nimfa, rozkroi kobietę: lecz co w niéj zobaczy?! — Tfu!... rzeczy, o których się nie śniło Agamemnonowi, kiedy nożem ofiarnym dobywał serce Ifigenii. Lecz są lilie — są lilie — są lilie! Lecz patrz — jesteśmy w garderobie wie-

kowego kolorytu: tu się ubierają poemata, które kiedyś na świat wyjdą.

BENIOWSKI.

Widzę — lecz braknie mi tchu.
Ta kobieta z twarzą złotą
Na wzgórzu z białego mchu;
Węże się koło niej plotą,
Pogański w powietrzu śpiew.
Patrz — z błota wytryska lew
Widny tylko do połowy —
Orzeł mózg mu dzióbie z głowy.

PAMFILUS. Ta kobieta — to Indyanka; a ten lew — to Witołd; a ten orzeł — to orzeł. Czy ci jasno?

(Ciemnieje — chmury miesiąc zakrywają. Wicher się zrywa, czarci w potwornych postaciach latają w około).

BENIOWSKI.

Na sosnach siedzą czarne straszydła,
Gałęzie łamią, a drzewa jęczą.
Nad głową moją szeleszczą skrzydła
A pod nogami pieniądze brzęczą.

(Rozmaite widziadła ukazują się i znikają jedne po drugich).

PAMFILUS. Przeklnij to piekło narodów, które się nie skończyły, i chodź dalej. Pokażę ci kuźnię przyszłości. — Tam zobaczysz, czy człowiek winien się opierać w Termopilach — i będziesz mógł przysiąc albo odprzysiąc się.

BENIOWSKI. Dlaczego milczą te mary?

PAMFILUS. Bo nie mają co powiedzieć — rzecz prosta — bo nie mają co powiedzieć. — Daj im dzidy i życie, a będzie na świecie krzyku dosyć.

BENIOWSKI.

Smutek mię ogarnął dziwny.

PAMFILUS.

Spojrzałeś na zegar stojący.

BENIOWSKI.

W twarz mi bije wiatr przeciwny,
Jakiś straszny wiatr błyszczący.

PAMFILUS.

To z błyskawic wicher wieje
I od przyszłości odpycha.

BENIOWSKI.

Za tym wiatrem coś się śmieje
I coś płacze i coś wzdycha.

PAMFILUS.

Walkirye męczą Hamana.

BENIOWSKI.

Jakaś woda po kolana —
Dalej — tu drzwi: ha! zamknięte.
We drzwiach stoją węże wzdęte
Z szyją czarną i niebieską,
Zbite, jako deska z deską.
Obrócone ku nam gady
Z gardł płonące leją jady;
Jad rozlewa się i pali.

PAMFILUS.

To morze piekielne Walhalli!

Tu był skąpany Achilles: — dobrze umocz pięty, pamiętając na bramę Scejską. Gdybyś był nie gonił za dziewczyną, co miała tęczę na głowie, nie zamoczyłbyś teraz bótów w jadzie wężowym. — Widzisz, że z wszystkiego dobry człowiek może wyciągnąć moralną naukę.

BENIOWSKI.

Chodź za mną!— Coś błyszczy za morzem,
Przerznę się przez węże nożem.
A! a!

PAMFILUS.

Widzisz? — plac Odyna!

BENIOWSKI.

Drzewy zarosła dolina,
Pałac ze srebra na górze —
Na najwyższym stoi murze
Wiedźma, w błyskawicach cała.

PAMFILUS. Tak! na głowie ma błyskawice, jak krągły słomiany kapelusz. — To Walkirya, a ten pałac jest arsenałem księżyców.

BENIOWSKI. Jakto?

PAMFILUS. Cóż, kiedy mi ty zaraz wystąpisz z astronomią i śmiać się będziesz z tego, co powiem.

BENIOWSKI.

Na Boga, mów! — Widzę trupa,
Co w bramę zamkniętą trąca.
Na nim leży twarz miesiąca
Jako na żółwiu skorupa,
W ręku miecze oburęczne. —
Patrzaj, już wchodzi do bramy
I przez okien puste ramy
Wylewa się światło miesięczne.

PAMFILUS. Mówiłem ci, że zamek jest składem księżyców. — To, co ty widzisz na ziemi i nazywasz księżycem, a co się wydaje czasem okrągłe, a czasem rogate: nie czém inném jest, jak tarczą albo łukiem, który po śmierci niosą dusze rycerzy i tu składają w zbrojowni, aby się czém mieli bronić w dzień ostateczny, kiedy wilk będzie połykał słońce.

BENIOWSKI.

Co mówisz? — w dzień ostateczny
Wszystkie trupów milijony —
Każdy ma księżyc czerwony
Przed piersią i łuk słoneczny? —
Gdzieś na ciemnym niebios rogu
Takie wojsko przeciw Bogu?

PAMFILUS. Nie zapalaj się, bo to jest Skandynawia, kraj zimny; — możesz dostać kataru.

BENIOWSKI. Tęcza ognistych księżyców...

PAMFILUS. Patrz raczéj tam pod drzewa! Widzisz jeden z najdziwaczniejszych pojedynków? Od czasu Don Kiszota nie było tak głupiéj walki. — Patrz! — Odyn ją rozetnie na trzy części, a potém zjé i popije czarą hydromelu i strawi.

BENIOWSKI.

Na Boga! jakaś dziewczyna
Na białym walczy rumaku.
Zbroja szmelcowana, sina,

Tarcza bez żadnego znaku —
Lecz na hełmie gwiazd girlanda.

PAMFILUS.

Przypatrz się, to święta Wanda,
Co dziś jak spita od chmielu
Powstała we śnie z Wawelu
I tu się jak rybka rzuca.

BENIOWSKI.

Zabił ją, wstąpił na płuca!
Za mną!!

PAMFILUS (zatrzymując go).

Gdzie lecisz, szaleńcze?

BENIOWSKI.

Zemszczę!

PAMFILUS. (do siebie).

Czas rozwinąć tęczę.

(Wszystko znika. Okazuje się znowu jezioro w dali, na przedzie mogiła; pod nią BENIOWSKI, PAMFILUS i WALKIRYA).

BENIOWSKI.

Jezu mój! — gdzie ja jestem?! — Kto jesteś przeklęta
Czarna kobieto z piorunem na głowie?
W ręku twym księga — w koło wicher i tętenta.
Lecę mścić się — tam jacyś walczyli duchowie
O co? niewiem — lecz krew mi zawrzała namiętnie.
Choćby śmierć była w każdym z tych wichrów i tętnie,
Lecę mścić się, opierać — w ziemi i pod ziemią!

PAMFILUS. Siądź i myśl!

BENIOWSKI. Zimno mi.

PAMFILUS. Siądź tylko — tu, na mogile! Dobra rada:— pomyśl pierwéj nad tém, co zamyślasz. (Beniowski siada).

WALKIRYA. Patrz teraz i mów!

BENIOWSKI. Słabo mi — ten grobowiec zimny... Śnią mi się rzeczy straszne —

WALKIRYA. Przeciwko tym i wszystkim?..

BENIOWSKI. Nie mogę mówić —

WALKIRYA. Zdecyduj się!

BENIOWSKI. Choćbym miał ich zabijać duszą moją — do śmierci... (pada i mdleje).

WALKIRYA. O! gdybym łzy miała... (do Pamfila). Weź tego człowieka.

PAMFILUS. (biorąc Beniowskiego). Chodź na scenę świata Poniosę cię na ramionach i rogami będę podrzucał.— Opór sam myśli kosztował ci dwa lata życia i pozbawił kochanki: a ty myślisz, że myślą można przelecieć nieskończoność, wyleciawszy z rana, i powrócić jeszcze na obiad? — Chodź, Achillu!... Do widzenia, Walkiryo!

(Odchodzi z Beniowskim).

DRUGI FRAGMENT.

(Okolica dzika i bezludna).

(Występują CHRYSTUS, MARYA i ŚW. PIOTR).

CHRYSTUS. O Jeruzalem, Jeruzalem słowiańska! przychodzi godzina, że będziesz rozwaloną i rozbitą jak naczynie garncarza. —

Dla czegoście wy mury nie szły na południe? Dla czegoście wy wieże nie szły z krzyżami na głowach, mówiąc: Chrystus! Chrystus!

Stałyście na miejscu, jako morze bez fali, zasypiałyście jako trumny ołowiane; gdzie była praca i kuźnia nowych myśli, nie było was.

I powiedzą inni ludzie do pana winnicy: na cóż bierzesz robotnika onego, który śpi, który teraz późno przychodzi do winnicy, bez sierpa i bez siekiery?

Podniosę rękę nad tobą — lecz nie potępię: — albowiem będziesz ty ukrzyżowaną w dzieciach twoich i położoną w grób przez dzieci twoje i zmartwychwstaniesz przez dzieci twoje.

Przyszedłem w nocy cichej z matką moją, abym cię pożegnał idącą do mogiły: — przyjdę w noc piorunową, abym cię widział zmartwychwstającą i powitał.

Albowiem już nie tamta, która stoi nad potokiem Siloe w cieniu drzew oliwnych, ale ty jesteś Jerozolimą moją i grobem moim.

MARYA. Panie, tyś się zamyślił.

GŁOS Z MOGIŁY.

Skoczyłam do Wisły, cała w zbroi,
Kiedy biła godzina rozpaczy:
Dziś na grobie moim Chrystus stoi —
Wspomni o mnie mój Pan — i przebaczy.

CHRYSTUS. Matko, ta mogiła woła do mnie z wnętr ności...

GŁOS Z MOGIŁY.

Leżę w hełmie u nóg mego Pana: —
Niech mię wskrzesi w pancernéj odzieży!
Na mym hełmie z gwiazd girlanda różana,
A krzyżowy miecz podemną leży.
Niech mię wskrzesi — ja piękna i młoda —
Niech mię wskrzesi, niech rękę mi poda!

MARYA. Panie mój, azaliż ty nie możesz wziąć te dzieweczki za rękę i podnieść z grobu?

CHRYSTUS. Ujrzeliby ją i nie uwierzyliby ani w miec jéj, ani w duszę jéj, ani w piękność jéj. — Z mogiły jé wyprowadzę siedm kwiatów białych, i to będzie siedr oliw moich, pod któremi płakałem.

Tu, w ogrodzie bieli, proście, aby Pan odwrocił kie lich goryczy od was: tu się módlcie!

(Widać zdala PAMFILA i BENIOWSKIEGO).

ŚW. PIOTR. Panie, tam przechodzi szatan — i prowa dzi człowieka! Widzisz ich na téj czerwonéj chmurze, co jak wąż z ognia leży na kręgu ziemi? Idą spiesznie.

CHRYSTUS. Dozwoliłem, aby człowiek ten oddany by na pokuszenie i spróbowany w ogniu. — Stało się.

ŚW. PIOTR. Pozwól, że mu zajdę drogę i ukażę się na polu odkrytém.

CHRYSTUS. Jeszcze nie czas. — Duszo, unieś nas!

(Znikają).

(BENIOWKI i PAMFILUS).

BENIOWSKI.

Stańmy tu gdzie na uboczy —
Mdleję z czczości i tęsknoty.

Tak mi bije ciągle w oczy
Ten schylony miesiąc złoty,
Tak mi ciągle myśl roztrąca
Bijąc w czoło...

PAMFILUS.

Jesteś pewny,
Że nic więcéj prócz miesiąca?

BENIOWSKI.

Rosa zimna — miesiąc rzewny —
Wiatr przeciwny i nic więcéj.

PAMFILUS (do siebie). To dobrze. — Myślałem już, że siódmym zmysłem obaczył tę trójcę na spacerze i będzie mi zadawał pytania, jak młokos stojący przed obrazem Rafaela z pierwszéj szkoły. — A teraz kijem pobijmy głowy tym liliom. (łamie kijem lilie rosnące w około).

BENIOWSKI. Co to jest? — Nie widziałem nigdy, żeby lilie dziko rosły na polu, zwłaszcza na miejscu wyniosłém i suchém.

PAMFILUS. Tak, to jest rzecz dosyć dziwna.

BENIOWSKI (patrząc ku górom).

Więc to są moje rodzinne Karpaty! —
Oto nad niemi niebo się rumieni —
Powstają ze mgły w koronach z promieni...
Słońce wyleci jak orzeł skrzydlaty —
Lecz nie wiem jeszcze, z któréj wejdzie góry...

PAMFILUS.

Słońce? Jak orzeł mówisz złotopióry...

Trudno przewidzieć, gdzie wejdzie: — dziwne ma gusta! Raz ledwom mu w złotą nie zamalował papę... Patrzysz zdziwiony? — Czy myślisz, że słońcu nie można dać w pysk? — Panteistycznie biorąc rzeczy, będzie to sacrilegium — ale jest rzeczą podobną. Słuchaj tylko:*)

---

*) Ustęp następujący tak co do głównego toku myśli, jako też co do pojedynczych obrazów, a nawet i wyrazów, przypomina wiersz p. t. „Wschód słońca nad Salaminą,“ zamieszczony w I tomie niniejszego wydania str. 183.

Jechałem raz po falach Salaminy.
Kaika grecka siekła kryształ zbity —
Żagle jak srebrne konchy Amfitryty
Wydęte wiatrem — w tych muszlach majtkowie
Każdy jak rycerz złoty — srebrny — siny.
Z czerwonym klefta płomieniem na głowie...
Słuchaj, bo to poemat...
Fale wesołe nad łodzią tańczyły —
Słońce wstać miało, jak płomień z trójnoga. —
Słońce, myślałem, że wstaniesz z mogiły
Temistoklesa, jak z mogiły boga,
I będziesz wiary nowej jasnym gońcem,
Jakby rycerza trup zmartwychwstał słońcem!
Lecz — (o głupia gwiazda!) —
Lecz weszła, gdzie był tron Xerxesa złoty,
Skąd widział, jak tył podawały floty,
Skąd się Greczyna przypatrzył odwadze! —
Stamtąd buchnęło w ogromnej powadze
Czerwone słońce, jak król na dywanie. —
O słońce, złoty chaldejski bałwanie!
Jeśli ty wiesz, gdzie wschodzić...

BENIOWSKI (pogrążony w swych myślach).

Ranek świeży —
Mgły srebrne skrzydło na Karpatach leży —
Śnieżyce palą się jak rubinowe...

(Widać idącego drogą KRAKOWIAKA).

PAMFILUS.

Odwróć tam zadartą głowę!
Patrz — idzie Krakowiak i śpiewa
Jak szczygieł z łebkiem czerwonym
Pomiędzy bukowe drzewa. —
Nie bądź mi tak zamyślonym!
Świat się budzi i weseli
I wkrótce słońcem wystrzeli
Jako butelka szampana.

KRAKOWIAK (śpiewa).

Ej! ej! danaz moja, dana!

PAMFILUS. Słuchaj, jak ten człowiek śpiewa.

KRAKOWIAK (śpiewa).

Moja zonka sła bez mosta —
Ty kapucyn, ja starosta.

PAMFILUS. Słuchaj homerycznej pieśni ludu! Są to tak nazwane nonsensy, z których kiedyś ułoży się Iliada — jak ciebie nie będzie na świecie.

KRAKOWIAK.

Ty Rzepicha swego Piasta —
Za trzy grose bułka ciasta.

PAMFILUS. Słuchaj! — Widzisz: w tych wierszach jest myśl, jak posąg rodyjski jedną nogą oparta na historyi bajecznej, a drugą na dzisiejszej statystyce — prawdziwy monument! — (do Krakowiaka). Powiedz mi bratku, czy daleko stąd do Czarnego Zamku Beniowskich?

KRAKOWIAK (śpiewając).

Oj daleko, oj daleko
Moja rybo — bo za rzeką.

PAMFILUS. Widzisz, tu jest nowy element — dowcip... ex promptu! (do Krakowiaka). A powiedz mi, którędy droga?

KRAKOWIAK (śpiewając).

Prosto idźcie tą ulicą —
Az las będzie kamienicą,
Az doliną będzie góra,
Jajko, kurcę — potem kura:
A zajdziecie tam za ciemka,
Gdzie jest studnia i karcemka;
Przy karcemce studnia stoi,
Gdzie się kacka sama poi —
Za studzienką most ze złota,
Tam o restę spytaj kota!

PAMFILUS. Jakiby z tego człowieka był Arystofanes!... O! jak mało potrzeba wieśniakowi! — Rozradował się własnym dowcipem i patrzy na nas jak na Heloty. — Cóż? wiemy drogę do zamku twego — chodźmy! (do Krakowiaka). Chodź no, bratku! (daje mu grosz). Masz za twoję nauką bąka saskiego: włóż go w usta, a będziesz niewidzialny Jeśli zaś to, co obaczysz i usłyszysz w chacie, nie podoba

ci się: to wybij żonę i klechę i przyjdź do Czarnego Zamku — po lekarstwo. Rozumiesz?

KRAKOWIAK. Niski sługa Jegomości.

PAMFILUS. Lecz nie mów księdzu, żeś nas spotkał, bo ten grosz straci wartość i cnotę.

(Rozchodzą się w przeciwne strony).

Tu pozwólcie, że wyjdzie na scenę poeta *)
I wziąwszy w usta konchę bogatą perłami
Pieśniorodnemi, zabrzmi jak jeden z aniołów,
Co Amfitrytę morzem błękitnem prowadzi
I ogłasza królową wesołym delfinom
Pieśnią pełną *tryjumfu. — O tak! —* Amfitrytą
Jest dla mnie Polska, morzem płynąca zbożowem,
Pełna wdzięku i bieli. — Opowiem więc prosto,
Że ta królowa — słysząc idące z północy
Burze, kazała nimfom zaprzęgać łabędzie
Do srebrnej muszli, sama usiadła na wozie,
Kiedy łabędzie, bliskie konania, śpiewały
Pieśni smutne — i łzami zalana jechała
Do Olimpu, Jowisza groźnego ubłagać...
Lecz Jowisz leżał martwy pod krzyżem Chrystusa!
Czoło jego rozbite i mózg rozbryzgany —
Piorun się jeszcze w ręce ostygłej dopalał
I rzucał złote błyski na krzyż i drugiego
Boga, zawieszonego na drewnie skrwawionem.
Zdala Walkirye z niebios otwartych patrzały
Śpiewając straszne runy, a ze skał Kaukazu
Wisiał Prometeusza trup z piersią rozdartą
I pustą. — Przez ten Olimp skrzydłami białemi
Przeniosły cię łabędzie, o Polsko, śpiewając —
Aż utuliły do snu, a potem usiadły

---

*) Cały ten wiersz, wstawiony w środek dramatu w kształcie niejako Parabazy, jest przekreślony w autografie.

26*

I konały, wylawszy swe życie pieśniami. —
A ty się obudziłaś, gdy już ich nie było.
Prosto więc poszłaś w gaje, pomiędzy sosnami
Siąść na bladych konwaliach. — Tam ciebie spotkałem —
Tam kazałaś mi śpiewać to niebo skrwawione,
Te umarłe łabędzie i wdowią niedolę —
Podobna do posągu smutnego Nijoby.
Wziąłem więc w rękę lutnię i pośród rycerzy
Najśmielszego wybrałem; — a wprzódy mu rękę
Położyłem na sercu, czy biło jak ludzkie?
Czy się nie skruszy, wielką dotknięte żałością?
O rycerzu więc owym, co był ci do końca
Wiernym i różnej nędzy dla ciebie kosztował,
Śpiewać będę... i może ta pieśń nie przeminie.

Widzicie go więc teraz, że w ręku szatana
Traci młodość i z duszy ociera skrzydlatej
Motyle pierwsze blaski uczucia i wiary;
Widzicie go, że ufność mu wyszła na hańbę,
Że się dworskie tryjumfy skończyły więzieniem.
Kiedy więc z jednej strony po wielkich mogiłach
Stąpał Chrystus, jak człowiek, co gwiazdy złotemi
Ma napełniony przetak i z garści je sypie
Na przeorane pola: — to wtenczas po nocy
Na krwawych chmur czerwieni — podobni złodziejom —
Snuli się ludzie trudu — z sinemi twarzami
Goniąc za szczęścia marą i widmem nadziei,
Która jako horyzont jest niedoścignioną.
Tak idąc, zaszli wkrótce do Zamku Czarnego,
Który stał na granicie, a las miał bukowy
Pod swojemi nogami, nad sobą zaś śniegi
I ciemne Oko-morza, zastygłe jezioro. —
Zamek ten za pomocą hucułów zbójeckich
Na szwagrach swoich zdobył Beniowski orężem
I wypędziwszy z domu nieprawe dziedzice,
Osiadł w pustym pałacu i w ciemnych komnatach
Założył straszną myśli pracownię — z szatanem,
Aż z głębokości ziemi wywołał na jawę

Córki... wielkich tajemnic. — Tymczasem hucuły
W bliskich grotach i w skałach, gdzie orły mieszkają,
Wieszali się nad zamkiem i z prawy ludzkiemi
Toczyli straszną walkę. —

Jednego wieczora,
Gdy Beniowski w samotnej zamknięty komnacie
Dumał, a przez tęczowe się szyby cisnęło
Rozpłomienione słońce: nad lasem bukowym
Stanęła przed nim matka umarła — w czamarze
Atłasowej... i rzekła boleśnie: — Mój synu!
Czemu ty próżnym myślom oddałeś się cały,
Wtenczas kiedy ojczyzna już bliska skonania,
A jam jest nie zemszczona?! — *)

---

*) *Tu następuje ustęp w rękopisie, który* — ile wnosić można — miał zastąpić dziewięć ostatnich wierszy, przekreślonych przez autora zaraz po ich napisaniu:

Spada cień wieczora —
Słońce ogniste weszło między buki,
Las cały skrwawiał, zajęczały kruki. —
Szatan wywołał w zamku cień Hektora:
W ogromnej zbroi, z krwawą w sercu plamą
I w hełmie stanął, jak pod Scejską bramą
I rzekł: — Beniowski, podobne cię losy
Czekają na tej ziemi... Będziesz zbity,
Kurz zwala blaski twojej śnieżnej kity
I krew poklei twoje krucze włosy!
Jak ja pod Troją — zginiesz i płomieniem
Będziesz pożarty — reszta jest milczeniem...
Westchnął i zniknął. — A Beniowski blady:
— Wywołaj jeszcze mi kogo z pod ziemi!
Rzekł, i z gwiazdami na czole srebrnemi
Wyszły dwa cienie: synowie Hellady,
Kastor i Pollux — i wrzasnęli razem:
. . . .
. . . .

AKT TRZECI.

(Sala w Czarnym Zamku).

BENIOWSKI — PAMFILUS i HUCUŁY.

BENIOWSKI.

Wyście mi zamek ten pomogli zdobyć
Na moich stryjach: — jakże wam nagrodzę?

HUCUŁY.

Zostaw spokojnych! — My żyjemy w górach,
Pijemy z kaskad srebnych jak orłowie:
Wieśniak się z nami każdy chlebem dzieli,
Każda dziewczyna utka nam koszulę,
Każdy z bacówki ją w maśle usmaży.
Bywaj zdrów! — My nic nie chcemy od ciebie. —
Biłeś się jak lew: choć pan — jesteś tęgi.

BENIOWSKI

Pomiędzy wami z dworskiego fircyka
Stałem się znowu człowiekiem. — Hucuły,
Mój zamek za wasz własny uważajcie,
A jeśli kiedy będziecie uchodzić
Przed Cesarskimi: patrzcie — tu są mury,
Które obronią was.

HUCUŁY.

Bądź zdrów i szczęsny! (odchodzą).

PAMFILUS.

O dobrzy ludzie! ludzie wyśmienici!
Szanowne bardzo zbójce, z dobrem sercem! —
Mam oczy pełne łez — szanowni ludzie!
Jaka to szkoda, że pies na nich szczeka —
Że na nich w mieście szubienica czeka.

BENIOWSKI.

Można li mierzyć człowiekiem człowieka?
Ci ludzie innéj potrzebują miary.

PAMFILUS.

Natura na nich pogląda przez szpary.

BENIOWSKI.

Natura — kiedy stawiła te góry,
Kiedy sadziła te buki skrzydlate,
Gdzie teraz słońce jako świat z purpury
Pada i tonie — nie mogła o innych
Ludziach pomyśleć.

PAMFILUS.

Tak, Fauny brodate. —
Ale zostawmy tych ludzi w pokoju! —
Cóż myślisz robić w zamku odzyskanym?
Nie będziesz szczędził jadła i napoju,
Chorągiew zatkniesz na kurku blaszanym:
Zejdą się zewsząd weseli pielgrzymi,
Skoro zobaczą, jak twój komin dymi.
Uczynią z ciebie małego królika.

BENIOWSKI.

Natura moja posępna i dzika
Lęka się teraz nowych przyjacieli.

PAMFILUS.

Starych cię tutaj wnet twarz rozweseli,
Sprowadzę starych. Teraz się jak śmiecie
Przed burzą, wichrzą Polacy po świecie...
Nie trudno będzie o jakie pół kopy;
Ale poradzę ci: wprzódy się ożeń
I bądź Ulissem jakiej Penelopy.
Dąb wtenczas rośnie, gdy w głaz puści korzeń.

BENIOWSKI.

Nie gadaj o tém — to jeszcze za wcześnie.

PAMFILUS.

Tak, tak. — Małżeństwo jest jako czereśnie:
Wprzódy je wróble oskubią złodzieje,
A potém człowiek zjada nadgryzione. —
Niech żyje wolna miłość!...

BENIOWSKI.

Las ciemnieje
I słońce w buków zapada koronę.
Słyszysz? — Ktoś stuka w bramę do zamczyska.

(Wchodzi PIELGRZYM).

PIELGRZYM.

Niech będzie Jezus Chrystus pochwalony!
Pozwólcie zasiąść chwilę u ogniska —
Pielgrzymem jestem...

BENIOWSKI.

A skąd? z jakiej strony?

PIELGRZYM.

Z Rzymu powracam.

BENIOWSKI

To droga nie bliska. —
Posil się — widzę, że jesteś strudzony.

PIELGRZYM.

Wolno tabaczką służyć?

BENIOWSKI.

Jaka?

PIELGRZYM.

Rape. —
Czemu Wacpaństwo tych gór nie czyścicie?
Wilcy mi zjedli na popasie szkapę
Z siodłem, gdzie było skórzane zawicie
Pełne rożańców. Te wilki pohańce
Zjadły mi całą szkapę i rożańce.

BENIOWSKI.

Jakieś wesołe to mnisze biedactwo!

PAMFILUS.

Najświętszej Panny będzie z wilków bractwo.

PIELGRZYM.

Na Boga! Dyabła tutaj czuję nosem.
Kto jest ten chudosz? Cóż to? gdzie się podział?

(Pamfilus znika).

BENIOWSKI.

W słońce utonął — w powietrze się odział,
Jest w zamku tym echem — powietrzem i głosem —
Ciemnością i ciszą — i mgłą i płomieniem,
Jest wszędzie i nigdzie go nie ma —

PIELGRZYM.

Spojrzeniem
Zabiłem dyabła! — młodzieńcze bądź wdzięczny!

BENIOWSKI.

Nie bój się — wróci!

PIELGRZYM.

Ha! ha! będzie zręczny,
Jeśli nos wściubi tam, gdzie ja przewodzę. —
Każ przygotować wieczerzę, bo w drodze
Jest stado panów polskich i tu leci.

BENIOWSKI.

Któż to są ci goście?

PIELGRZYM. Kamień, na którym ja zbuduję mój kościół — petra, szczera petra! Książę Panie kochanku, który woził siostrę do Rzymu po rozwód — Karlomanus nowy. — Czy to prawda, co o Wacpanu mówią, że należałeś do konfederacyi pana Zakrzewskiego, która godziła na życie tego *Pomazańca, który był* pomazany teufeldrekiem — na *zgubę* narodu naszego?.. Czy to prawda, że Wacpan się cudownym sposobem wydostałeś z więzienia? — Imię Wacpana już jest głośne w Polsce.

BENIOWSKI. Wstydzę się, mój księżyno, że mam głośne imię — z niczego!

PIELGRZYM. Coś ci powiem: — gotuje się w Polsce powstanie narodu — krucyata, na którą wymodliłem patent u Ojca Świętego. — Weź krzyż i nie grzesz więcéj! Nie przyszedłem tutaj na ślepo; cudem ognistym ostrzeżony byłem o twoim upadku: przyszedłem cię ratować, a dyabeł ustąpił z placu przed księdzem Markiem z Berdyczowa.

BENIOWSKI (wskazując przez okno). Widzisz go?

X. MAREK. Widzę, że jak nietoperz unosi się nad przepaściami.

BENIOWSKI. Zniknął.

X. MAREK. Bądź dobréj myśli i przyjmij tu gościnnie pany polskie. Tu zawiążemy konfederacyą i oddamy ją pod opiekę Najświętszéj Panny Niepokalanego poczęcia.

(Słychać śmiech czartów w sklepieniu sali).

BENIOWSKI. Słyszysz śmiech w sklepieniu?

X. MAREK. Odpędź te strachy — będę z tobą do koń- — Dla czego tu tak pusto?

BENIOWSKI. Sługi wybite: zamek ten długo dobywałem na stryjach moich — wały jeszcze krwią zbroczone. — Oprócz starej ochmistrzyni, a niegdyś mamki mojéj, nie ma nikogo w zamczysku.

X. MAREK. Zaludnimy go i rozweselimy — a teraz prowadź mię: wodą święconą pokropię pokoje i Bóg tu zamieszka w pokoju. (Wychodzą).

(Szczyty gór nad Morskiem Okiem. Śród wichru i błyskawic przylatuje PAMFILUS).

DYABEŁ.

Na szczycie gór,
Gdzie światła brzég,
Gdzie orłów chór,
Piorunów ściég —
Gdzie Morskie Oko
Pod lodów tarczą
Jęczy głęboko
Gdy chmury zawarczą,
A całe się krwawi
Gdy tęcz błyśnie szarfa,
A płacze jak harfa
Od jęku żórawi: —
Tu w bieli, w śnieżycach,
Przy chmurnych straszydłach
Jak duch w błyskawicach,
W piorunach — na skrzydłach,
Na was, wichry moje,
Znów jestem i stoję...

WALKIRYA.

Ja także — duch losów,
Twa siostra i wężów,
Pioruny lejąca z włosów,
A krew sącząca z orężów,
Najstraszniejsza na niebie —
Tu czekałam na ciebie.

DYABEŁ.

Skąd ty lecisz? z daleka?

WALKIRYA.

Z północnego bieguna
Na przebłysku pioruna.

DYABEŁ.

Siostro, tego człowieka...

WALKIRYA.

Wiem — wydarto ci z ręku! —
Lecz ten człowiek nasz będzie —
Nasz, nasz, zawsze i wszędzie!
Jak harfa pełna jęku,
Jako gwiazda stracona —
Nasz będzie — nasz, nim skona

DYABEŁ.

Czy widziałaś Chrystusa?
Włóczy się przez ciemnotę
I sieje gwiazdy złote
Z Pelejad i Syryusa...
Jak chłop w kraj przeorany,
Sieje gwiazdy w kurhany.

WALKIRYA.

Niech wejdą kłosy świetne,
Niechaj wejdą czerwone!
Walkirya — mrozem zionę
I sierpem krwawym zetnę. —
Cóż tam więcej na ziemi?

DYABEŁ

Wrzask i nędza i burza.

WALKIRYA.

Patrz — księżyc się wynurza
Malowany świętemi
Jako tarcza tęczowa —
Niknij!

DYABEŁ.

Siostro, bądź zdrowa! —

. . . .
. . . .

Uszkodzony czterowiersz w Odzie do Wolności, zamieszczonéj na końcu tomu II (obacz stronę 394), uzupełnia się podług exemplarza lepiéj zachowanego w następujący sposób:

„Niegdyś Europa cała
Była gotyckim kościołem,
Wiara kolumny związała,
Gmach niebo roztrącał czołem.“

SPIS RZECZY

W TOMIE TRZECIM.